

ELIZABETH PALMER

**ZBYT
WIELE
MIŁOŚCI**

przełożyła
Bogumiła Malarecka

Prószyński i S-ka
Warszawa 1996

*Zarys piersi złotych, włosów gęstwina
z oczu w dal odrzucona; nagie ramię w świetle promienia
stonecznego jabłko zrywa. Bo gałąź ugina.*

*Dzięcioł niczym maszynistka wystukuje brzmienia
bezlitośnie. Rejestracja musi być zachowana
choć ta sama kradzież od wieków się nie zmienia.*

*Grzech pierwородny i ostateczny. Niedorzecznych
profesorów gama
do precedensu sprowadzić to może i nie raz,
i udowodnić, że Ewa udręczona, wypalona i zapłakana
była jedynie nie dostosowana; dama i as
pozostają, ktokolwiek rozdaje, asem i damą.**

Louis Mac Niece, *Pieśń III*

• **Przełożyła Anna Karp.**

1

Wracając myślą do przeszłości, bogatsza o nabyte doświadczenia, Victoria Harting pojęła nagle, że prolog tragedii, do jakiej doszło w Little Haddow, rozpoczął się podczas obiadu wydanego przez nią latem na cześć Careyów.

Pewnego ranka, nieświadoma przyszyłych wydarzeń, zasiadła w swoim uroczym mieszkanku w Chelsea, sięgnęła po blok i sporządziła listę gości. Oprócz Careyów znaleźli się na niej Tessa i Alexander Lucasowie (Victoria miała nadzieję, że ich stadło przetrwa wystarczająco długo) oraz wydawca poczytnego magazynu „Modern Art” Robert Wilmot i jego żona, choć według męża Victorii, Jamesa, było to kolejne niestabilne małżeństwo, a nadmiar takich par, zgromadzonych wokół średniej wielkości stołu, to pewny sposób na zepsucie nawet najlepiej zaplanowanego wieczoru. Na końcu listy dopisała Ginevrę Haye. Tylko kto miałby jej towarzyszyć? Bogu dzięki, że przynajmniej ten najzupełniej nieciekawy Kevin Haye, budowlaniec, szczęśliwie wyjechał na jakiś czas na kontrakt do Arabii Saudyjskiej.

Przyjaźń Victorii i Ginevry datowała się od czasów Oksfordu, gdzie urodziwa Victoria dobrze się prezentowała na tle pozbawionej wdzięku przyjaciółki. Kiedy studia dobiegały końca, dla wszystkich było oczywiste, że Ginevra, będąc jedną z najzdolniejszych studentek na roku, zasili swym potencjałem intelektualnym środowisko wyższych urzędników administracji państwowej. Ginevra jednak wybrała karierę naukową. Najpierw

zajęła się historią i teorią krytyki, potem zrobiła magisterium z nauk humanistycznych w Courtauld Institute, a następnie opublikowała kilka esejów, które dzięki trafności sądów i elegancji stylu wywołały prawdziwe poruszenie w środowisku artystycznym. I co dalej? Ginevra, zamiast wykorzystać taki sukces, poślubia jakiegoś Kevina, wyprowadza się do kompletnej dziury, zamyka w czterech ścianach i, idąc za radą dawnego opiekuna naukowego, zasiada do pisania monumentalnego podobno dzieła.

Mimo to obie przyjaciółki nadal utrzymywały ze sobą kontakt, choć Victoria, obawiając się ze strony Ginevry nietaktów towarzyskich, już niejedną raz rozważała możliwość zerwania dawnej, nieatrakcyjnej przyjaźni. Zwykle jednak, powodowana wspaniałomyślnością, odraczała ostateczny wyrok. No trudno, zaproszę Ginevrę, postanowiła i tym razem. Daruję jej jeszcze jedno lato. A poza tym, skoro Galeria stała się modnym salonek wystawowym, nie od rzeczy będzie mieć starą przyjaciółkę po swojej stronie, zważywszy jej wysoko ceniony dar krytycznej analizy.

Z kolei wylaniał się problem, czy warto przekształcać małe przyjęcie w wielki spęd gości. Victoria nie miała na to specjalnej ochoty, choć zdawała sobie sprawę, że przy znaczniejszej liczbie osób nieustannie wybuchające między Tessą i Alexandrem kłótnie nie rzucałyby się tak bardzo w oczy. Pograżona w zadumie wsunęła bosą stopę w coś, co wyglądało jak wielki, wywrócony futrem do góry stary domowy pantofel, a w istocie było jej pekińczykiem Ho, który gryzł kogo popadło, był jednak wystarczająco mądry, by nie narażać się swojej pani. Victoria podrapała ciepły psi brzuch czubkami palców. Siedziała na wprost szeroko otwartego wiktoriańskiego okna, wychodzącego na mały spłachetek ogródka, nad którym górowało stare, rozłożyste drzewo. Było wczesne lato. Lekkie podmuchy wiatru poruszały jakby od niechcenia połyskliwymi liśćmi. Mąż Victorii, w zeszlórocznym słomkowym kapeluszu, czytał na leżaku „Daily Telegraph”. Obok niego, w wielkim naczyniu z prowansalskiej terakoty, krzewiły się czerwone, różowe i białe pelargonie oraz petunie. Victo-

ria wsłuchiwała się przez chwilę w nikły pomruk samochodów dobiegający z King's Road. Skoro już skończyła z planowaniem przyjęcia, może teraz pójść i poprzekszadzać Jamesowi. Sama będąc człowiekiem czynu, nie znosiła beczynności u innych.

Little Haddow, otoczone bujnymi, żółtymi od jaskrów łąkami, na których pasły się rozleniwione krowy, było ponadczasowym archetypem angielskiej wsi. Niewiele się tu zmieniło w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat. Niedawni przybysze, tacy jak Haye'owie, mieli szansę na wtopienie się w miejscową społeczność nie wcześniej niż za ćwierć wieku. Na razie byli przez nią bezustannie oceniani, oplotkowywani i zaledwie tolerowani z powściągliwą, pełną rezerwy wiejską uprzejmością.

W Pear Tree Cottage Ginevra, obracając w dłoni zaproszenie Victorii, zastanawiała się, co ma na siebie włożyć. Jej szafa świeciła pustkami, a ubrania, jakie zwykle nosiła, miały zastosowanie raczej praktyczne i trudno je było uznać za stroje wyjściowe. Ten wieczór miał być bardzo elegancki, co do tego nie miała wątpliwości, choć bilecik nie dawał żadnych wskazówek, czy na przyjęciu będzie sześć czy też sześćdziesiąt osób. „Pani Jamesowa Harting - głosił - zaprasza na obiad między godziną 8.00-8.30 wieczorem”. Ale pompa, pomyślała Ginevra. Jakby Victoria nie mogła po prostu zadzwonić i powiedzieć: przyjdź na kolację. Ostatecznie zdecydowała się na czarną spódnicę, której brakowało guzika, i łososioworóżową, falbaniastą bluzkę. Do tego czarne pończochy, i wszystko razem powinno wyglądać nie najgorzej. Zresztą, najgorzej czy nie, i tak była zdecydowana przyjąć zaproszenie.

Jeśli chodzi o pantofle, to wybór ograniczał się do ortopedycznych sandałów doktora Scholia oraz czarnych sznurowanych trzewików, których używała do jazdy na rowerze. Niech będzie zatem doktor Scholl. Odłożywszy na bok z lekka zalatujący naftaliną wieczorowy ekwipunek, Ginevra przestała myśleć o całej sprawie i powróciła do komputera.

2

James stał przy oknie w salonie, otwierał butelkę bordeaux i obserwował, jak małe volvo żony, zwane przez nich zazwyczaj volvette, parkując, ze sporym impetem uderza w krawężnik. Nagle odstawił butelkę i wychylił się przez okno, usiłując się lepiej przyjrzeć przedniemu zderzakowi. Czyżby znów? Niemożliwe! A jednak.

Victoria weszła, trzasnąwszy drzwiami tak mocno, że dom zatrzęsł się w posadach. Sąsiednie prawdopodobnie też.

- Kochanie, znów miałam małą kolizję! - krzyknęła beztrosko. - Bardzo mi przykro.

James usłyszał szelest papierowych toreb z zakupami w hallu, potem w kuchni, wreszcie w jadalni, i teraz oczekiwał znajomego odgłosu. I rzeczywiście. Jak zwykle, żona coś potrafiła, i to coś musiało rozpaść się na kawałki.

- Och, pieprzyć to! - rzuciła tylko, i już rozległ się przeraźliwy skowyt. W zamieszaniu nadepnęła pewnie na łapę pekińczyka.

To coś niesamowitego, myślał James, wracając do odkorkowania butelki, doprawdy nikt nie potrafi spowodować takiego spustoszenia wokół siebie jak moja żona, i to w tak krótkim czasie. Sprawa jej samochodu przestawała go powoli śmieszyć. Naprawy kosztują, to raz, a poza tym należało się obawiać, że pewnego dnia ona sama ulegnie wypadkowi. Przypomniawszy sobie kogoś, kto u nich gościł i kogo zabrali ze sobą do Galerii, aby obejrzał najnowszą wystawę; ten człowiek pocił się dosłow-

nie ze strachu podczas jazdy, kiedy to Victoria, nie zważając na potworny ruch, pędziła przed siebie, niemal ocierając się o sąsiednie pojazdy. U celu podróży roztrzęsiony gość oświadczył tylko, że nie wątpi, iż Victoria zna szerokość swojego samochodu. Dosłownie dzień później kierowca ciężarówki, nieświadom, że małe volvo niczym uprzykrzony komar kręci się tuż przed jego przednim zderzakiem, skasował samochodzikowi połowę boku. James nie znał nikogo spośród swoich znajomych, kto by tak często i systematycznie wyważał koła swojego samochodu jak oni; przyczyną tego był beztroski, pełen nonszalancji sposób parkowania Victorii.

Volvo miało już cztery lata i między małżonkami trwał spór, czy wymienić je na jakiś nowszy model. James jednak postawił sprawę jasno: dopóki nie zastąpią samochodu czołgiem, każde inne rozwiązanie można z góry uznać za chybione. Ostatecznie wgniecenie to wgniecenie, więc jaki sens miałyby zamiana kolekcji starych wgnieceń na kolekcję nowych? I chociaż Victoria nigdy nie przejawiała choćby cienia skruchy, nawet ją przekonywał ten sposób rozumowania.

Właśnie szła na górę, tuląc w objęciach Ho.

- I kogóż to mamusia nadepnęła? - czuliła się do psa. Puszczony na podłogę pupilek skowycząc pokuśtykał w stronę swojego koszyka i ostrożnie wpełzł do środka. Victoria pocałowała męża.

- Jak to zrobiłaś?...

- Jak stuknęłam? Och, sama nie wiem. Parkowałam przodem, jeśli wiesz, co mam na myśli, no i zaczęłam o czyjś zde-rzak.

- Dlaczego, u licha, nie parkujesz tyłem, jak wszyscy?

- No tak, powinnam, wiem, że powinnam. Tamten kierowca bardzo się zdenerwował.

- Jaki miał samochód?

Usiłowała skupić myśli. James widział, że żona ma ochotę wykręcić się od dalszej rozmowy.

- Chyba mercedesa. Powiedziałam mu, że w końcu to tylko

kawał metalu, ale on nie przestawał marudzić, że to nowy model i że będą kłopoty z naprawą, więc mu oświadczyłam: gdyby pański samochód spędził w warsztacie choć połowę tego czasu co mój, dopiero by pan wiedział, co to znaczy kłopoty.

James był zdziwiony, że po takiej odzywce tamten nie wezwał policjanta. Mercedes! Tylko patrzeć, jak nadejdzie dzień, w którym nikt nie zechce ubezpieczyć samochodu jego żony. Może by tak zatrudnić prywatnego kierowcę?

Znudzona wymianą zdań, niemal identyczną jak zwykle w podobnych okolicznościach, Victoria zapytała:

- Potrawy dostarczone?

- Tak, ty masz je tylko odgrzać.

Jedzenie zostało przygotowane przez dziewczyny z „Cordon Bleu” - firmy obsługującej Galerię podczas wernisaży czy okolicznościowych przyjęć.

- Kogo się tym razem spodziewasz? - spytał James, który tkwił po uszy w przygotowaniach do wystawy Careya, a co więcej, musiał pilnować samego Jacka Careya i nie był dokładnie zorientowany w towarzyskich poczynaniach żony.

- No, będą Careyowie, Alexander z Tessą i Ginevra.

- Ją też musiałaś zaprosić? - Westchnął ciężko na myśl o workowatych, znoszonych sukniach, w jakich Ginevra zwykle występowała. - Tego grzmota? Bije nas wszystkich na głowę, jeśli idzie o intelekt, zgoda, ale nie potrafi się zdobyć na odrobinę fantazji. To jej nieruchome spojrzenie zawsze mnie peszy.

- Och, to już przesada! - Victoria zaprotestowała zbyt gorąco jak na swoje prawdziwe uczucia. - Najlepsze, co ma, to właśnie oczy. Można śmiało powiedzieć, że są jej największym atutem.

James powstrzymał się od przyznania racji żonie. Rzecz nie do wiary, po raz pierwszy od czasów uniwersyteckich pomyślał o oczach Ginevry. Już mu się zdawało, że raz na zawsze pogrzebał w pamięci ich wspomnienie. Ranek po balu pożegnalnym. Ileż to lat temu! Obudził się wtedy w jakimś łóżku z koszmar-

nym bólem głowy, nie mając pojęcia, jak się tam znalazł, ani też co, u licha, zrobił czy czego nie zrobił podczas tych kilku wczesnych godzin poranka. Wtedy właśnie, zresztą po raz pierwszy i ostatni, ujrzał nieatrakcyjną przyjaciółkę swojej żony bez okularów i zadziwiła go intensywnie niebieska barwa jej oczu, obramowanych gęstymi, lśniąco-ciemnymi rzęsami. Tuż przed jego własnymi oczyma, oddzielone jakby dzięki temu od reszty nieładnej twarzy, niezwykle piękne, promieniały wprost inteligencją i jeszcze czymś, czego nie potrafił nazwać. Wkrótce jednak, bez jednego słowa na temat tego, co zaszło między nimi obojgiem, wstał i wyszedł, kwitując całą sprawę zdawkowym podziękowaniem. Ginevra, choć jej ciało i umysł płonęły, także nie odezwała się słowem. Epizod, zdawało się, poszedł w zapomnienie, a James nigdy nie wspomniał o nim Victorii.

Alexander i Tessa zjawili się pierwsi i przynajmniej tym razem sprawiali wrażenie, że łączy ich nie tylko małżeństwo, lecz także i przyjaźń. Victoria, która nie oczekiwała aż tyle, odechnęła z ulgą i zaprowadziła gości do ogrodu, gdzie jej mąż już zażywał relaksu przy pierwszej szklaneczce alkoholu. James przywitał Tessę braterskim pocałunkiem. Oboje byli bardzo do siebie podobni.

Tessa, jak Victoria myślała nieraz z zawiścią, miała chyba najdłuższe nogi w Londynie i poruszała się z wdziękiem żrebaka. Emanowała z niej pewność siebie, której źródłem była wyjątkowa uroda i wyjątkowe zepsucie. Tessa, ubrana w spódnicę szerokości bandaża, opalona, z długą grzywą kunsztownie cieniowanych włosów w kolorze ciemnego złota, należała do dziewczyn, dla których wymyślono określenie *jeunesse dorée*.

W przeciwieństwie do tej pełnej temperamentu blondynki, jej mąż zdawał się kruchy i delikatny. Roztaczał wokół jakąś mroczną, niemal dziewiętnastowieczną atmosferę melancholii. Choć górował nad Tessą inteligencją, wiedzą i talentem, w rodzinie zyskał sobie niezbyt pochlebne miano piątego koła

u wozu własnej żony. Stałym zajęciem Tessy, która ukończyła krótki kurs dla modelek, było rozglądanie się za pracą. Alexander natomiast pracował w wydawnictwie, a w wolnych chwilach pisywał wiersze, które stanowiły jego pasję i jedyną ucieczkę od rzeczywistości. Kłótnie między małżonkami, i to częste, wybuchały z powodu zazdrości (jego) i złego prowadzenia się (jej).

James, którego łączyło z siostrą tylko zewnętrzne podobieństwo, kierował się w życiu stałymi zasadami. Jego małżeństwo było udane i mimo drobnych przywar żony, a może także dzięki nim, szczerze ją kochał. Oboje z Victorią wkładali dużo serca i energii w prowadzenie Galerii, choć gdyby nie ciągle sięganie do rodzinnej kiesy, prawdopodobnie zmuszeni byliby ją zamknąć. Sytuacja finansowa Jamesa była całkiem niezła, lecz on zachowywał się skromnie i unikał nadużywania płynących z bogactwa przywilejów.

Lucasowie dołączyli do gospodarza w milczeniu, z ulgą witając zmierzch kolejnego upalnego dnia. James, popijając wino i wdychając zapach jaśminu, rozmyślał nad przemijaniem czasu. Zdawał sobie sprawę, że przesycone złotym blaskiem, beztrudne dni nie mogą trwać wiecznie. Kiedyś w jego domu pojawiają się dzieci, a wraz z nimi rozgardiasz i zamieszanie, nowe radości i nowe smutki. Tak, kiedyś. Teraz jednak szkoda byłoby marnować przyjemności, jakie niesie ze sobą chwila obecna.

- Och, Victorio, całkiem zapomniałam - przerwała milczenie Tessa. - Przyniosłam ci trochę pralinek miętowych. Położyłam je chyba na stoliku w hallu.

Podziękowania Victorii przerwał dzwonek u drzwi.

- To pewnie Ginevra. James, kochanie, pozwól, że ja otworzę.

Tessa spojrzała wymownie na Alexandra. Oboje niezbyt lubili Ginevre, ale z powodu niezrozumiałego dla nich przywiązania Victorii do starej przyjaciółki zmuszeni byli tolerować jej towarzystwo.

Victoria witała Ginevre i Careyów. To, co jej przyjaciółka miała na sobie, było naturalnie poza wszelką modą i gustem.

Ten lososiowy róż! I żeby to jeszcze koszula, ale nie, musiała włożyć bluzkę. No i ta czerń. Wielki Boże, myślała Victoria, odbierając prezent z rąk przyjaciółki.

- Och, jak to miło! Jeszcze jedne miętowe.

Odłożyła pudełko na stolik. W porównaniu z efektownym opakowaniem czekoladek od Tessy wyglądało niepozornie.

A więc jeszcze jedne miętowe. *Embarras de mints*. Ginevra, zważywszy, ile czasu straciła w wiejskiej cukierni, której zakurzona, wyblakła wystawa zastawiona była starymi, pękatymi słojami z toffi, zatykanymi szklanymi korkami, a mikroskopijne wnętrze, z posypaną trocinami podłogą, pachniało lukrecją i sorbetem cytrynowym, i przypomniawszy sobie, że wydała ostatnie pieniądze, postanowiła w przyszłości nie zwracać sobie głowy podobnymi sprawami.

Przyjaciółki wymieniły pocałunki. Czy mi się zdaje, zastanowiła się Victoria, czy też wyczuwam w Ginevrze jakiś chłód?

- Mam nadzieję, że znasz Ellen i Jacka Careyów, Ginevro?

- Tak, już się poznaliśmy. Miło mi.

- No to świetnie - powiedziała Victoria. - Pozwólcie, przejdźmy do ogrodu. - Duża, blada twarz Ginevry ponad zawieruchą falbanek wyglądała, jakby ją serwowano na tacy. Uwadze Victorii nie uszły ortopedyczne sandały doktora Scholia oraz dziura w czarnych (wełnianych!) pończochach. Niczym zaprzeczenie tego ubraniowego chaosu szła za Ginevra w czymś długim i zwiewnym pełna wdzięku, wiotka niczym trzcina Ellen Carey. Spięty grzebieniem luźny węzeł włosów i spływający z ramion tęczowy jedwabny szal sprawiały, że przypominała Cyganek z zespołu Augustusa Johna. Pochód zamykał Jack. Luźna marynarka, rozpięta pod szyją koszula, apaszka w dekolcie, dzinsy, o które najwidoczniej wycierał pędzle z farby i dopełniające całości espadryle stanowiły niezaprzeczalny dowód, że artysta nie zdobył się na żadne ustępstwa towarzyskie. Majestat pani na włosciach, Jamesowej Hartingowej, kompletnie na niego nie działał.

Od Jacka wyraźnie zalały whisky. Ponieważ właśnie powinien on ciężko pracować nad swoją następną wystawą,

w związku z czym o alkoholu miało nie być mowy, w głowie Victorii odezwał się dzwonek ostrzegawczy Muszę powiedzieć Jamesowi, żeby zwerbował Ellen do pomocy, pomyślała, ruszając za gośćmi.

Tymczasem goście w ogrodzie, w miarę jak rozleniwiający upał letniego dnia ustępował miejsca rzeźkości wieczoru, stawali się coraz bardziej ożywieni. Victoria spostrzegła z niepokojem, że Tessa ma nadąsaną minę, a Alexander starannie omija żonę spojrzeniem i usiłuje rozmawiać z Ginevra.

- Więc czym konkretnie zajmowałaś się w Courtauld?

- Sztuką, sprawą patronatu nad sztuką w Wielkiej Brytanii itede.

Alexander, któremu to niewiele mówiło, dociekał dalej:

- A dokładniej?

- No, jak to wszystko działa. Rady artystyczne, ICA, londyński system wystawienniczy et cetera. - I żeby usatysfakcjonować rozmówcę, przytoczyła jeden z tematów: - Rola wystawy w kształtowaniu percepcji sztuki; twórczość i znaczenie niektórych czołowych krytyków. Berger, Read, Alloway, Sylvester i tak dalej. Interesowało mnie to szczególnie, kiedy studiowałam historię i teorię krytyki. Pisałam z tego pracę magisterską.

Alexander, który słyszał o Readzie, ale nie miał pojęcia, kim jest bądź był Berger, Sylvester czy Alloway, i najchętniej zakończyłby rozmowę, oświadczył nieszczerze:

- Fascynujące! A jeśli chodzi o samą sztukę?

- Tak, tym także się zajmowaliśmy. W rozbiciu na poszczególne tematy. Miasto, człowiek i natura, utopia. No wiesz, te rzeczy.

Nie wiedział. Zapadła cisza. Ginevra schrupała następny orzeszek. Alexander stwierdził, że ma pustą szklankę i, korzystając z okazji, wycofał się na chwilę.

Siedzący po drugiej stronie ogrodu Jack i Ellen pogrążeni byli w rozmowie z Jamesem. Jeśli idzie o Careya, to choć dodawał blasku Galerii, Victoria nie raz i nie dwa zastanawiała się, czy wart jest kłopotów, na jakie ich naraża. Do dnia, w którym na-

stąpi otwarcie wystawy, nie tylko ona będzie miała paznokcie obgryzione do żywego mięsa i zszarpane nerwy. Lepiej nie myśleć, co by się stało, gdyby Ellen przestała opiekować się Jackiem i trzepać go po łapach, ilekroć sięgał po butelkę whisky. Jack. Przecież w rzeczywistości miał na imię Reginald, ale ciążyło mu ono niczym kamień młyński u szyi, więc powiedział sobie - dość. „Jack” wziął się stąd, że Carey w swoim nędznym studenckim mieszkaniu - czy też raczej kolejnych nędznych studenckich mieszkaniach - przykrywał łóżko flagą brytyjską, UNION JACK, kupioną za parę miedziaków u handlarza starzyzną. Tak dużo talentu i tak mało wewnętrznej dyscypliny, myślała Victoria, obserwując, jak Jack obejmuje żonę, a jednocześnie pożera wzrokiem Tessę.

Ginevra tymczasem bacznie lustrowała całe towarzystwo. Nie odważyła się spojrzeć jedynie na Jamesa, w obawie, by na jej twarzy nie pojawił się wyraz zmieszania. Alexander, donoszący jej kolejne szklaneczki, nie rozumiał ani słowa z tego, co opowiadała na temat książki, nad którą właśnie pracowała. Kiedy, niecierpliwiła się Ginevra, zaczniemy wreszcie jeść? Gdy pracowała, często zdarzało jej się w ogóle zapominać o jedzeniu, a teraz, jak na złość, od dłuższego czasu czuła dokuczliwe ssanie w żołądku. Chociaż już dochodziła dziewiąta, nic nie wskazywało na to, by Victoria zamierzała poprosić gości do stołu.

No cóż, ostatnio nie darzę jej zbyt wielką sympatią, pomyślała Ginevra o gospodyni. To, że nie olśniewa inteligencją, można by jej wybaczyć, ale dlaczego nie potrafi zrobić przyzwoitego użytku z otrzymanego wykształcenia, najlepszego, jakie można uzyskać? Wątpliwe, czy od chwili ukończenia studiów otworzyła w ogóle jakąś książkę. Rzecz godna ubolewania, jeśli nie wzdąry. No cóż, ale to jednak Victoria jest nicią, która łączy ją z Jamesem.

Stojąc nieco z boku, z miseczką orzeszków w jednej ręce i szklanką alkoholu w drugiej, Ginevra skierowała z kolei spojrzenie na Tessę, która w jej opinii była głupim, rozpuszczonym dzieciakiem. Chociaż zaliczyłaby jej na plus to, że przynajmniej

nie uważa się za intelektualistkę, jak jej szanowna bratowa. Ginevra nigdy nie była kobietą, przed którą mężczyźni padają na kolana. Gdybym wyglądała tak jak ta dziewczyna, myślała, nie wyszłabym za mąż za Kevina i nie tkwiłabym w Little Haddow. Mogłabym nawet poślubić Jamesa.

- Czy to prawda, co mówi Alexander, że piszesz książkę? - Głos Ellen Carey odwrócił bieg jej myśli od sekretnej obsesji.

- Tak, piszę.

- A o czym?

Ginevra powtórzyła wygłoszone poprzednio kwestie.

- Interesujące - stwierdziła Ellen całkiem serio.

- Doprawdy? Nie odniosłam wrażenia, by Alexander Lucas tak uważał. - Nie lubiła protekcyjnego traktowania.

Ależ zjeżona, pomyślała Ellen, konstatując jednocześnie, że jej mężowi, który właśnie zmierza w stronę toalety, na nic się nie zda poklepywanie się po kieszeniach w poszukiwaniu butelki. Piersiówka z whisky spoczywała na dnie jej torebki. Pilnowanie Jacka, by przynajmniej podczas przygotowań do wystawy rozstał się ze swoim nałogiem, było niemałą sztuką. W oczekiwaniu na awanturę Ellen skoncentrowała się na niezbyt obiecującej rozmowie z Ginevra.

- Tak bardzo podziwiam każdego, kto potrafi narzucić sobie dyscyplinę w jakiejś pracy. - Miała ochotę dodać, że po wielu latach przymiarek w końcu i ona zabrała się do pisania książki, lecz bała się ośmieszyć w oczach przyjaciółki Victorii. Ginevra uchodziła za osobę wybitnie uzdolnioną.

- No cóż, utrzymanie tego typu dyscypliny nigdy nie przysparzało mi kłopotów.

- W takim razie wypada ci tylko pozazdrościć. Ja zabieram się do wszystkiego dopiero na ostatni dzwonek - wyznała Ellen.

- Uważam zresztą, że to także ma swoje zalety. W sytuacji przymusowej umysł potrafi się znakomicie koncentrować.

Ginevra, której umysł w każdej sytuacji pracował na pełnych obrotach, jeśli tylko rzecz dotyczyła nauki, nie mogła wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi. Kiedyś obilo jej się o uszy, że Ellen

jest graficzką i robi ilustracje do książek. Przy dwójce dzieci, na dodatek z Jackiem, który spokojnie mógł uchodzić za trzecie, wykrojenie czasu na własną karierę musiało być nie lada wyczynem. Mimo to Ellen odnosiła sukcesy zawodowe. No cóż, za to należy jej się szacunek. Ale Victoria zasługuje jedynie na pogardę.

Widząc, że Ginevra jest nieco izolowana towarzysko czy może raczej sama nie wychodzi nikomu naprzeciw, Ellen, ze zwykłą sobie życzliwością, postanowiła ją nieco rozruszać, choć od pierwszej wymiany zdań widać było, że podejmuje się niełatwego zadania. Delikatnie, bez pośpiechu, zaczęła kruszyć stwardniałą skorupę, w której tkwiła druga kobieta. Ginevra, nie przyzwyczajona do skupiania na swej osobie czyjejkolwiek uwagi, nieufnie poddawała się tym zabiegom. Kiedy w zakłopotaniu zdjęła okulary i zaczęła je przecierać mankietem bluzki, Ellen, widząc jej odsłoniętą twarz, pomyślała: Stacją na lepszy wygląd. Właściwie jest prawie przystojna, tylko jak wiele podobnych jej kobiet, nie ma zielonego pojęcia, co powinna ze sobą zrobić. Gdyby tak się dostała w moje ręce!

Kiedy rozmowa zeszała na temat wiejskich obyczajów, zwłaszcza tych z Little Haddow, u szczytu schodów prowadzących do ogródka pojawił się Jack. Cała jego muskularna postać wprost kipiała złością, zrodzoną z rozczarowania brakiem ulubionego alkoholu.

- *À table!* - zawołała Victoria, widząc, na co się zanosi. Podeszła do schodków, aby zagrozić Jackowi drogę, i zaczęła kierować gości do jadalni. Ostatnia szła Ellen.

- Gdzie ją schowałaś? - syknął, gdy go mijała.

- Co?

- Dobrze wiesz co.

- Naprawdę nie rozumiem, o czym mówisz. - Odsuwając ramię męża, Ellen dołączyła do reszty towarzystwa i zajęła wskazane przez Victorie miejsce po prawej ręce Jamesa.

Kolejne minuty obiadu przypominały tykanie bomby zegarowej, gdyż Jack kipiał żądzą zemsty. Victoria robiła sobie wyrzuty, że za późno podała obiad. Ellen, z uniesioną lekko głową,

starannie omijała wzrokiem męża. Niejednokrotnie zmuszana przez klientów, zainteresowanych kupnem obrazów Jacka, do wysłuchiwania steku bzdur, szybko doceniła towarzystwo Ginevry, która, jak się okazało, potrafiła o interesujących ją problemach rozprawiać ciekawie i z polotem. Do dyskusji włączył się także James, pojawiwszy wreszcie, dlaczego żona wciąż podtrzymuje znajomość z dawną przyjaciółką z Oksfordu.

Siedzący natomiast przy drugim końcu stołu Jack doszedł do wniosku, że skoro pozbawiono go whisky, należy mu się innego rodzaju przyjemność, i w sposób ostentacyjny zaczął flirtować z Tessą, która po jakiejś złośliwej uwadze Alexandra wciąż miała zwarzony humor. Victoria powoli zaczynała tracić kontrolę nad sytuacją. Na domiar złego zapomniała o swoim *boeuf bourgignon*. Chcąc ratować sytuację, postanowiła wciągnąć w rozmowę Alexandra, lecz ten, krytycznie usposobiony wobec poczyniń żony, potraktował ją zdawkowo.

Jack, obojętny na wszystko i wszystkich, kontynuował swoje zaloty. Niezmiernie był ciekaw widoku nagiego ciała Tessy, choć prawdę mówiąc, przydziewek jego sąsiadki nie pozostawiał wiele miejsca dla wyobraźni. Jack, który od niepamiętnych czasów nie malował aktów, uznał, że mając taką modelkę, mógłby wrócić do zarzuconego gatunku sztuki. Oczywiście siostrę Jamesa znał od dość dawna; spotykali się tu i tam, zwłaszcza na wernisażach w Galerii, lecz były to spotkania przelotne. Teraz kusilo go, by położyć rękę na jej obnażonym udzie, skrytym bezpiecznie pod adamaszkowym obrusem Victora. Zważywszy jednak na nieobliczalne reakcje Tessy, zwalczył grzeszne zapędy i postanowił rozegrać sprawę inaczej.

- Musisz kiedyś odwiedzić moją pracownię. Zobaczysz, co przygotowuję na wystawę.

- Bardzo chętnie - odparła Tessa, patrząc mu prosto w oczy. Jack nie miał cienia wątpliwości, że oboje rozumieją się doskonale.

Nagle Alexander poderwał się od stołu. Victoria załamała nerwowo ręce. Obrzuciła spojrzeniem wielkie płótno Jacka Ca-

reya, jedyny obraz w jadalni. Nie mogła pojąć, jak ktoś, kto z takim zapalem oddaje się ziemskim przyjemnościom, potrafi stworzyć tak wysublimowane dzieło. Widok wielu warstw i odcieni rozedrganego błękitu oraz strzelające w górę eliptyczne kształty zwykle przenosiły ją w rozświetlony, bezkresny przestrzeń złocistego lata. Ciekawe, co też Jack namaluje tym razem, a raczej czy w ogóle coś namaluje, skoro wlewa w siebie takie ilości alkoholu, pomyślała ironicznie, po czym zaproponowała gościom przejście do ogrodu na kawę.

Kiedy Alexander wrócił, wszyscy, z wyjątkiem jego żony, wstali już od stołu.

- No dalej, rusz się. Wychodzimy - rzucił ostro, podając jej złotą torebkę. Tessa, ku uldze pozostałych, wstała bez sprzeciwu, odrzuciła do tyłu długą grzywę włosów i zaczęła się żegnać. Jack lubieżnym wzrokiem obrzucał jędrny tyleczek, ledwo zakryty mikroskopijnych rozmiarów spódniczka. Kiedy Tessa podeszła do niego, wsunął do zwisającej z ramienia złotej torebki swoją wizytówkę. Sytuacja nie była dla niego nowa; sądził, że jego gest ujdzie uwagi pozostałych gości.

- À bientôt! - rzuciła na pożegnanie Tessa.

Niemal ślaniając się z wyczerpania, Victoria odprowadziła Lucasów do drzwi. Pocałowała jedno i drugie.

- Przepraszam - rzuciła jej szwagierka bez zbytej skruchy w głosie i wyszła za mężem na ulicę. Victoria słyszała podniesione głosy obojga aż do chwili, kiedy wtopiły się w uliczny zgiełk King's Road.

Siedząc w ogrodzie nad filiżanką kawy, Ginevra zorientowała się w pewnej chwili, że jest już wpół do dwunastej. Powinna iść, jeśli ma zdążyć na ostatni pociąg do Little Haddow.

- Zadzwoń po taksówkę - zaofiarował się James.

- Nie warto - odparła. Wiedząc, że nie stać jej na taki wydatek, wybierała się piechotą do metra na Sloane Square. - Złapię jakąś na King's Road.

Gospodarze pożegnali się z nią przy schodach i patrząc, jak się oddala obsadzonym drzewami chodnikiem, czekali, aż zniknie im z oczu za pierwszym rogiem. Ginevra pozostała sama na samą z myślami o minionym wieczorze. Wbrew temu, co Jack sądził o swoim sprycie, zauważyła, jak wsuwał wizytówkę do torebki Tessy, a co więcej, podejrzewała, że Ellen też spostrzegła jego manewr i że pewnie nieraz zdarzało jej się być świadkiem takich scen. Bądź co bądź, Careyowie, starsi od Hartingów, mieli za sobą wiele lat doświadczeń na małżeńskiej niwie. Ginevra, według której małżeństwo było albo darem nieba, albo wynalazkiem szatana, uważała, że nie należy się mieszać w sprawy dwojga ludzi, choć z trudem pojmowała, jak Jack mógł woleć bezmyślną, próżną Tessę niż swoją przemiłą żonę, nawet mimo różnicy wieku, jaka dzieliła obie panie. W Ginevrze obudził się instynkt opiekuńczy w stosunku do Ellen, której ujmujący sposób bycia wywarł na niej sympatyczne wrażenie i która wlała w jej duszę odrobinę wiary w samą siebie. To oczywiście, że Ellen jest damą. Jack natomiast, podsumowała krótko, to kawał gnuśnego lenia.

Noc była ciepła i cicha, a ulice, mimo późnej pory, tętniły życiem. Ginevra kochała miasto, które wchłaniało ją, tak że czuła się częścią ogromnej, pulsującej całości. Nie doświadczała takiego uczucia w Little Haddow. Tam była obca. Zresztą nie tylko tam. Była obca zawsze i wszędzie. Zarówno w kręgu przyjaciół z Oksfordu, jak i w małżeństwie. Obojętnie minęła przyciemnione wystawy Petera Jonesa, przecięła Sloane Square i zeszła do metra.

Pół godziny później, siedząc w ostatnim pociągu przejeżdżającym tej nocy przez Little Haddow, próbowała analizować swoją beznadziejną namiętność do Jamesa Hartinga. Obiektywnie rzecz biorąc, nie dorównywał jej zdolnościami, nie wyróżniał się też niczym szczególnym; pośredniczył zaledwie, poprzez Galerię, w odkrywaniu cudzych talentów. I choć był przystojnym blondynem w angielskim typie, takich jak on widywało się wielu. W końcu doszła do wniosku, że jej zniewolenie musi wynikać z faktu, iż to właśnie James pozbawił ją dziewictwa podczas tam-

tego odległego poranka, o którym, była absolutnie przekonana, z pewnością dawno zapomniała. Nie mogła wprost uwierzyć, by ów niewiele w końcu znaczący akt mógł nabrać takiej mocy wyłączenie przez swą symbolikę, toteż świadomość, że oto ona sama znajduje się w sidłach uczucia, którego nie może ogarnąć rozumem, a co za tym idzie, wyzwolić się z niego, raniła dotkliwie jej intelekt.

Kiedy pociąg dojechał do Little Haddow, była w wagonie jedyną pasażerką. Obok budynku stacyjnego czekał na nią na zwykłym miejscu jej rower. Otworzyła łańcuch z kłódki, wsiadła na siodełko i ruszyła ścieżką w kierunku domu. Jadąc przez fioletowy mrok nocy, bez zapalonego światełka, wzdłuż słodko pachnących pól, Ginevra miała uczucie, że jest po prostu jeszcze jednym zwierzęciem, udającym się na spoczynek do własnej nory.

Pear Tree Cottage, czyli Dom Pod Gruszą, stojący kilkaset metrów za wsią, ładniej się nazywał, niż wyglądał. Jego ściany aż się prosiły o pomalowanie. Niegdyś zamieszkiwał go hodowca świń, nieprzyjemny osobnik, pędzący życie w samotności. Po śmierci świniarza, z tej racji, że dom pozbawiony był wszelkich wygod (nawet ustęp stał na zewnątrz), Hays'owie kupili go za pół darmo. I chociaż Kevin z zawodu był budowniczym, ani jemu, ani jej nie przyszło do głowy, by pomyśleć o jakichś udogodnieniach. Wprowadzili się i zaakceptowali to, co zastali. Dzięki temu zresztą zyskali powszechną aprobatę mieszkańców wsi, jako że w Little Haddow na ogół odnoszono się sceptycznie do jakichkolwiek zmian. Natomiast ze zdecydowanie nieprzychylną opinią tubylców spotkał się ich brak troski o ogród, w którym szybko się rozrosły nie przycinane krzewy róż, a nadmiernie wybujałe powoje, wdzierając się na nie strzyżony trawnik, zamieniały go powoli w nierówne kępy, o które nieodmiennie potykał się listonosz, ilekroć chciał dojść do złuszczonej z farby frontowych drzwi.

Wnętrze Pear Tree Cottage było podzielone na małe kłitki z mikroskopijnymi oknami. Gdyby ktoś uparł się wnieść kredens przez wąską i stromą klatkę schodową, musiałyby go przed-

tern przeciąć na pół, ale Haye'owie nie wyglądali na takich, co to zamierzają sprowadzić nowe meble; nie zatroszczyli się nawet o zasłonięcie okien, i z wyjątkiem sypialni na tyłach domu, w żadnych innych pokojach nie wisiały ani firanki, ani zasłony. Ginevra, skoro już znalazła się w kuchni, w której kiedyś urzędował świniarz, bynajmniej nie przewrażliwiony na punkcie czystości, zaakceptowała ją w całości, wraz z obrosłymi brudem i tłuszczem palnikami, a zamiast powymiać brudy, aby myszy trzymały się z daleka, sprowadziła ze schroniska dla zwierząt w pobliskim miasteczku wyleniałego, jednookiego kocura, nazwała go Kapitan Morgan i w sprawie gryzoni zdała się całkowicie na jego pazury.

Drzwi frontowych nie oświetlała żadna żarówka, więc znalezienie kluczy, a potem włożenie ich do zamka zajęło Ginevrze trochę czasu. Kiedy już znalazła się w środku, ledwo zdążyła cisnąć w kąt schollowskie sandały, kiedy została zaatakowana przez wściekle głodnego Kapitana Morgana i jednocześnie nadepnęła na coś miękkiego, co po zapaleniu światła okazało się martwą, pozbawioną głowy myszą.

Jack uspokoił się nieco po wyjściu Lucasów i Ginevry, zwłaszcza że przypomniał sobie o butelce whisky, którą prze-myślnie ukrył w pracowni w Docklands. Ellen nazajutrz rano miała wrócić na wieś, a jej nieobecność w Londynie otwierała przed nim wspaniałe perspektywy łowów na wielce obiecującą zwierzynę. Cieszył się z góry na uwiedzenie Tessy, jak również na to, że dzięki jej młodemu wiekowi potrafi ją sobie bezwzględnie podporządkować, co nie udawało mu się w wypadku coraz bardziej usamodzielniającej się żony.

Kiedy wyszła ostatnia para, Victoria, zupełnie wykończona, nalala sobie solidną porcję dżinu i zasiadła w fotelu, by podsumować towarzyski wieczór. Z ogrodu dobiegał brzęk szkła. To James zbierał puste szklanki, które rano pozmywa pani Pond. Minął jednak dobry kwadrans, nim zdecydowała się pomóc mężowi w sprzątanu.

3

Następnego ranka Ginevre wyrwał ze snu odgłos przypominający stłumiony hałas świdra pneumatycznego. Otworzyła oczy i tuż obok swojej twarzy ujrzała pokiereszowany pysk Kapitana Morgana. Kot sprawiał wrażenie, że mruczy całym ciałem. Przez otwarte okno sączył się słoneczny blask, ukazując w bezlitosnym świetle dnia złuszczone tapety i wyblakłą pościel. Stara grusza, od której dom wziął nazwę, rozbrzmiewała śpiewem ptaków.

Już jedenasta!

Ginevra jednym ruchem ręki zepchnęła z łóżka Kapitana Morgana, wstała, włożyła szlafrok i zeszła na dół. Mysz, na którą nadepnęła ostatniej nocy, wciąż jeszcze leżała w hallu, a obok niej coś, co wyglądało na list od Kevina. Chwyliła martwego gryzonia za ogon, wyniosła do kuchni i wrzuciła do kubła na śmieci, po czym zajęła się listem.

Zanim go jednak otworzyła, przystanąła na chwilę i pomyślała o Kevinie. Ślub z nim był szokiem dla grona osób, wśród których obracała się podczas studiów. Niemal słyszała, jak padają pytania: „Co też ona w nim widzi?” Zapewne identycznie reagowali jego kumple. Odpowiedź nie wymagała długiego namysłu. Chodziło o seks. Seks w czystej postaci. Ich związek polegał na tym, że Kevinowi, któremu podobały się dziewczyny w typie Junony (przytulanki, jak je nazywał), nigdy nie brakowało sił witalnych, a ona z kolei, gdyby mogła, w ogóle nie wychodziłaby z łóżka. Godziła się na miano Junony, choć na pew-

no nie miała w sobie nic z przytulaniu, tyle że Kevin najwidoczniej się w tym nie połapał.

Dzięki wrodzonym zdolnościom do nazywania rzeczy po imieniu i wychodzenia naprzeciw nawet najbardziej niewygodnej prawdzie, z jaką większość ludzi woli nie stawać twarzą w twarz, Ginevra była świadoma powodów, które skłoniły ją do zadzierzgnięcia więzów małżeńskich. Wszystko było absolutnie jasne. Nie podlegał dyskusji fakt, że była dużą, nieładną kobietą. Odbita w lustrze masywna postać o pełnej, bladej twarzy, z okrągłymi sztykretowymi okularami na nosie, dokładnie odpowiadała pozbawionej emocji samoocenie właścicielki. Ergo, Ginevra nigdy nie była nastawiona na podboje wśród męskiej populacji, i zanim zjawił się Kevin, poza jednonocną przygodą, kiedy to straciła dziewictwo, nie trafiła jej się żadna inna okazja. Tak więc pytanie, które musiała sobie zadać, brzmiało krótko: czy wolę spędzić życie z tym, czy z żadnym? I choć podczas wypełnionych pracą dni potrafiła stłumić w sobie pierwotne popędy, to udreka pustych, samotnych nocy nie pozostawiała wątpliwości co do odpowiedzi. Wybrała życie z Kevinem. Pod jednym warunkiem.

Tak długo, jak długo nie będzie musiała z nim za wiele rozmawiać.

W rezultacie, poza wspólnie spędzonymi nocami, podczas których brak seksualnych hamulców Ginevry nieco szokował Kevina, mimo że sam nie był najgorszy w łóżku, każde z nich prowadziło odrębne życie towarzyskie, i w czasie gdy ona wybierała się w odwiedziny do przyjaciół z Oksfordu, co czyniła w miarę regularnie, on zostawał w domu albo siedł do wiejskiego pubu. Kevin chętnie godził się na taki układ, gdyż w skrytości ducha uważał paczkę Ginevry za snobistyczną, zadzierającą nosa bandę przeintelektualizowanych idiotów i nad ich towarzystwo przedkładał rzucanie strzałkami do tarczy.

Niespodziewana propozycja pracy w Arabii Saudyjskiej wprowadziła nieco zamieszania do ich osobliwego układu małżeńskiego i na temat tego, czy Kevin powinien, czy też nie powi-

nienjechać, padło więcej słów, niż każde z nich zdążyło wypowiedzieć w ciągu trwania całego małżeństwa. On uważał, że tak.

- Pomijając wszystko inne, Gin, potrzebujemy pieniędzy. Nie sądzisz?

- Tak, oczywiście.

Aleja potrzebuję ciebie!

- Jak długo cię nie będzie?

- Nie mam pojęcia. Może sześć miesięcy.

Sześć miesięcy!

Obserwując zmarszczone czoło męża, który obliczał coś ogryzkiem ołówka, wsuwany zwykle za prawe ucho, Ginevra pomyślała: Sto osiemdziesiąt samotnych nocy na pewno mnie wykończy. Skoro jednak on upiera się, żeby wyjechać, będę musiała znaleźć jakieś rozwiązanie alternatywne. Ale jakie? Nie mogę przecież teraz, gdy szaleje AIDS, podrywać facetów w barach. Otrząsnęła się na myśl o przypadkowych związkach i ich ewentualnych konsekwencjach.

Skończyło się na tym, że Kevin wyjechał, zostawiając ją jedynie w towarzystwie Kapitana Morgana.

Ginevra ocknęła się z zamyślenia i rozerwała kopertę.

Halo, Gin - tak zaczynał się list Kevina, pisany okrągłymi, pochylonymi w lewo literami, a jej stanęła przed oczyma czerwona, zakłopotana twarz męża, siedzącego nad kartką papieru i zmagającego się z problemem, co napisać dalej po tak obiecującym wstępie. W rezultacie pojawiło się sześć koślawych linijek, z których nie wynikało nic szczególnego, zakończonych podpisem i rzędem przesłanych całusów.

Pocałunki. Ćmiący ból, który nie odstępował Ginevry od wyjazdu męża, przerodził się w ostre, dojmujące cierpienie. W liście nie było żadnej wzmianki o przyjeździe na dzień czy dwa, tak jak to jej obiecywał przy rozstaniu. A zresztą co by dały dwa krótkie dni? Przecież potrzebowała Kevina na stałe, co dzień, co noc. Musiała być nadpobudliwa seksualnie, nie inaczej, gdyż obsesja, jąkają opętała, nie dręczyła, jej zdaniem, większości ludzi, a przynajmniej nie w takim stopniu.

Głodna fizycznej miłości, zwróciła myśli ku Jamesowi Hartingowi, co ostatnio zdarzało jej się coraz częściej. James i Victoria Benson, jak nazywała się przed zamążpójściem jej przyjaciółka, stanowili w Oksfordzie sławną studencką parę. Dostyc inteligentni, oboje posiadali tę nieuchwytną cechę osobowości, którą Amerykanie nazywają charyzmą, i przez wszystkie lata uniwersyteckie oboje uczestniczyli w tych samych przedstawieniach teatralnych, w tych samych dyskusjach i przyjęciach, toteż kiedy nadszedł moment opuszczenia uczelni, nie pozostawiało im nic innego, jak się pobrać. Potem był bal pożegnalny, na którym, zgodnie z panującym obyczajem, James okropnie się upił. Pokłócił się z Victoria, pozabawił Ginevre dziewictwa, a na koniec długo i gwałtownie wymiotował. Uwolnienie się od tak wysoko cenionej cnoty przyniosło Ginevrze zdecydowaną ulgę, chociaż szczerze wątpiła, czy James zapamiętał cokolwiek z całego wydarzenia. Zresztą w stanie, w jakim się znajdował, jego wyczyn graniczył z cudem, ale to Ginevra uświadomiła sobie dopiero znacznie później, kiedy już wiedziała nieco więcej o tych sprawach. Od tamtej pory, mimo że James był dla niej nieosiągalny, kochała go niezmiennie, skrycie i bez wzajemności, a w miarę jak przybywało dni, tygodni i miesięcy, a zwłaszcza nocy, spędzanych bez Kevina w obszernym małżeńskim łóżu, zaczęła coraz bardziej ulegać omamom seksualnym, związanym z sekretną obsesją, która miała na imię James. James Pierwszy.

Z głębokim westchnieniem wrzuciła kartkę papieru do kuźbła na śmiecie, gdzie leżała zdechła mysz, nastawiła wodę na kawę i postanowiła spędzić cały dzień, pracując nad książką.

Tak się jednak nie stało. Zdolność koncentracji, którą tak podziwiała Ellen, nagle diabli wzięli i Ginevra przesiedziała przy komputerze jakieś dwadzieścia minut, niezdolna do sformułowania jednego sensownego zdania, po czym, powodowana nagłym impulsem, podeszła do regału stojącego w niszy ściennej na prawo od kominka. Przejechała palcem po grzbietach książek. Jest. Usiadła przy stole, odsunęła na bok klawiaturę komputera, i ostrożnie, by nie uszkodzić grzbietu książki,

otworzyła ją i wyjęła to, czego szukała. Zaszeleściły nieskazitelnie białe kartki. Przed Ginevra leżał gruby, oprawny w granatowo-czerwony marmurek zeszyt. Kupowanie takich zeszytów należało do jej nielicznych słabostek. Wzięła do ręki wieczne pióro, odkręciła zakrętkę, napisała datę, i dalej, ku własnemu zaskoczeniu, trzy słowa: *James, mój ukochany.*

Ellen zerwała się z łóżka wcześniej rano, zgodnie z wiejskimi zwyczajami. Pracownia jej męża w Docklands, przesiąknięta zapachem farb olejnych, była pomieszczeniem przestronnym i dobrze oświetlonym. Miała drewnianą, przeszlifowaną papierem ściernym i zaciągniętą pastą podłogę oraz pomalowane na biało ściany. Ta biel w zamierzeniu miała kontrastować z obrazami Jacka, oczywiście pod warunkiem, że je malował. Przy szezlongu usłanym indyjskimi poduszkami stały donice z bujną zielenią, sięgającą pędami aż ku oknu. Swój wygląd rośliny zawdzięczały jednak wyłącznie Ellen, gdyż Jack zwykle zapomniał o ich istnieniu. Pośrodku pracowni, pośród wianuszka pędzli i farb oraz okazałego składu płócien, królowały wielkie, wykonane na specjalne zamówienie, sztalugi. Ale sztalugi świeciły pustką, a płótna były nietknięte. Oprócz pracowni Jack miał tu jeszcze mikroskopijną kuchnię, łazienkę i sypialnię. W niej właśnie Ellen kończyła toaletę, obwodząc czarnym ołówkiem oczy i kładąc na powieki te same od lat matowe cienie. Jej mąż, który po powrocie od Hartingów zdążył dopaść butelki, zanim ona ją odkryła, wciąż jeszcze smacznie chrapał, zawinięty w swój brytyjski sztandar. Ellen miała na sobie długą czarną spódnicę i dopasowany, barwny żakiet, inspirowany edwardiańskim strojem do konnej jazdy. Całości dopełniała para skórzanych trzewików na wysokim obcasie. Ellen schowała do podręcznej torby starannie złożoną wieczorową suknię, przysiadła na brzegu łóżka i skreśliła parę słów. *Jack! Spałeś smacznie, kiedy wychodziłam, więc nie chciałam Cię budzić. Jak wiesz, chłopcy przyjeżdżają na ten weekend do domu. Będziemy Cię razem oczekiwać*

w Butterfly Cottage. Uściski. E. Wsunęła kartkę w dłoń śpiącego męża i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

W Fulham, w małym domku Lucasów, Tessa ukradkiem, jak kot, otworzyła oczy i przyjrzała się mężowi przez zasłone rozpuszczonych włosów. Nadal zły, leżał nieruchomo z rękami pod głową i z kamiennym wyrazem twarzy wpatrywał się w sufit. Tessa, doskonale obeznana z tego rodzaju sytuacją, dokładnie wiedziała, co powinna teraz zrobić. Przeciągnęła się, przytuliła delikatnie do boku męża i musnęła jasnymi włosami męską pierś. Jej ciepła ręka, ozdobiona chłodnym kółeczkiem ślubnej obrączki, przesunęła się po owłosionych męskich ramionach, popieściła brodawki i zmierzając w dół torsu, powoli dotarła do celu. Ciało mężczyzny, wbrew jego woli, nie zwlekało z odpowiedzią. Intuicja Tessy jak zwykle brała górę nad umysłem męża.

- Och, Tessa. To nie jest w porządku. Tak dalej być nie może. - Głos Aleksandra ucichł, gdyż żona, jeśli już coś robiła, to znakomicie.

- Wiem, kochanie, wiem, ale porozmawiamy o tym później, dobrze?

Pani Pond, dochodząca pomoc domowa Victorii, zajęta była w kuchni Hartingów zmywaniem brudnych naczyń po wieczornym przyjęciu. Z dezaprobatą popatrzyła pod światło na jedną ze szklanek, upapraną wyjątkowo opornymi na wodę śladami szminki. Wiadomo, sprawka Tessy. Jak większość ludzi, tak i pani Pond przykładala się do pracy, którą lubiła, resztę natomiast zbywała byle jak. W myciu i wycieraniu szklanek nie znajdowała żadnej przyjemności, tak samo zresztą jak w czyszczeniu przedmiotów z mosiądzu, wyżywała się zaś, wzorem stałych służących, w polerowaniu domowych sreber. Niska, około sześćdziesiątki, z nieprawdopodobnie czerwonymi, skręco-

nymi trwałą undulacją włosami i niedbale uszminkowanymi ustami, nie cieszyła się większą sympatią swoich państwa. Mimo to Victoria postanowiła dalej ją zatrudniać, gdyż zdawała sobie sprawę, że znaleźć, a następnie utrzymać solidną pomoc domową nie jest w Chelsea sprawą łatwą, nie mówiąc już o stro- nie finansowej całej sprawy. Pani Pond zazwyczaj sprzątała dom powierzchownie i nie bawiła się w częste odsuwanie łóżek czy kanap, kiedy jednak się już na to decydowała, to warkot i wycie nieszczęsnego odkurzacza, połykającego gromadzone miesiąca- mi zwąły kurzu przypominało odgłosy huczącego podczas pożaru lasu ognia. Kiedy pani Pond zjawiała się ze zdawkową reko- mendacją od poprzedniej pani domu, Victoria miała nadzieję, że potrafi ją sobie podporządkować, i przez jakiś czas chodziła za nią krok w krok z zapasowymi workami do odkurzacza, lecz no- wa pomoc domowa była tak bardzo zdeterminowana, by wszyst- ko robić po swojemu, że Victoria ostatecznie złożyła broń. Lep- sze takie porządki niż żadne, stwierdziła w duchu, nie mając złudzeń co do własnych talentów w tej dziedzinie.

Tego ranka, po przeżyciach ostatniego wieczoru, nie czuła się na siłach, aby wdawać się z panią Pond w drobiazgowę dys- kusję, toteż z ulgą przyjęła fakt, że jej pomoc, zajęta zmywa- niem, zaszyła się w kuchni w suterenie niczym kret w jamie. Dość zabawne, myślała szczerząc włosy, że jedyną osobą, któ- ra potrafiła się wczoraj znaleźć, była Ginevra. I Ellen, oczywi- ście. Ale Ellen zawsze prezentowała pewną klasę. Wciąż my- śląc o Ginevrze, Victoria przywołała wspomnienia przegadanych z przyjaciółką oksfordzkich nocy, kiedy ją samą stać było na po- dejmowanie dyskusji na przyzwoitym intelektualnym pozio- mie. Teraz nie odważyłaby się stanąć w szranki z Ginevra. Mu- szę wziąć się do siebie, pomyślała. I zajrzeć czasami do jakiejś książki.

- James, czy nie uważasz, że ostatnio zrobiłam się nudna? - spytała męża, zajętego wiązaniem krawata.

James wcale tak nie uważał ani, co więcej, nie miał ochoty nadstawiać karku, więc pośpiesznie zaprzeczył, zwłaszcza że

myśli miał zaprzątnięte wystawą, do której otwarcia pozostały zaledwie trzy miesiące.

- Czy nie odniosłaś wrażenia, że Jack wziął się wreszcie do pracy?

- Jeśli nazywasz pracą uwodzenie Tessy, to i owszem. Nie mógłbyś wpaść do niego do pracowni i sprawdzić na miejscu, jak się rzeczy mają?

- Próbowałam, ale on się wykręca.

- To zapytaj Ellen.

- Zdaje się, że ona na dobre zakopała się na wsi, a poza tym ma własne sprawy, którym poświęca sporo czasu. Jak tak dalej pójdzie, to Jack, nie trzymany w ryzach, może się kompletnie wykoleić.

- Uważasz, że dopiero może? Przecież on od dawna jest wykolejony.

James zastanawiał się przez chwilę.

- Jedyne, co mogę zrobić, to zwołać w Galerii szczyt kryzysowy i zaprosić Ellen na wspólną naradę, a potem zabrać ją na lunch. Musi rzucić wszystko i siedzieć przy Jacku dopóty, dopóki ten nie namaluje obrazów. A tak w ogóle, to co ona właściwie robi?

- Nie mam pojęcia.

- Ach, cokolwiek by robiła, i tak wystawa jest ważniejsza. - I przed oczami stanęła Jamesowi wizja wernisażu bez płócien Jacka Careya. - Zadzwoń do niej jeszcze dzisiaj.

Tama została przerwana i pustą, białą stroną zeszytu jęły zalewać potoki słów. Historia wychodząca spod pióra Ginevry była dziwnym przemieszaniem faktów i fikcji; erupcją pobożnych życzeń, których źródła należało szukać po części w nie zaspokojonych zmysłach, a po części w skrywanej przed światem obsesji na punkcie Jamesa Hartinga.

Patrząc na Ciebie ostatniej nocy, przypomniałam sobie bal późnego wieczoru. Bal, podczas którego zaczęła się nasza przygoda. Kie-

dy się kochaliśmy, mówiłeś mi, że jestem piękna... Zawahała się, wzięła głęboki oddech. A zresztą, pomyślała w końcu, czemu by nie? To jest mój, i tylko mój, sen na jawie. Więc jeśli chce być w nim piękna, czyż mi nie wolno? To jedyna szansa. Następna może mi się już nie trafić. I mając przed oczyma kuszący wizerunek zamroczonego alkoholem Jamesa, dokończyła: ...i że zawsze skrycie mnie wielbiłeś. „To dlaczego ożenił się z Victorią?” - wwiercał się w jej mózg jakiś głos. Zgodnie z zasadami honoru, obstawiał przy poślubieniu Victorii, z którą zaręczyłeś się potajemnie przed rokiem. Ona oczywiście nie wiedziała i do dziś nic nie wie o naszym sekretnym związku. Nie chcę udawać, że przez wszystkie te lata nie czułam się zraniona i poniżona Twoją dezercją, chociaż doskonale rozumiem powody takiego stanu rzeczy. Być może dlatego zdecydowałam się opisać w tym notatniku dzieje naszej wzajemnej namiętności, żebyś mogła czuć Twoją bliskość, nawet wtedy, kiedy jesteś z nią, i posiadać Cię, jak kobieta mężczyznę, przynajmniej na tych kartach.

Odczytując napisany tekst, Ginevra sama była ciekawa, jak potoczą się dalsze losy pary bohaterów, choć na razie, jako bezstronny krytyk, musiała przyznać, że styl opowieści nie odbiega od romansów w duchu retro. Nie wątpiła jednak, że z czasem, kiedy jej pióro nabierze wprawy w obcej mu dotychczas dziedzinie, te romanse pozostaną daleko w tyle. A zresztą, czym się tu przejmować? Pisze dla siebie, nie dla szerokiej rzeszy czytelników. Biorąc na powrót pióro do ręki, puściła wodze literackiej fantazji i w sposób szczery i otwarty, szczegółowo opisała utratę swojego dziewictwa.

4

Po wyjściu od Jacka Ellen wsiadła w pociąg do Susseksu. W Londynie jej strój nie wzbudzał niczyjzego zainteresowania, lecz kiedy znalazła się na peronie wiejskiej stacyjki, pobiegło za nią niejedno zaciekawione spojrzenie. Aby dostać się do domu, miała do wyboru albo godzinne oczekiwanie na autobus, albo długi marsz. Wobec tego zdecydowała się na taksówkę. W Butterfly Cottage panowała cisza, bo pani Phipps już skończyła codzienne porządki i poszła do domu. Ellen ucieszyła się z samotności. Weszła na górę, do obszernej małżeńskiej sypialni, cisnęła w kąt nie rozpakowaną torbę, wyszukała w sosnowej szafie kwiecistą roboczą bluzę z głębokim dekoltem i firmowym znakiem londyńskiej firmy Liberty, po czym szybko się przebrała. Wreszcie była sobą. Zeszła do kuchni, nalała wody do czajnika i postawiła go na stylizowanej staroć kuchni, lecz zorientowawszy się, że to już pora lunchu, zmieniła zamiar i ze szklanką białego wina rozsiadła się na ogrodowej ławce-powiernicy.

Chwilowa samotność doskonale sprzyjała podsumowaniu własnego życia. Ellen, choć miała już trzydzieści sześć lat, po raz pierwszy zdecydowała się wyznać samej sobie, że to, czego pragnęła jako dwudziestodwuletnia dziewczyna, niezupełnie pokrywa się z rzeczywistością dnia dzisiejszego. Od jakiegoś czasu zaczęły opadać z niej wszelkie złudzenia. A przecież, myślała, i tak mam niemałe szczęście. Urodziłam dwóch synów, obu jednakowo kocham i z obu jestem zadowolona. Jack stał

się sławny. I po raz pierwszy nie brakuje nam pieniędzy. Więc o co chodzi?

Wróciła myślami do lat spędzonych z mężem. Ich znajomość datowała się z czasów, gdy studiowali w Szkole Sztuk Pięknych w Chelsea, gdzie szybko poznano się na talencie Jacka i oceniono go bardzo wysoko. Ona była uzdolnioną studentką, choć bez żadnych zadatków na genialną twórczość. Od początku należała do stałego grona wielbicielek Careya i nie musiała długo czekać, by jego wybór padł właśnie na nią. Nie czekała też długo na pierwszą zdradę, a potem na drugą, trzecią i dalsze. Zarówno wtedy, jak i teraz, jednym z ulubionych epitetów Jacka, którym się najczęściej posługiwał dla wyrażenia swej niechęci wobec czegoś czy kogoś, było słowo „burżuj”, odmieniane przez wszystkie przypadki. Monogamia, głosił, jest wymysłem burżujów. Ona, Ellen, ma się nie przejmować innymi kobietami w jego życiu, ponieważ jest matką jego synów i jedyną kobietą, którą on kocha. No cóż, zmienić go nie mogła. Mogła odejść. Czasami, patrząc na ich małżeństwo jego oczyma, zastanawiała się, czy nie poślubił jej jedynie po to, aby zrobić na złość despotycznej i niechętnie wobec niego usposobionej przyszłej teściowej. Kiedy tych dwoje się spotykało, Ellen czuła się w ich obecności niczym między młotem a kowadłem. Pani Braithwaite niezmiennie upierała się, aby nazywać Jacka Reginaldem. Ostatecznie, mówiła, przecież tak ma na imię. Jack z kolei nazywał panią Braithwaite starym nietoperzem, choć nie prosto w oczy.

W miarę upływu lat Ellen nabierała pewności siebie i obrastała w należne żonie prawa. Stało się jasne, że mąż, aby w ogóle egzystować, potrzebuje solidnego oparcia, i że po każdej miłosnej eskapadzie wraca do domu. Kiedy urodził się pierwszy syn, a w trzy lata później drugi, pojawiły się problemy całkiem innego rodzaju. Jack chciał nazwać starszego Merlin. Ellen, którą dowartościowało świeże macierzyństwo, zdecydowała, że raz postawi na swoim.

- Nie.

-Nie?

- Nie! - powtórzyła twardo, w nietypowy dla siebie sposób. Jack miał nadzieję, że nie wejdzie jej to w krew.

- Dlaczego nie?

- Bądź rozsądny. Czy naprawdę potrafisz sobie wyobrazić pierwszy dzień w szkole pięcioletka, który będzie się nazywał Merlin Carey? To nie fair, Jack.

Kiedy przyszedł na świat drugi syn, ojciec spróbował od nowa:

- Casimir?

-Nie!

Tym razem Jack, poważnie uwikłany w namiętny romans z ulubioną modelką - były to lata, kiedy jeszcze malował akty - nie miał czasu na długie stawianie oporu. Skończyło się na tym, że imiona Merlin i Casimir przypadły w udziale dwóm kotom, które mniej więcej wtedy pojawiły się w domu, chłopców zaś nazwano David i Harry. Cóż, wyglądało to na rozsądny kompromis. W parę lat później doszło do podobnej wymiany zdań, tym razem w kwestii wyboru szkoły dla małych Careyów. Jack wciąż wahał się między Holland Park Comprehensive a nowoczesną szkołą autorską z internatem. Ellen powiedziała krótko: nie. Nie zgodziła się ani na jedną, ani na drugą. W wypadku pierwszej chodziło o brak internatu. W sytuacji kiedy poświęcała niemal cały czas nie zorganizowanemu mężowi, którego wymagania, zamiast maleć, z biegiem lat rosły, a także skoro sama liczyła się z powrotem do pracy, nie mogła się na co dzień zajmować dziećmi. Druga szkoła, autorska, była, jej zdaniem, również nie do przyjęcia.

- Aleja chcę, żeby nauczyli się wyrażać własną osobowość - oświadczył Jack.

- Z tym nie muszą się śpieszyć - odparowała żona. - Na razie niech się nauczą czytać i pisać. A poza tym to matka płaci za szkołę, więc nie wyobrażam sobie, żeby za własne pieniądze pozwoliła ci zrobić dzieci w jakieś nowoczesne eksperymenty.

Co do tego Jack nie miał wątpliwości. W tym czasie zaczynał już być sławny, ale jeszcze nie na tyle, żeby stać ich było na opła-

cenie nauki synów w przyzwoitych szkołach. Tak więc David i Harry, zawdzięczając to pani Braithwaite i jej portfelowi, znaleźli się w tradycyjnej męskiej szkole z internatem. Okazało się tam, że rozwijają się prawidłowo, niczym nie wyróżniają z grona rówieśników, i że żaden nie przejawia ani zdolności, ani chęci do uprawiania jakiegokolwiek dziedziny sztuki. Być może mieli tego dość w domu. Jack po cichu obwiniął o to Ellen, ale w tamtych dniach, kiedy stopniowo zaczynał tracić władzę nad sprawami rodziny, wolał nie występować z krytycznymi uwagami.

I tak małżeństwo powoli się cementowało. Patrząc na nie z perspektywy lat, Ellen przyznawała nawet, że mimo licznych romansów Jacka, mimo jego braku rozwagi i chaosu, który towarzyszył mu we wszystkich poczynaniach, pierwsze wspólne lata były całkiem miłe.

Nadszedł jednak trudny do określenia w czasie moment, kiedy coś zaczęło się między nimi psuć. Wkrótce po kupieniu Butterfly Cottage, co było ich wspólną inicjatywą, Ellen zapowiedziała, że zamierza podjąć pracę jako graficzka na pół etatu. Jack, który tym samym straciłby monopol na dysponowanie jej czasem, nie bardzo wiedział, jak ma się znaleźć w nowej sytuacji. Z jednej strony zyskiwał wolną rękę, jeśli idzie o swoje afery miłosne, z drugiej jednak studentki, które podrywał i które w końcu nie najgorzej wypadały w łóżku, w kuchni potrafiły ugotować jedynie jajko na twardo. Gdy tylko Ellen zniknęła z jego horyzontu, a zdarzało się to coraz częściej, nie było nikogo, kto tak jak ona potrafiłby mu zapewnić życiowy komfort. Egoistka, zawyrokował krótko Jack. I rzeczywiście. Była egoistką, i to wielką, bo nie przygotowała go do samodzielnego życia. Ellen do dziś dobrze pamięta, jak próbował wszcząć z tego powodu awanturę i jak ona nie dała mu się sprowokować. Awantury nie były w jej stylu. Trwała niezachwianie w swoim postanowieniu, a on, zbity z tropu i doprowadzony do szału jej chłodnym uporem, wyszedł w końcu, trzasnąwszy drzwiami, i spił się gdzieś do utraty przytomności. Ich związek wszedł w nowy etap. Ellen zaczęła zarabiać i mile zaskoczyło ją uczu-

cie pewności siebie i swobody, jaką dawały pieniądze, choć jak na ironię, działo się to w szczytowym punkcie kariery Jacka, kiedy w końcu chwycił wiatr w żagle i kiedy po latach skąpień i oszczędzania na wszystkim przestali być wreszcie biedni.

Wcale nie musisz pracować, wykrzykiwał, tracąc grunt pod nogami. Nie reagowała. Powoli stawało się oczywiste dla obojga, że inaczej niż w początkach ich znajomości, kiedy to ona była całkowicie zdominowana przez Jacka, teraz układ sił zmienia się radykalnie. Jednakże myśl o rozwodzie, jeżeli nawet gościła w duszy Ellen, to tylko przelotnie. Chłopcy mieli dopiero dziesięć i trzynaście lat, i potrzebny im był normalny dom. Prawie wszystkie wolne weekendy spędzali w Butterfly Cottage, co zresztą nie znaczyło, że widywali tam ojca, chyba że Jackowi ni stąd, ni zowąd zaświtała w głowie myśl, że warto by ich zobaczyć. Na to się też zanosilo podczas obecnego weekendu.

Choć Ellen rozmyślała w cieniu jabłoni, upał dawał się jej coraz bardziej we znaki. Nic dziwnego, zważywszy, że nastaly dni, kiedy z nieskalanego błękitu nieba od wczesnego rana aż do zmierzchu spływał na ziemię bezlitosny skwar. Tak upalne lata bywały tylko za czasów mojego dzieciństwa, mawiała pani Braithwaite. Na myśl o matce Ellen przypomniala sobie, że ta zapowiedziała swój przyjazd na niedzielny lunch. Pragnęła zobaczyć chłopców. Jej obecność na pewno nie zachwyci Jacka, ale mógłby choć raz przejść nad wizytą teściowej do porządku dziennego.

Zadzwoził telefon. Ellen zabrała ze sobą nie dopite wino i weszła do kuchni. Terakotowa podłoga mile chłodziła bosc, opalone stopy. Ze słuchawki płynął sympatyczny głos Jamesa Hartinga, lecz w miarę jak przybywało słów, w Ellen narastała irytacja. Czy James nie mógłby raz wreszcie zrozumieć, że jest kompletnie wykończona pilnowaniem męża?

- Ellen? Jesteś tam jeszcze?

- Tak, jestem. Posłuchaj mnie, James, dopiero co przyjechałam do Sussexu z Londynu i naprawdę nie zamierzam wsiadać za chwilę w pociąg, żeby jechać z powrotem. Przykro mi, ale musisz pogodzić się z tym, że mam własną pracę.

- Oczywiście, oczywiście, ale czy nie mogłabyś raz zrobić wyjątku? Bardzo cię proszę, Ellen.

Słyszając w jego głosie nuty paniki, Ellen wybrała ugodowe rozwiązanie.

- A może byś tak wpadł do mnie na lunch w najbliższą niedzielę? Oczywiście z Victoria. Jack też tu będzie, ale to nie znaczy, że nie znajdziemy chwili na rozmowę w cztery oczy. Jego zresztą zagarną dla siebie chłopcy, którzy ten weekend mają spędzić w domu. - Mogłaby jeszcze dodać, że obecność gości powinna ostudzić bojowy zapal pary Braitwaite-Carey, o ile oczywiście walczące strony wykażą się dostateczną dojrzałością.

- Wspaniały pomysł! - Pełen wdzięczności głos zabrzmiał niemal patetycznie. Biedny James! Ale co to? Jakiś kolejny problem? - O Chryste! Zupełnie zapomniałem. Zaprośiliśmy przecież Tessę z Alexandrem!

- To przywieźcie ich ze sobą.

- Moglibyśmy? Naprawdę tak uważasz? W takim razie dzięki, Ellen.

Jeszcze chwila, a usłyszysz, że na niej zawsze można polegać.

- Co powiesz na jedenastą trzydzieści? I zabierzcie koniecznie rakietę tenisową. Rozegramy kilka setów.

- Cudownie! Jesteś doprawdy niezwykła! Zatem do zobaczenia. - Głos nabierał zwykłych tonów, w miarę jak w Jamesa wstępowała nadzieja, że jeśli tylko spotkają się twarzą w twarz, zdoła ją przekonać do słuszności swojej sprawy. I prawdopodobnie miał rację.

Po skończonej rozmowie Ellen zamyśliła się nad perspektywą przyjazdu Tessy do Butterfly Cottage. Dobrze widziała, jak Jack wsuwał wizytówkę do złotej torebki. Jeśli żona Alexandra jeszcze nie jest kochanką jej męża, to niewątpliwie wkrótce nią zostanie. Takimi drobiazgami jednak Ellen już dawno przestała się zamartwiać. Ukłucia zazdrości z powodu wiarołomstwa Jacka, kiedyś rozdzierająco bolesne, przestały z czasem tak bardzo jej doskwierać, a samotne noce wolne teraz były od sennych koszmarów, w których Jack tulił w objęciach swoje kolejne ko-

chanki. Ciągłe ekscesy męża zobojętniały Ellen do tego stopnia, że chwilami zapytywała samą siebie, czy aby jej serce nie zamieniło się w zimny głaz. Dlatego też to, czy Tessa przyjdzie, czy nie, jest bez znaczenia, choć niewątpliwie Jack będzie miał miłą niespodziankę. Porzucając te rozważania, Ellen włożyła duży słomkowy kapelusz, zdjęła koszyk z mosiężnego haka, wbitego w belkę u kuchennego sufitu, i poszła do ogródka po świeżą pietruszkę i szczypiorek.

W pracowni w Docklands Jack, nie widząc obok siebie żony, nie śpieszył się ze wstawaniem i po przebudzeniu spędził w łóżku przynajmniej godzinę. Wreszcie, znużony bezczynnością, podniósł się, wsunął stopy w mokasyny i ruszył na poszukiwania.

- Ellen! - krzyknął na cały głos. Żadnej odpowiedzi. Spojrzał na kuchenny stół. Żadnej wiadomości. W końcu na podłodze koło łóżka znalazł kartkę, a gdy ją przeczytał, od razu poczuł litość nad samym sobą. To nie będzie dzisiaj śniadania? Znów poczłapał do kuchni, otworzył lodówkę, lecz chyba tylko po to, by się upewnić, że jest pusta. A więc tak to wygląda. Żaloszny męski szowinista, który bez uległej sobie kobiety nagle poczuł się pozbawiony męskości, powłócząc nogami przeszedł przez pracownię, usiadł na szezlongu i spojrzał na swoje odbicie w wielkim lustrze, które dawno temu kupili z Ellen w Camden Passage. Średniego wzrostu, muskularny i barczysty, obdarzony przez naturę dużą głową herosa, niczym z Caravaggia, z gęstymi, falującymi i długimi, jak przystało na malarza, włosami, prezentował się całkiem niezłe, zważywszy na sposób, w jaki używał życia, no i na swój wiek.

Zadzwoił telefon. Jack przyjrzał się aparatowi podejrzliwie, czy aby ten nie jest przypadkiem w zмовie z Jamesem Hartingiem. Od rozmów z Jamesem udawało mu się do tej pory szczęśliwie wykręcać. Jack podniósł słuchawkę i z zamiarem udawania w razie potrzeby kogoś innego odezwał się ostrożnie:

- Halo?

- Tu Tessa Lucas.

Jack z zadowoleniem odnotował fakt, że już sam dźwięk jej głosu wzbudza w nim pożądanie.

- Pytałeś, czy chciałabym obejrzeć twoje obrazy, więc dzwonię, aby ci powiedzieć, że owszem, chciałabym. Odpowiada ci dzisiejszy ranek? - Tessa, jak widać, nie zamierzała tracić czasu.

- Czemu nie? A czy nie kupiłabyś po drodze mleka, pieczywa, trochę masła i jakiejś pasty do kanapek? - Zachował się jak typowy oportunistą. Miał też ochotę poprosić o piersióweczkę, ale zdecydował, że za pierwszym razem lepiej nie ryzykować.

- Jesteś pewien, że nie trzeba zrobić zakupów na cały tydzień? Jack zignorował uszczypliwy przytyk.

- O której chciałabyś przyjść?

- O jedenastej - odpowiedziała nie troszcząc się, czy jemu to odpowiada.

- No to czekam.

Odkładając słuchawkę, Jack uprzytomnił sobie, że poza kilkoma starymi szkicami nie będzie miał Tessie nic do pokazania, bo jeśli chodzi o obrazy na wystawę, to nie wziął jeszcze pędzla do ręki. Spodziewał się jednak, że Tessa nie oczekuje wykładu o malarstwie. A skoro tak, to czy warto się ubierać? W końcu jednak postanowił uczcić jej pierwszą wizytę odpowiednim strojem, a co więcej, ogolił się i skropił kilkoma kroplami wody L'Ego'iste. Potem przeszukał skrzynię i wyjął z niej kilka zapomnianych litografii, którymi od biedy mógłby się pochwalić. Chyba jednak najwyższa pora, żeby wziąć się na serio do malowania, pomyślał, wsłuchując się w kolejny dzwonek telefonu. Tym razem na pewno dzwoni Galeria. Ponaglenia Jamesa stawały się coraz częstsze i coraz bardziej rozpaczliwe. Jack wiedział o tym z przypadkowo odczytywanych zapisów na automatycznej sekretarce.

Minęła jedenasta, a zapowiadany gość się nie zjawiał. Jack już zaczął podejrzewać, że Tessa celowo chce go potrzymać

w niepewności, kiedy wreszcie raczyła przyjść. Miała na sobie kusą džinsową sukienkę, której spłowiały błękit doskonale harmonizował z jej nordycką urodą, a na nogach prymitywne, jak z biblijnych opisów, sandały, kontrastujące z ostrym różem lakieru na paznokciach. Jack nie zauważył żadnej torby z zakupami. Porządnie wygłodniały, spytał:

- Przyniosłaś coś do jedzenia?
- Och, zapomniałam.

Nie pozostało mu nic innego, jak nie okazać rozczarowania. Zresztą czekało go chyba następne, bo zachowanie Tessy było wyraźnie powściągliwe. *Noli me tangere*. Jack pojął więc, że dzisiejsza wizyta to dopiero harce przed właściwym turniejem i że nadzieja na łóżko jest równie nierealna jak śniadanie. Zapowiedział się dzień pełen wyrzeczeń.

Tessa tymczasem zwiedzała pracownię.

- Jak i e cudowne miejsce! - wykrzyknęła, przystając w promieniach wpadającego przez okno słońca. Jej jasne włosy stopiły się w jedno ze złotym blaskiem. Jeśli miałby ją malować na go, to właśnie taką.

- Czy masz na coś ochotę? - zaryzykował, licząc na odmowę. Lodówka była pusta.

- Nie, dziękuję. Gdzie zazwyczaj pracujesz?

- Tu, to przecież moja pracownia.

- Tu? Przecież tutaj się nic nie dzieje.

- Jeszcze nic, ale właśnie się przymierzam do malowania.

Przymierzanie się do pracy było wspólną cechą ich obojga.

- Co takiego?! Czy to znaczy, że nie namalowałaś na wystawę jeszcze ani jednego obrazu? James dostanie rozstroju nerwowego! Czy on wie o tym?

- Nie, i wolałbym, żebyś mu nic nie mówiła. - Cel spotkania, którego wątpliwym pretekstem miało być oglądanie obrazów, stawał się coraz odleglejszy.

Tessa powstrzymała się od dalszych komentarzy. Zmieniła temat.

- Co myślisz o wczorajszej kolacji u Victorii?

Oparzy wypitej nocą whisky rozmyły kontury jakichkolwiek wspomnień. Nie myślał wiele.

- No, było, jak było. W porządku. Ellen przegadała z Ginevra Hays mnóstwo czasu.

Tessa skrzywiła się.

- Nie rozumiem, dlaczego Victoria z nią trzyma. Choć ni-
by taka uczona, wydała się za murarza czy kogoś w tym rodza-
ju. Znają się z Oksfordu. Ginevra i Victoria, oczywiście, nie Gi-
nevra i jej murarz.

Snobka, pomyślał Jack, który, podobnie jak Kevin, nie wy-
chowował się na salonach.

- Skończyłaś uniwersytet?

- Ależ skąd. Jestem za głupia na studia.

Dobrze, że przynajmniej umie się do tego przyznać, pomy-
ślał Jack, który zwykle unikał kobiet obdarzonych nadmiernym
rozumem. Tessa usiadła na szezlongu, oparła się o indyjskie
poduszki i założyła nogę na nogę. Spódniczka mini podjechała
jeszcze bardziej do góry, odsłaniając przed poządlwym wzro-
kiem Jacka metry brązowych ud. Czy nie powinien teraz rzucić
się na nią? Czy aby nie zawodzi jej oczekiwań?

- Może nie jestem intelektualistką - kończyła samoocenę
Tessa - ale zawsze wiem, czego chcę.

- No więc czego chcesz?

Popatrzyła na niego jak na idiotę.

- Teraz chcę ciebie. To chyba jasne. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj
jestem umówiona z fryzjerem. - To mówiąc wstała, zsunęła
ogromne słoneczne okulary z czubka głowy na koniec nosa
i przełożyła przez ramię złoty łańcuszek od skórzanej torebki.
Nie wyglądała na osobę, którą zatrzymałyby jakiekolwiek ar-
gumenty. Przystanęła w drzwiach.

- Czy wciąż jeszcze kochasz się z żoną?

Jack, indagowany przez kochanki, zwykle odpowiadał na ta-
kie pytanie przecząco. Tym razem, odpłacając szczerością za
szczerłość, powiedział: tak.

- Ja z Alexandrem też. No, to przynajmniej wiemy, na czym

stoimy. - Pocałowała go w usta. - *A demain. Też o jedenastej, dobrze? I na drugi raz postaraj się lepiej wypaść. Zorganizuj jakąś butelkę wina czy innego alkoholu.* - Jeszcze raz musnęła go wargami i wyszła.

Ależ bezwstydna, pomyślał, po czym zorientował się, że nawet nie obejrzała litografii.

5

Niedzielny świt był zapowiedzią kolejnego cudownie pogodnego dnia. Ellen nie miała już wątpliwości, że poda lunch pod białym *ombrellone*, który był pamiątką po małżeńskim urlopie we Włoszech. W niedzielę przypadał jeden z wolnych dni pani Phipps, w związku z czym Ellen sama zajmowała się przygotowaniami do przyjęcia i właśnie przed chwilą ściągnęła skórę z ugotowanego wieczorem łososia, a teraz ozdabiała go cytryną i gałązkami kopru. Merlin i Casimir, które z daleka wyczuły zapach ryby, a dla których blat stołu był terenem zakazanym, łąsiły się do nóg swojej pani z nadzieją na jakieś nędzne resztki. Ellen jednak tym razem nie miała nad kotami litości. Uwieńczyła swe dzieło, dekorując niebieskozielone oko zwiniętym paseczkiem skóry, i wyniosła owalny półmisek z rybą do piwnicy, pozbawiając zwierzaki wszelkich złudzeń.

Następnie zajrzała do sporządzonego wcześniej spisu czynności i pochwaliła samą siebie za pomysł dostawienia drugiego stołu, zwłaszcza że do lunchu miała zasiąść jej wymagająca rodzicielka.

Wiedząc z doświadczenia, że obecność matki zwykle bardzo ją absorbuje, wstała dzisiaj wcześniej, aby zdążyć z przygotowaniami przed jej przyjazdem. Poza tym Olivia Braithwaite znana była z apodyktycznych sądów, należało więc zarezerwować dość czasu na dopilnowanie, by między gośćmi nie dochodziło do niemiłych konfrontacji.

Przyjrawszy się stołowi krytycznym okiem, pani domu doszła do przekonania, że zdobiące go kwiaty nie pasują do obrusa i serwetek w kolorze kości słoniowej, i postanowiła zastąpić je łośosiowymi, kremowymi i morelowymi różami. Wzięła zatem z szuflady sekator i poszła do ogrodu. Doprowadzenie różanych krzewów do pełnego rozkwitu kosztowało ją немало wysiłku, bo rosły na kamienistym gruncie, a poza tym zdana była wyłącznie na siebie, od kiedy pan Phipps, ogrodnik rozkochany w warzywach, nazwał kwiaty chwastami i raz na zawsze odmówił jakiegokolwiek współpracy przy ich uprawie. Nie odstępowała przez koty, Ellen ścięła najpiękniejsze róże, jeszcze lśniące kropkami rosy, i zaniósła je do domu. Dochodziła dziesiąta. Aby umilić sobie ostatnie chwile przed przyjazdem gości, nastawiła płytę z „Koncertem brandenburskim” Bacha.

Na wiejskiej drodze pojawiła się podskakująca taksówka z panią Braithwaite. Ellen już miała wyjść naprzeciw, kiedy z zatrzymującego się samochodu dobiegły podniesione głosy. Najwidoczniej taksówkarz i pasażerka nie byli zgodni co do zapłaty za kurs. W takiej sytuacji Ellen wolała poczekać, aż zostanie wywabiona z domu dwukrotnym silnym dzwonkiem.

Olivia Braithwaite, pocałowawszy córkę, cofnęła się o krok i wygłosiła okolicznościową formułę:

- Wyglądasz mizernie, Ellen. Zawsze powtarzam, że za mało jesz. Gdzie jest Reginald?

- Zabrał wczoraj chłopców ze szkoły, żeby pokazać im jakąś wystawę w Londynie. Niedługo tu będą. Mamo, proszę, nie nazywaj Jacka Reginaldem. Wiesz, że on tego nie lubi.

- Co to znaczy nie lubi? W końcu to jego imię.

- Tak, ale nie on je wybierał, więc może mu się nie podobać. Pani Braithwaite zamknęła dyskusję stwierdzeniem:

- Imię jak imię. Nic mu nie brakuje. Twój stryjeczny dziadek też nazywał się Reginald.

Nie sposób było matce wytłumaczyć, że moda na imiona z czasem się zmienia i że imię Reginald wyszło z użycia. Ellen poddała się.

- Napijesz się czegoś?
- O jedenastej rano?

Nie minęło dziesięć minut, od kiedy przyjechała, a już chętnie bym ją udusiła, pomyślała Ellen i dodała głośno:

- Miałam na myśli herbatę lub kawę.
- Dziękuję za jedno i drugie. Posiedzę w ogrodzie. Czy masz dzisiejszą gazetę? I czy byłabyś tak dobra i przyniosła mi szklankę perriera z lodem i plasterkiem cytryny?

Wysoka, tęga kobieta, z potężnym wałkiem piersi wbitych w kwiecistą suknię i z solidną torbą na ramieniu, sunęła ku otwartym skrzydłom francuskich drzwi. Ellen natomiast, choć najchętniej zaszyłaby się w jakimś cichym kącie, posłusznie przygotowała napój i, zgarniając po drodze gazety, grzecznie podążyła za matką.

- Widzę, że spodziewasz się innych gości.
- Tak, zapowiedzieli się Hartingowie i Lucasowie. Tessa Lucas jest siostrą Jamesa Hartinga. - Ellen początkowo nosiła się z zamiarem zaproszenia Ginevry, lecz w końcu uznała pomysł za nie najlepszy. Z Ginevra należało obchodzić się delikatnie, co w obecności matki mogło nie być łatwe. - Pomyślałam, że przydadzą się partnerzy do krokiet czy tenisa.

Na wzmiankę o krokiecie twarz Olivii Braithwaite zajaśniała radością. Uwielbiała tę grę, lecz z powodu nieprzepartej woli zwycięstwa i nieprzestrzegania jakichkolwiek reguł była postrachem dla nieszczęsnych partnerów. Jack wyznawał teorię, że ten biedaczysko, Lionel Braithwaite, musiał powitać śmierć z westchnieniem ulgi, jeśli jego żona przenosiła zwyczaje z boiska na małżeńską niwę. W rodzinie krokiet zyskał dzięki Olivii miano wolnej amerykanki. Oczywiście poza jej plecami.

Słyszac trzaśnięcie drzwi kolejnego samochodu, Ellen pośpieszyła zobaczyć, kto przyjechał. Jack już był na progu domu. Chłopcy tymczasem wyładowywali bagaże. Musnął w przelocie policzek żony.

- Jack... - zaczęła, lecz on przerwał jej w pół słowa, jak zwykle.
- Stara megiera jeszcze się nie pokazała?

- Na litość boską, mów ciszej, ona już tu jest.
- Bez samochodu?
- Samochód w remoncie. Przyjechała pociągiem.
- Sama nadaje się do remontu. Przydałoby się ją trochę podregulować.

- Jack, chcę być pewna twego zachowania. W końcu to stara kobieta.

- Stara zardzewiała siekiera. Co z nią zrobiłaś?

- Jest w ogrodzie. Pamiętaj, co ci powiedziałam.

- Dobrze już, dobrze.

Nadbiegli chłopcy.

- Hej, mammo!

- Cześć, mamusiu!

Uściski i pocałunki tym razem były prawdziwe i gorące.

- Wielkie nieba! - Ellen przyjrzała się Davidowi. - Już niedługo będziesz taki duży jak ja! A ty, Harry, też nie pozostajesz w tyle. Jak ja sobie z wami poradzę? No, jazda, bagaże na górę i schodźcie do ogrodu.

Pani Braithwaite, w rogowych okularach na nosie, siedziała na ogrodowej ławce i przeglądała ogłoszenia w „Sunday Times”. Teraz podniosła oczy na zbliżającą się parę.

- Babcia Braithwaite - powiedział Jack i pocałował upudrowany policzek.

Powinien wiedzieć, że ona nie znosi, jak się o niej mówi „babcia”, pomyślała Ellen, patrząc na męża z wyrzutem.

- Witaj, Reginaldzie.

- Muszę się napić, Ellen.

- Musisz? - spytała teściowa.

Nie usłyszawszy sakramentalnego: „O jedenastej trzydzieści”, Ellen doszła do wniosku, że matka zbiera siły przed zasadniczą potyczką.

- Tak, muszę - odparł.

- W takim razie przygotuj coś dla siebie i przy okazji dla mamy, o ile ma ochotę.

- O jedenastej trzydzieści? - spytał.

- No, dochodzi już dwunasta.

Jack poszedł za Ellen do kuchni.

- Na jak długo przyjechała?

- Na parę godzin. Wieczorem ma w planie inną imprezę.

- Dzięki Bogu i za to. Ach, byłbym zapomniał. Coś ci kupiłem.

Musi mieć nową kochankę, pomyślała. Może już zaliczył Tessę Lucas. Myliła się jednak. Tessa bowiem, ku niezadowoleniu Jacka, odwołała spotkanie i przełożyła je na następny tydzień.

- Jak to miło z twojej strony. Dowiem się, co to takiego?

- Komputer

Komputer! Ellen, która wystukiwała powieść na walizkowej maszynie sprzed lat dwudziestu i która w sprawach nowoczesnej techniki przyrównywała się do Emily Brontë, popatrzyła na męża niezdecydowanie.

- Jack, nie mam pojęcia, jak się nim posługiwać. Jaki to typ?

- Amstrad. Od roku wciąż tylko coś piszesz i przepisujesz. Jeśli będziesz się upierała przy Olivetti, czekają cię następne cztery lata przepisywania.

- Musiałeś wydać majątek! Dziękuję, kochanie. - Pocałowała go. - Gdzie on jest? - Nagle przypomniała sobie, że Ginevra Haye też kupiła sobie Amstrada. Może zechce udzielić jej paru lekcji.

- Na górze, w twojej pracowni. Wysłałem tam chłopców.

Z ogrodu dobiegł czyjś śmiech i stentorowy głos pani Braithwaite:

- Nie mam pojęcia, gdzie Ellen i Jack się podziewają. - Matka witała zapewne Hartingów i Lucasów. Jack, co nie uszło uwagi Ellen, miał ochotę zdezerterować.

Kiedy pojawiła się w ogrodzie ze schłodzonym chablis, już było po wzajemnej prezentacji, a Hartingowie zdążyli nawet oczarować swym towarzyskim wdziękiem nieprzystępną, jak się zdawało, panią Braithwaite. Zagarniając po drodze synów, usiłujących wymknąć się gdzieś niepostrzeżenie, Ellen poleci-

ła im przywitać się z gośćmi, następnie przekazała sprawę napojów w ręce Jacka (tu przynajmniej był niezawodny), a sama wróciła do kuchni, aby przyrządzić majonez i ugotować kartofle.

Lunch upływał w miłej i nieskrępowanej atmosferze; dopiero kiedy podano krem Tenby, specjalność pani Phipps, James spytał niedbale:

- Jak ci idzie praca?

- Świetnie, świetnie - odpowiedział Jack, starając się uniknąć przenikliwego spojrzenia zielonych oczu Tessy.

Nie zwiedziony pośpiesznym zapewnieniem James, który znał Jacka Careya od pięciu pełnych stresu lat, pytał dalej:

- Czy zdajesz sobie sprawę, że do otwarcia wystawy zostało tylko dwanaście tygodni?

- Oczywiście. Nic się nie martw, nie zawiodę cię. Znasz mnie przecież.

W tym cały kłopot, westchnęła w duchu Victoria, zdumiona taką bezczelnością, i natychmiast zaczęła ogryzać paznokcie. Znali go oboje aż za dobrze i dlatego mogli mieć co najmniej pięćdziesiąt procent pewności, że zawiedzie. Popatrzyła na Ellen, lecz z jej twarzy nie sposób było cokolwiek wyczytać. Za to Tessa nie kryła, że dobrze się bawi.

James nie dawał za wygraną.

- Nie chcę przeszkadzać ci w pracy, ale chętnie wpadłbym któregoś popołudnia do pracowni, żeby rzucić okiem na to, co już zrobiłeś.

- Czemu nie? Umówmy się na przyszły tydzień. - No cóż, w końcu trzeba wziąć się do roboty, westchnął w duchu Jack.

Olivia, którą znudziła ta rozmowa, postanowiła ożywić towarzystwo.

- Kto jest za tym, żeby po lunchu zagrać w krokietę?

- Doskonały pomysł - przyznał Alexander, choć nieco go speszyły niepewne miny Careyów, w tym niefrasobliwego zwykle Jacka.

David i Harry natomiast, dla których gra babci nie miała tajemnic, wykrzyknęły zgodnie:

- Wolimy tenisa!

- A co byście powiedzieli na spacer? - To była propozycja Ellen, która zbierała nakrycia ze stołu. - Dołączę do was, gdy tylko wrzucę to wszystko do zmywarki.

James patrzył w ślad za odchodzącym towarzystwem, zastanawiając się, czy zdoła przekonać Ellen, by pomogła mu zmierzyć się z problemem, któremu na imię Jack.

- Czy nie moglibyśmy pospacerować chwilę sami?

- Ależ oczywiście.

Olivia Braithwaite błysnęła talentem już w chwili wyboru partnera. Ponieważ Jack, którego jedynym pragnieniem było jak najrychlejsze dotarcie do butelki ukrytej w drzewie w pobliżu kortu tenisowego, wymówił się od gry pod pierwszym lepszym pretekstem, w grę wchodzili Alexander, Tessa i Victoria. Uwzględniając wszystkie za i przeciw, Olivia zdecydowała się na Tessę. W krokiecie, pomyślała, ważne są długie nogi, a tych nawet nie krępuje żadna spódnica, bo to, co ta dziewczyna ma na sobie, niewarte jest wzmianki. Poza tym, aby zwyciężyć, trzeba być z góry pewnym swojej wygranej, a czego jak czego, ale pewności siebie tej małej nie brakuje.

- Tesso, możesz mi partnerować - obwieściła, a Tessa, równie jak Olivia spragniona sukcesów, biorąc za dobrą monetę opowieści matki Ellen o własnych wyczynach sportowych, chętnie przystała na jej propozycję.

- Reginaldzie, czy mógłbyś poprawić tamtą bramkę?

Jack załatwił sprawę jednym kopnięciem, a widząc rozbawienie na twarzy Tessy, obiecał sobie: „Jeśli jeszcze raz usłyszę imię Reginald, przyłożę starej jej własnym młotkiem”.

- Dziękuję, Reginaldzie.

Jack zniknął w krzakach, aby pocieszyć się szkocką. Jeszcze długo gonił go chichot Tessy.

Ellen i James chodzili wokół padoku, na którym w czasach, kiedy chłopcy byli zainteresowani jazdą konną, Careyowie trzymali kucyka.

- No cóż, znasz problem, Ellen.

Jakże mogłabym nie znać, pomyślała, dodając głośno:

- Tak, oczywiście, ale ty też powinienes zrozumieć, że mam własne życie - stwierdziła cierpko, lecz natychmiast pożałowała wypowiedzianych słów. Przecież bardzo lubiła Jamesa, a gdyby nie Galeria, nadal żyliby z Jackiem w koszmarnej jednopokojowym mieszkaniu bez żadnych perspektyw na przyszłość. Poza tym nie należało lekceważyć faktu, że ostatni wyciąg bankowy wykazywał bardzo niski stan konta.

- Przepraszam cię, nie sądziłam, że to aż tak nieprzyjemnie zabrzmi.

- W porządku, nie przejmuj się. - James uśmiechnął się ujmująco. - Proszę, Ellen, powiedz, że mi pomożesz.

- Posłuchaj. - Niespodziewanie dla siebie samej Ellen podjęła decyzję. - Jeśli poradzisz sobie przez najbliższe dwa tygodnie, a ja w tym czasie zdążę uporządkować tutejsze sprawy, to obiecuję ci, że przyjadę do Londynu i zostanę tak długo, jak będę mogła. Ale zgadzam się na to naprawdę ostatni raz, James. - On jeszcze nawet nie podejrzewa, że rozważam zamiar opuszczenia męża, dopiero by się przestraszył. Wówczas przecież cała odpowiedzialność spadnie na niego.

James nie znał duchowych rozterek Ellen i dlatego nie był w stanie zrozumieć jej oschłości. No bo gdyby wystawa przyniosła sukces, za sukcesem przyszłyby duże pieniądze, z których Ellen korzystałaby na równi z Jackiem. Nie jemu jednak mieszać się do spraw finansowych Careyów; osiągnął to, co chciał, i powinien zmienić temat, nim ona zmieni zdanie.

- Nie poszukalibyśmy reszty towarzystwa?

- Tak, oczywiście, tylko najpierw ustalmy kilka dat, bo zbliżają się wakacje, a to znaczy, że Harry i David będą w domu. - Wyjęła kalendarzyk z płóciennej torby.

- A nie mogłabyś zapewnić im jakiejś płatnej opieki?

- James, oni nie po to przyjeżdżają tu ze szkoły, żeby ktoś obcy się nimi zajmował. Chłopcy spodziewają się spędzić trochę czasu z Jackiem i ze mną. Coś takiego nazywa się życiem rodzinnym. - Pomyślała zakłopotana, że skoro James nie ma dzieci, nie powinna prawić mu takich morałów.

- A jak rozwiązywaliście tę sytuację dawniej? - Nie przypominał sobie, by Ellen spędzała większość czasu na wsi.

- Dawniej, pomijając okres, kiedy David i Harry byli bardzo mali, krążyłam bez końca między Londynem a Susseksem niczym bumerang, zajmując się dziećmi, moją pracą, dwoma domami i Jackiem, jako że Jack, o tym nie muszę ci chyba mówić, nigdy nie troszczył się o nikogo, nawet o siebie. - Ellen musiała te słowa wypowiedzieć głośno, by wreszcie zdać sobie sprawę, że jest u kresu sił.

James kartkował kalendarz w milczeniu.

Ellen otworzyła swój i poprosiła o pióro.

- No to zaczynamy. Dzisiaj mamy siódmego. Jack będzie w Londynie dziesiątego, po odwiezieniu chłopców do szkoły. Ja przyjechałabym dwudziestego dziewiątego na dwa tygodnie, ale potem muszę wrócić tutaj jedenastego lipca, aby zabrać obu ze szkoły na wakacje. Tydzień spędzą w domu, a później uszczęśliwię cię ewentualnie dwoma tygodniami, ponieważ Harry jedzie na obóz żeglarski, a David na wycieczkę szkolną do Grecji. Wtedy mogę zająć się Jackiem, ale czas od drugiego do piętnastego sierpnia znów będę chciała spędzić w domu. Następnie matka zabierze chłopców na tydzień, a mnie zostanie dzień lub dwa na przygotowanie ich do szkoły. W ten sposób doszliśmy do dwudziestego szóstego sierpnia, zgodnie zaś z moim kalendarzem wernisaż powinien się odbyć pierwszego września. Do tego czasu, miejmy nadzieję, Jack już coś namaluje.

Pilnie notując podawane terminy, James przyznał w duchu, że chociaż liczył na więcej, lepsze to niż nic.

- Dziękuję, Ellen. Dziękuję ci bardzo. I jeśli widzisz sposób,

w jaki Galeria mogłaby ułatwić ci życie, na przykład płacąc za dodatkową pomoc, to tylko powiedz.

- Galeria, gdyby nawet mi płaciła, nie jest w stanie rozwiązać moich problemów - odpowiedziała Ellen z goryczą. Przypomniała sobie, że na boisku krokietowym mogła tymczasem wybuchnąć awantura.

- No to co, idziemy?

W miarę jak gra nabierała tempa, Alexander Lucas obrzucał panią Braithwaite coraz bardziej krytycznymi spojrzeniami. Mógłby przysiąc, że widzi jej drobne machlojki, lecz z szacunku dla podeszłego wieku mistrzyni dywersji uznał, że lepiej sprawę przemilczeć. I w ten sposób, holując za sobą Tessę, pani Braithwaite szalała jak burza po całym boisku, nie przepuszczając żadnej okazji do przyznawania sobie kolejnych dodatkowych strzałów.

Natomiast Victoria, bardziej bezkompromisowa niż jej partner, postanowiła mimo wszystko rzucić przeciwnicze wyzwanie.

- Pani Braithwaite, jestem pewna, że postępuje pani wbrew regułom.

- Dla mnie liczą się jedynie reguły Butterfly Cottage - odpowiedziała chytrze matka Ellen i bynajmniej nie speszona, chyba tylko dla pozorów osłaniając stopą swoje poczynania, wybiła z dołka piłkę Alexandra, hen, w nie strzyżoną trawę, a na jej miejscu umieściła swoją.

- Proszę bardzo, twoja kolej - zwróciła się do niego łaskawie.

Alexander ruszył w zarośla, myśląc przy tym, że Tessa, która właśnie posłusznie wypełniała liczne polecenia pani Braithwaite, chyba nie kłamie twierdząc, że nic jej z Jackiem nie łączy. Kiedy ich dzisiaj obserwował, nie zauważył w zachowaniu obojga żadnych podejrzanych manewrów.

Sięgając po piłkę, zdradziecko ukrytą w dołku jakby dla niej przeznaczonym, zawołał:

- Tak wybitą piłkę zwykle umieszcza się wewnątrz boiska na długość jednego młotka od linii bocznej!

Olivia przystała na to, acz niechętnie. Obie z Tessą wbijały w skamieniały grunt źle umocowany palik, który wciąż się przewracał. Teściowa rozejrzała się za Reginaldem, ale zięcia nie było w pobliżu.

W tej chwili z kortu tenisowego wybiegł Harry, w pogoni za wybitą zbyt wysoko piłką.

- Skoro już tu jesteś, to bądź tak miły i poszukaj tatusia - poleciła mu babcia.

Nie było to łatwe zadanie dla dziesięcioletka. Cała rodzina, z wyjątkiem babci, wiedziała o ukrytej w drzewie butelce whisky i Harry był pewien, że tata zdążył się już doprowadzić do stanu, w którym nie powinien się ukazywać pani Braithwaite. Na twarzy chłopca pojawił się wyraz rozterki.

- No, idźże już, na co czekasz! - niecierpliwiła się babcia.

Harry, żałując, że nie może odwołać się do autorytetu nieobecnej matki, zrobił w tył zwrot i ruszył z ociąganiem we właściwym kierunku. Przystanął po drodze przy furtce na kort tenisowy i ostentacyjnie wręczył bratu piłkę.

- Co mam zrobić? - spytał po cichu.

- Porozglądaj się trochę tu i tam - poradził lepiej zorientowany w zawilosciach życia trzynastolatek - a potem powiedz jej, że go nie znalazłeś.

Harry obejrzał się na obserwującą go babkę, wsparł się pod boki i ruszył przed siebie. Kiedy zniknął w rododendronach, pani Braithwaite wróciła do gry. Victoria po przebicciu przez bramkę jednej piłki przygotowywała się do drugiego strzału.

- To było beznadziejne. Całkiem beznadziejne. Co ty robisz? - naskoczyła Olivia na Tessę. Gra toczyła się dalej, choć skrytykowana Tessa straciła humor. Po Harrym nie było ani śladu. Podejrzewając nieposłuszeństwo, jego babka postanowiła udać się w ślad za nim, lecz zamiast na wnuka, natknęła się na zięcia, który w najwyraźniej kontemplacyjnym nastroju siedział oparty o pień drzewa.

Pani Braithwaite, nie dowierając sędziowskim umiejętnościom Tessy, chciała jak najprędzej wrócić do toczącej się gry-

- Potrzebuję twojej pomocy, Reginaldzie. Wstań i chodź ze mną - powiedziała władczy tonem i ruszyła przed siebie, wykręcając obcasy pantofli. Jack, który tymczasem zdążył się już nieźle spać, podążył za nią chwiejnym krokiem bez słowa sprzeciwu. Usiłując obejść dwie kolejne bramki, stojące na drodze do przekrzywionego palika, który, w jego przekonaniu, był czystym wymysłem starej wiedźmy, potknął się o jedną z nich i runął ciężko na ziemię, niby zakuty w sztywną zbroję.

Ellen razem z Jamesem dołączyła do przestraszonej grupki graczy.

- Chyba na dzisiaj koniec z krokietem - oznajmiła pani Braithwaite, przestępując bezwładnie leżącego zięcia.

Ellen wiedziała, że aby przywrócić męża do pozycji pionowej, należałoby użyć ni mniej, ni więcej, tylko kołowrotu, za którego pomocą sadowiono na koniach średniowiecznych rycerzy. Miała ochotę przejść po nim, a nie nad nim.

- Obawiam się - oświadczyła graczom - że musicie skończyć grę, chyba że macie zamiar go omijać.

Victoria szybko skorzystała z nadarzającej się okazji.

- Och, uważam, że powinniśmy skończyć grę. Ale co zrobimy z Jackiem?

- Nic. Zostawmy go w spokoju. Niech śpi, aż wytrzeźwieje.

Wieczorem, po powrocie do Chelsea, Victoria powiedziała do męża:

- Rzeczywiście macz ciężki problem z Jackiem. Jeszcze nigdy nie było z nim aż tak źle. Doprawdy nie mam pojęcia, jak Ellen to znosi.

- Tak, to dziwne.

- Co ona mówi, czy Jack już coś namalował?

- Ależ skąd, Ellen wie doskonale, że nawet nie zaczęła. Jest

jednak coś, czego nie rozumiem. Zauważyłem w Ellen pewien dystans, jak gdyby to, czy Jack coś robi, czy nie, w ogóle jej nie obchodziło. Najważniejsze jednak, że zgodziła się bywać u Jacka w pracowni i jeszcze raz wziąć sprawy w swoje ręce.

- Chyba nie przypuszczasz, że zamierza od niego odejść?

James odsuwał od siebie myśl o tak skrajnym rozwiązaniu. Odpowiedział pytaniem na pytanie.

- A dokąd miałyby pójść? Do matki raczej nie.

Na Boga, nie, pomyślała Victoria, zmieniając temat:

- Tessa wygląda na dziwnie wyciszoną.

- Zdaje ci się. Ona po prostu zbiera siły do kolejnego uderzenia - odparł James, który lepiej znał swoją siostrę niż jego żona.

- Naprawdę! Czyżby zastawiała sidła na Jacka?

- Powiedzmy. Dzisiejsze zachowanie to była próba uśpienia czujności Alexandra.

- Biedny Alexander!

- Pewnego dnia on ją udusi. Moja siostra zasługuje na to. Poza tym poeci bywają gwałtowni.

- A wracając do Jacka - co zamierzasz z nim zrobić?

- Przede wszystkim muszę znaleźć się w jego pracowni, ale nie widzę na to innego sposobu niż włamanie. Całą nadzieję pokładałam w Ellen.

Na dzisiaj James miał dość Careya, więc żeby o nim na dobre zapomnieć, stanął za krzesłem Victorii i zaczął gładzić jej włosy. W lustrze, przed którym siedziała, odbiły się dwie twarze. Jasna i mroczna. Kiedy na twarz Victorii wypłynął uśmiech, James nagle zapragnął cudownego zapomnienia, jakiego zwykle doznawał w objęciach żony. Obserwując jej reakcję w lustrze, zsunął dłonie na gładką krągłość piersi i wyczuł twardniejące brodawki. Pocałował Victorie w szyję.

- Czy masz ochotę na miłość?

Victoria wstała, stanęła przed nim, i kiedy suknia, opadając z jedwabistym szelestem na podłogę, odsłoniła posągowe ciało, odparła:

- Tak, wielką.

Była pierwsza w nocy, kiedy Jack, po którym mrówki biegały niczym po śpiącym Guliwerze, wreszcie się obudził. Przemarznięty do szpiku kości, z wilgotnymi włosami, z głową pulsującą bólem, rozejrzył się po pustym boisku. Gdzie się podziała cała reszta? Upłynęło parę chwil, nim stanął solidnie na nogach, po czym, aby się rozgrzać, ruszył w stronę domu dosyć niepewnym truchtem.

- Uwaga, nadchodzi - powiedział do Harry'ego starszy brat, stojący w oknie sypialni. Ponieważ Ellen zostawiła na noc zapalone światła na zewnątrz domu, chłopcy widzieli jak na dłoni każdy krok przedzierającego się przez rododendrony ojca.

Harry z niepokojem oczekiwał trzęsienia ziemi, jakie - jego zdaniem - za chwilę miało nawiedzić Butterfly Cottage. Rozumiał dobrze zdenerwowanie mamusi, ale uważał, że babcia zachowała się niezbyt taktownie, odjeżdżając razem z innymi gośćmi już o szóstej po południu. Harry kochał oboje rodziców, lecz zawsze drzemało w nim pragnienie, by byli bardziej podobni do innych ludzi.

- Czy nie powinniśmy wyjść i coś z nim zrobić? - zasugerował bratu. - Może byłoby lepiej, żeby nie niepokoił mamy?

- Przede wszystkim nie powinniśmy się do niczego mieszać - odparł bardziej doświadczony przez życie trzynastolatek. - W końcu to chyba oni są dorośli.

Wyszli obaj po cichutku na podest schodów, skąd było słychać, jak ojciec dwukrotnie usiłuje trafić kluczem do zamka i jak wreszcie udaje mu się to za trzecim razem. Mamusia mogłaby przynajmniej zostawić otwarte drzwi, pomyślał Harry, czując ściskanie w dołku. Przeżył już niejedną awanturę małżeńską rodziców, tym razem jednak, jak mu się zdawało, sprawy zaszły znacznie dalej, i to głównie z powodu mamusi, która nie załagodziła wszystkiego, choć zawsze to robiła. Słyszając, jak ojciec wspina się po schodach na sztywnych nogach, i Harry, i David woleli nie pokazywać mu się na oczy i ukryli się w swoich sypialniach.

Sypialnia małżeńska, do której Jack zdążył, była zamknięta od środka na klucz. Harry, z okiem przytkniętym do szpary w swoich drzwiach, zamarł z przerażenia, sądząc, że ojciec poczuje się dotknięty i zechce się wedrzeć do środka siłą. Jack jednak nie był już na tyle pijany, by nie kontrolować swojego zachowania i, zamiast dochodzić praw małżeńskich, skierował się do pokoju gościnnego.

Ellen, leżąc w łóżku przy zgaszonym świetle, słyszała przekręcanie gałki, a potem oddalające się korytarzem kroki. Chwała niebiosom, że sobie poszedł. I choć najbardziej ze wszystkiego pragnęła pograć się we śnie i zapomnieć o przeżyciach minionego dnia, to jednak wciąż uporczywie kołatała jej w głowie myśl, co dalej. Łatwo powiedzieć: odejść. Ale z czego miałyby żyć? Jeśli nawet konto bankowe nadal pozostałoby wspólne, to i tak mała z tego korzystać, dopóki świeci pustkami. A nie świeciłoby, gdyby wzięła się ostro do Jacka i zmusiła go do pracy. W ten oto sposób koło się zamyka.

Są jeszcze chłopcy. Dobrze wiedziała, że jest dla nich spokojną wyspą na wzburzonych wodach nieodpowiedzialności ojca. W ciągu ostatnich dwóch lat nie wniosła jednak do domu żadnych pieniędzy, zatracając się w marzeniach o napisaniu powieści, która, na dobrą sprawę, może nigdy nie powstać i nie ujrzeć światła dziennego. Czy wobec tego nie należy rozstać się z pisaniem i wrócić do ilustrowania książek? W ten sposób zarobiłaby przynajmniej na swoje utrzymanie, bo jeśli idzie o chłopców, trzeba jedynie mieć nadzieję, że jej matka nadal zechce łożyć na ich naukę.

Tu z kolei wyłaniał się problem przerw międzysemestralnych, wakacji, i tak dalej, bo przypuszczalnie Butterfly Cottage zostałby sprzedany, chyba że Jackowi nadal wystarczałyby pracownia. Ellen, której obca była mściwość, nie zamierzała pozabawiać męża ani domu, ani cegokolwiek, co dotychczas stanowiło ich wspólną własność; jeśli miałyby odejść, to tylko z honorem. Cały kłopot polegał na tym, jak zachować się honorowo, a jednocześnie nie skończyć w przytułku. I choć Jackowi

daleko było do sknerstwa, a jego szczodrość stanowiła jedną z przyczyn niemal pustego konta, to kto wie, jak przyjąłby wiadomość, że żona ma go dość? Ellen знаła wiele historii o nietypowym zachowaniu w sytuacji rozwodowej zarówno jednej, jak i drugiej strony. Powinna chyba najpierw zatelefonować do Edwarda Montague, przyjaciela rodziny, a od pięciu lat, od kiedy Edward przeszedł na emeryturę, również doradcy prawnego pani Braithwaite, i przy jego pomocy dyskretnie rozeznąć się w sprawach majątkowych, dopiero potem zaś wszczynać postępowanie rozwodowe.

Ellen zapaliła światło i sięgnęła po leżącą na nocnej szafce „Verę”, powieść Elizabeth von Arnim, swojej ulubionej autorki. Ten przerażający Vemyss zawsze pozwalał jej zapomnieć o własnych problemach. Kwadrans potem, oparta o poduszki, z książką w ręku, zapadła w głęboki sen.

6

Ginevra wróciła z wiejskiej poczty, będącej jednocześnie i pasmanterią, i sklepem z odzieżą, i znalazła pod drzwiami list od Kevina. Trudno jej było z tego powodu wpaść w szczególny entuzjazm, zdecydowanie bowiem wołała Kevina-kochanka od Kevina-literata.

Rozcięła kopertę kuchennym nożem i zaczęła czytać: *Droga Gin, jak Twoje sprawy? Tu jest gorąco jak w piecu i nie zanosi się na koniec roboty. Oni zmienili zdanie. „Oni” to pewnie Saudyjczycy. To pieprzone jedzenie jest okropne. Cóż bym dał za stek i zapiekankę z cynaderek. Taką od Spara. Mam nadzieję, że pieniądze przychodzą do banku regularnie co tydzień. Przychodzą. Sprawdzają. Jest ich nadspodziewanie dużo. Chciałbym przyjechać do domu na kilka dni, ale oni mówią, że teraz to niemożliwe. Tęsknię za Tobą (wiesz, co mam na myśli!). Uściski, Kevin. PS Możesz ode mnie kopnąć kota.*

Tu następował zwykły rząd oznaczonych krzyżykami pocałunków. Jak na powściągliwego Kevina, była to prawdziwie wykwintna epistoła. Zwykle Ginevra wyrzucała listy do śmieci, lecz tym razem, w uznaniu dla solidnego wysiłku autora, wsunęła kartkę za stojący na kominku wyszczerbiony kufel, na którym wyobrażono zaślubiny księcia Karola i lady Diany Spencer. Ostatnio, pochłonięta papierowym romanssem, który z biegiem czasu nabierał rumieńców i nadspodziewanie dobrze zaspokajał jej ogromny apetyt na seks, coraz rzadziej myślała o Kevinie. Rankami, jak zwykle zdyscyplinowana, pracowała nad tezami

do książki, a z wyjątkiem dni spędzonych w londyńskiej bibliotece, poświęcała książce również popołudnia. Wieczorami natomiast, zadowolając się skromną kolacją, wyjmowała marmurowy zeszyt i z pełną szklanką brandy (ten luksus zawdzięczała pęczniącemu kontu bankowemu) dopisywała starannym, równym pismem kilka następnych stron do tekstu, który nieoczekiwanie przybierał formę „Kamasutry” z Little Haddow. I choć wszystko rozgrywało się w świecie fantazji, Ginevra doświadczała ogromnej przyjemności, nic bowiem nie było w stanie ograniczyć inwencji głównych bohaterów, no a ona, Ginevra, pierwszy raz w życiu była zarówno piękna, jak i kochana.

Rzeński poranek kolejnego pogodnego dnia zastał Davida i Harry'ego w domku na drzewie; pomysł tej kryjówki zrodził się w głowie ich ojca, wykonawstwo zaś należało do pana Phippsa. Liście potężnego buka, opierającego się czasowi, jak głosiła legenda, od czasów napoleońskich, tworzyły nad ich głowami na poły przezroczystą, zieloną czaszę, izolując obydwu, przynajmniej chwilowo, od skomplikowanego świata dorosłych.

- Wczorajszy dzień to kompletna katastrofa - oświadczył David.

- Co masz na myśli?

- Pytasz jak palant. Chyba widziałeś, co się wydarzyło.

- Mamusia była bardzo zdenerwowana. - Harry, który uwielbiał matkę, usiłował zapomnieć o malującym się na jej twarzy przygnębieniu.

- Mamusia zawsze się denerwuje, kiedy babcia i tatuś są razem - powiedział David.

To była prawda, i Harry, mały chłopiec, przeczulony na punkcie ciągłych napięć między dorosłymi, zamilkł.

Brat, pragmatyk jak wszyscy Braithwaite'owie, zawyrokował:

- Myślę, że mamusia powinna rzucić tatę.

Harry'emu ścisnęło się serce.

- Dlaczego tak mówisz?

- Jeżeli chcesz wiedzieć, to ona jest przez niego nieszczęśliwa. I wszystko, co robimy, musi być tak, jak chce tata. On nigdy jej nie słucha. Wiesz już teraz dlaczego?

- Nie! To nieprawda! Czasem jej słucha! Gdyby nie ustąpił mamie, to Merlin i Casimir wabilibyśmy się my, a nie koty!

Upłynęły dwie minuty na milczącej kontemplacji koszmaru, który (doprawdy niewiele brakowało) towarzyszyłby im przez całe życie.

- Czy pamiętasz - przypomniał sobie David - jak tata chciał, żebyśmy nazywali go Jackiem?

Oczywiście, że Harry pamiętał. Cała sprawa wprawiała go w poważne zakłopotanie. Zdawało mu się, że tata woli być raczej ich bratem niż ojcem. Na szczęście mamusia uznała pomysł ojca za niemądry i nie omieszkała powiedzieć tego głośno.

David, którego chęć szokowania młodszego brata była dzisiaj wprost nieprzeparta, drażył dalej:

- Myślę, że on pieprzy się z tamtą blondyną. Z tą całą Tessą.

Serce Harry'ego wędrowało w górę, aż do gardła, i w dół.

- Ale ona jest prawie w naszym wieku. No i ma męża.

David obrzucił młodszego brata protekcyjnym spojrzeniem.

- Naprawdę palant z ciebie. To żadna przeszkoda.

- Dlaczego tatuś miałby chcieć kogoś innego? Przecież ma naszą mamusię. - Harry uważał, że jego matka jest piękna.

- Wszyscy mężczyźni chcą - odparł trzynastoletni światowiec.

Kiedy ja się ożenię, na pewno nie zechcę, pomyślał Harry, dodając głośno:

- A co z kobietami?

- One się nie liczą.

- Ja uważam, że mamusia ma więcej do powiedzenia, niż ci się zdaje. Zresztą, weź choćby babcię.

Punkt dla Harry'ego. Pani Braithwaite jest kobietą władczą i nie ulega nikomu, ani mężczyznom, ani kobietom. Ku uldze młodszego brata, David się przytknął.

Nie na długo jednak.

- Myślisz, że oni to jeszcze ze sobą robią?

Harry, zmieszany, usiłował grać na zwłokę.

- Jacy oni?

- Mama i tata.

- Nie jestem pewien - odparł wykrętnie, byleby tylko znów nie wyjść na palanta, po namyśle jednak się poddał. - A co mieliby robić?

- No wiesz, seks, te rzeczy.

Poza znikomą wiedzą, nabytą w czasie krótkiej pogadanki wygłoszonej przez Jacka za namową Ellen oraz wrywkowymi, niezupełnie odpowiadającymi prawdzie informacjami, jakich w sposób autorytatywny dostarczał mu jego najlepszy przyjaciel ze szkoły, wyobrażenie Harry'ego o „tych rzeczach” nie było zbyt jasno ukształtowane.

- Sam nie wiem. Może są już za starzy?

- Hugo Prendergast - (najlepszy przyjaciel Davida) - mówi, że kiedy rodzice dochodzą do pewnego wieku, robią to z innymi. Przynajmniej jego rodzice.

Harry, obezwładniony jakąś mroczną tajemnicą, zapytywał sam siebie: O co tu chodzi? Po co miałyby się to robić z innymi, skoro człowiek ma kogoś, z kim się ożenił?

Ku jego uldze, pod konarami drzewa, na którym siedzieli, pojawiła się płowa łania, idąca do wodopoju. Z palcem na ustach, nakazującym milczenie, pokazał ją bratu. Brat zamilkł, ale ledwo łania zdążyła się nieco oddalić, zapytał:

- Czytałeś książkę mamy?

Harry zaczerwienił się. Czytał, to jasne. Wolał jednak zrobić unik.

- A ty czytałeś? Przecież mama nam zabroniła.

- J a s n e, że czytałem. Zresztą wszędzie jej pełno.

- I co o niej myślisz?

- Powiem krótko. Znasz to ciągle gadanie mamy, żeby się grzecznie zachowywać, żeby nie przeklinać. A książka wcale nie jest grzeczna. I wszyscy tam przeklinają.

Harry też to zauważył, ale przecież mama nie pisała powieści dla dzieci, tylko dla dorosłych. Lojalnie powstrzymał się od wygłoszenia opinii, za to wydusił z siebie pytanie, które najbardziej go gnębiło:

- A jak mama opuści tatę, to co będzie z nami?

- Pewnie zostaniemy z nią. Każdy wie, że tata nie potrafi zadbować nawet o siebie.

To, bądź co bądź, była prawda, i Harry'emu na myśl o tym, że zostanie z mamusią, zrobiło się lżej na sercu. Z drugiej strony, ten mały konserwatysta nie miał nic przeciwko temu, by wychowywali go oboje rodzice, choćby nie wiadomo jak było to dla nich niewygodne. Z zamętem w głowie zaczął schodzić po drabinie sznurowej.

- Wracam do domu.

Pomimo niespokojnej nocy Ellen wstała wcześniej i wyruszyła na poszukiwanie Jacka. Siedział na podłodze w jej pracowni, zajęty instalowaniem komputera. Widać było po jego minie, że jest skruszony.

- Przepraszam - powiedział na dzień dobry.

- Przepraszasz? Coś podobnego.

- Jak mogłaś mnie tam zostawić? - poskarżył się. -1 Dlaczego nikt mnie nie obudził?

- Myślisz, że to było możliwe? Spałeś jak zabity.

- Miałem nadzieję, że nie będziemy do tego wracać, ale z tobą tak zawsze. Niweczysz moje dobre chęci.

- No wiesz! Najpierw mruyczysz pod nosem najbardziej zdawkowe przeprosiny, jakie kiedykolwiek słyszałam, a po chwili zaczynasz mi wmawiać, że twoje niewłaściwe zachowanie wynikało wyłącznie z mojej winy. O nie, nie dam się w to wrobić! Twój wczorajszy występ był ohydny, jeśli chcesz wiedzieć. No i dostarczyłaś mamie dość argumentów na to, by długo się u nas nie pokazała!

Z płonącymi gniewem policzkami, ubrana jedynie w przezroczystą nocną bieliznę, jeszcze bez umalowanych oczu, Ellen wyglądała nadspodziewanie młodo i pociągająco. Jack powrócił my-

śłami do czasów studenckich, kiedy to w jednej chwili podbił go emanujący z oczarowanej nim dziewczyny spokój; wówczas, chyba za podszeptem instynktu samozachowawczego, uznał, że jeśli ma zamiar dojść do czegoś w życiu, powinien wesprzeć się na niej niczym na opoce.

Ze smutkiem zaglądając w głąb własnej duszy, zapytał:

- Co się z nami stało? Byliśmy sobie tak bliscy.

- Na tyle, na ile było ci to potrzebne.

Ellen w ten sposób przyznawała się do porażki, lecz nie potrafiła się powstrzymać przed wylaniem z siebie żalu o samotne noce i lata uwiązania w domu, kiedy to z braku pieniędzy nie stać jej było na zatrudnienie żadnej pomocy do dzieci, gdy tymczasem szanowny małżonek nie skąpił sobie uroków życia.

Jeszcze trochę, pomyślała Ellen, a Jack się rozpłacze. Zwykle to mężowie ocierają łzy z oczu żon, ale u nich wszystko było na odwrót. Miała tego dość. Okręciła się na pięcie i wyszła z pracowni.

Jack odłożył na bok śrubokręt, którym jeszcze niewiele zdziałał, i udał się za żoną do wspólnej sypialni. W niewielkim pomieszczeniu dominował portret Ellen, uważany przez Jacka za jedno z najlepszych dzieł w jego dorobku artystycznym. Przedstawił na nim żonę w półleżącej pozie, na szezlongu, tym samym, który zdobił teraz pracownię w Docklands. Poważna, piękna twarz, oczy spokojnie obserwujące artystę. Prawa ręka zastygła w geście wyjmowania szkarłatnej róży ze stojącego na podłodze wazonu z kwiatami. Na oparciu kanapy siedział Casimir, faworyt Ellen, a kocie spojrzenie miało w sobie coś z wyrazu oczu pani. Widok dawno zastygłej farby poruszył w sercu malarza czułą strunę. Jack zatęsknił za malowaniem, a jednocześnie zrozumiał, że jedyną jego muzą jest Ellen i że bez niej nigdy niczego by nie dokonał.

Przyklęknął obok stojącej przy oknie, zapatrzonej w ogród Ellen i czule ujął jej dłoń.

- Kochanie.

Niechętnie usposobiona wobec pustych gestów, Ellen skwitowała krótko:

- Och, wstań, Jack!

Jedyne, co mógł jeszcze zrobić, to wziąć żonę w ramiona. Lecz jakież było jego zdziwienie, kiedy Ellen, zamiast go odepchnąć, wybuchnęła płaczem.

- Och, Ellen, tylko nie płacz. Proszę cię. - Widok jej łez odbierał mu odwagę, bo jeśli ta opoka, za jaką niezmiennie uznawał żonę, zaczynała kru.izeć, to czego mógł się spodziewać po sobie samym? Zaniósł nie stawiającą oporu żonę na łóżko, rozebrał ją z szyfonowej bielizny i zaczął się z nią kochać, jak za dawnych dobrych czasów.

Już nigdy nie zdradzę Ellen, pomyślał, kiedy akt miłosny dobiegł końca. A po chwili, niby bezwiedne echo świętego Augustyna, dodał: Ale jeszcze nie od zaraz. Najpierw muszę mieć Tessę Lucas.

- Kocham cię, Ellen - wyszeptał, obsypując żonę pocałunkami. - Dobrze o tym wiesz. I potrzebuję ciebie. Nie opuścisz mnie nigdy, prawda? Obiecuj, że nigdy.

Nie doczekał się odpowiedzi.

Alexander Lucas wyszedł z biura w porze lunchu, zatopiony w rozmyślaniach nad swoim małżeństwem. Idąc szarym, zimnym chodnikiem St James, nie po raz pierwszy zadawał sobie pytanie, jak mógł, sam tak inteligentny i kulturalny, ożenić się z prymitywną arystokratką, i również nie po raz pierwszy sam sobie odpowiedział: ponieważ ta prymitywna arystokratką jest cudowna w łóżku. Alexander podejrzewał, że opętanie Tessą dotyczy wyłącznie ciała, bo gdyby w grę wchodziła miłość duchowa, ich wspólne pożycie byłoby zapewne znośniejsze. Tak czy inaczej, zżerała go zazdrość, i choć zazdrość jest uczuciem godnym poetów, to w życiu codziennym nieźle dawała mu się we znaki, a natrętne myśli o żonie spędzającej wolne chwile w cudzym łóżku burzyły jego spokój i nie pozostawiały wolnej chwili na zajęcie się poezją.

Choć, na dobrą sprawę, nigdy nie przyłapał Tessy na zdradzie, był prawie pewien, że nie jest mu wierna. Dzień za dniem, godzina za godziną dźwięczał w jego uszach dzwonek alarmowy. Każdy mężczyzna, do którego Tessa się odezwała, natychmiast stawał się podejrzany. Alexander nie potrafił powstrzymać się od ciągłego śledzenia spojrzeń żony i jej uśmiechów. A gdyby tak na przyjęciu u Hartingów Tessa była sama? W co przekształciłby się jej jawny flirt z Jackiem Careyem? Nie, te myśli są nie do zniesienia. Za każdym razem, kiedy odwoływał się do rozumu, rozum wypominał mu, że pomylił przygodę z małżeństwem. Tessa nadawała się na kochankę, ale nigdy na żonę. I co z niej zostanie, kiedy przeminie uroda, która pozwala zapomnieć o niedostatkach umysłu?

*O, nie daj się zwieść Czasowi,
Nie łudź się, że pokonasz Czas. **

W głębi serca Alexander był przekonany, że powinien porzucić tę blond Afrodytę, dopóki jest piękna i potrafi kogoś oczarować swoją urodą. I zanim on sam straci wszelkie złudzenia. Ale na razie... na razie...

Gdyby, tak jak Hartingowie, dysponował pokaźnym majątkiem, nie przesiadywałby teraz całymi dniami w wydawnictwie. Honor i męska duma nie pozwalały mu jednak utrzymywać się z pieniędzy żony. A poza tym praca w wydawnictwie była zgodna z jego zainteresowaniami i mógł tam w wolnych chwilach pisywać wiersze.

Wszedł do jakiegoś małego sklepiku, stanął w kolejce i kupił kanapkę z krewetkami i serem śmietankowym oraz puszkę piwa z zamiarem urządzenia sobie pikniku w parku. W kieszeni miał mały tomik Audena, którego poezję szczerze podziwiał. Na trawie było tłoczno od par, które urwały się z okolicznych biur na śniadaniowe randki, a także turystów i zasuszonych staruszek, wy-

* Fragment wiersza W.H.Audena w przekładzie Stanisława Barańczaka.

prowadzających na spacer czworonożnych, laciatych przyjaciół. Wyglądało na to, że ze znalezieniem spokojnego, ocienionego miejsca będą trudności. Alexander, krążąc tu i tam z głową nabitą myślami o tym, co i z kim żona robi pod jego nieobecność, dojrzał wreszcie ławkę, na której było wolne miejsce, za to jedyna siedząca na niej osoba prowadziła ze sobą ożywiony dialog. Odkładając na potem nurtujące go problemy, Alexander zajął się śniadaniem.

#**

Nieświadoma, że jest obiektem tak skomplikowanych rozważań, Tessa również zmagала się z wątpliwościami dotyczącymi swego małżeństwa. Spoglądając na nie chłodnym okiem, uważała, że przetrwało tak długo jedynie dzięki stałym zawieszoniom broni, i bezwiednie przychyliła się do opinii Alexandra, że stanowi ono związek ciał, a nie umysłów. I choć sama nie przywiązywała do tego większej uwagi, zdążyła się już przekonać na własnej skórze, że dla jej uduchowionego męża jest to problem nie lada. Dlaczego musiałam poślubić właśnie jego, zapytywała siebie w duchu od czasu do czasu.

Przyczyna, jeśli Tessa zadałaby sobie trud, by jej poszukać, leżała w tym, że Alexander imponował jej dojrzałością, a przede wszystkim intelektem. Traktowana przez własną rodzinę, w której wszyscy posiadali znakomite wykształcenie, jako zupełny głuptas, Tessa lubiła obracać się w kręgach intelektualnych, aby w ten sposób udowodnić, że jest coś warta. A poza tym schlebiał dziewczynie stworzony przez męża jej własny, romantyczny portret oraz to, że Alexander, przynajmniej na początku małżeństwa, usiłował oprócz urody dojrzeć w niej również zalety umysłu. Teraz, po pięciu latach związku i znacznie większej liczbie romanсів, zaczęła się zastanawiać, czy tego właśnie oczekiwała od życia. Kolejny kochanek zabijał nudę nie dłużej niż na chwilę. Pewnego dnia, z czym należało się liczyć, Alexander odkryje wszystkie jej miłosne ekscesy, a wtedy, myślała o tym z dreszczem grozy i perwersyjnej przyjemności, bomba wybuchnie. Do

tej pory nie obawiała się fizycznej agresji męża, choć porywczy temperament, jedna z mniej miłych cech jego charakteru, był niejednokrotnie w czasie trwania ich burzliwego związku wystawiany przez nią na ciężką próbę.

Tessa wzięła do ręki stojącą na toaletce, oprawioną w srebrną ramkę fotografię Alexandra i zaczęła ją uważnie studiować. Celtycka kombinacja niebieskich oczu i ciemnych włosów, które opadały aż na kołnierzyk koszuli, oraz orli nos nadawały twarzy atrakcyjny i nieco wyniosły wygląd, choć już na pierwszy rzut oka widać było, że jej właściciel jest introwertykiem. Oprócz tego dostrzegała Tessa naturalną elegancję i wyraz pewnego znużenia życiem, świetnie odpowiadające naturze poety, jakim Alexander był od czasu do czasu. Nie miała też cienia wątpliwości, że razem stanowią atrakcyjną parę. Wiedziała także, że mąż nigdy jej nie zdradził, no a poza tym nadal potrafił rozbudzić w niej zmysły. Więc co tu było nie tak? Dlaczego ciągnęli ją inni mężczyźni? Nigdy nie zajmowała się analizą własnego wnętrza, więc i tym razem nie przyszło jej do głowy, by się zastanowić, czy przyczyna problemów małżeńskich nie tkwi przypadkiem w tym, że ona nie potrafi wznieść się ponad cielesność, i czy ta cielesność nie zniszczy w ostatecznym rozrachunku i jej, i Alexandra.

Odstawiła fotografię na miejsce, spryskała się perfumami i zaczęła ubierać.

Zegarek wskazywał dziesiątą trzydzieści. Była śpiochem i nigdy nie potrafiła się naprawdę rozruszać wcześniej niż o jedenastej. Wyjęła z torebki gruby, sfatygowany od ciągłego kartkowania podręczny notes telefoniczny, odszukała numer bratowej, i kiedy w słuchawce zaterkotał głos pani Pond, spytała:

- Czy zastałam panią Harting?

Pani Pond poznała ją po głosie, nie omieszkała jednak zapytać:

- Tak, a kto mówi?

- Tessa Lucas.

- Jest w ogrodzie. Zaraz ją poproszę. - Pani Pond rzuciła słu-

chawkę z trzaskiem, który rozsadał uszy, i poczłapała na poszukiwanie swojej chlebobawczyni. Nie akceptowała Tessy, uważając, że siostra pana Hartinga zadziera nosa, toteż gdy zawołała: „Pani Harting! Dzwoni pani Lucas”, w jej głosie zabrzmiała wyraźna niechęć. Nie czekając na odpowiedź, wróciła do odkurzania.

Ze słuchawką przy uchu, na pół ogłuszona hałasem dobiegającym z drugiego końca linii, Tessa dziwiła się w duchu, jak Victoria potrafi wytrzymać z taką pomocą domową.

- Halo, Tesso, możesz chwilę zaczekać? - Krzyk Victorii przebijał się przez wibrację silnika. - Pani Pond! Pani Pond! Proszę przestać odkurzać! - Pani Pond wyłączyła elektroluks, lecz Tessa musiała jeszcze wysłuchać świstu z nadmierną energią zwijanego kabla, który musiał mieć co najmniej dwadzieścia metrów długości. - Dziękuję, pani Pond - usłyszała wreszcie głos Victorii i jej lekkie westchnienie. - Przepraszam, Tesso, za te hałasy. No więc, na czym to skończyłyśmy?

- Jeszcze nawet nie zaczęłyśmy - odparła Tessa. - Nie zaprosiłabyś mnie na lunch?

- Z miłą chęcią. A czy wybierasz się do mnie z jakiegoś szczególnego powodu? Oczywiście, tak tylko pytam. Wiesz przecież, że zawsze jesteś mile widziana.

- Potrzebuję twojej rady.

- Chyba nie w sprawie małżeństwa? - Victorii nie wypadało odmówić, choć nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę. Nadażanie za rozwojem napięcia w stadle Tessy i Alexandra było równie wyczerpujące jak organizowanie następnej wystawy Careya.

- Ależ oczywiście, że w sprawie małżeństwa. Skąd wiedziałas? Ale nie przejmuj się, chcę po prostu z kimś pogadać.

Raczej o kimś, pomyślała uszczypliwie Victoria, z góry podejrzewając szwagierkę o ukryte zamiary.

- Odpowiadałaby ci pierwsza? Pani Pond wyjdzie do tego czasu. A przedtem przygotowuje coś do przegryzienia.

- W porządku, zadowolę się listkiem sałaty. No to na razie.

Podczas przygotowywania sałaty Victorii przysłała do głowy myśl, że Tessa, nie mając nic do roboty, nie liczy się z czasem innych. Ciekawe, co też ukrywa w zanadrzu.

Nie od razu wyszło to na jaw. Tessa zaczęła od zwykłych narzekań na podejrzliwość męża. Poskarżyła się również, że Alexander poświęca jej za mało czasu.

- Ależ Tesso, on musi pracować. Wiesz przecież, że w przeciwieństwie do ciebie i Jamesa Alexander nie rozporządza własnym majątkiem. Jeśli się nudzisz, to dlaczego nie znajdziesz sobie jakiejś pracy? - Oby tylko nie w Galerii. Tego byłoby za wiele. I bez niej mają dość zmartwień.

Tessa popatrzyła na nią jak na kogoś nie całkiem przy zdrowych zmysłach.

- Ja miałabym pracować? Och nie, nie dałabym rady. Mam tyle innych spraw na głowie.

A niby jakich, pomyślała Victoria, i rzekła głośno:

- Nie mogłabyś popracować jako modelka? Ten rodzaj zajęcia doskonale mieściłby się w twoim napiętym rozkładzie dnia.

Sarkazm zawarty w ostatnich słowach chybił celu. Szwagierka i tak nie miała najmniejszego zamiaru zająć się żadną pracą. Nagle Victoria, zniecierpliwiona uchylaniem się Tessy od odpowiedzialności za własne kłopoty, prawdziwe czy urojone, i świadoma, że obie krążą wokół zupełnie różnych tematów, przypuściła frontalny atak.

- Dużo masz kochanków, Tesso? - spytała niby od niechceńia, popijając frascati.

Atak frontalny był specjalnością Tessy i prawie za każdym razem odnosił zamierzony skutek. Tym razem jednak to ją przeciwnik zaskoczył.

- Tak, dużo. Och, cholera, co też ja mówię.

Gdyby Victoria spytała o jednego kochanka, Tessa prawdopodobnie by zaprzeczyła, ale w tak sformułowanym pytaniu była już zawarta jakby pewna wiedza. Aby wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, poprawiła się:

- Jeśli chcesz wiedzieć, to nie tak znów dużo i nie wszystkich jednocześnie.

- A cóż to za jedni? - drażyla Victoria niby obojętnie, świadoma, że najlżejszy ślad przygany mógłby powstrzymać Tessę od rewelacyjnych wynurzeń.

Tessa zmarszczyła czoło, co było widomą oznaką koncentracji i, sięgnąwszy po notes, zaczęła wyliczać nazwiska. Zanośli się na całą litanię.

Przysłuchując się wyliczance (szwagierka doszła do litery D), Victoria pomyślała: Dziwne, że nie złapała jakiegoś paszkodztwa. Załóżmy, że nie. Alexander zamorduje ją, jeśli kiedykolwiek się o tym dowie. Jak do tej pory, nie wie o niczym, choć biorąc pod uwagę liczbę nazwisk, wyczyny Tessy muszą być już publiczną tajemnicą.

Kiedy nie padło nazwisko Careya, Victoria, poczuwszy ulgę, wypila następną łyk wina.

- Czy nie sądzisz, że Alexander coś podejrzewa?

- Nie, nie sądzę, choć jest ogromnie nieufny. Wystarczy, by ktoś zwrócił na mnie uwagę, a od razu wpada we wściekłość. Tak jak tamtego wieczoru. Pamiętasz? Zachował się niedorzecznie.

- Tak, pamiętam, choć to nie jego zachowanie było niedorzeczne - odpowiedziała wprost. - Chyba tyle powinnaś wiedzieć, że nie ma mężczyzny, w którym nie budziłyby się mordercze instynkty na widok ostentacyjnie flirtującej żony. Powiem ci, że to ty zepsułaś moje przyjęcie. - Nie wspomniała o roli Jacka. - Do czego właściwie zmierzasz? Chcesz nadal postępować tak jak dotychczas?

- No wiesz, wiele ludzi robi to samo. Weź choćby Carey ów.

- To co innego. Przypuszczam, że Ellen wie wszystko o stosunkach pozamałżeńskich Jacka, lecz przymyka na to oczy. Ale z tego, co mówisz, wynika, że między tobą a Alexandrem nie istnieje taki układ. Posłuchaj mnie, Tesso, jeśli on się dowie o tobie od kogoś postronnego, nie skończy się to dobrze.

Tessa nie lubiła wyrażenia „stosunek pozamałżeński”, choć w tej chwili nie o nią chodziło. Musiała jednak przyznać Victo-

rii rację. Z wyrazem niezdecydowania na twarzy przesuwała po talerzu plasterek ogórka.

- Być może powinnam mu to powiedzieć.

- Nie! To chyba nie najlepszy pomysł. - Victoria wpadła w panikę na myśl o skutkach, jakie mogłaby wywołać tak daleko posunięta szczerość, i to w kwestii, na którą męskie ego bywa szczególnie wrażliwe. - Jeśli dążysz do tak nieograniczonej swobody, dlaczego po prostu nie opuścisz Alexandra? Nie musisz go ranić, przyznając się do wszystkiego.

Tessa nie spodziewała się, że rozmowa przybierze taki obrót. Głównym celem, dla którego odwiedziła Victorie, była chęć zdobycia informacji dotyczących małżeństwa Careyów. Gdyby doszło do rozstania z Alexandrem, nie miałyby nic przeciwko poślubieniu sławnego malarza, jakim jest Jack. Wtedy dopiero mogłaby szaleć na przyjęciach i wernisażach, bo podobnie jak Jacka, tak i jej nie ograniczałyby żadne konwenanse towarzyskie, którym teraz musi się podporządkowywać. Odgarniając do tyłu lśniąca zasłonę włosów, nieświadoma tego, że - podobnie jak większość kobieciarzy - Jack przykłada inną miarę do siebie, a całkiem inną do kobiet, którymi się otacza, zdecydowała pokusić się o jego zdobycie.

Victoria, która nie potrafiła przeniknąć myśli Tessy, czuła się tak, jak gdyby po przejściu z wykrywaczem metali przez wielce obiecujące złożo dotarła na koniec do sterty żelastwa. Zawsze skłonna była przypuszczać, że Tessie nieraz zdarzyło się złamać przysięgę złożoną Alexandrowi, ale rejestr kochanków godny carycy Katarzyny dosłownie zwałił ją z nóg. Jakby mało było kłopotów z Careyem i jego wystawą. Chyba dla poprawienia kondycji powinna zafundować sobie tydzień pobytu w ośrodku wypoczynkowym Forest Mere.

- Robi się coraz goręcej. Czy nie wolałabyś posiedzieć w ogrodzie?

- Nie, dziękuję, już wychodzę. Mam nadzieję, że nie powiesz nikomu o naszej rozmowie. A zwłaszcza Jamesowi.

- Oczywiście że nie.

A jednak powiedziała. Nie potrafiłaby przemilczeć takich rewelacji przed Jamesem, a co więcej, nie powinna, gdyż sprawa Tessy dotyczyła całej rodziny.

Tego wieczoru James po powrocie do domu wyglądał na potwornie zmęczonego. Victoria nalala sobie porcję dżinu z tomkiem, mężowi szklankę jego ulubionego chardonnay, i wyszła za nim do ogrodu. James rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli.

- Chryste, ale gorąco!

- Udał ci się dzień?

- Nieszczęśliwie. Rano dostałem fax od Maybricka. Pyta, czy na wystawie znajdzie się coś dla jego muzeum.

Harold Maybrick był amerykańskim kolekcjonerem, który kupił już cztery obrazy Jacka i teraz palił się do następnego zakupu.

-1 co mu odpowiedziałeś?

James wzruszył ramionami.

- A jak myślisz? Grałem na zwłokę. Wyjaśniłem, że Jack jest na wsi, że planuję spotkanie z nim pod koniec tygodnia, kiedy wróci, i że potem zadzwonię w sprawie obrazów.

- Ależ James, zważywszy, jak Jack się prowadzi, to nie nastąpi nigdy.

James łyknął duży haust wina.

- Wiem, ale mam nadzieję, że wraz z przyjazdem Ellen wszystko jakoś się ułoży. Na razie skończmy z Jackiem. Przyznam ci się, że mam dość rozmów na jego temat.

- Zgoda. Ja też. Porozmawiajmy o Tessie.

- O Tessie? - Spojrzał na nią zdziwiony. - Czyżbyś się z nią widziała?

- Przyszła na lunch. Teraz bądź grzecznym chłopczykiem i zamień się w słuch. Tylko nie waż się przerywać.

Wysłuchawszy opowieści żony, James długo nie mógł przyjść do siebie. W końcu przemówił:

- Nigdy nie słyszałem o nikim, kto byłby aż tak wiarołomny.

No cóż, Tessa, jeśli już coś robi, to do końca. Nie mogę tylko wyjść z podziwu, że echa jej szaleńczej aktywności jeszcze nie dotarły do Alexandra. Co, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić?

- Nie ma tu nic do zrobienia. Sądziłam jednak, że powinienś wiedzieć o wszystkim, skoro sprawy zaszły tak daleko, że bomba w rodzinie może wybuchnąć lada chwila.

- Odnoszę wrażenie, że to małżeństwo, niby góra lodowa, kryje się głównie pod powierzchnią. Miejmy nadzieję, że Tessa wyprowadzi je na spokojne wody. Ostatecznie skończyła już dwadzieścia pięć lat i jest całkiem dużą dziewczynką. Ja mam dość kłopotów z Careyem. Nie będę się wtrącał do Lucasów. Zresztą zawsze byłem zdania, że moja siostra doprowadzi Alexandra do szaleństwa.

- Możliwe, że odejdzie od niego, nie podając powodu.

- Biedaczysko, tak chyba byłoby dla niego najlepiej. Czy to twoja rada?

- Tak.

- A czy Tessa kiedykolwiek cię posłuchała?

- Nie, nigdy. Zawsze traciłam czas na próżno.

- Tessa jest nie do pokonania - orzekł jej brat. - Cokolwiek by się zdarzyło, zawsze wychodzi cało. To Alexander będzie potrzebował naszej pomocy.

- Nie byłabym tego taka pewna. Być może, że pod pozorami bezradności drzemie w nim stalowa siła. I myślę, że w końcu to on odejdzie. Tessa jest jak pożar krwi, szybko gaśnie, bo nie ma czym się sycić. To małżeństwo nie było im potrzebne. Szkoda, że nie poprzestali na namiętym romansie.

- Mają i jedno, i drugie. Ja natomiast mam dość nie tylko Careya, ale i ich również. Zwłaszcza wtedy, kiedy należy mi się odpoczynek.

- Mój biedaku! Przyniosę ci jeszcze jedną szklanekę wina.

Pocałował ją.

- Pozwól, że ja to zrobię.

- Nie, tobie należy się odpoczynek, sam tak powiedziałeś.

- No to ty przynieś.

7

Chłopcy mieli zostać odwiezieni do swoich szkół przez wracającego do Londynu Jacka, a Ellen przy pomocy pani Phipps zamierzała zająć się doprowadzeniem domu do porządku. Jack z zadowoleniem przystał na harmonogram przygotowany przez Jamesa i Ellen. Po pierwsze, ocenił, da się weń wpasować sporadyczne randki z Tessa, a po drugie, jeśli Ellen zamieszka w pracowni, to w kredensie będzie pod dostatkiem pasty śniadaniowej do chleba, a w lodówce mleka. Gorzej z whisky, ale tu postanowił zrobić ukłon w stronę Tessy.

Ochota do malowania, jakiej Jack nabrał, przyglądając się portretowi żony, jeszcze nie minęła, choć gdyby miał przystąpić do pracy, wolałby raczej zacząć od aktu Tessy niż od płócien abstrakcyjnych, na jakie liczyła Galeria. Po raz pierwszy od miesięcy ogarnęło go natchnienie twórcze, a przed oczyma zaczęły tańczyć kolory, niczym szkiełka w kalejdoskopie.

David i Harry, ze słuchawkami walkmanów na uszach, siedząc obok siebie na tylnym siedzeniu samochodu, kontemplerowali przesuwający się za oknem krajobraz. Jack zostawiał starszego syna po drodze, a z młodszym jechał aż do Londynu, gdzie mieściła się szkoła wstępna.

Byli już na obsadzonej drzewami drodze dojazdowej do Palladian House, wspaniałego gmachu, w którym mieściła się szkoła Davida. Samochód podskakiwał rytmicznie na ograniczających prędkość progach, co bynajmniej nie przeszkadzało Ja-

ckowi rozmyślać nad pozą, w jakiej będzie malował Tesse. Wbrew swej młodości, dziewczyna emanowała aurą doświadczenia życiowego, co upodobiło ją do Wenus z obrazów Cranacha. Może by tak sportretować ją nago, tylko w kapeluszu? Niezły pomysł, pomyślał, lecz nie wiadomo, czy Tessa się na to zgodzi, a poza tym, jaki to miałby być kapelusz?

Podjechał pod budynek szkolny i zatrzymał samochód na miejscu zarezerwowanym dla dyrektora szkoły.

- Tatusiu! Nie możesz tutaj parkować.

- Przecież to tylko pięć minut. Mógłbyś zebrać swoje rzeczy? - Wniósł razem z Davidem jego torbę do budynku i pogrzebał w podniszczonym portfelu. - Masz tu dychę, starszaku, powinna ci starczyć do wakacji.

- Och, dziękuję ci, tato!

Uściskali się na pożegnanie, a Harry w tym czasie przesiadł się na miejsce obok kierowcy. Miał nadzieję, że tatuś, choć zwykle bywa roztargniony, nie zapomni w odpowiednim momencie wręczyć i jemu dziesięciofuntowego banknotu. Przy akompaniamencie stłumionego brzęczenia w słuchawkach Harry'ego ojciec i syn przejechali w milczeniu pozostałą część drogi do Londynu. Po odwiezieniu młodszego dziecka, już w drodze do pracowni, Jack kupił trochę szkockiej i coś do jedzenia.

W pracowni panował zaduch. Jack, wzbijając z potrącanych po drodze przywędłych roślin tumany kurzu, pośpiesznie otwierał okna. Z przyjemnością zauważył, jak dzięki temu pomieszczenie wypełnia się inną barwą światła. Przeszedł do kuchni i jeszcze przed rozpakowaniem zakupów pozwolił sobie na odrobinę whisky. Otworzył lodówkę. Wewnątrz, pośrodku półki, leżało coś, co bardzo przypominało pomarszczoną głowę, obrośniętą pleśnią niby wianuszkiem sterczących na wszystkie strony włosów. Co też to mogło być? Jack i głowa przyjrzeni się sobie nawzajem, po czym artysta, zostawiając wokół głowy trochę wolnej przestrzeni, ostrożnie rozmieścił na półkach przyniesione zakupy. Usunięcie głowy chyba nie do niego należało.

Po zrobieniu kanapki, krusząc po drodze razowcem, przeszedł z wolna do pracowni, rozsiadł się na szeslongu i włączył automatyczną sekretarkę. Pierwsza wiadomość, nagrana płaczącym głosem, pochodziła od aktualnej kochanki, o której kompletnie zapomniał w związku z wyjazdem na wieś, ale bardziej chyba przez zamieszanie, jakiego narobiła Tessa. Dziewczyna skarżyła się, że wystawił ją do wiatru. Pod kinem. Rzeczywiście, kołotało mu się po głowie, że umówił się na jakieś spotkanie przy MGM na Baker Street. *Nawet nie zależało mi na filmie.* Głos to wznosił się, to opadał falą rozczarowania. *Zgodziłam się jedynie dlatego, że ty chciałeś go obejrzeć.*

Jak miał jej powiedzieć, że było i minęło? Jeśli idzie o takie sprawy, zwykle tchórzył. Po pewnym namyśle zdecydował się załatwić sprawę rozstania listownie, gdyż inaczej - zdarzało się to już niejednokrotnie - dziewczyna całymi tygodniami będzie się pewnie wyplakiwać w jego kasetę.

Tu James Harting, przywitał go kolejny zapis. Środa, szósta po południu. Próbowałem złapać cię na wsi, ale już wyjechałeś. Dzwonił Maybrick ze Stanów. Pyta, jak ci idzie. Ja zresztą też jestem ciekaw. Prosiłbym cię, żebyś jutro rano, odkładając wszystkie inne sprawy, zadzwonił do mnie. Musimy się umówić na spotkanie. Najlepiej w twojej pracowni. Przy okazji zobaczyłbym to, co masz na warsztacie.

Jack nic sobie z Maybricka nie robił; nie dotyczyło to jednak jego dolarów. Wiedząc, że nie trzeba się zbytnio wysilać, aby utrafić w gust Amerykanina, pomyślał: Strzelę mu dwie sztuki w jeden ranek. Może nawet jutro. Przynajmniej wszyscy przymkną się na chwilę.

Wreszcie usłyszał głos Tessy. *Cześć, Jack! A może powinnam powiedzieć Reginald? - (Bezczelna!) - To co, spotkamy się? Może jutro rano? Byle nie za wcześnie. Naprawdę nie potrafię się wygrzebać z łóżka przed dziesiątą. Powiedzmy, o dwunastej, dobrze? A demain.*

Zapominając całkiem o Maybricku, Jack zaczął przerzucać stos czystych płócien i wybrał jedno z nich. Najpierw będzie pierzenie, a potem malowanie. Albo na odwrót.

Tego wieczoru Alexander i Tessa wybrali się na przyjęcie. Tessa kochała wszelkie przyjęcia, Alexander zdecydowanie wolał prozane obiady. Męczyły go wielkie spędy na stojąco, na których ludzie musieli się nawzajem przekrzykiwać, by w ogóle coś usłyszeć. Tessie natomiast, która i tak komunikowała się z innymi w sposób najbardziej powierzchowny z możliwych, ten tłok wcale nie przeszkadzał. Wyglądało na to, że na dzisiejszej imprezie zna całe mnóstwo osób, a już na pewno znacznie więcej niż Alexander. Natychmiast ruszył w jej kierunku długi wąż mężczyzn z powitalnymi całusami, przy czym ze strony niektórych panów nie obywało się bez wymownych spojrzeń. Alexander poczuł się zagubiony.

Mimo że Tessa, przyprowadzając ze sobą męża, brała pod uwagę pewne ryzyko, teraz była w swoim żywiole. W połyskującym cekinami czarnym gorseciku bez ramiączek i w czarnej, atlasowej spódnicy, jak zwykle, szerokości bandaża, krążyła po pokoju, obrzucana bynajmniej nie dyskretnymi spojrzeniami.

- Czyje to właściwie przyjęcie, Tesso? - spytał Alexander, kiedy wreszcie udało mu się natknąć w tłumie na żonę.

- Zdaje mi się, że moje, tak świetnie się bawię.

- Pytam serio.

- Nie jestem pewna, słowo daję. Zaprosił mnie tu Charlie Inchcape, ale nie sądzę, by on je wydawał.

Alexander zauważył, że Tessa powiedziała „mnie”, nie „nas”.

- Gdzie poznałaś tych wszystkich ludzi?

Scena zazdrości zbliżała się niebezpiecznie. Tessa odpowiedziała obojętnym tonem:

- Tu i ówdzie, jak to się mówi. Dlaczego nie podejdziesz do Charlie'ego i nie przywitasz się z nim? On wie wszystko o wszystkich.

I sama pozęglowała w stronę Charlie'ego, a Alexander podążył jej śladem, żałując w duchu, że się tu w ogóle znalazł.

- Charlie!

- Tessa, kochanie!

Nastąpił zgodny z obowiązującym rytuałem uścisk, jak na gust Alexandra, o wiele za długi.

Wysuwając się z objęć Tessy, Charlie powiedział:

- Nie przedstawiłaś mnie swojemu przyjacielowi.

- To nie jest mój przyjaciel, to mój mąż. Alexander Lucas, Charlie Inchcape. Charlie Inchcape, Alexander Lucas. - Wypowiedziane zdanie nie zabrzmiało tak, jakby chciała.

- Twój mąż? - Charlie popatrzył zdziwiony. - Nie wiedziałem, że jesteś...

- Tak, mój mąż. - Tessa posłała mu wymowne spojrzenie.

Charlie zerknął na boki, po czym wzrok obu mężczyzn spotkał się na serdecznym palcu lewej ręki Tessy. Nic na nim nie było.

- Gdzie masz obrączkę? - Wspaniałe ciemne brwi Alexandra natychmiast się ściągnęły, a w jego głosie zabrzmiała oskarżycielska nuta.

i

- Pewnie zsunęła mi się z palca, kiedy myłam ręce przed wyjściem.

Obrączka, przedmiot dociekań, była klejnotem rodzinnym i niegdyś należała do prababki Alexandra. Zdobiający ją duży kamień często o coś zaczepiał i Tessa nabrała zwyczaju, dobrze znanego mężowi, by zdejmować ją przed każdym aktem miłym.

Niech to piekło pochłonie, musiała zapomnieć o niej pod koniec popołudniowej randki w mieszkaniu Sama Jessopa, który pewnie gdzieś tu się kręci. Mógłby mieć na tyle rozumu, by przynieść obrączkę ze sobą.

Należało działać szybko. Aby odnaleźć Sama, musiała pozbyć się na chwilę Alexandra. Tego z kolei nie mogła zostawić w towarzystwie Charlie'ego.

- Kochanie, czy nie zechciałbyś przynieść mi jeszcze jednego drinka? Ja tymczasem zniknę na chwilę w toalecie. A potem chyba będziemy się zbierać, nie uważasz? Pa, Charlie.

Energicznie posterowała mężem w stronę baru, a sama, przepychając się przez porządnie już zatłoczone pomieszczenie,

ostatecznie odnalazła Jessopa na schodach. Siedział obok jakiejś brunetki, pochłonięty rozmową, i wcale nie wyglądał na zadowolonego z wtargnięcia intruza.

- Cześć, Tessa.

- Sam, czy masz może moją obrączkę?

Sam podniósł rękę. Na małym palcu lśniło złote kółko. Dostrzegając kątem oka, że Alexander z dwiema szklankami czerwonego wina się zbliża, Tessa ponagliła kochanka:

- Mógłbyś mi ją dać?

Sytuacja stawała się coraz groźniejsza, ponieważ Sam nie mógł się uporać ze zdjęciem obrączki. Tessa już miała powiedzieć: „Nie przejmuj się, odbiorę ją sobie innym razem”, kiedy wreszcie mu się udało. I nim mąż zdążył cokolwiek zauważyć, Tessa wrzuciła obrączkę do tej samej złotej torebki, do której Jack wsunął kiedyś swoją wizytówkę.

- To mój mąż, Alexander.

Okazuje się, że ma męża, pomyślał Sam, i szybko zripostował:

- Moja narzeczona, Celia.

No proszę, ma narzeczoną. Ciekawe, jak wytłumaczy się przed nią z tej obrączki.

Wsuwając rękę pod ramię Alexandra, Tessa oznajmiła:

- Obawiam się, że od razu musimy się pożegnać. Jesteśmy umówieni jeszcze w innym miejscu, prawda, kochanie?

- Skoro tak mówisz...

- Tak, kochanie.

Wyszli. W drodze do domu, w taksówce, panowało milczenie. Z kilkuletniego doświadczenia Tessa wiedziała, że jej mąż albo ma właśnie wenę twórczą i układa kolejny wiersz, albo po prostu tłumi w sobie furię. Sposób, w jaki trzasnął drzwiami wejściowymi, rozwiewał wszelkie wątpliwości.

Alexander pierwsze kroki skierował do łazienki.

- Nie ma jej tutaj!

- J u ż się znalazła. Spójrz tylko. - Wyłowiła obrączkę z dna torebki, wsunęła ją na palec i, aby skończyć z kłopotliwym te-

matem, zapytała jak gdyby nigdy nic: - Nie zjadłbyś czegoś? Co powiesz na omelet? A może skoczmy coś przekąsić na King's Road?

- Nie jestem głodny. - Mina Alexandra przypominała chmurę gradową. - Coś mi się zdaje, że wiadomość o tym, iż jesteś mężatką, zaskoczyła dzisiaj wielu mężczyzn. A zwłaszcza Inchcape'a. Czy to twój kochanek?

Widząc pojawiające się pod czarnymi brwiami błyskawice gniewu, Tessa poniechała wzniosłej myśli o jakichkolwiek wyznaniach. Victoria miała rację. Dżentelmen, jakim był Alexander w zwykłych okolicznościach, w gniewie nie panował nad sobą. Bóg jeden wie, na co byłoby go stać, gdyby powiedziała „tak”.

Czując twardy grunt pod nogami, jako że Charlie był jednym z niewielu mężczyzn, z którym nic jej nie łączyło, Tessa oburzyła się:

- Ależ skąd! Jak możesz mnie podejrzewać o coś takiego? Czasami myślę, że w ogóle mi nie ufasz.

- Masz cholerną rację! Nie ufam ci!

Tego już było za wiele. Tessie przestało zależeć na łagodnym wyjściu z opresji.

- J a k śmiesz mówić do mnie w ten sposób!

-Suka!

- Bękart!

Zamierzając się do ciosu, potrąciła ślubną fotografię, która z brzękiem szkła wpadła do kominka. Alexander w obronie własnej chwycił żonę za przegub i szarpnął do siebie. Oboje stracili równowagę, upadli na kanapę i w ferworze dalszej walki zsunęli się na podłogę. Tessa, która grała w tenisa i pływała, miała silne, wysportowane ciało, więc wcale nie zamierzała ustąpić. Biła, kopała i drapała gdzie popadło, aż do chwili, gdy agresja męża przerodziła się w miłosne uniesienie i gorące pocałunki. Niby skórkę z apetycznej brzoskwini ściągnął Alexander z żony gorsecik, spódniczkę i jedwabne figi, po czym wtargnął gwałtownie między jej gładkie, nagie nogi. Tessa, której z całej-

go stroju pozostały jedynie srebrne pantofelki na wysokich obcasach, ochoczo uległa namiętności męża.

W Little Haddow nastąpiły upały nie do zniesienia. Ginevra, mimo że wolała przebywać w czterech ścianach niż na tak zwanym świeżym powietrzu, zmuszona była pewnego ranka zaprzestać pracy przy komputerze i przeniosła się do ogrodu. Wyposażona jedynie w długopis i notatnik, w wystrzępionym słomkowym kapeluszu, rozłożyła się na staromodnym pasiastym leżaku, takim, jakie zapewniają plaże nadmorskich kąpielisk. Pracując na co dzień w szczelnym, wyciszonym saloniku, nie zdawała sobie sprawy z hałasu, jaki czynią różne drobne żyjątka, nawet w tak spokojnym zakątku, jakim był jej własny ogród. Przede wszystkim zaskoczyło ją to, że tak wiele rzeczy dzieje się naraz. Jednocześnie brzęczały pszczoły, śpiewały ptaki, szumiały drzewa, a jakby tego było mało, gdzieś z pola dobiegało ochryple skrzeczenie stada gawronów. Ulokowana w samym środku ogólnego zgiełku, Ginevra rejestrowała kątem oka kapryśny lot motyli, a także niestrudzoną aktywność setek mrówek, krzątających się wokół jej schollowskich sandałów. Widząc, że niezawodny umysł odmawia jej tym razem posłuszeństwa, postanowiła odłożyć notatki i poddać się rytmowi dnia. Kapitan Morgan, który tylko czekał na taką kapitulację, wskoczył swojej pani na kolana i, dokładnie oczyściwszy łapą postrzępione ucho, ułożył się najwygodniej, jak mógł, mrużeniem wyrażając zadowolenie, że udało mu się skorzystać z tak rzadkiego przywileju.

Głaszcząc w roztertaniu szorstką kocią sierść, Ginevra dokonała krótkiego przeglądu swych włości. Wyglądało na to, że jeszcze trochę, a wysoka trawa, usiana cheladoniami, przetacznikami, firletkami i jaskrami, uschnie tak dokładnie, iż bez koszenia zamieni się w siano, a nie pielęgnowane róże lada dzień poddadzą się ostatecznie w nierównej walce z mszycami. Patrząc na popękana, wysuszoną glebę, Ginevra pomyślała: Czu-

ję się wyjałowiona, jak ziemia, na której siedzę. Zaczynam żyć i staję się sobą jedynie nocą, gdy zapisuję stronice marmurkowego zeszytu. A historia w zeszycie to nic innego jak miraż, który pod koniec dnia faluje złudą nad pustynią mojego ciała.

Nagle zdała sobie sprawę, że kolejny dźwięk, jaki wwierca się jej w uszy od dłuższej chwili, pochodzi z głębi domu. Telefon. Czarny, przedpotopowy aparat, pasujący jak ulał do wnętrza Pear Tree Cottage, odzywał się zwykle dziwnie urywanym sygnałem, jak gdyby nie był pewny swoich możliwości przekazywania głosu poprzez setki kilometrów eteru.

Ginevra pośpiesznie chwyciła słuchawkę.

- Tu Ginevra Haye - powiedziała dobitnie, chcąc wyrównać niedoskonałość aparatu.

- Mówi Ellen, Ginevra, Ellen Carey. Czy nie dzwonię przypadkiem w nieodpowiedniej chwili?

Ciekawe, pomyślała Ginevra. Jak to się dzieje, że żaden z mężczyzn, z którymi miewam do czynienia, nie zadaje takiego pytania; wręcz przeciwnie, wszyscy uważają, że tylko ich czas się liczy, a ja powinnam dostosować się do odpowiadającej im pory.

- Nie, skąd. - Przed oczami Ginevry pojawił się obraz ślicznej, pełnej wdzięku Ellen, przy tym uprzejmej i dobrze wychowanej. Aż nazbyt często ludzie obdarzeni urodą lub upojeni sukcesem traktują lekceważąco tych, z którymi los obchodzi się mniej łaskawie.

- Jeśli dobrze pamiętam, pracujesz na Amstradzie. Skoro tak, to pewnie potrafiłabyś mi pomóc. Właśnie Jack ufundował mi taki prezent, a ponieważ brak mi zdolności, jakimi obdarzone są dzisiejsze dzieci, nie mam najmniejszego pojęcia, jak się do niego zabrać. Z przerażeniem patrzę na dołączone do komputera pliki instrukcji.

- Jasne, większość z nich jest pisana specjalnie po to, żeby początkujących użytkowników doprowadzić do rozpaczcy. Wolno spytać, po co ci ten Amstrad?

- Oczywiście. Piszę powieść, lecz poza najbliższą rodziną,

a teraz tobą, nikt o tym nie wie. Wolałabym, żeby sprawa została między nami, zwłaszcza że książka może nigdy nie ujrzeć światła dziennego, bo jak na razie, z nikim nie podpisałam umowy na jej wydanie. Na początek chciałabym sama wgrzyźć się w problem komputera. Mam tu taki przewodnik dla idiotów, który firma przemyślnie dołączyła do tamtych instrukcji. Może uda mi się opanować podstawy, ale jeśli będę musiała dać za wygraną, czy pozwolisz, żebym przyjechała do ciebie na krótkie przeszkolenie? Wiem, że jesteś zajęta i że proszę o zbyt wiele, więc spokojnie możesz mi odmówić. Potrafię to zrozumieć.

Tak, ja bym też potrafiła, zgodziła się z nią w duchu Ginevra, a myśl o wizycie Ellen przepełniła ją radością.

- Żaden problem. W rzeczywistości pisanie na komputerze jest podobne do pisania na maszynie. Prędko dojdiesz do wniosku, że nie ma nic łatwiejszego, no i wygodniejszego. Możesz mi podać bliższe dane twojego Amstrada?

Ellen miała przygotowaną kartkę z numerami.

- P C 1640 HD 30.

- Wspaniale, taki sam jak mój. Może wolisz, żebym ja do ciebie przyjechała?

- Ależ nie, ani mi w głowie nadużywać twojej uprzejmości. Kiedy już jakoś ruszę z miejsca, jeszcze raz do ciebie zadzwonię, o ile oczywiście pozwolisz, i wtedy umówimy się na jakiś konkretny termin. Naprawdę jestem ci niewypowiedzianie wdzięczna, Ginevra. Dziękuję.

Po skończonej rozmowie Ginevra jeszcze przez kilka minut stała w miejscu, zapatrzona w okno. Nagle ogarnęło ją prężne pragnienie, by znaleźć w Ellen przyjaciółkę, zaraz potem zaś smutna świadomość własnej samotności.

Jeszcze trochę, pomyślała, a zamienię się w odludka i większą grono tych szalonych, omijanych z daleka kobiet, które gestykułując mówią do siebie na ulicy. Powinnam skończyć z samotnością i częściej wrywać się z Pear Tree Cottage, bo inaczej dojdzie do tego szybciej, niż się spodziewam.

Nastawiając wodę na kawę, postanowiła podczas najbliższego wyjazdu do Londynu odwiedzić w porze lunchu Victorię, a dopiero potem udać się do biblioteki.

Jack, choć to sobie obiecywał, nie zajął się od rana obrazami dla Maybricka. Nie skontaktował się także z Jamesem Hartingiem. Czekał na Tessę. Zaszła w nim jednak pewna zmiana, bo do malowania jej portretu postanowił podejść w sposób metodyczny i zacząć od szkiców. W pracowni iadal panowała atmosfera nieładu i zaniedbania, a beztraska, z jaką Jack odnosił się do porządków, wskazywała na to, że dopiero po przyjeździe Ellen coś się tu zmieni. Kierując się zaleceniami Tessy, wstawił do lodówki butelkę białego wina, a poza tym, już z własnej inicjatywy, pościelił łóżka. Miał nadzieję, że Tessa tym razem go nie zawiedzie.

Nie zawiodła. Co więcej, przyszła o umówionej godzinie.

- Już jest schłodzony - powiedziała, wręczając Jackowi papierową torbę.

W torbie była butelka szampana, trunek nazywany zwykle przez Jacka kocimi siuškami. Wszelako użycie tego określenia przy dzisiejszej okazji nie wydało mu się najszcześniejsze, co więcej, nie zaniedbał głośnych podziękowań, lecz zaraz po nich, ukradkiem, wcisnął butelkę do lodówki, tuż obok pomarszczonej głowy. Szkoda, że to nie whisky, westchnął z żalem i stwierdził, że należy Tessę nieco podszkolić.

W pracowni czekała go niespodzianka: Tessa zdążyła się już rozebrać i, spowita w sączący się przez okno słoneczny blask, stała pośrodku pokoju, nieruchoma niby odlany ze złota, nieświadomy swoich wdzięków posąg. Szczupłe ciało emanowało zmysłowością, której źródłem były niewątpliwie wysokie piersi o bardziej pełnych kształtach, niżby nakazywała preferująca nadmierną chudość moda. Jack oczami malarza chłonał płynne, miękkie linie, podobnie jak kiedyś, dawno, gdy po raz pierwszy stanął przed antycznym posągiem z brązu.

Odezwał się telefon. Pewnie Harting. Nie odrywając wzroku od Tessy, Jack przeczekał wszystkie dzwonki, i, dla świętego spokoju, odłożył słuchawkę na bok.

- Gdzie szampan?
- Chcesz, żebym go teraz otworzył?
- Oczywiście! Przecież po to go przyniosłam.

Jack wziął z kuchni dwa kieliszki.

- Za nas!
- Za nas!
- Chcesz mnie najpierw malować czy pieprzyć? - zainteresowało się blond bóstwo. Jackowi, zaskoczonemu, że Tessa w ogóle pyta go o zdanie, zabrakło odrobiny silnej woli, by wybrać to pierwsze. Spytał tylko:

- Zawsze jesteś taka bezpośrednia?
- Zawsze. Po co się bawić w kotka i myszkę, kiedy z góry wiadomo, o co chodzi?

Jack był podobnego zdania, aczkolwiek nie spotkał dotychczas kobiety, która nie uprawiała by takiej gry.

- Zanim jednak wykonasz kolejne posunięcie, zakładając, że w ogóle je wykonasz, chętnie wypiłabym następny kieliszek.

Kiedy wrócił z szampanem, Tessa była już w sypialni. Stała przed sztychem, który Ellen wygrzebała kiedyś w jakimś antykwariacie czy innej rupieciarni. Z lewej strony u dołu znajdował się napis: „Venus Gratiarum artibus exornata”, a z prawej tłumaczenie: „Wenus strojona przez Gracje”. Pulchną Wenus, w półleżącej pozycji, i, czego Ellen nie omieszkała wytknąć, z głupawym uśmiechem na twarzy, otaczały trzy Gracje. Jedna wpinała jej we włosy opaskę z klejnotów, druga wiązała sandał, a trzecia zapinała bransoletę na przegubie. Pomiędzy rozchylonymi udami leżącej stał Kupidyn, który chwilowo złożył swój kołczan u stóp bogini, i teraz, podając kołczyk, manifestował swój udział w całym akcie. Wszystkie trzy Gracje obnosiły nagie piersi, lecz poza tym ich ciała były ukryte pod zwykłymi szatami; nie wyglądało natomiast na to, by choć jedna z nich miała zamiar przyodziąć Wenus, która wciąż pozostawała naga,

jeśli nie liczyć skrawka materii, udrapowanego tak, by zakrywał jedynie jej łono. U góry połączanej, łuszczącej się ramy, ktoś - pewnie nikt inny, tylko sama Ellen - zatknął wielką, płomiennopomarańczową jedwabną różę, która równie dobrze mogłaby zdobić weselny kapeluszyk z ostatniego aktu sztuki granej w podrzędnym teatrze.

- Nie miałabym nic przeciwko takiemu życiu - rozmarzyła się Tessa na widok rozleniwiającej scenki.

- To Guido Reni - oznajmił Jack i, przypomniawszy sobie, po co przyszedł, podał jej kieliszek szampana tak wytwornym gestem, że sam poczuł się jak jedna z Gracji. ,

Tessa, z kieliszkiem w rękę, wsparła się na poduszkach.

- No to zaczynamy - powiedziała.

Ku zaskoczeniu Jacka, który sądził, że w związku ze stosunkowo młodym wiekiem nowej kochanki to on będzie mistrzem gry miłosnej, Tessa wykazała się w łóżku nieprawdopodobną wprost inwencją. Sprawy zaczynały nabierać niepokojącego obrotu.

Kiedy w końcu było po wszystkim i para kochanków rozłączyła się bez jednego czułego gestu, Jack postanowił nie marnować czasu.

- Nim zacznę cię malować, chciałbym najpierw zrobić kilka szkiców.

- Nie mam nic przeciwko temu. Gdzie?

- W pracowni. Tam jest lepsze światło.

Jack przystąpił do pracy, pełen podziwu dla Tessy, która weszła w swoją rolę z absolutnym brakiem wszelkich zahamowań. Zarazony jej swobodą, szybko sam się rozluźnił, dzięki czemu jego kreska nabrała czystości rysunku, z której słyndł za czasów akademickich, a którą utracił dawno temu. Tessie, być może, trudno byłoby rywalizować z zawodową modelką, za to emanujące z niej rozpasanie, w połączeniu z młodością i urodą, dzięki wprawnej ręce malarza eksplodowało na białej kartce papieru z niezwykłą ekspresją.

- Co cię trzyma przy Alexandrze? - spytał Jack, pochłonię-

ty szkicowaniem. Tessa, z rozsuniętymi nogami, niedbale wspierała się o oparcie szezlonga.

- Chyba jest mi potrzebny ktoś, kto by się mną opiekował - odparła wymijająco.

Potrzebny jak diabli, pomyślał Jack.

- A co ciebie zatrzymuje przy Ellen?

Jack powstrzymał cisnące mu się na usta słowa: „Wbrew pozorom, wciąż ją kocham”. Dobrze wiedział, że bez żony nie byłby zdolny do żadnego wysiłku, tak jak nie byłby zdolny do pracy, gdyby pozostał z Tessą. Egoizm nowej kochanki przewyższał jego własny. Wniosek nasuwał się jeden: Tessa, choć bezkonkurencyjna wobec swoich poprzedniczek, musi z konieczności zadowolić się statusem nieoficjalnej przyjaciółki, a kiedy zacznie stawiać zbyt wygórowane żądania, co wcześniej czy później robiły wszystkie jego kochanki, wtedy, aby ją odprawić, wystarczy zasłonić się Ellen. Ale jeszcze nie teraz.

- Jesteśmy ze sobą od dawna, Ellen i ja - odezwał się w końcu. - Wiem, że mogę na niej polegać.

- A więc tak sprawy stoją - powiedziała i bez słowa zaczęła się ubierać. Niewiele było tego ubrania. Para najcieńszych fig, jakie Jack kiedykolwiek widział, oraz coś, co nie mogło być niczym innym jak tylko białą męską koszulą. Tessa ściągnęła ją w talii paskiem z mosiężną klamrą, wsunęła stopy w skórzane sandały i sięgnęła do torebki po kluczyki do samochodu.

- Muszę już iść.

- Musisz?

- Tak, muszę.

- Kiedy się zobaczymy?

- Nie wiem. Mam przed sobą bardzo pracowity tydzień.

Odkładając na widełki słuchawkę, o której zupełnie zapomniał, i patrząc na Tessę, jak - władca w każdym ruchu - zamyka za sobą drzwi, Jack doszedł do smutnego przekonania, że nie ma żadnego pola manewru. Zadał też sobie pytanie, czy przypadkiem nie igra z ogniem.

8

Tessa, obserwowana przez męża, szcztokowała miodową kaskadę włosów w beztróskim nastroju. Minęło już kilka dni od brutalnej potyczki, lecz oboje nie wracali do wydarzeń tamtego wieczoru. Z praktycznego punktu widzenia korzystniej było nie obrażać się na męża. Alexander, którego wciąż dręczyły wyrzuty sumienia, że użył przemocy wobec żony, nawet jeśli ta przemoc i gwałt nie były jej niemiłe, dla świętego spokoju wołał zaprzestać dalszych indagacji.

Kolejne dni minęły bez większych wrażeń. Rankami, kiedy on wychodził do biura, ona, jak zwykle, spała. Podczas wspólnych obiadów oboje byli dla siebie uprzedzająco grzeczni. Wieczorami ona nałogowo oglądała nie kończące się telewizyjne opery mydlane, a on w zaciszu gabinetu zasiadał do pisania ukochanych wierszy. Poza tym Alexander ostatnio był zmęczony, za co winą obarczał po części żonę, która, jak mu się czasami zdawało, niszczyła jego siły witalne.

Pod koniec tygodnia, dziewiętnastego czerwca, zadzwonił do przyjaciela z lat szkolnych, Marcusa Marchanta, któremu nie udało się pierwsze małżeństwo, i zaproponował mu wspólny lunch.

Obaj panowie spotkali się w ogródku modnej restauracji w Chelsea i zasiedli przy stoliku w chłodnym cieniu drzewa. Słuchając przyjaciela, Marcus, któremu już nieraz wpadały w ucho krążące po mieście plotki, był raczej zdziwiony, że żadna z nich nie dotarła jeszcze do Alexandra. Znał Tessę całkiem

nieźle i zdawał sobie sprawę, do czego prowadzi połączenie tak wielkiej urody z równą jej głupotą. Nie wątpił też, że Lucasowie wcześniej czy później się rozstaną, choć podejrzewał, że w chwili obecnej sprawa jeszcze nie dojrzała do rozwiązania. Według niego, chłodnego cynika, który latami statystował przy zdradach pierwszej żony, nie wyplakując się nikomu w rękaw, Alexander był niepoprawnym romantykiem. Zamiast żyć złudzeniami, powinien po prostu przyłapać Tessę na gorącym uczynku, raz na zawsze przeciąć łączące ich więzy i ułożyć sobie życie z kimś bardziej odpowiednim.

- Widujesz ostatnio Dianę?

- Tylko przypadkowo, od czasu do czasu. Jak wiesz, nie mamy wspólnych dzieci, mieliśmy tylko wspólne dzieciństwo.

- Czy wyszła powtórnie za męża? - Alexander nie widział Diany od czasu, kiedy rozwiodła się z Marcusem.

- Tak, za nadętego zarozumialca, Philipa Greshama.

- Chyba gdzieś o nim słyszałem.

- Całkiem możliwe - odparł Marcus, popijając wino. - Gresham jest słynnym psychoanalitykiem, który w przerwach między leczeniem psychicznych odchyleń pacjentów wygłasza swoje opinie w radiu i telewizji. To on wspierał duchowo Dianę po jej upadku z konia i po naszym rozwodzie; zresztą do tej pory nie przestał na nią chuchać i dmuchać. - I porzucając temat pierwszego małżeństwa, od dawna zresztą nie wzbudzający w nim żadnych emocji, zapytał: - Czy nadal upierasz się przy związku z Tessą?

Alexander namyślał się chwilę nad odpowiedzią.

-1 tak, i nie. Sam nie wiem. Choć zdaję sobie sprawę, że nie pasujemy do siebie, i choć z dnia na dzień ona coraz mniej mnie pociąga, to jednak nie potrafię się bez niej obejść. I co ty na to?

- Co ja na to? Uzależniłeś się, przyjacielu, lecz zdaje mi się, że stawiasz pierwsze kroki ku wolności. Nadejdzie czas - Marcus wpadł w ton kaznodziejski - kiedy będziesz absolutnie pewien, czy chcesz trwać w tym związku, czy nie. Czas męskich

decyzji. Wyprzedzanie zdarzeń nic nie da, a nie kończące się rozstania i ponowne powroty to piekło na ziemi, wierz mi. - Sądząc po tym, co ludzie mówią, dodał w duchu, Tessa ostatnio zachowuje się tak niedyskretnie, że czas męskich decyzji nadejdzie raczej prędzej niż później.

Alexander przyznał mu rację z nutą rezygnacji w głosie.

- A co u Jane?

- Znów jest w ciąży. Wpadnijcie do nas w jakiś weekend. Stanowczo za długo się nie widzieliśmy.

- Bardzo bym chciał, ale zważywszy na ruinę naszych uczuć małżeńskich, nie byłby to dla was najlepszy relaks. A poza tym, jak wiesz, Tessa nie jest szczególnie miłośniczką wsi. Woli okupować swój leżak na basenie w mieście.

- Przyjedź w takim razie sam. Będziesz mógł spokojnie pisać wiersze w domku nad jeziorem. Pewnie nie wiesz, że odbudowaliśmy go po huraganie.

- Pomyślę o tym.

Kiedy byli już przy kawie, Marcus zapytał:

- A co sływać w Galerii?

- Hartingowie stają na głowie, żeby zorganizować następną wystawę Careyowi. Niech Bóg ma w ich opiece.

Ni stąd, ni zowąd Marcusowi przyszła do głowy myśl: Tessa i Jack. Prawdziwy samozapłon. Niech no tylko się spotkają. I nieświadom swojego proroctwa, dopił kawę, po czym poprosił o rachunek.

Ellen siedziała u siebie w pracowni, przy szeroko otwartych oknach, ze wzrokiem utkwionym w komputer. Nowy nabytek zdawał się i nieprzenikniony, i nieprzejednany. Jack, co prawda, zapowiadał, że dzięki niemu żona zrewolucjonizuje swoje życie, bo zaoszczędzi na czasie i wysiłku, lecz jak dotąd, Ellen, zamiast coś zaoszczędzić, straciła całe dwa dni i nie posunęła się o krok do przodu. Jack jest głupi, pomyślała rozżłoszczona, a ja jeszcze bardziej, bo go słucham.

Broszur było sześć. Dwie dotyczyły drukarki, a cztery komputera i klawiatury. Na razie potrafiła odczytać katalog dysku, ale tak wyrefinowane zadanie jak otwarcie pliku i utworzenie dokumentu, przekraczało jej możliwości. Nie umiała zaplanować nad własnym rozczarowaniem. Jej zdaniem, instrukcje raczej zaciemniały problem, niż go objaśniały, a gdy zdawało się, że zrobiła krok naprzód, natychmiast napotykała odsyłacz do innej części innej broszury. Westchnęła zirytowana. Gdyby tak posadzić tu Davida i Harry'ego, już dawno byłoby po kłopotcie.

Nieprzejednany Amstrad zarobił parę epitetów.

- Jesteś bydlę, skończone bydlę, wiesz o tym?

O nieba, mówię do niego, jakby był istotą ludzką. Jeszcze trochę, a doczekam się, że to on będzie prowadził dom, odbierał chłopców ze szkoły i, alleluja, krzątał się koło Jacka. Jedyne, co oprze się jego umiejętnościom, to moja książka.

Uzbroiwszy się w cierpliwość, Ellen wróciła jeszcze raz do samouczka i po pewnym czasie nie tylko wydusiła z komputera plik, ale także potrafiła go nazwać. Waterloo nadeszło w chwili, gdy usiłowała sformatować dysk. Podręcznik nie był niezrozumiały, lecz stosowanie się do instrukcji nie dawało pożądanego efektu. Po trzech czy czterech bezowocnych próbach, bliska obłądu, zaprzestała dalszych wysiłków.

Co się ze mną dzieje? Jestem w miarę inteligentna, myślała, instrukcje byłyby zrozumiałe nawet dla Harry'ego, a mimo to nic mi nie wychodzi.

Aby dodać sobie otuchy, zostawiła w spokoju twardy dysk i skupiła energię na wydrukowaniu fragmentu tekstu.

Wystukała na klawiaturze: *Nauczę się używać tej cholernej maszyny, choćby miało mnie to dobić!* Zadzwonił telefon. Wyciągając rękę po słuchawkę, Ellen mimowolnie oparła się o klawiaturę i nacisnęła jakiś klawisz, co wywołało spazmatyczne drgania na monitorze, podobne napadowi złości primadonny, aż w końcu pojawił się napis ERROR IN i komputer przestał reagować na cokolwiek. Jeśli chodzi o telefon, to była pomył-

ka. Jeśli chodzi o Ellen, pragnęła jednego: wyrzucić przez okno komputer, potem drukarkę, a potem broszury. Nie, najpierw broszury z instrukcjami. Bliska leż zadzwoniła do Ginevry Haye.

Tak się jednak złożyło, że telefon w Little Haddow rozbrzmiewał na swój zająkliwy sposób w pustym domu, ponieważ Ginevra tego dnia pojechała do Londynu i właśnie jadła lunch z Victoria w jej sympatycznym ogródku w Chelsea.

- Opowiedz mi o Careyach - poprosiła Ginevra.

- No cóż, chyba zdążyłaś ich trochę poznać.

- Na dobrą sprawę, niewiele.

- Co by tu powiedzieć? Jack był cudownym dzieckiem i pozostał nim nadal mimo swoich trzydziestu dziewięciu lat. Bywa wspaniałym malarzem, o ile starcza mu czasu i ochoty na malowanie. W moim pojęciu do tej pory nie dojrzał emocjonalnie. On romansuje. - Zabrzmiało to mniej więcej jak: „On zbiera znaczki”.

- A Ellen?

- Ellen jest trochę skryta. Znam ją od lat, ale dosyć powierzchownie. Nigdy nie słyszałam, by narzekała na Jacka publicznie. Zawsze też można było na nią liczyć, jeśli Jack potrzebował dopingu i opieki. Choć tym razem nie jest zbyt chętna do współpracy, twierdząc, że ma własne plany i w związku z tym nie może poświęcić mężowi zbyt wiele czasu.

Pomna na prośbę Ellen, by nie wspominać nikomu o pisanej przez nią powieści, Ginevra zauważyła tylko:

- Ależ Ellen rzeczywiście pracuje. Jest graficzką.

- Tak, lecz jej zarobki to pestka w porównaniu z tym, co może zarobić Jack.

- I co z tego? To nie umniejsza wysiłku Ellen. - Ginevra zirytowała się. Jeśli oceniać ludzi według ich zarobków, a nie potencjału twórczego, to jaka jest nadzieja, by nowe idee ujrzały światło dzienne? Ot, choćby jej własna książka.

Powiało chłodem. Zgryźliwa przyjaciółka najwyraźniej się zdenerwowała, lecz Victoria, nie wiedząc, jak temu zaradzić, brnęła dalej:

- Tamtego wieczoru u nas dość długo rozmawiałaś z Ellen. Czy sama nic ci o sobie nie powiedziała?

- W każdym razie nic szczególnego. Ale nie sposób było nie zauważyć, że Jack flirtuje z Tessą.

- Każdy flirtuje z Tessą.

- Kiedy wychodziła, wsunął wizytówkę do jej torebki.

- Coś podobnego! Jesteś pewna? - Teraz Victorii puściły nerwy.

- Absolutnie.

- A czy Ellen też to widziała?

- Tak, myślę, że tak.

Victoria stwierdziła lekceważąco:

- Jestem przekonana, że to nic poważnego. - Ten ton był na użytek gościa. - Gdziekolwiek Tessa się pokaże, wizytówki różnych dżentelmenów sypią się do jej torebki jak confetti na balu sylwestrowym. - I żeby to się kończyło na wizytówkach, dodała w duchu.

- Naprawdę? - W głosie Ginevry zabrzmiała zazdrość zmieszana z pogardą.

- Tak, naprawdę - odparła Victoria sztywno. Historia z wizytówką zaniepokoiła ją nie na żarty. Przypominając sobie jednak, że Ginevra jest jej gościem, dodała łagodniej: - Przepraszam cię. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Chodzi o to, że jeśli Jack choć na chwilę oderwie się od sztalgu, nigdy nie wydusimy z niego obrazów na wystawę.

A co z Ellen, myślała tymczasem Ginevra. Ona nikogo nie obchodzi. Wszyscy po prostu ją wykorzystują. Victoria, tak niegdyś szlachetna, stała się głupią, samolubną kobietą, zdolną do myślenia jedynie o własnych korzyściach. Myślę, że to małżeństwo tak na nią wpłynęło.

Ukrywając wzgardę, spytała:

- Co zamierzasz robić, kiedy będzie już po wernisażu?

To pytanie nurtowało Victorie od dłuższego czasu. Tak łatwo roztrwonić życie, dzień po dniu, godzina po godzinie. Może dzieci byłyby tu właściwą odpowiedzią. Żałowała, że nie potrafi wykrzesać z siebie takiego zapалу do pracy, na jaki stać jej przyjaciółkę, by móc na serio zająć się ukochaną dziedziną nauki, historią.

- Mogłabym się trochę przekwalifikować. Na przykład zająć się historią sztuki. - Urwała. Obie wiedziały, że nic z tego nie wyjdzie.

- Ty przecież nie musisz nic robić. - Ginevra zdjęła okulary, aby je przetrzeć, i popatrzyła na koleżankę oczami bez szkieł. Na dnie tych oczu tliła się iskra wrogości. Może nawet nienawiści. Victoria, wstrząśnięta, uciekła wzrokiem w bok, a gdy znów spojrziała na przyjaciółkę, ta była na powrót w okularach, i cokolwiek się kryło w jej oczach, zostało już skrzętnie ukryte.

Victoria, zakłopotana, wstała.

- Ten upał jest nie do zniesienia. Może byśmy wypily kawę w domu?

W kuchni przedmiotem rozmowy stał się Kevin i jego wyjazd. Niezdolna do zadania pytania, na które najbardziej pragnęła odpowiedzi, a mianowicie: „Dlaczego, u licha, za niego wyszła?”, Victoria stwierdziła oględnie:

- Jego nieobecność chyba się przeciąga. Nie tęsknisz za nim?

- Nie. Nie tęsknię. - Pozbawiona emocjonalnego ładunku odpowiedź zabrzmiała prawdziwie. Nic dodać, nic ująć.

Victoria ciągnęła:

- Często pisze do ciebie?

- Nie, nie bardzo. Pisanie zawsze sprawiało mu trudności. Chyba że chodzi o kosztorysy czy rachunki.

Cisza.

Co by tu jeszcze powiedzieć?

- Chcesz, żeby wrócił?

Wszelkie starania, aby ożywić kulejącą rozmowę, nie na wiele się zdały, bo kolejna odpowiedź była równie skąpa, jak poprzednie.

- Niespecjalnie.

Czy aby Ginevra nie ma zamiaru odprawić Kevina? Jeżeli Kevin w ogóle zamierza wrócić do domu.

- Niech tylko przyjedzie, na pewno odżyjesz.

Przypomniawszy sobie o Jamesie Hartingu i seksualnych wyczynach na stronach zeszytu w granatowo-czerwonej marмурkowej oprawie, Ginevra odpowiedziała sceptycznie:

- Nie sądzę.

- Nie uważasz, że powinnaś napisać do niego o tym, jak się czujesz? Myślę, że to byłoby uczciwe.

Ginevra, która i tak powiedziała więcej, niż zamierzała, podobnie jak poprzednio Tessa, przytaknęła zdawkowo:

- Może masz rację.

Victoria, idąc za przyjaciółką do salonu, ukradkiem spojrzała na zegarek. Druga. Ogarnęło ją przemożne pragnienie, by wyjść z domu i skończyć z tą nie klejącą się rozmową, w której, jak dotychczas, nic nie zostało dopowiedziane do końca.

Nalewając kawę, powiedziała:

- Kiedy wypijemy, będę niestety musiała zabrać Ho na spacer. Nie poszłabyś z nami do parku?

Reakcja Ho na słowo „spacer” nie pozostawiała żadnych wątpliwości: pies, z uszami po sobie, pobiegł skomląc do koszyka, gdzie ułożył się cicho, w nadziei, że Victoria o nim zapomni. Spacery u boku pani, zazwyczaj podążającej szybkim krokiem, bez szacunku dla tłustych, krótkich łap, stanowiły dla pekińczyka istną torturę. Jego pani powinna sprawić sobie labradora.

Ku niewymownej uldze gospodyni, Ginevra odmówiła.

- Dziękuję, ale muszę jeszcze zajrzeć do biblioteki.

Jej oczy spoczęły na ślubnej fotogram Jamesa i Victorii. Pamięta doskonale, jak stała wtedy na dalszym planie i umierała z zazdrości. Przyglądając się dawnym nowożeńcom, usłyszała jeden z wewnętrznych dialogów, które ostatnio coraz częściej toczyły się w jej głowie. Głos złydy jątrzył: „Gdyby nie było Victorii, mogłabyś mieć Jamesa Hartinga”. Głos rozsądku kontrolował: „Nie, nie mogłabyś. Wiesz, że nie interesował się tobą”. Złyda nie miała zamiaru się poddać: „Wystarczy bardzo

chcieć, by zdobyć to, na co się ma ochotę. Nie powinnaś wątpić w potęgę rozumu. Ona naprawdę istnieje, chociaż należy wątpić, czy ten szczególnie przypadek jej podlega".

Nieruchoma, pogrążona jakby w hipnotycznym śnie postać Ginevry poruszyła uczucia Victorii. Trudno uwierzyć, ale wygląda na to, że ta dziura Little Haddow, to odludzie, robi z niej dziwaczkę, stwierdziła w duchu. Ginevra zawsze była ekscentryczką, ale ostatnio jej zachowanie staje się coraz bardziej osobliwe.

Aby przerwać przedłużającą się ciszę, z hałasem odstawiła filiżankę i pełna werwy rozpoczęła poszukiwania obroży i smyczy.

- Któż to taki wybiera się na spacer z mamusią? - pytała w drodze do koszyka Ho.

Pies łypnął ślepiami.

Nic dziwnego, że to zwierzę jest stuknięte, jeśli musi słuchać takiego gadania, pomyślała Ginevra.

Z kuchni dochodziły odgłosy krzątania. Widząc przerzucony przez oparcie jednego z krzeseł tęczyowy jedwabny szal, Ginevra, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, wcisnęła go do swojej torebki. Skrawek kolorowego materiału był jej znany, choć nie przypominała sobie, w jakich okolicznościach się z nim zetknęła. Z pewnością jest to coś, co Victoria często nosi, pomyślała.

Jeszcze się wahała, czy nie zrezygnować ze zdobyczy, kiedy zjawiała się gospodyni. Zeszły po schodkach na rozgrzane czerwonym upałem płyty chodnika.

- Czy na pewno nie chcesz, żeby cię gdzieś podrzucić? Jadę do parku Battersea.

Ginevra odmówiła.

- Dziękuję za lunch. Miło mi było u ciebie. Ostatnio jestem dość osamotniona.

Uspokojona faktem, że Ginevra przynajmniej to sobie uświadamia, Victoria zapewniła afektowanym głosem:

- Ach, Ginevro, cała przyjemność po mojej stronie, uwierz mi. Zatem do zobaczenia.

Pocałowały się i każda ruszyła w swoją stronę.

###

W tygodniu poprzedzającym przyjazd żony Jack na serio zabrał się do portretu kochanki. Poniechał w końcu pomysłowi z kapeluszem, decydując się na przedstawienie Tessy w jej prawdziwym wcieleniu, wcieleniu bardzo nowoczesnej młodej kobiety. Odrobinę za nowoczesnej, jak przyszło mu pomyśleć raz i drugi, kiedy Tessa wciąż nie dawała się ujarzmić. Jack lubił muzykę country i westernową, a zwłaszcza głośną. Na dziś wybrał „Stadninę koni w Tennessee” i nastawił magnetofon na górną granicę decybeli. Szacując długość złocistych kończyn, pomyślał: Moja klacz z Tennessee. Ognista i narowista. Wątpliwe, czy Tessie spodobałoby się takie porównanie, choć w ustach Jacka był to niewątpliwie największy komplement.

- Czy nie mógłbyś ściszyć trochę tego wycia? - krzyknęła. Preferowała heavy metal, co było jeszcze jedną kością niezgody między nią a Alexandrem, zapalonym miłośnikiem muzyki klasycznej.

- Ściszysz to wreszcie czy nie?

Jack puszczał jej ponaglenia mimo uszu, udając, że ich nie słyszy.

Poza oryginalną obrączką ślubną nic więcej na sobie nie miała. Siedziała na szezlongu, wsparta z lekka o haftowane poduszki. Jack doszedł do wniosku że portret *en face* nie miałyby właściwej głębi, postanowił więc, dla lepszej kompozycji, przedstawić kanapę z boku. Nogi Tessy, jedna oparta stopą o podłogę, druga, ze zgiętym gładkim kolaniem podciągniętym aż do piersi, odsłaniały wszystko, co trzeba i nie trzeba, nie pozostawiając wiele miejsca dla wyobraźni, podobnie zresztą jak ich właścicielka, o czym Jack zdążył się już przekonać. Tessa trzymała nadgryzione jabłko, którego ostra zieleń odbijała, niczym echo, barwę szmaragdu. Narzekała, że jest niesmaczne.

- Po co kupujesz tę odmianę? Nie mogłeś wybrać słodszych? Już lepsze są czerwone koksy.

- Chodziło mi o kolor, nie o smak. Pociesz się, że ci z nim do twarzy.

Tessa była dziś w buntowniczym nastroju, i to od chwili, kiedy przekroczyła próg pracowni. Może powinien zrobić przerwę. Z drugiej strony, jeśli portret miał być skończony przed przyjazdem Ellen, to należało śpieszyć się z robotą. Jacka czekało poza tym znalezienie odpowiedniego miejsca, w którym mógłby ukryć obraz po namalowaniu. I już był skłonny popracować przez następne pół godziny, aż do lunchu, kiedy Tessa sama podjęła decyzję: podniosła się bez pytania i majestatycznym krokiem wyszła do kuchni. Tak płynne, nieskrępowane ruchy jak ona miały chyba tylko młode Afrykanki, noszące na posągowo pięknych głowach gliniane dzbany. Tessa pewnie byłaby niezła w takiej roli.

- O, psiarew! - krzyknęła. - Co to jest?!

Musiała zajrzeć do lodówki, pomyślał.

Głowa w miarę upływu dni stawała się coraz większa i zagrażała zawładnięciem całego wnętrza. Przed przyjściem Tessy Jack zrobiłby z nią porządek, gdyby nie to, że zapomniał. Tessa chwyciła dwoma palcami butelkę białego wina i zatrzaskała lodówkę z hukiem.

- Musisz wyjść i kupić trochę jedzenia. Nie dość, że pozuję całymimi dniami, to jeszcze mam być głodna? - Wbiła zęby w jabłko.

- Co ty wyprawiasz! Przecież ja je maluję! - zirytował się Jack.

- I co z tego? A poza tym - ile właściwie masz lat? W twoim wieku mógłbyś już wiedzieć, jak wygląda zielone jabłko, i namalować je z pamięci! - Tessa dała upust złości.

Mając czterdziestkę na karku, Jack raczej unikał rozmów na temat swojego wieku, a ponadto czas naglił, toteż skłonny był jak najszybciej załagodzić awanturę.

- Idę do sklepu na rogu.

- Jak wrócisz, to posprzątaj w lodówce. Cierpnę na myśl o przebywaniu w kuchni razem z takim antykiem.

Zgnębiony Jack wypadł czym prędzej za drzwi. To będzie cud, jeśli uda mi się dokończyć ten obraz, pomyślał. Mimo to

rozpierała go radość, bo czuł instynktownie, że doskonale poradził sobie z oddaniem drapieżnej urody Tessy, i to zarówno jeśli chodzi o jej walory cielesne, jak i duchowe.

Dwadzieścia minut później, z torbą pełną zakupów, wrócił do pustej pracowni. Tessa zdążyła, jak zauważył, wypić przed wyjściem pół butelki wina.

Zostawiła kartkę: *Jack, kochany, przypominałam sobie, że mam dzisiaj jeszcze inne spotkanie. Zaproszona jestem na lunch, a zważywszy na tutejsze okoliczności, to się całkiem nieźle składa. Przyjdę jutro. A tout à l'heure. Tessa.* Pod spodem serce przebite strzałą. Chyba jego, bo nic nie wskazywało na to, by ona je miała. Jack poszedł do kuchni, rozpakował zakupy i wziął się do mycia lodówki.

Ten wieczór James i Victoria spędzali w łóżku na wspólnym czytaniu. To znaczy on usiłował przeglądać „Daily Telegraph”, ona natomiast czytała powieść i jednocześnie snuła monolog, z powodzeniem łącząc obie czynności. James już dwukrotnie zagłębiał się w artykuł redakcyjny, lecz nadal nie miał pojęcia, o co w nim chodzi. Zniechęcony, odłożył gazetę na bok i zapytał:

- No więc, co dzisiaj robiłaś?
- Właśnie ci o tym opowiadałam. Ale ty mnie nie słuchasz!
- Kochanie, próbuję się zorientować, co się dzieje na świecie.
- No dobrze już, dobrze! - Pocałowała go, a potem jakby nigdy nic ciągnęła dalej: - Miałam na lunchu Ginevre. Tak sobie myślę, że jeszcze trochę, a rzuci Kevina.

- No, oczywiście, to jest o wiele ważniejsze od spadku notowań u Lloyda. Czy nie przyszło ci do głowy, że gdybyśmy byli w konsorcjum Outhwaite'a, choć Bogu dzięki nie jesteśmy, to koniec z nami?

- Naprawdę? - Jej głos nie zdradzał szczególnego przejęcia. Zupełnie tak samo jak wtedy, gdy James zadawał jej dociekliwe pytania na temat stanu volvette, która zresztą przypominała ostatnio zajeżdżony samochód rajdowy. - No więc, jak ci mówi-

łam, zachowywała się dziwnie. *Distract*, jeśli wiesz, co mam na myśli. Zwłaszcza gdy stanęła przed naszą ślubną fotografią. Była jak w transie.

Ulotna wizja chwili, która zwieńczyła tamten bal. Fala wspomnień, niejasne poczucie winy. Tamte oczy. Spychając je na dno pamięci, James powiedział:

- Trudno uwierzyć, że Ginevra mogłaby stać się jeszcze większą dziwaczką, niż jest.

- Zawsze wiedziałam, że to ekscentryczka, ale tym razem to było coś zupełnie innego. No a o mężu mówiła po prostu z lodowatą obojętnością, jakby go już skreśliła. Myślę, że żyjąc samotnie na wsi, traci kontakt z rzeczywistością.

- Może ma kogoś innego.

- Może.

W zgodnym milczeniu oboje uznali to za nieprawdopodobne.

Zapadła cisza. Victoria oddała się rozmyślaniom na temat Ginevry, a James podniósł gazetę z nadzieją na poczytanie.

- Ale miałaś tydzień - dorzucił jeszcze. - Najpierw Tessa, teraz Ginevra. Brakuje tylko Alexandra. Może powinnaś zająć się psychoterapią. Nie trać czasu, tylko rozejrzyj się za jakąś kanapą dla pacjentów.

- Przestań mi dokuczać! Chociaż, mówiąc serio, zastanawiam się, czy nie powinnam Ginevry odwiedzić.

James znów odłożył gazetę.

- A to niby po co?

- Och, zobaczyć, jak się urządziła. Jeszcze tam nie byłam.

- Może Ginevra nie ma czym się chwalić. Założę się, że są biedni jak myszy kościelne.

- Choćby i tak, to na pewno nie wprawię jej w zakłopotanie. Nigdy nie zwracała uwagi na warunki, w jakich przychodziło jej żyć. Na szczęście.

- Poza tym, Victorio, w tym tygodniu przydałaby mi się w Galerii pomoc. W następnym też, jeśli tylko wygospodarujesz trochę czasu.

- Oczywiście, możesz na mnie liczyć.

- Byłbym zapomniał. Dzwonił Maybrick ze Stanów. Przyjeżdża za trzy tygodnie. Z Irmą. Chyba wypadałoby zaprosić ich gdzieś na obiad.

Wieczór z Haroldem i Irmą Maybrickami!

- A nie moglibyśmy obdzielić tym szczęściem także naszych przyjaciół?

- Jeśli już, to wrogów.

- Uszczęśliwimy nimi Jacka. Zasługuje na to. A tak przy okazji - jeszcze się nie odezwał?

- Jeszcze nie.

Victoria odwróciła się na bok, wyciągając przy tym spod Jamesa kawał prześcieradła.

- Chcę już spać.

Pochylając głowę, aby ucałować brzoskwiniowe ramię, James wyznał szeptem:

- Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Wreszcie, choć przyszło mu na to długo czekać, mógł spokojnie wrócić do gazety i zagłębić się w rozważaniach na temat wycofania udziałów z Lloyda. Może jednak powinien się tym zająć. I to jak najprędzej.

9

Wostatnim tygodniu czerwca padł chyba rekord letnich temperatur. Kapitan Morgan, w wyliniałym na grzbiecie futrze, czuł się szczególnie nieszczęśliwy i swoje czynności życiowe ograniczał niemal wyłącznie do spania. Ginevra skłonna była przypuszczać, że tak gorąco może być jedynie w Arabii Saudyjskiej. Jej mąż milczał. Krótkie zdawkowe listy przestały się pojawiać od czasu, kiedy to Kevin na wydartej z notesu, liniowanej kartce nabazgrał kilka uszczypliwych słów na temat zaniedbywania przez żonę korespondencji.

Bezwietrzne upały gruntownie odmieniły rozkład dnia Ginevry. Zrywała się teraz z łóżka wczesnym rankiem, wychodziła do ogrodu, zasiadała na kuchennym krześle przy małym stoliku i pracowicie przelewała na papier uporządkowane myśli. Chodziła na zmianę w dwóch workowatych sukienkach, turkusowej albo pomarańczowej, kupionych wyłącznie ze względu na panujące upały, oraz w wystrzępionym ze starości, słomkowym kapeluszu. Kiedy bezlitosne słońce zmuszało ją do zaprzestania pracy, zbierała notatki, szła do kuchni, szybko wypijała kawę i karmiła kota, po czym znów wracała do ogrodu, aby na pasyście leżaku, rozstawionym w cętkowanym cieniu gruszy, zagłębić się w jakiejś książce, tym razem dla czystej przyjemności. Jeśli chodzi o pałające żarem popołudnia, to według Ginevry, nadawały się one jedynie do tego, by je przesypiać. Podejrzewała zresztą, że tego samego zdania są wszyscy bez wyjątku mieszkańcy Little Haddow, dlatego bez wyrzutów sumienia udawała

się do sypialni i nie wychodziła z niej dopóty, dopóki do okien nie zajrzał granatowy zmierzch. O tej porze zabierała się na nowo do solidnej pracy i potrafiła przesiedzieć przy komputerze do późnych godzin nocnych. A potem? Potem przychodził czas na marmurkowy zeszyt i na conocne zatracanie się w wymaginowanych ramionach wymaginowanego kochanka. Ginevra już od dłuższego czasu zdawała sobie sprawę, że obracanie się wyłącznie, lub prawie wyłącznie, w świecie wyobraźni oraz brak kontaktów z ludźmi, poza dziwacznie monosylabyczną wymianą zdań z miejscowym rzeźnikiem, panem Monkiem, musi w końcu doprowadzić do zapaści umysłowej. Tym bardziej że raz rozbudzona podświadomość coraz silniej dawała znać o sobie, a niemal każdego gorącego popołudnia uporczywie powracały te same szaleńcze sny, których głównymi bohaterami byli James i Victoria Hartingowie, no i oczywiście ona sama, i z których budziła się rozdygotana, winna popełnienia jakiegoś przerażającego czynu.

Ginevra postanowiła wziąć się w garść i raz lub dwa razy w tygodniu odbywać długie poranne spacerunki. I to od zaraz. Miała nadzieję, że wyrwijając się z ograniczonej czterema ścianami przestrzeni domu, wyzwoli się także z zamkniętego kręgu własnych myśli.

Ranek przeznaczony na pierwszy spacer powitał ją ciszą i rześkim chłodem. Ginevra, chcąc uniknąć długiego marszu wioską, zakurzoną drogą, wsiadła na rower i dojechała aż do stóp wzniesienia, które miała zamiar pokonać. Zostawiając pojazd w przydrożnych krzakach, wypatrzyła kredową, wyboistą ścieżkę, z której pewnie częściej korzystały konie niż ludzie, i ruszyła w górę, ku wiatrołomowi pozostałemu po szalejącym kilka lat temu w tej części kraju huraganie.

Poza samotnym jeźdźcem nie spotkała na drodze nikogo. Nie ufając nieprzewidywalnym reakcjom koni, których mózgi, według jej oceny, były nieproporcjonalnie małe w stosunku do rozmiarów ciała, zrobiła solidny krok do tyłu. Mijający ją mężczyzna uprzejmie się uklonił, a koń, ostrożnie stąpając po śliskiej kredzie, począł w dół.

Ginevra mogła do woli sycić oczy barwami. Minęła już łąny błękitnego lnu, trochę wyżej pola żółtego rzepaku na tle bielejących w oddali kredowych wzgórz, a kiedy była już blisko kresu wędrowki, ujrzawszy różowe firletki i trybule, fioletowe powoje i szkarłatne maki, wyobraziła sobie, że jest na szkolnej wycieczce i że za chwilę pani od przyrody zapyta ją o nazwę jeszcze jednej roślinki.

W końcu dotarła na szczyt wzniesienia i, nieco zdyszana, usiadła na skraju ścieżki, między naparstnicami. Świat, który ją otaczał, zdawał się tonąć w spokoju. Zasłuchana w głęboką ciszę, ku własnemu zdumieniu zaczynała wylawiać z niej pojedyncze, pulsujące własnym rytmem, delikatne dźwięki. Czyżbym słyszała oddech ziemi? A może bicie jej serca? Czy ziemia dopuszcza mnie do swoich tajemnic? Mnie, wszędzie i wszystkim obcą?

Zatraciwszy poczucie czasu, siedziała, bojąc się poruszyć, aby nie spłoszyć ulotnej chwili zjednoczenia ze światem. Jej duszę ogarnęła dziwna lekkość. To zapewne dzieło anioła, pomyślała, który przefruwając nade mną, musnął mnie skrzydłami.

Niechętnie opuszczała miejsce, gdzie zaznała, choć przelotnie, uczucia jakiejś wspólnoty, za którym tak bardzo tęskniła w swym samotnym życiu. Tropiąc ślad ledwo widocznej ścieżki, przeszła skrajem cisowego lasu, po czym skręciła w lewo, na skróty, licząc, że przy odrobinie szczęścia trafi wprost do miejsca, w którym zostawiła rower. I tak też się stało. Kiedy wjechała na wiejską drogę, zegarek wskazywał siódmą. A więc jej wyprawa trwała prawie dwie godziny.

Gdy wróciła do Pear Tree Cottage, stan niezwykłego uniesienia dość szybko ustąpił miejsca szarej codzienności. Ginevra nastawiła czajnik, włączyła opiekacz do grzanek i - tęskniąc do jakiegoś serdecznego kontaktu - otworzyła list, który przyniesiono podczas jej nieobecności. Nie od Kevina. Od Ellen Carey.

Droga Ginevro, piszę ten list w Butterfly Cottage. Dwudziestego dziewiątego, jak może słyszałaś, miałam zamiar wybrać się na dwa tygodnie do Londynu, aby przypilnować Jacka podczas

pracy. Tymczasem mam pecha, a może zresztą szczęście, to kwestia punktu widzenia, bo moja pomoc domowa, pani Phipps, z lekka zaniemogła, wobec czego byłam zmuszona odłożyć ten wyjazd. Straciłam kupę czasu na zgłębienie tajników komputera i nie dość, że nie odniosłam sukcesu, to jeszcze potraktowałam jako osobistą obrazę fakt, że odmawia on wykonywania moich poleceń, jak gdybym zapomniiała, że to tylko bezmyślna maszyna i że wina leży przypuszczalnie po mojej stronie. Mój kompleks niższości wobec komputera i broszur z instrukcjami (które równie dobrze mogłyby być pisane po chińsku) z dnia na dzień się pogłębia. Jeśli nie skorzystam z oferowanej przez Ciebie pomocy (o ile sprawa jest nadal aktualna), to obawiam się, że mogę komputer uszkodzić. Wolę napisać niż znowu dzwonić (zresztą dzwoniłam, ale Cię nie zastałam), ponieważ wiem, jak bardzo jesteś zajęta, i wydaje mi się niestosowne zmuszać Cię w bezpośredniej rozmowie do uzgodnienia terminu spotkania. A więc, jeśli Tobie to odpowiada, mógłby to być któryś dzień w tym tygodniu, jeszcze przed moim wyjazdem do Londynu; gdy już tam dotrę, Jack ograbi mnie z całego mojego czasu. Odezwij się. Serdeczności. Ellen.

PS Oczywiście przyjadę do Ciebie. Może pozwolisz się zaprosić na lunch? E.

Palily się grzanki i wygotowywała woda w czajniku. Ginevra odłożyła list, nad którym się zasiedziała, wyłączyła gaz, zrobiła sobie neskę i włożyła do opiekacza świeże kromki chleba. Rozejrzała się za otwieraczem do puszek, aby nakarmić natrętnego kota, który nie odstępował jej ani na krok. Nim jednak otwieracz się znalazł i nim Ginevra otworzyła puszkę, grzanki ponownie się spaliły.

- To wszystko twoja wina - powiedziała do Kapitana Morgana, wrzucając zwęglone resztki do kubła, który już dawno stracił pokrywę. Rezygnując z grzanek, wzięła pomarańczę, kubek z kawą i wyszła do ogrodu.

Nieoczekiwanie dla siebie samej pomyślała o zmarłych rodzicach. Nie zdarzyło jej się coś takiego od lat i była przekonana

na, że to wspomnienie ma jakiś związek z halucynacyjnymi przeżyciami podczas piorannego spaceru.

Jej matka, mówiąc krótko, została pokonana przez los. Nie-wykształcona, choć niewątpliwie inteligentna kobieta, pracowała całe życie, aby wspomóc w wysiłkach męża gruzlika, który z lekcji gry na fortepianie nie był w stanie utrzymać rodziny. Obserwując zmagania matki, harującej dniami i nocami, Ginevra, jeszcze jako młoda dziewczyna, obiecała sobie, że nigdy nie da się zaprząć do domowego kieratu, chyba że byłoby to absolutnie konieczne. Po zdobyciu stypendium w miejscowej szkole średniej dla dziewcząt, dzięki któremu otrzymała wykształcenie, jakiego rodzice nigdy nie zdołaliby jej zapewnić, postawiła przed sobą jeden cel: zdobyć kolejny, tym razem akademicki dyplom i opuścić świat czarnych od sadzy bliźniaczych domków, w którym się urodziła i wychowała.

Ojciec. Człowiek prostoduszny, niezdolny do jakiegokolwiek czynu, bierny, niepraktyczny, a mimo to - uwielbiany przez córkę. Dzięki niemu Ginevra od dziecka znała klasyków i poetów wiktoriańskich, takich jak Tennyson i Browning, których ojciec czytał jej co wieczór, póki nie dorosła na tyle, by pochłaniać książki samodzielnie. Całym światem ojca była kraina słów. Jak żywy stanął Ginevrze przed oczami, recytując ukochaną strofę:

*Bo choćymy wiecznie w wód i gwiazd migocie
Miał toń nieznaną pruć,
Wiem, że cię ujrzę twarzą w twarz, pilocie,
Gdy z mielizn wyjdzie łódź**

W wieku jedenastu lat, w Belfaście, deklamowała te słowa razem z nim, przy wtórze dobiegającego z kuchni brzęku zmywanych przez matkę naczyń. Kiedy miała lat trzynaście, ojciec przekroczył mieliznę, i to wcześniej, niż ktokolwiek się spodziewał. Umarł którejs nocy we śnie, przy boku śpiącej, steranej

* Fragment wiersza A.Tennysona w przekładzie Stanisława Barańczaka.

życiem żony. Jego nieskłonna do wzruszeń jedynaczka przeżyła szok bez jednej łzy.

Potem życie już nigdy nie odzyskało poprzednich barw. Mając ze sobą niewiele wspólnego poza związkiem krwi, obie, Ginevra i jej matka, mieszkały razem, lecz nie wchodziły sobie w drogę. To było jedyne odpowiadające ich wzajemnym stosunkom określenie. W szkole uciekająca w samotność, niezgrabna dziewczyna nie cieszyła się szczególną popularnością, choć nikt nie podawał w wątpliwość jej wysokiego współczynnika inteligencji. Zdobycie oksfordzkiego stypendium było zatem tylko kwestią czasu. W sześć miesięcy po opuszczeniu przez Ginevre domu matka nabawiła się zapalenia płuc, i, być może dlatego, że nie miała już dla kogo żyć, po prostu zgasła; uczyniła to w bardzo wiktoriańskim stylu, śpiesząc, podobnie jak mąż, na spotkanie ze swym pilotem. Sprzedaż domku, w którym przyszła na świat zarówno Ginevra, jak jej matka, przyniosła dziewczynie trochę grosza, i w ten sposób matka przez własną śmierć dopomogła córce ukończyć spokojnie Oksford i odbyć studia podyplomowe. Dziwaczka, za jaką uważano Ginevre w rodzinnym mieście, szybko zdobyła sobie miano ekscentryczki, a jej olśniewający intelekt stał się przepustką do towarzyskiego kręgu Harting-Benson.

Ginevra odstawiła kubek po kawie na trawę, gdzie natychmiast kolumny mrówek przypuściły do niego szturm. W jakiejś walizce upchnęła dawno temu stare fotografie. Musi je któregoś dnia odszukać.

Przenosząc się z powrotem w teraźniejszość, poszła po książkę telefoniczną, by zadzwonić do Ellen Carey.

Dwa dni później, tak jak się umówiły, Ellen była w drodze do Little Haddow już o siódmej rano, lecz zanim jeszcze to nastąpiło, przeszukała pudełko z indyjską biżuterią, wybierając z niego po namyśle ciężki srebrny naszyjnik o nieco prymitywnych proporcjach i egzotycznym splocie, ozdobiony olbrzymim

bursztynowym wisiolem. Z szafy natomiast wyjęła czarny, haftowany w ptaki i kwiaty w tym samym kolorze, i ozdobiony gęstymi frędzlami jedwabny szal, którego nigdy nie nosiła, po czym włożyła jedno i drugie do płóciennej torby.

Sielskość Little Haddow była dla niej niemałą niespodzianką. Mogła iść o zakład, że tak wytworny przybytek jak restauracja nie miałby tu racji bytu, ale pub - czemu nie. Ellen zaparkowała samochód i w stylizowanej na ludowo sukience z głębokim dekoltem, w grubej, srebrnej obroży na szyi i w przewiewnych sandałach popłynęła, niczym jakieś dziwne zjawisko, wzdłuż głównej ulicy, wzbudzając niemałe zainteresowanie praktycznie obutej, ubranej w syntetyczne włókna kolejki do sklepu pana Mońka.

Pub był niewielki, ale jednak był. Na przeciwległym do Pear Tree Cottage krańcu wioski. Mieścił się w domu z dobrze utrzymanym ogrodem, wystawiono nawet na zewnątrz stoły, ale o tej porze dnia jeszcze nic się tu nie działo. Nie zniechęcona tym Ellen zajrzała do pubu od tyłu, gdzie kobieta w fartuchu myła i wycierała szklanki.

- Nie wiem, kto mógłby mi pomóc - zaczęła. - Chciałabym się dowiedzieć, czy w pubie podaje się coś na gorąco w porze lunchu.

Przyglądając się ubranej jak na maskaradę przybyszce, kobieta w fartuchu wyrecytowała:

- Może być zestaw z chleba, sera, pikli i sałaty. Kanapki. To wszystko. Ale tylko do drugiej.

- A wino?

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz zdumienia.

- Och nie! To nie Londyn. Tu się pije piwo. I jabłecznik. Polecam jabłecznik.

Ktoś krzyknął z głębi domu: „Freda!”, i Freda, nie obdarzając Ellen nawet najkrótszym spojrzeniem, odeszła, tak jak stała, ze ścierką i nie wytartą do końca szklanką w ręku. Ellen przez nie domknięte drzwi, za którymi Freda zniknęła, zdążyła dojrzeć bardzo czystą kuchnię. Dobra wróżba, jeśli idzie o jedze-

nie. Postanowiła, że przyprowadzi tu Ginevre, chyba że ta, jako stała mieszkanka wsi, zna lepsze miejsce.

Zanim obejrzała wszystko, co było w Little Haddow do obejrzenia, i podjechała pod domek Ginevry rozglądając się za ciekawym miejscem do zaparkowania, zrobiła się jedenasta.

Ellen cofnęła się nieco, aby lepiej ogarnąć wzrokiem całą posiadłość Ginevry, i oceniła, iż Pear Tree Cottage, oprócz tego, że jest bardzo malowniczy, jest również bardzo zniszczony. Z informacji, których udzieliła jej Victoria, podając numer telefonu Haye'ów, wynikało, że Kevin jest pracownikiem budowlanym. Nie zaszkodziłoby chyba, gdyby zabrał się do remontu własnego domu. Uniosła spódnicę, torując sobie drogę wśród chwastów, dotarła do drzwi frontowych i zapukała. Zza rogu domu wyjrzał wielki, jednooki kocur-rozbójnik i podszedł bliżej, aby pocierać się o nogi gościa. Ellen popatrzyła na ogród. Był swego rodzaju puszczą, a także, sądząc po chmarach motyli, które obsiadły trawy i pokrzywy, chyba rezerwatem entomologicznym.

- Jak się nazywasz - zapytała Ellen kocura - i gdzie jest twoja pani?

- To Kapitan Morgan, a jego pani jest tutaj - pośpieszyła z odpowiedzią Ginevra, która właśnie nadjechała na rowerze.
- Wejź do środka. Przepraszam, że powitał cię tylko kot.

- Nie przejmuj się. Dopiero co przyjechałam.

Wewnątrz dom przedstawiał równie opłakany widok jak z zewnątrz. Panował w nim - mimo kilku otwartych okien - trudny do zidentyfikowania zapach. Przedpotopowa kuchnia, której niewygodnie rekompensował żaden wiejski urok, wprost lepiła się od brudu. Spod odrapanych tapet wystawały pożółkłe strzępy gazety. Po przeczytaniu kilku różnych fragmentów, Ellen doszła do wniosku, że cała, datowana tysiąc dziewięćset dwudziestym rokiem, gazeta poświęcona była czyjejś świni, bijącej wszelkie rekordy podczas wystawy w Little Haddow. Dwie wielkie zielone muchy z uporczywym bzyczeniem krążyły tam i z powrotem wokół nie przykrytego kubła na śmieci. Ellen właściwie nie była specjalnie zaskoczona wyglądem całego pomiesz-

czenia; zetknęła się już bowiem z brakiem dbałości Ginevry o ubiór; stan, do jakiego doprowadzono kuchnię, po prostu odpowiedział jej resztę. Z natury porządnicka, pomyślała tylko: Bogu niech będą dzięki za pub.

Częściowo mijając się z prawdą, powiedziała:

- Masz uroczy dom. A gdzie pracujesz?

- Tutaj. - Pani domu, jak widać, najwyraźniej musiała raz na zawsze ustanowić trwałą linię podziału między pomieszczeniami gospodarczymi a przeznaczonymi do pracy, bo salon, do którego weszły, sprawiał znacznie przyjemniejsze wrażenie. Przede wszystkim zdobyły go, czy może raczej zaśmiecały, książki, stosy książek. Pełno ich było na podłodze, na stole, na kanapie. Po obu stronach kominka, na skleconych prowizorycznie półkach stały kolejne tomiszczka, a między nimi, przyciągając wzrok, tkwiły trzy czy cztery marmurkowe zeszyty. Półki, być może, były dziełem Kevina, wprawkami przed solidniejszym remontem całości, którego poniechał, planując wyjazd do Arabii Saudyjskiej. Pod oknem, na rozsuniętym na całą długość dębowym stole, podobny domowemu bóstwu, rozsiadł się wszechwładny komputer. Na kominku, obok zegara, na którym czas dawno się zatrzymał, stały w dzbanie bladoróżowe róże, ścięte pewnie z krzewu rosnącego obok drzwi wejściowych, ale poza tym brakowało stojących zwykle w takim miejscu rodzinnych fotografii czy innych tego rodzaju pamiątek. Z wyjątkiem Amstrada, którego kurz chyba się nie miał, wszystkie meble były solidnie poszarzałe, a mimo to w obrębie tych ścian wyczuwało się jakiś charakter, czego nie dałoby się powiedzieć o reszcie domu, przynajmniej tej jego części, którą Ellen zdążyła zobaczyć.

- Proponuję - odezwała się Ginevra - abyśmy siadły do komputera od razu, nim będzie za gorąco na pracę w mieszkaniu.

- Niezła myśl. A o pierwszej zabieram cię na lunch do waszego pubu. Chyba że znasz lepszy lokal.

Pub „Pod Psem i Bażantem”, ulubione miejsce spotkań graczy w strzałki, był areną towarzyskich kontaktów Kevina. Ginevra zamrugła speszona: jej, nienawykłej do przestrzegania

ogólnie obowiązujących godzin posiłków, nie przyszła do głowy myśl o lunchu, nawet w związku z wizytą gościa. Zresztą lodówka też świeciła pustkami. Jak zwykle.

- Nie ma tu nic innego. To dobry pomysł. Dzięki, Ellen. - Ginevra obdarzyła nową przyjaciółkę jednym ze swych rzadkich, rozświetlających od wewnątrz twarz uśmiechów i włączyła komputer.

Już później, kiedy szły wzdłuż ulicy Głównej, która tak naprawdę była jedyną ulicą Little Haddow i na której bez żenady oglądali się za nimi wszyscy po kolei napotykanymi mieszkańcy wioski, Ellen stwierdziła w duchu, że w Ginevrze zaszła jakaś zmiana. Po pierwsze, a miało to pewnie związek z rannymi wędrownkami, zrobiła się nieco szczuplejsza, choć workowata sukienka w niefortunnym pomarańczowym kolorze nadal nadawała jej wygląd kopca. Po drugie, opalona twarz nie była już tak pełna jak na przyjęciu u Hartingów, a prosta, bezpretensjonalna grzywka, jak widać, szczęśliwie nie skracana, odrosła na tyle, że można ją było wsunąć za uszy i pokazać ludziom wysokie, myślące czoło. Niestety, tkwiły jeszcze na swoim miejscu nietwarzowe okulary. Ellen stwierdziła, że choć Ginevra Haye nigdy nie zostanie uznana za piękność, a nawet nikt nie powie, że jest przystojna, to jednak można by ją wystylizować na postawną rzymską matrone, co - w połączeniu z niezwykle inteligencją - mogłoby dać imponujący efekt.

Na widok przekraczających próg pubu kobiet jego stali bywalcy zamilkli. Przerwawszy grę w strzałki, jeden z nich po chwili wahania pozdrowił uprzejmie Ginevre, jednocześnie obrzucając zalotnym spojrzeniem jej towarzyszkę.

- Dzień dobry, pani Haye. Co słyhać u Kevina? Prędko wraca?

- Nie mam pojęcia - padła niezbyt zachęcająca odpowiedź. W pubie znów zaległa cisza, a Ginevra nie sprawiała wrażenia, by miała zamiar ją przerwać.

Kumplom Kevina nie pozostało nic innego jak wrócić do przerwanej gry. Eller», nieco zażenowana, usiłowała napotkać wzrok właściciela pubu. W dotychczasowej wymianie zdań uderzyły ją dwie rzeczy: to, że Kevin był nazywany po prostu Kevinem, a Ginevra panią Haye, oraz to, że na wzmiankę o szanownym małżonku jego połowica natychmiast zamyka się w sobie.

- Możemy wyjść na dwór. Poproszą nas, kiedy jedzenie będzie gotowe. Co ty na to? - spytała Ginevre po złożeniu zamówienia.

Ginevra nie miała nic przeciwko temu, kazały więc sobie naleć dwie potężne szklanice domowego jabłecznika i tak zaopatrzone usiadły za stołem w ogrodzie. Przez chwilę popijały w milczeniu. Ellen zsunęła sandały, oparła się o poręcz ławki i, zamykając oczy, wystawiła twarz do słońca. Ginevrze rzucił się w oczy cień słabości i zmęczenia w rysach nowej przyjaciółki..

- Czy twój mąż nigdy do ciebie nie pisze? - spytała Ellen, nie otwierając oczu.

- Pisze. Od czasu do czasu. To ja nie piszę.

- Dlaczego? Czyżby cię w ogóle nie obchodził?

- Powiedziałabym, że nie bardzo. - Ginevra łyknęła solidny haust jabłecznika.

Zdumiona tak bezpośrednim wyznaniem, Ellen zauważyła filozoficznie:

- Nie istnieje coś takiego jak idealny mąż. Mówię ci. Popatrz tylko na Jacka. - Nie miała zwyczaju uważać się na męża. To chyba przez ten wiejski jabłecznik, pomyślała. Okazuje się, że ma swoją moc.

Ginevra odczuła ją widocznie w równej mierze, bo pytanie, które zadała, należało do ryzykownych:

- Czy myślałaś o tym, żeby go porzucić?

Ellen, zaskoczona, zawahała się z odpowiedzią.

- Tak - przyznała po chwili.

- Więc dlaczego zwlekaasz?

- No cóż, głównie z powodu naszych synów, Davida i Harry'ego.

Chwilę potem, przypominając sobie Jacka w dzień po lunchu z Hartingami, pomyślała: Ale jeśli mam być szczerą wobec samej siebie, to nie tylko z powodu chłopców. Tamtego dnia, mimo że byłam absolutnie wściekła na Jacka, kochanie się z nim sprawiło mi przyjemność. Jak za dawnych dni, kiedy jeszcze o mnie zabiegał. Kiedy mimo wszystko czułam, że naprawdę mu na mnie zależy. Być może uda nam się zacząć od nowa. Och, do diabła, sama nie wiem! Jednego dnia myślę tak, drugiego inaczej.

- A poza tym - dodała, czując, jak jabłecznik szumi jej w głowie - wszystko komplikuje fakt, że on dobrze pieprzy. Nie uważasz, że mogłybyśmy wypić jeszcze po jednej szklance? Taki napój to balsam dla duszy.

Na stole zjawił się lunch, przyniesiony przez Fredę, która z dwojga złego wolała obsłużyć je sama niż pozwolić, by jadły w sali pubu.

- Czy przy okazji mogłybyśmy dostać jeszcze po szklance jabłecznika?

Freda już otwierała usta, aby oznajmić, że ona nie jest tu dziewczyną do wszystkiego i że mogą się same pofatygować do baru, lecz speszona nieustępliwym spojrzeniem pani Hays zmieniła zdanie i przyjęła zamówienie.

Po jej odejściu Ginevra z przerażeniem spostrzegła spływającą po policzku Ellen samotną łzę.

- Naprawdę przepraszam. To wszystko przez ten jabłecznik. Nigdy się tak nie rozklejam - tłumaczyła się Ellen.

- Kevin również pieprzy jak trzeba. - Wyrosłej jak spod ziemi Fredzie, która zdążyła usłyszeć ostatnie zdanie, omal nie wypadły z rąk szklanki, Ellen natomiast, wbrew własnym chęciom, wybuchnęła śmiechem.

- No to o co chodzi?

- On jest głupi. Chciałam powiedzieć - bardzo głupi.

- Jack również nie jest wielkim intelektualistą, choć ma się za Bóg wie kogo - stwierdziła Ellen. - Ale tego, że jest wspaniałym malarzem, nie śmiałybym zakwestionować. Jeżeli oczywiście maluje.

Przez minutę czy dwie popijały w milczeniu. Potem, wracając do tematu, Ginevra powiedziała:

- Poza tym, jeśli chodzi o Kevina, to wstyd się z nim gdziekolwiek pokazać. Choćby te jego włosy. Zawsze wygląda tak, jakby miał na głowie wiecheć słomy.

- Dziwię się, że ma to dla ciebie jakieś znaczenie, Ginevra.

- Dla mnie nie, lecz innym to się nie podoba.

- No tak, rozumiem cię - przyznała Ellen, przywołując na pamięć swoją matkę, która po tylu latach jej małżeństwa nadal nie mogła pogodzić się z faktem, że ojciec Jacka był bukmacherem z Newcastle-upon-Tyne.

- Zresztą to jeszcze nie wszystko. Sprawa jest bardziej skomplikowana, niż myślisz. Kocham innego. Od lat.

Co za wyznanie! Wszystkiego by się spodziewała po Ginevrze, tylko nie romansu. Zamilkła w oczekiwaniu na dalszy ciąg. Ginevra jednak, mimo relaksującego działania jabłeczniaka z pubu „Pod Psem i Bażantem”, zachowała dość przytomności umysłu, by zdać sobie sprawę, że i tak padło za dużo słów, i postanowiła skończyć ze zwierzeniami. Ellen nie nalegała. Odstawiła szklankę. Chyba upiła się na smutno, w najgorszy sposób. Koniec z jabłecznikiem. Spoglądając na zegarek, oświadczyła:

- Idę zapłacić rachunek.

Wlokły się do Pear Tree Cottage noga za nogą. Ellen, czując obok siebie siostrzaną duszę, zaczęła wylewać własne żale.

- Zdarzają się dni, kiedy wiem na pewno, że jedyne, co powinnam zrobić, to rozstać się z Jackiem. Mam już trzydzieści sześć lat; wystarczająco dużo, by zauważyć, jak niepostrzeżenie wymyka mi się z rąk moje własne życie. Powoli je przegrywam. Poza tym, że stanowią dodatek do Jacka, jestem nikim. Jak widać, nie potrafiłam wywalczyć sobie niezależności w małżeństwie, choć wielu kobietom to się udaje.

Dla Ginevry był to typowy monolog kogoś, kto przeżywa rozterkę duchową.

- Myślę, że obie mamy jeszcze jakieś szanse. Musimy tylko odważyć się na ponowny start - kończyła Ellen. - Albo niech on

przynajmniej zrezygnuje z dziewczyn. - Choćby z takiej dziwki jak ta Tessa Lucas, pomyślała Ginevra. - Nie mogę wciąż przegrywać z jakąś pierwszą lepszą. Do życia potrzebna mi jest świadomość, że ktoś mnie kocha.

Czując spływające po twarzy gorące łzy, pomyślała: Co się ze mną dzieje? W jednej chwili zanoszę się śmiechem, w następnej płaczem. Pora wziąć się w garść i albo natychmiast rzucić Jacka, albo przestać się nad sobą litować.

Ginevra, ogarnięta współczuciem, myślała: Ciekawa jestem, jak wielu ludzi wie o wewnętrznych niepokojach pięknej Ellen Carey. Idę o zakład, że nikt. Pchnęła frontowe drzwi domu, nigdy w ciągu dnia nie zamykane na klucz, i wprowadziła Ellen do salonu. Jej nowa przyjaciółka wyglądała na kompletnie rozbitą.

- Połóż się wygodnie i odpocznij - poradziła Ginevra. Zgarnęła z kanapy książki i umieściła je na podłodze, sterta po sterocie. -1 tak o tej porze na ogół ucinam sobie drzemkę. A do komputera wrócimy potem, gdy zrobi się chłodniej.

Ellen szybko skorzystała z zachęty, tłumacząc się sennym głosem:

- Za dużo jabłeczniaka i za dużo słońca jak na jeden raz. - Zwinęła się w kłębek i z ręką pod policzkiem, na którym wciąż widniały ślady łez, zapadła w sen. Ginevra patrzyła na nią jeszcze przez chwilę, po czym wyszła z salonu i udała się do swojego łóżka.

Kiedy się obudziła, było już późne popołudnie. Ellen, która zdążyła tymczasem wstać, umyć twarz i podmalować oczy, sprawiała wrażenie osoby wypoczętej i panującej nad swoimi uczuciami.

- Jesteś, Ginevro! Moja droga, chyba czas na mnie. Mam przed sobą długą podróż, a poza tym obiecałam Ednie Phipps, że zajrzę do niej wieczorem. Czy uwierzysz, jeśli ci powiem, że nie zawsze bywam tak smętnym kompanem? - Obdarowała gospodynię gorzko-słodkim uśmiechem, dzielnie maskując nim swą rozdartą duszę. - Jestem ci szczerze wdzięczna za cierpliwość i gościnność.

Ellen jeszcze iiiie zdążyła odjechać, a Ginevra już poczuła przedsmak zwykłej samotności.

- Przyjedź do mnie jeszcze. No i dzwoń, gdybyś miała kłopoty z komputerem. Jestem do twojej dyspozycji.

- Zanim odjadę, chcę ci coś podarować. - I grzebiąc w płóciennej torbie, Ellen zaczęła wyjmować prezenty.

- To. - Rozłożyła szal i narzuciła go na ramiona Ginevry. - Obróć się dookoła - poleciała, rada z uzyskanego efektu, następnie włożyła na szyję przyjaciółki naszyjnik z bursztynem. - I to. Czy w tym domu znajdzie się coś tak frywolnego jak lustro?

- Duże nie - odpowiedziała Ginevra, która nigdy nie przywiązywała wagi do własnego wyglądu. - Ale jest łazienkowe, tyle że popękane.

Pęknięcie, biegnące po przekątnej, podzieliło jej odbicie na dwie nie pasujące do siebie połowy. Ginevra przyglądała się sobie z niedowierzaniem, zdumiona, jak bardzo odmieniły ją prezenty Ellen. Czyżby wysmukłe, ozdobione mnóstwem pierścionków palce eleganckiej ofiarodawczyni przekazały trochę własnego wdzięku obdarowanej? Nikt nie dał mi jeszcze tak pięknych rzeczy, pomyślała przeniknięta wdzięcznością dla Ellen. Co prawda, nikt w ogóle niczego mi nie dał. Nigdy. Ona jest nadzwyczajna.

- Ellen, to jest śliczne, aleja naprawdę nie mogę... - zaczęła, lecz Ellen, aby uprzedzić grzeczną odmowę, jakiej się spodziewała, a jednocześnie nie urazić dumy Ginevry, wpadła jej w słowo:

- Ależ możesz, naprawdę! Szal nadaje ci dystyngowany wygląd, a z kolei naszyjnik - to jak insygnium pogańskiej władzy. Jakbym stała przed obliczem wschodniej cesarzowej. Chyba nie zechcesz odmową zepsuć mi przyjemności.

Ginevra poddała się ulegle, a nie mając złudzeń co do własnego gustu, przy okazji odważyła się spytać:

- Ale do czego mogłabym je nosić? W tych sprawach jestem całkiem zielona.

Ellen tylko na to czekała.

- Żadnych worów do pół łydki. Od dziś masz polubić maje-

statyczne kolory, purpurę i czerń. Ostatecznie może być ciemna zieleń lub bardzo głęboka czerwień. Żadnego różu, żadnych pomarańczowych szmat, żadnego turkus. Fasony muszą być proste. I musisz odsłonić swoje ładne nogi. - Stały jej przed oczami czarne wełniane pończochy, te z przyjęcia u Hartingów. - Nie od rzeczy byłyby też cienkie ciemne rajstopy.

Ellen zdumiała własna odwaga. Niemożliwe, żebym to ja mówiła. Chyba jeszcze nie wytrzeźwiałam. Jakbym słyszała wydawcę „Vogue'a”, faceta o wyjątkowo dyktatorskich zapędach.

Za późno. Słowa raz wypowiedziane nie wracają. Postanowiła iść za ciosem.

- Czy nie myślałaś nigdy o szklach kontaktowych?

Skąpa zawartość szafy Ginevry, a nawet jej okulary, w kilku zgrabnych zdaniach zostały, ogólnie rzecz biorąc, zdyskredytowane i przeznaczone na śmietnik. Ginevra jednak, zamiast poczuć się dotknięta, przyznała Ellen rację, i aby intencje przyjaciółki mogły nabrać realnych kształtów, postanowiła wykorzystać saudyjskie pieniądze Kevina.

Przyglądając się, jak Ginevra, z ręką na klamce, przetrawia w sobie jej bezpardonowe uwagi, Ellen odezwała się nieśmiało:

- Chciałabym wierzyć, że cię nie obraziłam. Nie wiem, co mnie napadło.

- Och, wprost przeciwnie, dzięki temu, co mi powiedziałaś, może potrafię się odmienić. Jeszcze nikt nie był wobec mnie tak szczery jak ty. A co z butami?

- Klasyczne czółenka na słupkach, najlepiej czarne. No, ruszam naprawdę.

Uściskały się.

Ellen usiadła za kierownicą, opuściła szyby i rzuciła na pożegnanie:

- J a k myślisz, czy ten jabłecznik to naprawdę miejscowy wyrób? Jeśli tak, to dowiedz się, czym go doprawiają.

Włączyła silnik, pomachała, i zniknęła w wielkiej chmurze białego kurzu, który jeszcze długo po jej odjeździe wisiał w powietrzu.

10

Anonimowy list brzmiał, jak następuje: *Czy wiesz, że twoja żona ma romans z Jackiem Careyem?* I to wszystko. Jak w powieści Agathy Christie, składał się z naklejonych na papier pojedynczych liter wyciętych z gazet, w skrzynce zaś znalazł się z pominięciem poczty. Alexander wypuścił go z rąk, jak wypuszcza się coś, co parzy. Już sięgał po telefon, aby zadzwonić do Tessy i dokonać natychmiastowej konfrontacji, ale w ostatniej chwili rozmyślił się. Jeszcze raz wziął do ręki anonim. Powinien go natychmiast zgnieść i wyrzucić. Zlekceważyć. Anonimy na nic innego nie zasługują. Zamiast jednak to zrobić, zadzwonił do Marcusa Marchanta, który był z zawodu adwokatem.

- Jak, twoim zdaniem, powinienem się zachować w takiej sytuacji?

Marcus, który liczył się z podobnym obrotem sprawy, odpowiedział ostrożnie:

- A ty sam masz jakiś pomysł?
- Wychodząc z założenia, że to list człowieka nie przy zdrowych zmysłach, powinienem anonim zniszczyć i nikomu nic nie mówić. Zwłaszcza Tessie.
- A przy okazji, co słyhać u Jacka Careya?
- O ile wiem, jest pod opieką Ellen.
- A ha.
- Oboje mieszkają w pracowni.
- W porządku, to może ukrećić łeb całej sprawie.

Niekoniecznie, pomyśleli obaj jednocześnie.

- Pomijając wiarygodność anonimu, ciekaw jestem, kto mógł go wysłać - zauważył Marcus.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Jeśliby założyć, że anonimy zwykle piszą ludzie zainteresowani daną sprawą, pomyślał Marcus, to należy szukać nadawcy wśród żon lub narzeczonych wszystkich kochanków Tessy. Tylko co ma do tego ten malarz? I jak nadawca trafił na jego ślad? Do tej pory nikt z tych, którzy plotkowali o Tessie, nie wymienił nazwiska Careya.

Nie miał zamiaru dolewać oliwy do ognia i opowiadać przyjacielowi zasłyszanych plotek. Zresztą nie musiały wcale zawierać ziarna prawdy, przynajmniej nie wszystkie.

- Może powinienem porozmawiać z Tessą.

- To już jakaś myśl. Nie próbuj jej jednak od razu oskarżać. Powiedz tylko, że choć traktujesz ten anonim jak zwykły śmieć, to uważasz, że powinna o nim wiedzieć.

Tessa na pewno zaprzeczy, ale przynajmniej na chwilę przycichnie. Może nawet odkryje uroki własnego małżeństwa. Też na chwilę. Marcus, stary wyga w podobnych sprawach, nie żywił nadziei na stałe nawrócenie Tessy.

Po rozmowie z przyjacielem Alexander spędził sporo czasu przy biurku, obmyślając następne posunięcie. W końcu doszedł do wniosku, że powinien posłuchać Marcusa i przede wszystkim spokojnie porozmawiać z żoną. Wezwał sekretarkę, zlecił jej przełożenie wcześniej umówionego spotkania na dzień jutrzejszy i poinformował krótko, że wychodzi i nie będzie go w biurze przez całe popołudnie. Zadzwoił do domu. Wolał uprzedzić żonę o wcześniejszym powrocie i nie ryzykować, że przyłapie ją na gorącym uczynku. Telefonu nikt nie odebrał, więc wyglądało na to, że będzie musiał czekać na Tessę w pustym mieszkaniu, lecz wobec tego, co się wydarzyło, myśl o pozostaniu w biurze i zajęciu się sprawami zawodowymi była nie zniesienia.

Nad Londynem przechodziła właśnie gwałtowna ulewa, a chodniki, rozgrzane upałem, parowały i lśniły jak cynfolia. Było parno niczym w palmiarni w Kew. Wobec tego, że tak-sówka pozostawała w sferze marzeń, Alexander zdecydował się na metro. Wsiadł do ostatniego, prawie pustego wagonu i w drodze do domu zdążył dziesięć razy zmienić zdanie co do tego, jak ma się zachować w zaistniałej sytuacji. Analizując stan swego ducha, myślał: Niby wiem, że to całe małżeństwo jest pomyłką, a grzebię się we własnych uczuciach i grzebię. Po jaką cholerę ćwiczyłem umysł w Oksfordzie, jeżeli teraz nie potrafię się nim posługiwać?

Kiedy w końcu dojechał do Parsons Green, po deszczu pozostały jedynie kałuże i zapach wilgotnej, rozgrzanej ziemi. Alexander szedł szarym londyńskim chodnikiem, nawet się nie domyślając, że w mijanej po drodze restauracji nie dalej jak wczoraj Tessa jadła lunch z jednym ze swoich kochanków.

W domu panowała kompletna cisza. Minął hall, salon i wszedł do sypialni. Porozrzucane pantofle, bielizna i sukienki świadczyły niezbitcie o tym, że przed wyjściem Tessa przebie-rała się kilkakrotnie i że robiła to w ostatniej chwili. Musiała być spóźniona. Alexander po raz któryś z rzędu stwierdził z roz-goryczeniem, że nie znany mu jest rozkład dnia własnej żony, założywszy oczywiście, że Tessa potrafiłaby w ogóle narzucić sobie jakąś dyscyplinę.

Z kieliszkiem wina, choć nie była to stosowna pora na alko-hol, zaczął niespokojnie krążyć po mieszkaniu. Przystanąwszy przy półce z książkami, wyjął tom poezji Johna Donne'a i, wer-tując strony, odnalazł „Stalość kobiecą”, wiersz jakby pisany z myślą o Tessie. Zaczął czytać na głos:

*Już cały dzień mnie kochasz; jutro o tej porze,
Gdy odejdiesz ode mnie, co mi powiesz? Może
Antydatujesz jakieś nowe przyrzeczenia?
Lub powiesz, że w tej chwili
Nie jesteśmy już ludźmi, którymiśmy byli?*

*Że przysięgę składaną w stanie zagrożenia
Gniewem Miłości mściwej, każdy sąd uchyli?
Że, jak prawdziwy mariaż śmierć prawdziwa przetnie,
Tak i śluby kochanków, choć czynione szczerze,
Ważne są, póki sen im mocy nie odbierze?
Lub też mi udowodnisz świetnie,
Że... **

W ciszę panującą w domu wdarł się przenikliwy dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych.

- Jest tam kto? - usłyszał głos Tessy, która najwidoczniej wróciła po coś, czego zapomniała. Ponieważ o tej porze dnia dom zawsze był pusty, jej zdenerwowanie było uzasadnione.

- Nie bój się, to ja - powiedział otwierając drzwi.

Tessa wcale się nie uspokoila na jego widok.

- Dlaczego zamiast w wydawnictwie siedzisz w domu i mówisz sam do siebie?

- Czytałem na głos Johna Donne'a. To wspaniała poezja. Nie dostałbym całusa?

- Johna jakiego?

Tessa pocałowała męża od niechcenia.

- O co chodzi? Straciłeś pracę?

- Nie. Przynajmniej na razie.

- A zatem?...

Wręczył jej anonim. Tessa rzuciła okiem na treść.

-Więc?

- Co więc! Ktoś cię oskarża o to, że masz romans! Z Jackiem Careyem! Czy to cię nic nie obchodzi? Widzę, że nic! - Mimo zaleceń Marcusa i własnych szczerych postanowień czuł, że za chwilę straci panowanie nad sobą.

Wspomnienie spleśniałej głowy sprawiło, że Tessa rzuciła porywczo:

- Nie chcę mieć nic wspólnego z Jackiem Careyem!

* Fragment w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Stosownie do wyważonej rady przyjaciela „nie musisz jej od razu oskarżać”, Alexander złągodniał:

- Oczywiście, nie uwierzyłem w to ani na chwilę.

Tessa nie sądziła jednak, by tak łatwo udało jej się zażegnać niebezpieczeństwo, i postanowiła sama przypuścić atak.

- A właśnie że uwierzyłeś! Inaczej po co byś mi o tym mówił? Trzeba było po prostu wyrzucić to świństwo.

- Uważałem, że powinnaś o tym wiedzieć. - Nie zabrzmiało to przekonująco. Alexander czuł, że wszystko idzie na opak.

- No więc wiem. Wiem - patrząc w lustro umalowała wargi, następnie zacisnęła je, by dobrze rozetrzeć szminkę - i wychodzę.

- A dokąd to? - spytał z nagłym ukłuciem zazdrości.

- Alexandrze - powiedziała oschle. - To nie twoja sprawa. Zwykle o tej porze nie ma cię w domu, a czy ci się to podoba, czy nie, sama odpowiadam za to, co robię.

Alexander zawrzał gniewem, ale na pozór nadal był opanowany.

- Wykręć się, wszystko jedno, kto to jest. Zabieram cię na lunch.

- Innym razem, nie dzisiaj. - Chwyliła torebkę i notes, który nieopatrznie zostawiła na toaletce, i już kierowała się ku drzwiom, kiedy Alexander spostrzegł, że jego żona znów nie ma na palcu obrączki.

- Gdzie ją masz? - zapytał, a w jego głosie zabrzmiała groźba. Tessa jednak, wiedząc, że awantury rozpętywane przez męża kończą się zwykle na niczym i że szmaragd leży na umywalce w łazience, wzruszyła obojętnie ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- To twoja ślubna obrączka, do jasnej cholery! Czy ona naprawdę nic dla ciebie nic nie znaczy? Jak widać nie!

*(Ze, fałszywa i zmienna z natury, dopiero
Zdradzając mnie i kłamiąc, okażesz się szczerą?)*

Chwycił ją brutalnie za rękę. Notes eksplodował w powietrze i opadł na podłogę strumieniami wizytówek. Alexander rzucił się na nie skwapliwie, niby na rozsypany plik banknotów, zebrał wszystkie i zaczął je układać w wachlarz jak karty. Żadna nie pochodziła od kobiety, na jednej natomiast widniało nazwisko Jacka Careya.

Ostatnio Jack nie reagował na sygnał telefonu, lecz tym razem szósty zmysł podpowiedział mu, że to może być Tessa. I rzeczywiście. To była ona, cała we łzach.

- Jack, Alexander wyrzucił mnie z domu, a teraz jest w drodze do ciebie.

- Chyba nie powiedziałaś mu o nas?

- Oczywiście że nie. Jack, on mnie uderzył. Jest rozwścieczony i przekonany, że romansujemy ze sobą.

- No cóż, nie myli się.

Omiótł wzrokiem pracownię. Z pobieżnych oględzin wynikało, że jedynym śladem po wizytach Tessy jest jej portret, który właśnie wykańczał. Należałoby go gdzieś schować.

- Kiedy wyszedł?

- Jak i eś dziesięć minut temu.

Dostanie się do Docklands musi zająć Alexandrowi najmniej pół godziny, a może i więcej, w zależności od korków na ulicach. Jack, któremu już w przeszłości zdarzało się pozbywać znieważonych mężów, był przeświadczony, że potrafi to zrobić i tym razem.

- Jeśli sama się przed nim nie zdradziłaś, to jak, do diabła, odkrył nasz romans?

- Ktoś przysłał mu anonim. Poza tym znalazł u mnie twoją wizytówkę. - W jej głosie narastała histeria. - Słuchaj, on oszalał. Kiedy weszłam do domu, spokojnie recytował wiersze, a po kwadransie, nie słuchając moich wyjaśnień, rzucił się na mnie z pięściami. - Pominęła fakt, że to ona pierwsza uderzyła Alexandra, ale Jack, przysłuchując się przeplatanej łzami opowie-

ści, sam doszedł do wniosku, że Tessa nie mówi mu całej prawdy. Spoglądając przezornie na zegarek, zauważył:

- List anonimowy? Nie bardzo rozumiem. O ile mi wiadomo, nikt o nas nie wie.

- J a k widać, wie. Idę się spakować. Zadzwoń do ciebie, skoro tylko będę miała nowy numer telefonu.

No, teraz Tessa, nie krępowana niczym, dopiero pokaże, co potrafi.

- Dokąd chcesz się wyprowadzić? Zresztą może to nie będzie konieczne. Po namyśle Alexander na pewno ochłonie.

- Nie zostanę tu za nic w świecie. - Mówiąc to Tessa spojrzała w lusterko na spuchnięty policzek, który już zaczynał nabierać barw tęczy. - Muszę odejść.

Po skończonej rozmowie Jack zdjął portret Tessy ze sztalugi i ukrył go starannie za stertą wciąż jeszcze czystych płócien.

Przewidywał kłopoty.

Tessa, klęcząc na podłodze, zbierała rozsypane kartki notesu. Odnalazszy literę „S”, zadzwoniła do Cecylii Storrington.

- Ceci, tu Tessa.

- Tessa! Jak się masz?

- Nie najlepiej. Ceci, Alexander urządził mi potworną awanturę. Czy nie mogłabym się wprowadzić do ciebie? Zanim wszystko nie przyschnie.

Cecilia, która podobnie jak Marcus, słyszała niejedno o barwnych przygodach Tessy, nie była zaskoczona kłopotami przyjaciółki. Mimo niezdrowej ciekawości, jaką pałała, by poznać z pierwszej ręki szczegóły całej historii, doświadczona już dzieleniem wspólnego mieszkania z Tessą w przerwie między swoim pierwszym i drugim małżeństwem, najchętniej by odmówiła, lecz zabrakło jej akurat rozsądnego wykrętu.

- Oczywiście, ale na jak długo?

- Trudno mi powiedzieć - odpowiedziała Tessa, niemal już

jedną nogą za drzwiami. Właściwie to dobrze się składa, pomyślała. Wreszcie mogą go porzucić. I zobaczymy, jak Jack się znajdzie w tej całej sytuacji.

A więc pobyt na czas nieokreślony. Najgorsze, co można sobie wyobrazić.

- Pytam tylko dlatego - Cecilia już odzyskała przytomność umysłu i łąła jak z nut - że jak wiesz, mam tylko jeden wolny pokój, a za dwa tygodnie przyjeżdża do mnie matka. - Miała nadzieję, że tyle czasu wystarczy, aby ten największy z miłośnych fajerwerków się wypalił. Słyszając jednak, że Tessa chce coś powiedzieć, zapewne: „Nic nie szkodzi, wyprowadzę się na jej przyjazd do hotelu, a potem wrócę”, dodała szybko: - Nie mam pojęcia, jak długo posiedzi.

- Myślałam, że nie układa ci się z matką.

- To prawda, ale matka to matka. Kiedy mogę się ciebie spodziewać?

Tessa wyjrzała przez okno i z niezadowoleniem odnotowała fakt, że ten egoista Alexander pojechał na konfrontację z Jackiem ich wspólnym samochodem, zmuszając ją tym samym do skorzystania z taksówki.

- Myślę, że za godzinę.

Oczekując na przybycie Alexandra, Jack postanowił odnieść jakąś korzyść z całej awantury i zabrać się wreszcie do obrazów dla Maybricka. Zona, której przyjazdu spodziewał się lada dzień, zawiadomiła go listownie, że w związku z chorobą Edny Phipps zmuszona jest sama zajmować się kotami i zbiorem warzyw i owoców, i że wobec tego na razie ani on, ani Galeria nie mogą na nią liczyć. Harting, dowiedziawszy się o tym, wpadł oczywiście w czarną rozpacz, jego natomiast ogarnęły mieszane uczucia: z jednej strony ucieszył się nieoczekiwanym przedłużeniem dotychczasowej beztroskiej egzystencji, z drugiej jednak sam zaczynał zdawać sobie sprawę, że jeśli nie weźmie się w garść, wystawa przejdzie mu koło nosa.

Rozległo się pukanie do drzwi i, tak jak się spodziewał, po chwili stał już twarzą w twarz z Alexandrem Lucasem. Zastanowiwszy się pośpiesznie, jakby tu wyjść cało z opresji, Jack doszedł do wniosku, że powinien w miarę możliwości mówić tylko prawdę, bo to pozwoli mu później nie plątać się w zeznaniach. Na przykład w sądzie.

Alexander po długiej jeździe do Docklands, która podziałała na niego kojąco, był już w stanie podjąć rzeczową dyskusję.

- Jaka miła niespodzianka - powitał go grzecznie Jack - Co cię tu sprowadza?

- Mogę wejść?

- Ależ oczywiście. Siadaj, proszę. - Wskazał szezlong, na którym ostatnio tyle się działo między nim a Tessą. - Napijesz się?

- Nie, nie, dziękuję. Czy Ellen jest tutaj? Bo jeśli tak, to wołałbym nie mówić przy niej o sprawach, z którymi przychodzę.

- Właściwie to powinna być, ale odłożyła przyjazd ze względu na chorobę naszej pomocy domowej. - Jack nie odmówił sobie porcji whisky. - A więc, czym mogę ci służyć?

- Czy romansujesz z moją żoną?

- Och, gdybym tylko miał po temu okazję! Ale niestety, starszku, nic z tych rzeczy. A skąd ci to przyszło do głowy?

- Stąd! - Alexander podał mu anonim. - Poza tym Tessa ma twoją wizytówkę.

Jack z zainteresowaniem przestudiował świstek papieru.

- I cóż ona na to?

- Zaprzecza!

- Wolisz więc wierzyć komuś, kto wypisuje takie brednie, niż własnej żonie?

- Po co przechowywałaby twoją wizytówkę, gdyby nic was nie łączyło? - Alexander, czując ukłucie zazdrości w sercu, przypomniał sobie wyzywający flirt Tessy i Careya podczas przyjęcia u Victorii.

Jack, jak widać, także wrócił pamięcią do tamtego wieczoru, skoro wyznał z własnej woli:

- Chyba dałem ją Tessie, kiedy widzieliśmy się ostatnio u Hartingów. Zachwyciłem się nią, bo jest nad wyraz piękna, i miałem nadzieję, że zechce mi pozować.

- Pozować?! Tobie?!

- Dobrze, już dobrze, uspokój się. I tak odmówiła. Tessa jest w porządku. A jeśli o mnie chodzi, to od lat nie malowałem aktów. - Wreszcie, tak jak sobie obiecywał, powiedział coś zgodnie z prawdą.

Alexander poczuł, że robi z siebie idiotę i że nic z Careya nie wyciągnie. Ponownie wymówił się od whisky i wstał z kanapy. Jack tymczasem, ucieszony, że tak łatwo mu poszło, nalał sobie podwójną porcję. Już przy drzwiach powiedział:

- Radzę ci, niczego nie rób w pośpiechu. Lepiej prześpij się ze swoim problemem. I ze swoją śliczną żoną.

Alexander, nie przekonany, podejrzewając, że wystawiono go do wiatru, wrócił na Mimosa Street, gdzie powitał go zamknięty na cztery spusty, opustoszały dom. Tessa choć raz okazała się posłuszną żoną. Jednak przed odejściem zdążyła wydrzeć z Johna Donne'a wszystkie kartki i porzucić je po całej sypialni. Szmaragdowa obrączka, która zwykle gdzieś się zawieruszała, leżała teraz na wielkim małżeńskim łożu pośrodku poduszki Alexandra, mrugając do niego swym zielonym okiem.

11

Ponieważ Jack nadal się nie odzywał, a Ellen, co gorsza, odłożyła przyjazd do Londynu o cały tydzień, James Harting był już bardzo bliski desperackiego kroku. Po prostu nie mogę znieść takiej niepewności - oświadczył któregoś dnia Victorii. Przestał wreszcie krążyć po pokoju i przystanął przed obrazem Careya. - Już lipiec, a ja nie mam zielonego pojęcia, co ten typ wyprawia. Być może w ogóle nic nie robi. Pewnie nie. - James przesunął dłonią po włosach. - Jestem pewien, że podskoczyło mi ciśnienie. Powiedz, czy cała sprawa jest tego warta?

Przyglądając się mężowi ze współczuciem, Victoria spytała:

- To dlaczego nie pofatygowałeś się sam do pracowni?

- Ależ pofatygowałem, i owszem, tylko nic z tego nie wyszło. Albo leżał spity i nawet nie słyszał mojego dzwonka, albo snuł się po mieście, nie wiadomo gdzie i po co. Założę się o ostatnie pieniądze, że nie robi tego, co powinien.

Na nowo podjął wędrówkę.

Kolacja z kimś, kto nieustannie krąży po pokoju, nie była przyjemnym wypoczynkiem po ciężkim dniu. Victoria powiedziała łagodnie:

- Dlaczego nie usiądziesz, kochanie? To niezdrowo jeść na stojąco.

James posłusznie usiadł, lecz nie na długo.

- Chyba musiałem wiele nagrzeszyć w poprzednim życiu, skoro teraz cierpię takie katusze. Czy możesz sobie wyobrazić,

co on zrobił przedwczoraj, kiedy wreszcie dodzwoniłem się do niego bez pośrednictwa tej pieprzonej automatycznej sekretarki? Powiedział, żebym odłożył słuchawkę, to zaraz oddzwonił. Oddzwonił, owszem, ale tylko po to, by mi oznajmić, że ktoś jest pod drzwiami, więc żebym chwilę zaczekał. Czekałem całą dzień, bo zablokował telefon w Galerii.

- Naprawdę musisz się uspokoić.

- Wiem, wiem! - Głos Jamesa wznosił się do krzyku.

Victoria, która miała w zanadru pewną niespodziankę, nie mogła się doczekać, by James przestał mówić o Jacku. Uznawszy jednak, że ten temat zostanie zamknięty dopiero po przekroczeniu Rubikonu, jakim jest data pierwszego września, postanowiła dojść do głosu za wszelką cenę i już dobierała odpowiednie słowa, kiedy James ją uprzedził:

- Chyba rozwiążę z Careyem umowę. Powiedz mu, żeby sobie znalazł inną galerię, jeśli potrafi. Muszę tak postąpić.

Cóż miała odpowiedzieć na słowa, które zwiastowały apokalipsę? Przyglądała się mężowi w milczeniu minutę czy dwie, po czym oznajmiła:

- Jestem w ciąży. Będziemy mieli dziecko.

James złapał się za głowę.

- Chryste! Nie! Nie możemy sobie na to pozwolić. Tylko patrzeć, a trzeba będzie płacić chesne za szkołę. Nikogo nie stać na to przy dzisiejszych dochodach. A ja nigdy nie pozbędę się Careya. Nie możemy się rozłączyć, zupełnie jak stary człowiek i morze.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- James, ono nawet się jeszcze nie urodziło. Nic cię nie obchodzi własna rodzina? Widzę, że myślisz jedynie o tej cholernej Galerii i Jacku Careyu. Boże, nienawidzę tego faceta! - Potykając się o drzemiącego Ho, wybiegła do ogrodu, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

James popieszył za nią.

- Kochanie, przepraszam! Oczywiście, że to cudowna nowina!

Victoria odwróciła ku niemu zalaną łzami twarz.

- Jesteś szczęśliwy? Naprawdę? Nie zniosłabym, gdybyś nie był.

James z przejęciem pocałował żonę. Zdawało mu się, że Victoria wygląda nieco inaczej niż zwykle, choć nie wiedział, na czym to polega. Wyznał całkiem szczerze:

- Zdolna dziewczynka. Jestem wzruszony.

Uśmiechnęła się do niego poprzez nowy strumień łez.

- Wiem, że żadne z nas nie myślało o powiększeniu rodziny, ale mimo to wierzyłam, że się ucieszysz.

- Uwielbiam cię. - Pocałował ją jeszcze raz. - Podzielimy się tą szczęśliwą wieścią z najbliższymi?

- Jeszcze nie. Na razie niech to będzie tylko nasz sekret.

Kiedy Victoria poszła zmyć łzy z twarzy, James podjął wreszcie męską decyzję; musi zmierzyć się z problemem, któremu na imię Jack. Postanowił, że pojedzie do jego pracowni z panem Peckiem, zatrudnionym w Galerii jako złota rączka, każe mu zabrać narzędzia i wiertarkę, i, nie zważając na nic, włamie się do środka. Wszystko zdawało się lepsze od ciągłej niepewności. Postanowił, że tę wyprawę zachowa w tajemnicy przed Victoria.

Pan Peck, drobny, smagły człowieczek, wyglądał jak krasnoludek, który uciekł ze skalnego ogródka przy domu. Dożywszy siedemdziesięciu lat, zdążył nabrać filozoficznego stosunku do życia. Zdolności do majsterkowania odziedziczył po ojcu i dziadku, narzędzia zresztą również, łącznie z młotkiem, którego drewniany trzonek w ciągu tych lat był wymieniany co najmniej trzy razy. Pan Peck nigdy nie zaprzętał sobie głowy emeryturą, ponieważ, jak twierdził, praca jest jego *raison d'être*.

Siedział teraz obok Jamesa, którego uparcie, mimo wielu lat przepracowanych w Galerii, nazywał panem Hartingiem (sam zresztą nigdy nie przedstawiał się jako Bill, ale zawsze jako pan Peck), i zastanawiał się, dokąd jada. Wiedział tyle, ile mu powiedziano, a mianowicie, że ekspedycja ma coś wspólnego z pa-

nem Careym. Pan Peck niemało razy widywał pana Careya, którego łączyły długoletnie związki z panem Hartingiem i Galerią, niemało też razy wyrażał się krytycznie o tych związkach. Jako sumienny rzemieślnik nie znosił bałaganiarstwa i niesolidności pana Careya, jako mężczyzna zaś wielbił panią Carey i uważał, że mając takiego męża, zasługuje na miano świętej. Natomiast co do tak zwanych, jak podkreślał, abstrakcji pana Careya, to był zdania, że on sam potrafiłby machnąć coś takiego, specjalnie się nie wysilając, i nikt nie dopatrzyłby się żadnej różnicy.

- Był pan już kiedyś w Canary Wharf, panie Peck?

Spojrzawszy obojętnie na zbyt nowoczesny, jak na jego gust, biurowiec, pan Peck mruknął wymijająco:

- Nie, nie powiedziałbym.

O wiele większe zainteresowanie wzbudziła w nim mijana właśnie drukarnia „Financial Timesa”, przez której fasadę z przyciemnionego szkła prześwitywały ogromne prasy drukarskie, w tej chwili nieczynne przed nocną zmianą. Niezłe, ocenił w duchu pan Peck. Tajemnicza eskapada trwała nadal, choć po drodze nie trafiło się już nic godnego obejrzenia. Wreszcie obaj panowie zatrzymali się obok czegoś, co wyglądało jak stary magazyn.

James wysiadł z samochodu i zapytał pana Pecka:

- Ma pan swoje narzędzia?

Pan Peck kiwnął głową. Nie rozstawał się z jutową torbą o skórzanych rączkach. U wejścia do rzekomego magazynu, który okazał się kompleksem biur i pracowni, James nacisnął dzwonek przy nazwisku Carey. Oczywiście, jak można się było spodziewać, nikt się nie odezwał. Wobec tego zaczął naciskać kolejno inne dzwonki, aż za którymś razem poszczęściło mu się.

- Kto tam? - odezwał się głos przez domofon.

- Paczka dla pana Careya - odpowiedział James. - Kazano mi ją zostawić pod drzwiami pracowni, gdybym go przypadkiem nie zastał.

- Musiał pan trafić akurat na mnie? - odparł zniecierpliwiony głos, ale drzwi się otworzyły.

- I co teraz? - spytał pan Peck, z trudem nadążając za długonogim Jamesem po schodach.

- Teraz? Włamujemy się i wchodzimy, panie Peck - powiedział James, burząc siedemdziesięcioletni kamienny spokój złotej rączki. - Ma pan swój łom pod ręką?

Okazało się jednak, ku jego niewysłowionej uldze, że nie trzeba będzie uciekać się do tak drastycznych środków, bo Jack wychodząc nawet nie domknął za sobą drzwi.

Weszli do środka. Pierwszą rzeczą, jaką James zauważył, była opróżniona do połowy butelka whisky. No tak, nic dziwnego, że potem nie zamyka się na klucz własnego domu. Drugą, o wiele bardziej szokującą, był bardzo duży akt. Choć stał jeszcze na sztalugach, wyglądał na skończony.

- Dobry Boże! - zawołał James.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że pan Carey wie, jak się zabrać do prawdziwego obrazu - zauważył pan Peck ze zdziwieniem. Zbliżył się do portretu, włożył okulary, a kiedy cała rzecz nabrała wyraźnych kształtów i kolorów, doznał wstrząsu. To była pani Lucas, taka, jakiej nigdy przedtem nie widział i prawdopodobnie nigdy nie zobaczy. Odwrócił się, niewymownie skrępowany, i zaczął przecierać szkła, które nieoczekiwanie zasłży parą.

James w milczeniu kontemplował obraz, przyznając w duchu, że jest wart grzechu, a jego rozpasana siostra odpowiadała mu nieugiętym spojrzeniem. Wszystko było w tym portrecie: młodość, uroda, głupota, zmysłowość i ten po mistrzowsku oddany - ledwo uchwytny - cień naiwności, który Tessę czynił młodszą i łagodniejszą, niż była w istocie. Czyżby Jack, mówiąc językiem artystów, zamierzał wrócić do źródeł?

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Harting - usłyszał za sobą głos pana Pecka - to poczekam na pana na dworze. Chciałbym odetchnąć świeżym powietrzem. - To nie był wybieg; rzucone na portret jeszcze jedno, ukradkowe spojrzenie przyprawilo pana Pecka o prawdziwy zawrót głowy. Zastana-

wiał się skromnie, jak też spojrzy w oczy pani Lucas, kiedy ją spotka.

- Oczywiście, panie Peck, proszę sobie odpocząć. Nie zabawię tu długo. - Poza portretem Tessy, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nie było w pracowni nic do oglądania. Ale kiedy James pokręcił się trochę, zdołał jeszcze odkryć teczkę ze szkicami do portretu siostry. Prawie wszystkie, równie wyraziste jak sam portret, zasługiwały na miano sensacyjnego odkrycia, a ich subtelne krzywizny i niezwykła płynność linii świadczyły o zmysłowym zaangażowaniu Jacka w tworzone dzieło. Jack, gdyby nawet chciał, nie potrafiłby ukryć, że szkice są hymnem pochwalnym na cześć erotyzmu Tessy.

James, choć zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może zostać zaskoczony przez właściciela pracowni niby pospolity złodziej, nie zaprzestawał poszukiwań. Ale niestety szło mu coraz gorzej. Wśród sterty czystych płócien odkrył dwie prace, w tym jedną nie ukończoną, które w zamierzeniu miały być obrazami dla Maybricka. Za płytkie i za płaskie, ocenił je James krótko. Nawet jak dla głupiego Harolda.

Podniósł słuchawkę, wykręcił numer żony i, zapominając, że wyprawa miała być okryta tajemnicą, rzucił bez żadnych wstępów:

- J e s t gorzej, niż się spodziewaliśmy.

- Co jest gorzej? Skąd dzwonicz?

- Od Jacka.

- No, przynajmniej cię w końcu wpuścił.

- Nikt mnie nie wpuścił. Przyjechałem z Peckiem, żeby się po prostu włamać. To znaczy, ja miałem taki zamiar, bo stary Peck nie wiedział o niczym aż do końca. Okazało się jednak, że łom nie będzie potrzebny, ponieważ Jack, jak to Jack, wyszedł z mieszkania, zostawiając drzwi otwarte na oścież.

- No i co zastałeś?

- Chcesz wiedzieć? Rewelacyjny, choć niewątpliwie pornograficzny akt mojej siostry, kilka podobnych w treści szkiców i dokładnie półtora płótna dla Maybricka. Słabizna.

Na drugim końcu linii Victoria westchnęła głęboko, lecz zanim dała wyraz rozpaczy, James usłyszał na schodach jakiś hałas.

- Muszę kończyć. Chyba wraca Jack.

Jack natomiast, choć już nieźle podpity, zdołał zauważyć siedzącego na zewnętrznych schodach, strapionego pana Pecka i w mig zwęszył niebezpieczeństwo. Pokazując na samochód, krzyknął:

- Tego tylko brakowało! Gdzie on jest? Gdzie jest Harting?

Pan Peck, pokrywając strach zachowaniem pełnym godności, odparł:

- Jeśli ma pan na myśli pana Hartinga, to jest w pracowni.

- O cholera!

Co powiedziawszy, rozmówca pana Pecka, ku jego ogromnej uldze, ruszył chwiejnym krokiem schodami w górę. Po wejściu do pracowni, widząc, że James kontempluje obrazy dla Maybricka i ani myśli zareagować na jego obecność, zblefował:

- Nieźle, co? Jak myślisz?

- Poniżej krytyki - odparł James cierpko.

- Naprawdę? No cóż, rzeczywiście nie mają wielkiej głębi.

- Nie tylko głębi. Możesz uważać Harolda Maybricka za dupka, ale nawet on nie da się nabrać na coś takiego.

- Może masz rację - powiedział ostrożnie Jack.

- Dobrze wiesz, że mam. Tak czy inaczej, *faute de mieux*, uważam, że ten może być wystawiony.

- Tego nie zrobisz, ty draniu.

- Dlaczego nie?

- To twoja siostra. Jej mąż nie byłby zadowolony.

- Nie dbam o jego opinię. A poza tym nic więcej tu nie widzę.

Jack wytrzeźwiał nagle.

- Posłuchaj, Tessa ma patologicznie zazdrosnego męża. Zabije ją. Wiesz o tym.

- Prędeż zabije ciebie. Zresztą to nie mój interes. Sam się w to wpięprzył, to teraz się martw.

Unosząc ręce nad głowę, Jack powiedział:

- Dobrze już, dobrze. Poddaję się. Niech ci będzie.

- Kiedy przyjeżdża Ellen?

- Jak tylko Edna Phipps wyzdrowieje. Myślę, że lada dzień.

- Wobec tego czekam na jej telefon, gdy tylko się pojawi, a potem, raz w tygodniu, masz mi zdawać sprawozdanie z postępu prac. Za miesiąc spotkamy się tutaj, aby ocenić, co zrobiłeś. Jeśli wypadniesz źle, bądź pewien, że odwołam wystawę, a tym samym unieważnię naszą umowę. Wszystko jasne? I - wskazał na portret - masz się tego pozbyć przed przyjazdem Ellen.

Wyszedł.

Jack, zbyt gruboskórny, by łatwo go było obrazić, natychmiast zabrał się do roboty. Wyjął z teczki szkice, rozsiadł się na szezlongu i wykręcił numer Cecylii Storrington. Miał zamiar poprosić Tessę, by przechowała i szkice, i portret.

James wracał do Chelsea przez Balham, aby podrzucić do domu pana Pecka.

- Czy chce pan zadzwonić do pani Peck i uprzedzić ją, że już wracamy?

Pan Peck nieufnie odnosił się do telefonu w samochodzie, a poza tym wiedział, że Marjorie i jej przyjaciółki przeznaczają ten wieczór na grę w strzałki, więc swój obiad i tak znajdzie w piecyku, wobec czego odmówił.

James zaczekał, aż pan Peck doklebie się do drzwi frontowych, po czym powodowany impulsem, postanowił zrobić jeszcze jedną rundę po mieście i bez żadnego szczególnego powodu, chyba po to, by odreagować wizytę u Jacka, odwiedzić Alexandra i Tessę.

Na Mimosa Street nie było ani odrobiny miejsca, gdzie można by wcisnąć samochód, wobec tego zostawił go nieco dalej i wracając już z daleka zauważył, że wszystkie okna Lucasów jarzą się światłami. To bardzo typowe dla mojej ekstrawaganczkiej siostry, pomyślał.

Dwukrotnie zastukał w drzwi mosiężną kołatką w kształcie dłoni. W progu pojawił się Alexander.

- Och, James! Co za niespodzianka. Wchodź do środka.
Zaprowadził gościa do salonu.

- Napijesz się?

James tego właśnie potrzebował.

- O ile masz otwartą butelkę, to kieliszek białego wytrawnego. Z przyjemnością. - Zdawało mu się, że jest lepki od brudu. - Pozwolisz, że umyję ręce?

- Chyba nie musisz pytać. Znasz drogę do łazienki.

Mijając otwarte drzwi sypialni, James zauważył, że cała podłoga jest usłana czymś, co wygląda na wyrwane z książki kartki.

- Przepraszam, ale czyżbyś robił porządki na regale? - spytał po powrocie.

Alexander podał mu kieliszek.

- To sprawka Tessy.

- Tessy?

- Tak - odparł zbolalym głosem i objął głowę dłońmi.

- Nic ci nie jest?

- Nie, to znaczy tak. Rzuciła mnie. Ściśle mówiąc, powiedziałem jej, że ma się wynieść.

- Dokąd poszła? - Jeśli powie, że do Jacka Careya, to się zastrzeżę. - I kiedy to się stało?

- Kilka dni temu. Mieszka u Ceci Storrington. Zostawiła obrączkę.

Opinia Ceci na temat małżeństwa Careyów była zbieżna nie tylko z opinią Marcusa Marchanta. Jamesa również. Zauważył ostrożnie:

- Klóciliście się już przecież nieraz, więc jedna awantura więcej chyba niewiele znaczy. One w końcu zawsze wracają.

Dopiero teraz przyjrzał się dokładniej szwagrowi. Alexander był nie ogolony i miał podkrążone oczy, przez co jego twarz nabrała jeszcze bardziej poetyckiego wyrazu niż zazwyczaj.

- Ktoś mi to przysłał. - Szwagier podał Jamesowi anonim.

Ja się naprawdę zastrzelę, pomyślał James, rzuciwszy okiem na tekst. Chyba lepiej przemilczeć wizytę u Jacka.

- Jak możesz przejmować się takim śmieciem?

- To samo powiedział mi Carey.

O bogowie!

- Byłeś u Jacka?!

Alexander wyglądał żałośnie.

- Tak, ale nic mi to nie dało. - Oczywiście, jakżeby inaczej.

- A kiedy wróciłem, Tessy już nie było.

James zauważył, że jak dotąd, nie padła żadna uwaga o porcie Tessy. Zapewne Jack, uprzedzony przez Tessę, w porę zdążył go ukryć. Teraz z kolei wypadałoby pójść do kochanej siostrzyczki i spytać wprost, co też ona, u diabła, wyprawia. Chyba nie pisane mu dzisiaj dojechać do domu.

- Nie wpadaj w depresję - poradził Alexandrowi. - Jak ochłonie, to wróci.

- To zaledwie część zmartwień. Wcale nie wiem, czy mi na jej powrocie zależy.

Mój szwagier cierpi z braku narkotyku, któremu na imię Tessa. Biedaczysko, uzależnił się od niej fizycznie. Na szczęście Tessa nigdy nie ujarzmi jego duszy, bo sama jej nie posiada. Nic dziwnego, że Alexander jest wewnątrznie rozdarty.

- Muszę iść. Victoria już się pewnie niepokoi, że tak długo nie wracam. Posłuchaj, nie chciałbyś na jakiś czas zamieszkać u nas? Aż wszystko wróci do normy?

- Dziękuję za zaproszenie, ale wolę zostać tutaj.

Alexander odprowadził Jamesa do drzwi.

- Nie zdążyłem cię nawet zapytać, czy nie przyjechałeś do mnie z jakąś konkretną sprawą.

- Nie, po prostu wpadłem przejeżdżając. Gdzie ostatnio mieszka Ceci?

- Na Walpole Street.

- Ach tak, już wiem. Odwagi. Zadzwoń do ciebie z rana.

James miał dość. Wystarczy jak na jeden dzień. Postanowił wrócić do Chelsea, a rozmowę z siostrą odłożyć do jutra.

12

Kiedy w dwa dni po opisanych wyżej wydarzeniach Ellen zjawiła się w pracowni męża, poza rozpiętym na sztalugach nowym płótnem (w ten sposób Jack najwyraźniej demonstrował typowy dla siebie nastrój „właśnie zaczynam”) wszystko inne było pokryte grubą warstwą kurzu, nie wyłączając roślin. Aby uniknąć zbędnych dyskusji po powrocie męża, szybko uwinęła się z zapasami whisky, wylewając zawartość trzech odnalezionych napoczętych piersiówek do zlewu, po czym zajęła się kuchnią. Jack, który w ciągu wielu lat na pół kawalerskiego życia nie nabrał zwyczaju zmywania ani korzystania ze zmywarki, używał kolejno czystych naczyń, dopóki się nie skończyły. Godne zastanowienia było natomiast stosunkowo schludne wnętrze lodówki. Czyżby zadziałała jakaś wyższa konieczność? Co do reszty mieszkania, Ellen nie namyślała się długo; odkąd Jack, z trudnym do zrozumienia uporem, wzbierał się przed jakąkolwiek stałą sprzątaczką, argumentując, że przeszkadzałaby mu w przygotowaniach do pracy, przez co doprowadzał do skrajnego bałaganu, dzwoniła zwykle do jakiejś firmy i zlecała jednodniowe gruntowne porządki.

Właśnie ciągnęła po podłodze ciężkie donice, aby przywieźć roślinom zrobić w łazience prysznic, kiedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Słucham, tu Ellen Carey.

Z drugiego końca linii dobiegał cichy oddech.

- Halo - powtórzyła, aę ktoś już się rozłączył.

Ellen dociągnęła donicę do wanny, przechyliła nad nią delikatne pędy i puściła prysznic.

- Biedactwa - zwróciła się czule do roślin, widząc, jak nabierają siły i odzyskują utraconą zieleni. - Musicie przyznać, że to kawał sukinsyna.

- O jakim sukinsynie mówisz? - odezwał się Jack, którego wejście zagłuszyła lejąca się woda.

- Cześć, kochanie. O tobie. Chyba nie będziesz mi wmaśniał, że je kiedykolwiek podlewałeś.

- Nie, nie będę. - Wolał nie wdawać się w żadne wykręty.

- Czy mógłbyś wstawić je do wanny? Potrzebują wilgoci.

Oczywiście, jeśli żona sobie życzy...

- A teraz, póki ja jestem w łazience, idź i wyładuj rzeczy z samochodu.

Oczywiście. Sam na to nie wpadł i wcale nie miał wielkiej ochoty nosić bagaży. Kiedy wrócił obciążony ciężkimi torbami, Ellen już skończyła oporządzać rośliny.

- Teraz chodź ze mną. Trzeba się uporać z kuchnią, we dwoje prędko nam to pójdzie. Chyba że wolisz stanąć przy sztalugach.

Jack nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie, toteż spojrział na żonę z ponurą miną.

- Dzisiaj jestem już dość zmęczony. Chyba zacznę od jutra.

Ellen: *Plus ça change*, ale jeśli myśli, że będę tu robić za kuchnię, podczas gdy on będzie siedział rozparty jak basza, to się grubo myli.

Jack: Pamiętam jeszcze dni, kiedy Ellen była jedną z tych miłych, ustępliwych dziewczyn. A teraz proszę! Przypomina mi moją matkę.

Jak wiele kobiet z północy, jego matka rządziła całym domem. On i ojciec pomagali jej niewiele, i to tylko wtedy, kiedy nie udało im się wykręcić, aż z latami zasłużyli sobie, i słusznie, na opinię nierobów i leni. Zresztą matce trudno było dogodzić. Zawsze uważała, że każdą rzecz potrafi zrobić szybciej i lepiej od innych.

- No dobrze, niech ci będzie - ustąpił wspaniałomyślnie. -
To co mam robić?

Ellen włożyła fartuch i podała mu pierwsze z brzegu naczynie.

- To jest naczynie, a to - pokazała - zmywarka. Masz włożyć naczynie do zmywarki. Potem następne i następne, aż cała się zapelni. Jeśli czujesz się w szczególnie twórczym nastroju, na górze możesz umieścić szklanki. Potem czeka cię najtrudniejsze zadanie. Włączenie automatu. A jeszcze później możesz mnie zaprosić na obiad; zabawimy się ostatni raz, zanim rozpoczniesz bardzo długą odwykówkę. Co ty na to?

- Jestem do usług. Dokąd chciałaś pójść?

- Może do „Nowych Przyjaciół”?

- Załatwione!

Po skończonym zmywaniu popatrzyli na siebie z uśmiechem i przenieśli się nieoczekiwanie w dawne, szczęśliwe dni, kiedy nie starczało na wiele poza piwem. Gdyby dobrze policzyć, uzbierałoby się tych dni całkiem niemało.

- Cieszę się, że jesteś tutaj - powiedział ciepło Jack.

Przypinając grzebieniem luźne pasemko włosów i zastanawiając się jednocześnie, czy nie będzie to dla obojga falstart, uśmiechnęła się kusząco.

- Ja też. Idziemy?

Kiedy wracali, wieczór zdążył już nabrać fioletowej barwy. Obojgu uderzyło do głowy wypite przy kolacji wino. Z ręką w dłoni Jacka, Ellen zapytywała samą siebie: Czyżbym oszalała, że mam nadzieję wskrzesić przeszłość?

W pracowni Jack poczuł, że pragnie własnej żony.

- Rozbierz się. Chcę na ciebie popatrzeć.

- Musisz mi rozpiąć guziki z tyłu. \

Odwróciła się i z pochyloną głową, jak mała dziewczynka, czekała cierpliwie, aż jego palce poradzą sobie z tak trudnym zadaniem.

- Jak, na miły Bóg, zapinasz je bez niczyjej pomocy?
- To trwa wieki. A poza tym, czyżbyś nie wiedział, że ożeniłeś się z cyrkówką?

Uniosła ręce i w tej samej chwili zwiewna purpurowa suknia fruwała w górę w podmuchu powietrza z otwartego okna, odsłaniając dojrzałe, choć wciąż smukłe ciało. Z umalowanymi oczami, roztańczając wokół siebie dziwną aurę tajemniczości, Ellen przypominała piękną Kybele. Sypialnia, z lekka tylko oproszona przyćmionym światłem staromodnej ulicznej latarni, tonęła w ciemnościach. Aby widzieć żonę wyraźniej, jej mąż, artysta, potarł zapałkę i zapalił najłagodniejsze i najbardziej staroświeckie ze świateł - woskową świecę, która wieńczyła stojący w rogu półtorametrowy kandelabr, kupiony dawno temu na francuskim pchlim targu. Delikatny, chybrotliwy płomień zakłótył się cieniem na ścianach i miękko otulił blaskiem nagie ciało Ellen, wydobywając z mroku wysoko sklepione policzki, ciężki naszyjnik i srebrne pierścionki na palcach.

- Proszę, nie zdejmuj naszyjnika. I puść luźno włosy. A teraz chodź do mnie.

Podczas pocałunku, tego preludium do kolejnych rozkoszy, Ellen pomyślała: Pierwszy raz od wieków nawet nie spróbował whisky.

James nie posłuchał żony i nie uprzedził Tessy telefonicznie o swojej wizycie. Obawiał się, że ta wyczuje pismo nosem i zrobi jakiś unik. No dobrze, wykladała Victoria swoje racje, ale jeśli zastaniesz Cecilie? Cecilii jednak nie zastał, jego młodsza siostra natomiast była w nastroju buntowniczym.

- Cześć.

- Cześć.

Pocałowali się jak zwykle. Siadając na jednym z obciążonych pokrowcami krzeseł w saloniku Ceci, James zastanawiał się właśnie, od czego by tu zacząć, kiedy siostra sama wybawiła go z kłopotu.

- Rozumiem, że wiesz wszystko o mnie i o Jacku.
- Jeżeli mówiąc „wszystko”, masz na myśli swój nędzny romansik, taki, jakich miewał przed tobą na kopy, odpowiem: tak, wiem.

- Nie musisz bawić się w mentora.

- W nikogo się nie bawię. Stwierdzam fakt.

- Ze mną to inna sprawa. Mam zamiar wyjść za niego za mąż.

- Och, doprawdy?

- Tak, doprawdy.

- Tesso, przecież masz męża.

- J u ż mi się znudził. Chcę innego. - Zupełnie jak kiedyś, w pokoju dzieciennym, kiedy spierali się o każdą zabawkę.

- O co ci, u diabła, chodzi? Alexander jest przystojny i inteligentny. Niejedna kobieta wiele by dała, żeby tylko się za niego wydać.

- No cóż, ja już z tego wyrosłam. Może i jest inteligentny, nie przeczę, ale na pewno brak mu ochoty do zabawy. Co mi po geniuszu, który nie potrafi używać życia?

James spróbował inaczej.

- W porządku, założmy, że ty i Alexander macie siebie dość, ale czy nie mogłabyś zostawić w spokoju Careyów? Co z Ellen? Co z chłopcami?

- To ich problem. Zresztą powiem ci, co o tym myślę. Tobie wcale nie chodzi o Ellen. Ani o chłopców. Myślisz tylko o tej swojej choliernej Galerii!

James zamilkł. Jego siostra miała dobrą intuicję. Bez względu na sympatię, jaką darzył Ellen, skłamałaby twierdząc, że prawdziwym celem tej wizyty jest jej dobro.

- Posłuchaj, nigdy nie byłaś tak bezwzględna. To naprawdę do ciebie nie pasuje.

- Och, mój starszy brat zaczyna mi prawić morały.

James zapatrzył się w okno. Na nic jego wysiłki, skoro Tessa jest głucha na wszelkie argumenty.

- Nie dałbym za to głowy, ale Alexander chyba nie jest na sto

procent przekonany, że romansujesz z Jackiem. Chcę przez to powiedzieć, że gdybyś tylko chciała, twoje małżeństwo dałoby się uratować.

- Och, też mi coś.

Naprawdę, przydałoby jej się tęgie lanie!

- No więc, kiedy Jack ci się oświadczył? - spytał złośliwie.

- Jeszcze nie miał okazji. Ale zrobi to. Bądź spokojny. Zrobi na pewno.

Pozostaje wierzyć w Jacka i jego instynkt samozachowawczy. James podniósł się, znużony.

- Muszę już iść. Dziękuję za kawę.

- Za kawę? Aleja... Och, to zabawne. - Próbowała się bronić: - Gdyby nie te twoje świętoszkowate wymówki, byłabym bardziej gościnna.

- Może. Nieważne. Spróbuj jednak pomyśleć nad tym, co ci powiedziałem. Do widzenia, Tesso.

- Do widzenia, James. - Zamknęła za nim drzwi, ledwo przekroczył próg.

Jamesowi żal było siostry, która podczas tej krótkiej rozmowy zrobiła na nim wrażenie zagubionej. Kochał ją mimo wszystko, choć przejawy jego braterskiego uczucia nie spotykały się z wzajemnością. Najprościej byłoby zabrać Tessę na lunch do jednego z jej ulubionych lokali i upewnić ją, że może na niego liczyć. Do pierwszego września jednak powinien raczej zapamiętać, że w ogóle ma siostrę.

Jack zabrał się do roboty. I jak zwykle, kiedy przychodziło mu stawać w dołkach startowych, tak i tym razem sam potrafił narzucić sobie ostrą dyscyplinę. Ellen z upodobaniem śledziła postępy w jego pracy i powoli odzyskiwała spokój ducha. Po jakimś czasie zadzwoniła do Jamesa.

- Nareszcie ruszył! - oznajmiła krótko. -1 chyba wystarczy mu zapалу na następny tydzień. Mogę zatem spokojnie pojechać do chłopców.

Pomny niefortunnego spotkania z Tessą, James odparł:

- Co robicie wieczorami?

Dziwne pytanie, rzeczywiście.

- Co robimy? To, co zawsze. Ja zajmuję się przygotowaniem kolacji, on malowaniem, potem wypijamy butelkę wina, idę spać, a on pracuje przez całą noc. Chyba będziesz zadowolony z rezultatów.

Znając skromność Ellen, James był pewien, że Jack jest bliższy sukcesu. Szkoda, że znów zostaje sam.

- Ellen, jesteś kochana! Ale czy nie uważasz, że pod twoją nieobecność powinienem do niego czasami zajrzeć?

- Ja bym radziła dać mu spokój, ale oczywiście rób, jak uważasz.

- W porządku. Kiedy wyjeżdżasz?

- Niestety jutro. Zostawiam mu pełną lodówkę, a przede wszystkim sporo pasty do kanapek, bez której nie potrafi się obejść. Jack wie, że czeka go niezła harówka. Poza tym zabieram samochód, a więc faktycznie jest unieruchomiony.

Ale Tessa nie jest.

- W takim razie przyjemnej podróży. Być może zorganizujemy spotkanie u Jacka, kiedy wrócisz.

- Dobrze, będę o tym pamiętała.

Co począć z Tessą? James zdawał sobie sprawę, że wobec buntowniczego nastroju, w jakim siostra ostatnio się znajduje, jakiegokolwiek groźby czy zakazy mogą przynieść skutek odwrotny od zamierzonego. Za wszelką cenę trzeba ukryć przed nią wiadomość o wyjeździe Ellen. Co do Jacka, to można mieć nadzieję, że pochłonięty pracą, nie pamięta o bożym świecie, nie tylko o Tessie, i nie w głowie mu wydzwanianie do kochanek. Wobec tego trzeba się tylko modlić o rychły powrót Ellen.

Na tylnym siedzeniu toczył się jakiś cichy spór. Ciekawe o co, skoro nie widzieli się od ostatniego pobytu w domu, pomyślała Ellen, ale zadowolona, że dzięki temu może oddać się wła-

snym rozmyślaniom, bynajmniej nie zamierzała występować w roli arbitra. Wracając do wydarzeń ostatniego tygodnia, nie mogła nie przyznać, że stosunki między nią i Jackiem ułożyły się wyjątkowo dobrze, choć niewątpliwie wynikało to z faktu, że - jak gdyby w myśl niepisanej, lecz obowiązującej od pierwszych dni ich małżeństwa umowy - i tym razem liczył się tylko jego czas, jego wygoda i jego wymagania. O własnej pracy nie miała co marzyć, zresztą w pracowni trudno byłoby wygospodarować choćby najmniejszy wolny kąt. I taki stan rzeczy miał trwać aż do pierwszego września. Sześć tygodni. Jeśli spojrzeć z perspektywy wspólnie przeżytych lat, może to i niewiele, pomyślała z rezygnacją, lecz kto jej zagwarantuje, że nie będzie następnych sześciu, ośmiu, dziesięciu? Ellen wyobraziła sobie kolejne namowy i naciski Jamesa, własne kolejne ustępstwa, a po nich kolejne dni, tygodnie i lata, podczas których będzie żyła życiem Jacka, nie swoim. Nie, nie zniosę tego dłużej, stwierdziła z rozpaczą. Dość złudzeń, Jack nigdy się nie zmieni.

Kłótnia na tylnym siedzeniu przybierała na sile. Przerywając tok własnych myśli, Ellen krzyknęła:

- Uspokójcie się obaj! Mam tego dość!

Gniew mamy uciszył chłopców nie na długo. Zanim przejechali pięć kilometrów, w samochodzie znów słychać było wzburzone głosy.

Ellen dała za wygraną, ale nie przestawała myśleć o własnych problemach. Bez względu na to, jak potoczą się dalsze losy jej małżeństwa, a zwłaszcza jeśli potoczą się źle i sama będzie musiała zarabiać na życie, powinna sprawdzić, czy książka, którą pisze, może przynieść w przyszłości dochody. W związku z tym postanowiła przepisać pięć pierwszych, już gotowych rozdziałów i wysłać je do trzech różnych wydawców. Nie mając jednak żadnego doświadczenia w tej dziedzinie, uznała, że dobrze byłoby skonsultować się z kimś z branży wydawniczej. I tu przyszedł jej na myśl Alexander Lucas. Nie mówiąc o tym, że powinna zadzwonić do Edwarda Montague i na wszelki wypa-

dek dowiedzieć się, jaki byłby jej status prawny i majątkowy po odejściu od Jacka. Podniesiona na duchu samym podjęciem decyzji, Ellen postanowiła ruszyć do boju już następnego ranka.

**#

Alexander, kiedy usłyszał od sekretarki, że pani Carey jest na linii, był przekonany, że Ellen dzwoni w sprawie Tessy i Jacka.

- Proszę łączyć - powiedział, spodziewając się nieprzyjemnej rozmowy.

- Ellen? Co słychać?

- Wszystko w porządku, dziękuję. Czy miałbyś dla mnie chwilę czasu?

- Oczywiście.

- Słuchaj, potrzebuję pewnej rady. Właśnie piszę powieść.

No nie, tego tylko brakowało! Powieść. Z pewnością jest beznadziejna. W ciągu lat pracy zawodowej już niejeden taki utwór przeszedł przez jego ręce; przyjaciele, niestety, pisywali powieści dosyć często.

- Tylko się nie wystrasz. Nie proszę cię, abyś cokolwiek przy niej robił. Zamierzam wysłać kilka pierwszych rozdziałów do dwóch, trzech wydawnictw i chcę zasięgnąć czyjejs opinii. Nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać. Co o tym myślisz?

Ale ulga. Alexander porządkował myśli.

- A więc to beletrystyka, tak? Posłuchaj zatem. Jeśli twoja powieść wyląduje w pierwszym lepszym wydawnictwie, powiększy tylko kolekcję nie zamówionych książek i upłyną miesiące, nim otrzymasz jakąś odpowiedź, o ile w ogóle otrzymasz. Myślę, że lepiej byś zrobiła, zdając się na agenta. Mogę ci podrzucić parę nazwisk, jeśli chcesz. Agent przynajmniej przyśle ci recenzję, a gdy dojdzie do wniosku, że rzecz jest warta zachodu, przejmie wszelkie sprawy związane z wydaniem książki.

- Och, to wspaniale. Dziękuję ci, Alexandrze.

- Dokąd mam wysłać list?

- Na wieś. Jestem w Butterfly Cottage.

- Myślałem, że u Jacka.

- Zaczęły się wakacje, więc musiałam zabrać chłopców do domu. Zostanę tu z nimi cały tydzień.

- W takim razie czekaj na list. Wyślę go jeszcze dzisiaj. Mam nadzieję, że niedługo spotkamy się w Londynie.

- Ja też na to liczę. Do widzenia, Alexandre. Naprawdę bardzo ci dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Do widzenia, Ellen.

Edward Montague długo nie podchodził do telefonu. Zrezygnowana, już miała odłożyć słuchawkę, kiedy wreszcie się odezwał.

- Edwardzie, tu Ellen.

- Ach, to ty. Możesz chwilę poczekać? - Edward rzucił słuchawkę, wyraźnie czymś zaaferowany. Chyba wyciągnęłam go z kąpieli, pomyślała Ellen, słysząc jakieś dziwne chlupotanie. - A więc - spytał po chwili - co mogę dla ciebie zrobić?

- Potrzebuję twojej rady w dość delikatnej materii.

- Chodzi o rozwód, tak?

- Jak na to wpadłeś? - Czyżby Edward na starość odkrył w sobie zdolności telepatyczne?

- Po sposobie, w jaki to powiedziałaś. A poza tym spotkałem twój męża. Przepraszam, ale jeszcze raz muszę odłożyć słuchawkę. Nie rozłączaj się.

Do chlupotów doszły tym razem odgłosy jakiegoś bełtania. Ellen czekała cierpliwie, zaintrygowana dziwnym zachowaniem rozmówcy.

-Więc na czym to skończyliśmy? - Edward, zajęty najwidoczniej czymś znacznie bardziej frapującym niż cudzy rozwód, z trudem zbierał myśli. - Ach tak, na rozwodzie. Tak. Słucham, mów dalej.

- Edwardzie, dzwonię chyba w nieodpowiedniej porze. Czy mogłabym zapytać, co robisz?

- Och, nic takiego. Gotuję zupę ogonową. Zaprosiłem na wieczór pewną damę. Czy damy chętnie jadają zupę ogonową?

Mówiąc szczerze, nie sądziła, by tak było. Ale za późno na szczerść, kiedy zupa na ogniu, a dama pewnie już w drodze.

- Tak, myślę, że tak. Wiesz co, zadzwonię do ciebie jutro, kiedy minie stan pogotowia bojowego.

- Ależ nie, nie ma mowy. Mogę mieszać i słuchać. Więc o co chodzi? A tak przy okazji, czy ty to jadasz?

- Nie, ja nie, ale pewnie należą do wyjątków. Chodzi o nie kończące się zdrady.

- Wielki Boże, i to wszystko? - On sam był nałogowo niewierny, o czym świadczyły trzy kolejne panie Montague, z których dopiero ostatnia okazała się prawdziwą blondynką, i nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie przywiązują tyle wagi do zdrad małżeńskich. - W małżeństwach zdarzają się gorsze problemy niż twój. A co z przemocą fizyczną? Czy Jack cię maltretuje?

- Nie, nie maltretuje.

- Wydziela ci pieniądze?

-Nie.

- Znęca się nad tobą psychicznie?

Ignorując ostatnie pytanie, Ellen stwierdziła:

- Myślę, że najbardziej powszechną przyczyną rozwodów jest cudzołóstwo.

- To tylko wygodny pretekst - odparł niechętnie. - Gdybym ja był sędzią, nie miałabyś u mnie żadnych szans.

Dzięki Bogu, nigdy nim nie będziesz, pomyślała. Jak na mój gust, zwariowanych sędziów i bez ciebie jest wystarczająco dużo.

- Przyjęłam to do wiadomości - powiedziała na głos. - Niemniej zakładając, że ktoś się nade mną zlituje i udzieli mi rozvodu, co ty, jako doradca prawny, możesz mi powiedzieć na temat sytuacji finansowej, w jakiej się wówczas znajduję?

Edward Montague dał się złapać w zawodową pułapkę.

- Mówiąc ogólnie: połowa dla ciebie i zabezpieczenie alimentacyjne dla chłopców. Ale wolalbym o tym nie myśleć. Pracujesz, prawda? Co się dzieje z pieniędzmi, które zarabiasz?

- Wszystko idzie do wspólnej kasy.

Zapadło milczenie, podkreślone głośnym bulgotaniem.

- Czy jesteś absolutnie zdecydowana na rozwód?

- Jeszcze nie, ale na to się zanosi.

- W takim razie pozwól, że najpierw wszystko przemyślę, a dopiero potem dam ci wyczerpującą odpowiedź. Zadzwoń jutro między dwunastą a pierwszą.

- Dobrze, zadzwonię.

Następny ranek Ellen spędziła na grze w tenisa z Davidem i Harrym, a o jedenastej powierzyła chłopców prywatnemu trenerowi. Jak dotychczas, tenis u Careyów mocno kulał, stąd pomysł z trenerem, choć korzystanie z jego usług stanowiło spore obciążenie i tak pustawej kasy.

Drukowanie książki na komputerowej drukarce okazało się zajęciem na tyle powolnym i hałaśliwym, że Ellen z utęsknieniem wyczekiwała pory, o której miała zadzwonić do Edwarda. Tym razem usłyszała na drugim końcu linii jeszcze dziwniejsze odgłosy. Pewnie Edward, głośno żując i jeszcze głośniej przełykając, dojadł resztki po wczorajszym przyjęciu.

- Jak poszło z zupą?

- Mówiąc prawdę, jestem przy wczesnym lunchu i właśnie jajem. Zostało całkiem sporo.

Połowa, na wyczucie.

- Czy przemyślałeś naszą rozmowę?

- Nie bardzo. Ale możesz polegać na tym, co ci powiedziałem. To znaczy, jeżeli Jack się nie postawi. A teraz podaj mi prawdziwy powód, dla którego chcesz go opuścić.

- Już ci podałam. A poza tym chcę mieć własne życie.

No, tu ją ma.

- Ach! Feminizm! To wszystko tłumaczy. Wreszcie mamy odpowiedź!

- Feminizm nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu chcę mieć dla siebie tyle czasu i przestrzeni życiowej, abym mogła stać się równoprawnym członkiem społeczeństwa. Ciągłe uzależnienie od Jacka wychodzi mi bokiem, niezależnie od tego, że jestem kobietą.

- Nie da się ukryć, że nią jesteś, i do tego niezwykle atrakcyjną, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Czy nie myślisz, że to

ci powinno wystarczyć? No a poza tym twój mąż cię potrzebuje.

Wyobraziła sobie Edwarda, jak mierzy w nią wężami, niczym Kitchener ze swego portretu, i doszła do wniosku, że jest on męskim szowinistą jeszcze bardziej niereformowalnym niż Jack. Postanowiła uciąć rozmowę. Nim jednak zdążyła to zrobić, Edward przekroczył pewne granice.

- Twojej matce to się nie spodoba, wiesz doskonale.

Wyprowadzona na dobre z równowagi, Ellen rzuciła krótko:

- Och, pieprzę moją matkę!

Usłyszała jeszcze, jak doradca prawny dławi się ogonem wółowym, i trzasnęła słuchawką.

13

Mijał kolejny dzień lipca, jeden z ostatnich. Znikające na zachodzie słońce złościście podświetlało ławice żółtozielonych chmur, a tańczący po ulicach ciepły, porywisty wiatr nieomylnie zapowiadał zmianę pogody. Alexander Lucas, zmęczony całodniowym upałem, wolno wracał do domu, dźwigając wyładowaną zakupami reklamówkę. Myślami, jak zwykle, krążył przy Tessie. Jak zwykle. Więc kiedy wreszcie wyrzuci z serca jej obraz? Czy na całe życie pozostanie biednym, smętnym masochistą? Zważywszy ból, jaki mu żona zadawała, kiedy byli razem, cierpienia, których doświadczał teraz, gdy odzyskał wolność, kłóciły się z logiką. Zżerany ciekawością, czym Tessa wypełnia sobie czas, niezliczoną ilość razy wykręcał numer jej przyjaciółki, lecz bez względu na to, kto podnosił słuchawkę, słowa więzły mu w gardle. Nosił się nawet z zamiarem zaproszenia na lunch współmieszkancki Tessy, po namyśle jednak doszedł do wniosku, że Cecilia jako lojalna przyjaciółka nie wyjawia mu żadnego sekretu żony.

I tu się mylił. Cecilia, która uważała męża Tessy za bardzo atrakcyjnego mężczyznę i potajemnie zazdrościła koleżance jej małżeństwa, nie marzyła o niczym innym, co więcej, wobec nieomylnych doświadczeń wspólnego mieszkania czuła się zwolniona od wszelkiej lojalności. Po pierwsze, Tessa albo godzinami zajmowała łazienkę, albo wisiąca przy telefonie. Dzięki Bogu, że nie mam aparatu bezprzewodowego, myślała właścicielka mieszkania, bo inaczej okupowałyby równocześnie jedno i dru-

gie. Po wtóre, odwiedzający Tessę mężczyźni na ogół traktowali Ceciliją jak powietrze, co w oczywisty sposób wpływało na atmosferę, a jakby tego było mało, przyjaciele Ceci zaczęli zachowywać się tak samo. Jack Carey natomiast zapadł się chyba pod ziemię - szumnie zapowiadany romans stulecia wciąż jeszcze nie rozbłysnął feerią fajerwerków. Zresztą nawet Alexander nie dawał znaku życia. Cecilia, zaczynając tracić nadzieję na rychłą wyprowadzkę uciążliwego gościa, była już niemal gotowa wcześniej sprowadzić matkę, kiedy dane jej było przeżyć kolejny szok.

Któregoś dnia po powrocie z ministerstwa spraw zagranicznych, gdzie pracowała jako sekretarka, zastała w domu nowy nabytek.

- Co o tym myślisz? - spytała Tessa, podziwiając własny akt. Właśnie przywiozła obraz od Jacka i przy pomocy zafascynowanego jej urodą taksówkarza ustawiła go w centralnym punkcie salonu.

Trudne pytanie. Nie było wątpliwości, że akt, wymiarami równy drzewom, w ciasnym, pokrowcowo-perkalikowym saloniku wyglądał na jeszcze większy, no i chyba nieco szokował treścią. Cecilia mogła z góry przewidzieć utratę reszty najwytrwalszych adoratorów.

Ważąc słowa, wykrztusiła:

- No cóż, robi duże wrażenie, tylko tak sobie myślę, że zdecydowanie lepiej pasowałby do twojej sypialni. Czy Jack ci go podarował?

- Powiedzmy. Choć szczerze mówiąc, mam go zatrzymać na czas pobytu jego żony w mieście.

- To co, schowamy go gdzieś?

- Nie podoba ci się tu, gdzie stoi?

Ceci pojęła, że jeśli chce się pozbyć obrazu z salonu, musi sprawę postawić jasno.

- Nie, przykro mi, ale nie.

- Och, niech ci będzie - poddała się Tessa, mając w planie wieczorne wyjście, kąpiel i telefony.

Obraz stanął zatem w sypialni za szafą, gdzie nie zdołałoby go wypatrzeć najbystrzejsze męskie oko.

Alexander, ile razy wracał z biura, zatrzymywał się na chwilę w progu, nasłuchując, czy z głębi domu nie dobiegają odgłosy świadczące o powrocie Tessy. Potem, rozczarowany ciszą, szedł wprost do sypialni, gdzie nadal poniewierały się na podłodze wiersze Johna Donne'a, zdejmował marynarkę, rozluźniał krawat i rozpoczynał codzienny monolog wewnętrzny. Nie kończące się rozstania i powroty doprowadzą was do szaleństwa, powiedział mu kiedyś Marcus. Proroctwo słowa, bo nawet jeśli dotychczas ustrzegł się przed szaleństwem, to na pewno przechodzi przez czyściec na ziemi. Nie potrafił żyć z Tessą, teraz nie potrafi żyć bez niej. Westchnął głośno. Oblęd, czyściec, wszystko jedno. Należy z tego wyjść. Sięgnął po telefon i wykręcił numer Cecilii Storrington.

Zgłosiła się właśnie ona.

- Och, to ty, Alexandrze, a już myślałam, że to ten idiota, który bez przerwy dzwoni i odkłada słuchawkę, gdy tylko któraś z nas się odezwie. Co u ciebie? Tak mi przykro z powodu sytuacji, w jakiej znaleźliście się oboje z Tessą.

- U mnie wszystko w porządku. Nie zastałem Tessy?

- Niestety nie. Właśnie wyszła. - Kusilo ją, by powiedzieć, zresztą zgodnie z prawdą, że poszła do Jacka Careya.

- Mogłabyś jej powtórzyć, że dzwoniłem i że chciałbym z nią jak najszybciej porozmawiać?

- Oczywiście, powtórzę. A raczej zostawię jej kartkę, bo na ogół już śpię, kiedy Tessa wraca.

Alexander odłożył słuchawkę i poszedł do kuchni po puszkę fasoli w sosie pomidorowym. Następnie udał się do kredensu pod schodami, gdzie, nie mając piwnicy, przechowywali wino, a odkrywszy, że z tańszego gatunku nie została ani jedna butelka, sięgnął po Chateau Latour. Do diabła, powiedział sobie, jeśli mam być nieszczęśliwy, to przynajmniej w wielkim stylu.

Wiadomość zostawiona przez Jacka brzmiała, jak następuje: *Tesso, czy możesz wpaść do mnie jutro wieczorem? Nieźle byłoby, gdybyś pamiętała o butelce whisky.* Stary rozpustnik, nawet się nie wysilił, żeby podać swoje imię, pomyślała Ceci, która zjawiła się w domu przed Tessą i natychmiast włączyła automatyczną sekretarkę. No, wreszcie coś się rozkręca. Widocznie Ellen Carey musiała wyjechać.

Wobec tego, że ich wspólnym samochodem nadal jeździł Alexander, Tessa musiała pojechać do Docklands taksówką. Już w drodze powzięła postanowienie, że nie da się namówić na łóżko. To będzie niezła nauczka dla Jacka, który najpierw tygodniami milczy, a potem spodziewa się, że może ją mieć na zawołanie. Jechała do niego, i owszem, ale tylko w celu odbycia zasadniczej rozmowy. Co do whisky, będzie musiał zadowolić się małą, bo dobrze byłoby, żeby pozostał trzeźwy i wziął sobie do serca jej słowa.

Już od progu widać było, że ktoś wreszcie zabrał się do porządków i wysprzątał pracownię od podłogi po sufit, nie pomijając nawet kurzu na roślinach, które dzięki temu odzyskały naturalny wygląd i przestały udawać imitację plastiku.

- Proszę bardzo, tylko nie wypij wszystkiego od razu - powiedziała, wręczając mu na powitanie butelkę.

Piersiówka. Daleko z tym co prawda nie zajędzie, ale pal diabli, lepsze to niż nic. Rozlał alkohol do dwu szklanek i wzniosł toast:

4 Za nas, Tesso.

Nie tracąc okazji, Tessa odpowiedziała:

- Miło mi to słyszeć, ponieważ przyszedłam porozmawiać właśnie o nas.

Jack spojrzał na nią spod oka. Tego typu stwierdzenie w ustach kobiety riie wróżyło nic dobrego.

- Uważam, że powinniśmy się pobrać.
- Odpuść sobie. Ja mam żonę, a ty męża.
- Nie bądź tępy. - Użyła jednego z ulubionych powiedzo-

nek jej ojca, zwykle stosowanego do niej. Tym razem mogła odegrać się na kim innym. - Ludzie rozwodzą się każdego dnia.

Wyglądało na to, że nie ustąpi.

Jack sięgnął po desperacki argument.

- A jeśli ja nie chcę?

- Ależ chcesz. Tylko pomyśl, jaka będzie z nas para, jak będziemy błyszczeć w towarzystwie, a nocami szaleć w łóżku. Proponuję ci coś, czego w żaden sposób nie możesz odrzucić.

Nie był tego taki pewny, zaczął natomiast pojmować, że pozbycie się Tessy będzie nie lada wyczynem. Jak do tej pory, poza dopuszczalnym wyjątkiem, jaki stanowiła teściowa, nie zdarzyło mu się spotkać kobiety o tak silnej woli. No i proszę, wieczór, który zamierzał spędzić w łóżku z powabną kochanką, zaczyna przypominać nudną scenę małżeńską.

Zmieniając temat, powiedział:

- Co zrobiłaś z obrazem?

- Jest w mojej sypialni w mieszkaniu Cecilio.

- Wolalbym, żeby na razie nikt go nie oglądał.

- O ile wiem, mój brat zdążył już to zrobić!

- Powiedział ci o tym? - spytał zaskoczony Jack.

- Nie musiał, sama do tego doszłam. Skądby wiedział, że romansujemy ze sobą?

- Miejmy nadzieję, że nie powie twojemu mężowi.

- Proszę, niech mówi. Odkąd postanowiłam odejść od Alexandra, nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

- Nie powiedziałbym tego o sobie - syknął przez zaciśnięte zęby jej kochanek. Podczas rozmowy zdążyło z niego wyparować całe pożądanie. Wystarczyła jednak chwila, gdy Tessa, spojrzawszy na zegarek, zdziwiła się: „Dobry Boże! Czy to naprawdę ta godzina? Muszę pędzić!”, by czując się wystawionym do wiatru, na powrót zaczął jej pragnąć.

- Czym wracasz?

- Taksówką. Czeka na mnie. Samochodem jeździ Alexander, to na dłuższą metę nie do wytrzymania. Pomyśl o tym, co ci powiedziałam. - Pomachała ręką na pożegnanie i wyszła.

Jack, ze szklanką szkockiej w dłoni, wrócił do pracy. Ku własnemu zdumieniu zauważył, że jego tęskne myśli kierują się nie ku Tessie, lecz ku Ellen, zagadkowej, pięknej Ellen. Przywołując na pamięć tamten wieczór, kiedy szła ku niemu skąpana w chybotliwym blasku świecy, otulona gęstym obłokiem włosów, naga, tylko w pierścionkach i srebrnym naszyjniku, Jack wrócił jednocześnie wspomnieniem do rzymskiej Villa Julia i kuszących zmysły wizerunków etruskich dam na antycznych wazach, które podziwiali oboje z Ellen. Ellen - niby tak bliska i osiągalna, a jednocześnie odległa i niezgłębiona niczym tamte postaci sprzed wieków. Po raz pierwszy przyszło Jackowi na myśl, że nie zna własnej żony.

- Co ja, u diabła, wyprawiam z tą całą Tessą Lucas? - spytał głośno. - I jak mam się jej pozbyć?

Pozostawała mu nadzieja, że - jak to często bywało w przeszłości - tak i teraz sama obecność Ellen zdoła przepłoszyć jego najnowszą, nie, nie najnowszą, jego ostatnią kochankę. Kiedy ma się czterdziestkę na karku, pora powiedzieć sobie: dość. Od dziś będzie się liczyć tylko Ellen.

###

Zbliżała się wizyta Maybricków.

- No i co tu z nimi zrobić? - zamartwiała się Victoria. - Nie zniósłabym kolejnego przedstawienia „Cats”.

- Harold to niegłupi facet, ale tym razem chyba Irma będzie wybierać, więc liczyć się z tym, że pójdziemy na „Starlight Express”. Właściwie moglibyśmy zabrać ich któregoś wieczoru do „Langan's Brasserie”. Harold lubi się obracać w towarzystwie wszelkiego rodzaju sław.

\ - A co powiesz o zaproszeniu Jacka? Mielibyśmy przy stoliku prywatną sławę. No i Ellen, jeżeli wróciła.

- To zależy, ile i co namalował. Nie zniósłabym, gdyby przez cały wieczór robił z Maybricka idiotę, opowiadając głodne kawałki na temat nie istniejących obrazów. Zgodnie z moim harmonogramem Maybrickowie przyjeżdżają siedemnastego, a El-

len powinna zjawić się w Londynie osiemnastego, i to przynajmniej na dwa, mam nadzieję, owocne tygodnie. Pozostaje pytanie, czy Jack raczy przyjść.

- Nie zdaje ci się, że skusi go zapach dolarów Maybricka?

- Może. Zresztą zobaczę, co Ellen na to powie. I tak ufam tylko jej.

Harry przyniósł Ellen do łóżka poranną filiżankę herbaty.

- Zrobiłbym ci całe śniadanie, ale nie bardzo umiem - usprawiedliwił się. - Tu masz gazetę.

- Coś ciekawego? - spytała, zaglądając do środka. Pytanie nie było najmądrzejsze - Harry miał dziesięć lat i interesowały go wyłącznie strony z wiadomościami sportowymi. Otrzymała więc odpowiedź, na jaką zasłużyła:

- Tak, wygrał Arsenal.

- Przyszły jakieś listy?

- Tak, proszę.

Były dwa. Ten z wierzchu sprawiał wrażenie, jakby przeleżał się już trochę na dnie torby. Ellen naprędce przejrzała oba. W jednym Alexander Lucas przysyłał obiecane nazwiska agentów. Drugi był nieco dłuższy i pochodził od Jamesa Hartinga.

- Zamierzam dzisiaj sporo popracować. Jak myślisz, moglibyście bawić się z Davidem sami?

- Ja s n e . Najpierw zagramy w tenisa, a potem pójde popływać. Czy zobaczymy tatusia przed wyjazdem?

- Może tak, a może nie. Tatuś teraz bardzo ciężko pracuje. Nacieszycie się nim, jak już będzie po wystawie.

Na pewno nie, bo wtedy wrócimy do szkoły, pomyślał Harry. Ale ponieważ był w wieku, w którym obecność matki jest ważniejsza niż ojca, przeszedł nad tym do porządku dziennego.

- No tak - zgodził się posłusznie, a jego myśli poszybowały w innym kierunku: - Obiecał zabrać nas po Bożym Narodzeniu na narty. Jak myślisz mamusiu, zabierze?

- Naprawdę? Jesteś pewien, że chodziło o jazdę na nartach? Tatuś się na tym nie zna. - Jej mąż miał wstręt do jakichkolwiek ćwiczeń fizycznych, nie mówiąc o uprawianiu sportu. Musiał być pijany, składając takie obietnice. Aby złagodzić następne rozczarowanie, zapytała: - Czy szkoła organizuje obóz narciarski? Może lepiej byłoby dla was obu, gdybyście najpierw pojechali na taki kurs. Dzięki temu, kiedy już przypuścicie szturm na trasy zjazdowe z tatą w ogonie, przynajmniej wy dwaj będziecie wiedzieli, jak to się robi.

- Jeżeli chcesz, mogę zapytać. - Harry zauważył lekki nacisk na słowie „organizuje”, a wiedząc z własnego doświadczenia, że pojęcie organizowania czegokolwiek jest ojcu zupełnie obce, w duchu przyznał matce rację.

-Świetnie. I powiedz Davidowi, żeby też się dowiedział. Zgoda, kochanie?

Chyłkiem, niby kot czarownicy, wśliznął się do pokoju Casimir. Przystanął przy drzwiach sypialni i wbił w Ellen zneruchomiałe zielone spojrzenie. Kiedy koty były zdesperowane tak dalece, by wyruszać na poszukiwanie swojej pani, Ellen wiedziała, że to sygnał do wstania z łóżka. Odrzucając pościel, powiedziała:

- Jeśli będziesz tak miły i nakarmisz koty, to ja zrobię wam śniadanie. Idź i poszukaj swojego braciszka.

Nieco później, siedząc w pracowni przy zgrzytającej drukarce, skreśliła do Alexandra krótkie podziękowanie, a po ponownym przeczytaniu listu od Jamesa odpisała także jemu.

Drogi Jamesie! Dziękuję za list. Wracam do Londynu osiemnastego, chyba że zdarzy się coś, czego się absolutnie nie spodziewam. Rozważywszy wszystko uważam, że jeśli Jack nadal pracuje z takim zapałem, z jakim pracował w mojej obecności, to obiad z Irmą i Haroldem wpłynąłby na niego korzystnie. A skoro liczysz, że nasza obecność złagodzi obyczaje Maybricka, powinniśmy przyjść tym bardziej. Chyba zawiadomisz mnie o terminie i miejscu? Uściski dla Was obojga. E.

Tak więc poszli do Langana. Jack, sławny pijak, został powitany przez personel uśmiechami i zaprowadzony do stolika dla lepszych gości. Ellen kłaniano się z szacunkiem. Harold, wbity w drogi i fatalnie skrojony dwurzędowy garnitur, zamasyście odsunął krzesło dla Victorii. Ta, cała w szykownej czerni, poczuła się źle, jeszcze nim zdążyła usiąść. Już poranne mdłości stanowiły koszmar, ale poranne i wieczorne razem wzięte można było uważać za prawdziwy krzyż pański.

- Proszę bardzo, pani Harting - powiedział Amerykanin z kokietyrzną galanterią.

- Dziękuję, panie Maybrick - grzecznie wpadła w ton, walcząc z mdłościami i myśląc: Ten wieczór nigdy się nie skończy.

Irma, ubrana w suknię koloru indygo obszytą cekinami i jak zwykle krzykliwą, natychmiast ściągnęła mężowi cugle.

- Kochanie, czy mógłbyś zająć się moim szalem?

Szał przeszedł w jego ręce. Maybrick w końcu zdołał się od niego uwolnić, rozglądając się za kelnerem. Wreszcie wszyscy usiedli.

Ubrany w garnitur z czegoś, co wyglądało jak pasiaste pokrycie materaca, Jack uszczypliwie, choć z galanterią zwrócił się do Irmy:

- Czy mogę pogratulować pani olśniewającego błękitu sukni?

Naiwna Irma rzuciła mu zalotne spojrzenie.

- Och, dziękuję, jest pan bardzo miły!

Siedząca obok Jamesa Ellen skarciła męża wzrokiem i pokręciła głową na znak dezaprobaty.

Harold tymczasem, nie kryjąc zainteresowania, wpatrywał się w łysęgo mężczyznę przy sąsiednim stoliku.

- Patrzenie no, czyż to nie Bela Lugosi?

Victoria, zmieszana, pośpieszyła za jego spojrzeniem.

- Nie, nie sądzę. Nie jest do niego podobny. A w ogóle to Bela Lugosi chyba już nie żyje.

- Och, naprawdę? - rzucił Harold rozczarowany.

- Co słyhać w biznesie samochodowym, Haroldzie? - spy-

tal James, kiedy kelner przyjął już zamówienie. Wypadało nadać jakiś ton nie klejącej się rozmowie. Wszyscy obecni przy stoliku wiedzieli, że Harold zbił fortunę na samochodach przy wydatnej pomocy pierwszej pani Maybrick, inteligentnej i ambitnej partnerki w interesach, którą po zarobieniu pierwszego miliona odprawił, nie licząc się z kosztami, za nadużywanie zwrotu: „Nie masz racji, Haroldzie”. Irma, ówczesna sekretarka, została drugą panią Maybrick. Przyzwyczajona do potakiwania z racji pełnionej funkcji, swoje: „Ma pan rację, panie Maybrick” ochoczo zamieniła na: „Masz rację, Haroldzie”, co z kolei w towarzystwie osób trzecich przybrało formę: „Harold ma rację, mówię ci!”

Kelner przyniósł zamówione dania i rozpoczął się znany już wszystkim monolog pod tytułem „Jak się robi w samochodach”, podczas którego Irma cały czas kiwała głową z wyraźną aprobatą.

Jeśli ona nie przestanie, wpadnę w hipnotyczny trans, pomyślała Victoria. To małżeństwo najwyraźniej zatrzymało się w rozwoju.

Jack, który nie dostał ukochanej whisky i musiał zadowolić się czerwonym winem, przerwał Haroldowi w pół zdania.

- Opowiedz nam raczej o kolekcji Maybricka, Haroldzie. Jaki z niej pożytek w środkowym Teksasie?

Irma, lekceważąc wywody męża, co przecież nie było w jej zwyczaju, nieoczekiwanie poparła Jacka.

- On ma rację, Haroldzie. Opowiedz nam wszystko o muzeum.

Harold nie dał się długo prosić i, słowo po słowie, popłynęła długa opowieść. Dwie godziny później, podtrzymując się nawzajem, goście Jamesa stali na chodniku.

- Musimy wziąć taksówkę, Irmo.

Victoria, ożywiona perspektywą końca towarzyskiego wieczoru, uprzedziła Irmę, która już miała gotową odpowiedź.

- Nie, nie masz racji, Haroldzie, nie musicie. Podrzucimy was do Grosvenor House. I tak mamy po drodze.

Harold potrząsnął dłonią Jacka.

- Miło było znów cię zobaczyć, Jack. Ruszamy do Paryża pod koniec tego tygodnia. Nie pokazałbyś nam swoich obrazów?

James wkroczył grzecznie w akcję.

- Pomyślmy o tym obaj z Jackiem. Jeśli pozwolisz, zadzwonię do ciebie jutro wieczorem, jak tylko zorientuję się, co jest warte obejrzenia. No to wsiadamy.

- Jasne. Będziemy w kontakcie, Jack.

Samochody ruszyły w przeciwnych kierunkach.

Alexander zdecydował się na spotkanie z Tessą na neutralnym gruncie. To znaczy, w jednej z najmodniejszych restauracji, bo jego żona bywała wyłącznie w takich.

Spóźniła się dwadzieścia minut, za to jej wejście zelektryzowało nie tylko jego. Również wszystkich innych mężczyzn. Po długich namysłach, w co się powinna ubrać, Tessa doszła do wniosku, że dobrze będzie, jeśli wywrze na Alexandrze wrażenie raczej smutnej niż gniewnej, i zdecydowała się na czerń: czarna jedwabna suknia z długimi rękawami i niewielkim dekoltem, odsłaniająca co najwyżej dziesięć centymetrów ud, czarne rajstopy z najdelikatniejszej lycry, pantofelki z czarnego zamsszu. Jedynym ustępstwem na rzecz innego koloru były złote sprzączki u pantofelków i wielkie, płaskie, złote serce na przewiązanej wokół szyi czarnej aksamitce. W istocie rzeczy to serce, choć imponujące, stanowiło bezwartościową mosiężną błyskotkę, którą Alexander kupił kiedyś w Portobello Market, myśląc, i słusznie, że się spodoba jego żonie. Trzeba przyznać, że teraz zostało właściwie wyeksponowane i znakomicie spełniało swe zadanie, budząc sentymentalne wspomnienia. Tessa, doskonale przygotowana do odegrania swojej roli, jak również świadoma, że udało jej się w mistrzowski sposób połączyć kruche piękno z wyzywającą kobiecością, skromnie zasiadła naprzeciw męża.

Marcus Marchant, który wraz z żoną znalazł się przypadkiem w tej samej restauracji i krył się teraz przed Lucasem za olbrzymią palmą, chcąc zobaczyć, na kogo czeka jego przyjaciel, gwizdnął cicho.

- Wielki Boże!

- Co się stało? - zdziwiła się Jane.

- Tessa w roli zakonnicy! Chociaż bardziej przypomina jedną z tych z Loudun niż Matkę Teresę.

- O czym ty w ogóle mówisz?

- Kochanie, już ją kiedyś poznałaś. Tessa. Zona Alexandra - obecnie w separacji, powinienem dodać - u której pasa wisi więcej zdobytych serc, niż możesz sobie wyobrazić. Żadna kobieta w Londynie nie mogłaby się pochwalić taką liczbą podbojów. Spójrz w tamten kąt sali: to ta cała w czerni, od stóp do głów, włosy splecione we francuski warkocz. Wygląda na chodzącą niewinność.

- Mówiłeś chyba, że między nimi wszystko skończone?

- Chryste, nie! To małżeństwo ma przed sobą jeszcze niejedną dramatyczną chwilę, a przynajmniej Alexander.

- Czy nie moglibyśmy podejść i przywitać się z nimi?

- Oczywiście, ale dopiero kiedy będziemy wychodzić.

Wrócili do studiowania karty dań.

Nieświadomi, że ktoś ich obserwuje, Tessa i Alexander również przeglądali menu. Kiedy już oboje dokonali wyboru i kelner odszedł, Alexander ujął dłoń żony. Tessa nie zaprotestowała. Sięgnął więc do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął szmaragdową obrączkę i wsunął ją na właściwy palec.

- Bez względu na to, co między nami zaszło, chcę, byś ją nadal nosiła.

Tessa skromnie spuściła oczy na zielony kamień, który wyglądał na nieco zmatowiały. Być może źle znosił rozłąkę z pełną życia właścicielką.

Alexander raptem wyrzucił z siebie namiętnie:

- Wracaj, Tesso! Nie cierpię domu bez ciebie. Kocham cię! - lecz w głębi duszy cichy głos usiłował podważyć wiarygod-

ność pochopnego wyznania: „Kochasz ją? Wiesz dobrze, że to nieprawda. Nie zależy ci, żeby mieszkała na Mimosa Street; po prostu nie możesz znieść myśli, że ot tak, po prostu sobie poszła, że mieszka, gdzie chce, i robi, co chce. Jeśli coś cię z nią łączy, to fascynacja fizyczna, nie miłość”.

W miarę jednak jak Alexander sycił oczy widokiem żony jedzącej przystawki, głos wewnętrzny stawał się coraz cichszy.

Tessa była daleka od popełnienia tak szkolnego błędu jak jej mąż i nie zarzuciła mu, że odeszła na jego wyraźne życzenie. Nie chodziło przecież o wymianę oskarżeń. Właściwa gra toczyła się o utrzymanie zdobytych pozycji. I dlatego stwierdziła ze stoickim spokojem:

- Ja także cię kocham, ale powrót nie jest taki prosty, jakby się zdawało.

- Dlaczego nie? Jeśli się kochamy, to powinniśmy być razem.

- Potrzebuję czasu. Czasu... - Chwila wahania, co powiedzieć dalej. Dokończyła wymijająco: - ...żebym mogła dojść do ładu z własną psychiką.

Z własną psychiką? Od kiedy to Tessa wie o istnieniu czegoś takiego jak psychika? Teraz dopiero znaleźli się na niezbadanym, niebezpiecznym gruncie. Alexander był świadom, że porządkowanie czyjejkolwiek psychiki jest zajęciem niezwykle czasochłonnym, a przedarcie się przez busz, jakim niewątpliwie było życie wewnętrzne jego żony, wymagałoby całych lat karczowania.

- Dlaczego nie możesz tego zrobić przy moim boku?

Odwzajemniając wreszcie uścisk jego dłoni, Tessa poprosiła skruszonym głosem:

- Zdobądź się wobec mnie na cierpliwość, kochanie. Naprawdę robię, co mogę. Obawiam się jednak, że ostatnia kłótnia zachwiała moją wiarę w nas oboje. Potrzebuję trochę duchowej przestrzeni, abym mogła odzyskać równowagę. Potem możemy spróbować jeszcze raz.

Alexander nie dał się łatwo zwieść pozornie dobrym intencjom, za którymi wyczuwał jakąś pułapkę. Postanowił jednak zachować się jak dżentelmen i bez targów przystać na warunki żony.

Właśnie miał zaproponować, żeby nie zamawiając deseru i nie grzebiąc się dłużej w skomplikowanych problemach duchowych, natychmiast pojechali do domu i wskoczyli do łóżka, kiedy obok ich stolika przystanąli kierujący się do wyjścia Marchantowie.

- Alexander! Tessa! Co za niespodzianka! - zdziwił się nieszczercze Marcus.

- Przysiądziecie się do nas na jedną szklaneczkę? - równie nieszczercze zaproponował Alexander.

- Dzięki, ale nie. Naprawdę musimy już iść. Mam wizytę u lekarza, a Marcus musi wracać do sądu. Wpadnijcie kiedyś do nas.

Marcus objął Jane ramieniem i wyszli. Koncentrując uwagę na własnej żonie, Alexander pożałował, że zamiast ją rozbiierać, tkwi wciąż nad swoim *paupiettes de veau à la crème*.

Tessa tymczasem szybko wyliczyła, że potrzebny jest jej jeszcze co najmniej miesiąc, by zdołała namówić Jacka do porzucenia Ellen.

- Czy byłbyś tak wyrozumiały i pozwolił mi na spędzenie jednego miesiąca w samotności? Nie robiąc z tego żadnej wielkiej afery? No jak, kochanie?

Czy mógł nie pozwolić? Czy Tessa kiedykolwiek pozostawiła mu jakieś pole manewru?

- Masz ochotę na pudding czy na kawę?

14

Ponieważ Harry zdecydował się na szkółkę żeglarską (chyba pamięta o zakładaniu kamizelki ratunkowej), a David przecierał własne szlaki wśród ruin starożytnej Grecji, Ellen mogła wreszcie poświęcić całą uwagę Jackowi i jego pracy. Okazało się to mniej uciążliwe, niż przypuszczała, ponieważ Jack, raz nabrawszy zapału do pracy, nie ustawał w wysiłkach, aby jego dzieło zostało uwieńczone sukcesem. Wzmacniany kolejnymi kwartami beczkowego guinnessa i całym mnóstwem kanapek, malował od świtu do nocy, i ani w głowie mu było się oszczędzać.

Ku miłemu zaskoczeniu Ellen, mąż nie przejawiał żadnej ochoty do zwykłych eskapad, choć - o czym nie wiedziała - działo się tak dlatego, że po ostatniej przeprawie z Tessą, kiedy to kochanka okazała się absolutnie bezkompromisowa w swoich żądaniach, po prostu wolał unikać okazji do ponownego z nią spotkania.

Wolał też nie oglądać Harolda Maybricka; to, że nie doszło do wizyty amerykańskiej pary w pracowni, było wyłączną zasługą Ellen. Zostawmy Jacka w spokoju i nie przerywajmy dobrej passy, przekonywała Jamesa. Maybrickowie w zbyt dużej dawce mogą wprowadzić go w stan rozdrażnienia, wtedy zaś gotów sięgnąć po butelkę. A chyba nie o to nam chodzi.

Nie, nie o to. I James, używając jakiegoś błahego pretekstu, odwiódł Harolda i Irmę od ich zamiaru, w zamian biorąc na siebie obowiązek zorganizowania wspólnego wieczornego wyj-

ścia do teatru. Zgodnie z jego przewidywaniami przedstawienie tym razem wybierała Irma, w związku z czym całe towarzystwo znalazło się na „The Sound of Music”, no a potem, już tradycyjnie, na kolacji, którą zdominował monolog na temat historii rodziny Maybricka od czasów wylądowania pierwszych kolonistów angielskich na wybrzeżach Ameryki Północnej aż do chwili obecnej. Oczywiście w wykonaniu samego Maybricka. Na szczęście, pomyślał James, podnosząc z podłogi upuszczoną serwetkę i zerkając ukradkiem na zegarek, wysłuchiwanie jego monologów warte jest zachodu.

Tego samego wieczoru, w pracowni, wracając myślą do sukcesu, jaki odniósł malując portret Tessy, Jack zwrócił się do Ellen:

- Chciałbym namalować twój drugi portret. Będiesz na nim naga, no, powiedzmy, prawie naga. Czy masz ze sobą ten swój purpurowy ciuch? Z tymi efektownymi rękawami?

Podobnie jak przy portrecie Tessy, zaczął od szkicowania konturów nagiego ciała. I choć kreska, prowadzona ręką mistrza, także i teraz oddawała pełną zmysłowość modelki, to szkicom tym daleko było do bezwstydney cielesności, jaka cechowała tamte. Gdyby ktoś spytał Jacka, dlaczego tak się dzieje, odparłby zapewne niczym pruderyjny drobnomieszczanin: „Kochanka to kochanka, a żona to żona”. W rzeczywistości zaś to talent malarski sprawiał, że artysta oddawał na papierze czy płótnie nie tylko zewnętrzne kształty modelek, ale również ich charakter. I jeśli w wypadku Tessy nie zawahał się przed pewną wulgarnością, to rysując Ellen zdecydował się na subtelniejsze rozwiązanie.

Purpurowa szata o bliżej nie sprecyzowanym przeznaczeniu mogła być używana zarówno jako wierzchnie okrycie podczas wieczornego wyjścia, jak i efektowny strój domowy. Trochę przypominała kimono, lecz szerokie, fałdziste rękawy przeszkadzały w pełnieniu roli gejszy, zwłaszcza gdy trzeba było na przykład zaparzyć herbatę czy kawę, nie mówiąc już o zapalaniu gazu.

- Chyba powinnam upiąć włosy do góry, nie uważasz?

Jack, rozglądając się akurat za jakimś rekwizytem, przytaknął.

- No i włóż tamten srebrny naszyjnik. Coś jeszcze by się przydało. Ale co?

- Może lilie?

Ellen kupiła poprzedniego dnia dwa tuziny tych kwiatów i ustawiła je w wysokim prostokątnym wazonie z grubego, modnego szkła, przez którego przezroczyste ścianki widać było krzyżujące się ze sobą smukłe zielone łodygi. Lilie roztaczały aurę *fin-de-siecle'u*, pyszniąc się swoją kremowo-woskową doskonałością, a emanująca z nich ciężka, dziwnie grzeszna woń przyprawiała o zawrót głowy.

-Kapitałnie! Dama z liliami. Zaaranżuj tu wszystko, a ja tymczasem przygotuję farby.

Kiedy wrócił, Ellen była gotowa. Pół leżąc, pół siedząc, wsparta o poduszki, zastygła na szezlongu (przydaje się jednak ten szezlong, pomyślał Jack), a purpurowe okrycie z odrzuconymi na boki obfitymi rękawami było tłem dla piersi i całej reszty smukłego ciała. W jednej ręce Ellen trzymała dwie lilie; pozostałe dwadzieścia dwie stały za sofą, na wysokim antycznym stoliku. Tak uduchowione połączenie subtelnej elegancji i nagości mogłoby skusić nawet świętego, a cóż dopiero malarza.

Jack padł przed żoną na kolana i ucałował jej usta, a potem obie różowe sutki.

Ellen westchnęła omdlewająco.

Jack przesunął palcami po jej ciele i delikatnie rozsunął skromnie złączone nogi.

- A co z malowaniem? - spytała, rozpinając jego koszulę.

- Potem. Ale lepiej się nie rozbieraj ze swojej szaty.

Kiedy stanął przy sztalugach, myślał zdziwiony: Przecież patrzyłem na Ellen codziennie, od kiedy się pobraliśmy, ale pa-trzeć, a widzieć, to zupełnie co innego. Teraz czuję się tak, jak-

bym dopiero odkrywał uroki własnej żony. Zwalczył w sobie pragnienie, aby znów się z nią kochać, i malował dalej. Zamierzał stworzyć arcydzieło.

Zaproszenia na wernisaż Jacka Careya zostały rozesłane. Jedno trafiło do Little Haddow. Ginevra znalazła je na wycieraczkę po powrocie z kolejnego porannego spaceru. Od ostatniego spotkania z Victoria po raz pierwszy ktoś sobie o niej przypomniał, nie licząc Ellen, która zresztą zadzwoniła tylko po to, by ją poinformować, że jest z Jackiem i że ma pełne ręce roboty.

Mieszkaniec Pear Tree Cottage weszły w krew dalekie wędrówki, i choć już nie powtórzyło się cudowne wrażenie jedności z otaczającą ją przyrodą, jakiego doznała za pierwszym razem, to i tak widok kołujących po niebie ptaków czy dojrzewających łąnów zbóż działał kojąco na jej samotną, udreżoną duszę. W ostatnich dniach Little Haddow nawiedziły ulewne deszcze, dzięki którym odżyły zgnębane długotrwałą suszą ogródki i cała okoliczna zieleń, a kamienista, twarda ścieżka, którą zwykle Ginevra chodziła, nasiąkła wilgocią do tego stopnia, że poddawała się teraz jej stopom niczym sprężysta darni.

Kevin nadal nie dawał znaku życia, z czego wręcz się cieszyła, bo perspektywa jego powrotu przerażała ją w równej mierze, co poprzednio myśl o rozstaniu. Znajdując pełne zaspokojenie zmysłów w samym odczytywaniu własnoręcznie zapisanych stron marmurkowego zeszytu, trzeciego już z kolei, najzwyczajniej w świecie uznała męża za najzupełniej zbytecznego. Zdawała sobie jednak sprawę, że ten zbyteczny mąż może kiedyś wrócić, a w związku z tym już teraz powinna się zdecydować, co zrobić z dalszym życiem. Pear Tree Cottage, choć kupiony za jej, ostatnie zresztą, pieniądze, został zapisany jako własność obojga małżonków, tak więc pozbycie się go bez zgody Kevina nie było możliwe. Nie wchodziła też w grę wyprowadzka i wynajęcie jakiegoś mieszkania, a to z braku jakichkolwiek bieżących dochodów. Pisana książka nie dawała prze-

cież żadnych zysków, co więcej, mogła nigdy nie znaleźć wydawcy. Ginevrze jednak nie przyszłoby do głowy zarzucić raz rozpoczęte badania i ze zwykłą sobie sumiennością poświęcała pracy większą część dnia, na obsesyjną namiętność do Jamesa Hartinga rezerwując jedynie późne wieczory, gdy niebo stawało się granatowe.

Leżąca u jej stóp duża koperta była zbyt wytworna jak na męzowską korespondencję, a rzadko się zdarzało, by pisywał do niej ktoś inny. Podniosła ją z wycieraczki, odwróciła i rozpoznała ostre pismo Victorii. *Obrazy Jacka Careya*, głosił tekst zaproszenia umieszczony pod reprodukcją jednego z nich, *Wernisaż, 1 września, w godzinach 18.00-21.00, Galeria Hartingów*.

Nic nie stoi na przeszkodzie, żebym się wybrała, zdecydowała Ginevra. Po raz pierwszy włożyła szal i srebrno-bursztynowy naszyjnik. Do tego kupię sobie suknię, rajstopy i pantofle, dokładnie tak, jak to obmyśliła Ellen. I przepelniona wspaniałym uczuciem, że wreszcie coś się będzie działo, nucąc nastawiła czajnik i dała jeść kotu.

Zgodnie z ułożonym planem, tydzień, który zaczynał się drugiego sierpnia, Ellen spędzała z synami w Susseksie. Zanościło się również na to, że Jack, który nie widział dzieci przez jakiś czas, choć prawdę powiedział, wcale za nimi nie tęsknił, dołączy do rodziny w sobotę wieczór, tuż przed wyjazdem chłopców do babci. Tak się też stało.

Harry, obserwujący rodziców podczas kolacji, z bystrością właściwą dzieciom, gdy w grę wchodzi stosunki między ojcem i matką, zauważył, że coś się między nimi zmieniło i że pierwszy raz od niepamiętnych czasów są wobec siebie czuli i życzliwi.

- No więc, co zamierzacie robić u babci? - spytał Jack, udając zainteresowanie i dziękując Bogu, że to nie on do niej jedzie.

- Napisała w liście, że chciałaby spędzić przynajmniej jeden dzień w Londynie i zabrać nas do Muzeum Nauki, a jak zdążymy, to i do Muzeum Przyrodniczego.

- O rany! - jęknął David. Jego mina wyrażała stanowczy sprzeciw wobec wszystkiego, co pachniało nauką. Miał za sobą dwa tygodnie mordęgi w Grecji.

- Z Mc Donaldem pośrodku - dorzucił zachęcająco Harry.

- Czy babcia zabierze nas do kina? A zresztą skąd ty to wszystko wiesz?

- Odpisuję na jej listy - padła układna, choć irytująca odpowiedź.

- Nie wygłaszaj kazań, Harry - wmieszała się matka.

Odkładając na później porachunki z młodszym bratem, David dociekał dalej:

- No to jak, zabierze?

- Jasne, że zabierze. Babcia jest super, jeśli chodzi o takie sprawy.

Ja też, zauważyła w duchu Ellen, dumna z siebie. Jak widać, talenty rodzicielskie pani Braithwaite przeszły na następne pokolenie. Zważywszy, że w kwestii wychowania dzieci nikt nie usiłował liczyć na Jacka, było to niezmiernie przydatne.

- Czy jesteście już spakowani przed jutrzejszym wyjazdem?
- spytała, biorąc się do sprzątnięcia ze stołu.

- Nie - odpowiedział zgodny chór.

- Macie jeszcze te spisy, które wam dałam?

- Tak.

- No to jazda, do roboty! I to już!

Kiedy chłopcy ociągając się odeszli, Ellen zapytała Jacka:

- Czy chcesz wracać pociągiem, czy wolisz zaczekać, aż matka zabierze chłopców, i pojechać razem ze mną?

- Wolę pojechać z tobą. Kocham cię, Ellen!

- Naprawdę, Jack? - Uśmiechnęła się swym tajemniczym uśmiechem, choć w jej głosie drgnęła nuta powątpiewania.

W połowie sierpnia James i Ellen w pracowni w Docklands dokonywali oceny dotychczasowej pracy Jacka. James przyznał, że jest wstrząśnięty.

- Byłem grzecznym chłopcem, więc chyba zasłużyłem na pierwszą od tygodni whisky. Ale nie sądzę, żeby się tu jakaś znalazła. Co ty na to, Ellen? - przymówił się Jack.

Oboje wiedzieli, że się znajdzie, parę dni temu bowiem malarz odkrył jakąś dawno zapomnianą, napoczętą butelkę na dnie skrzyni ze szkicami. Zaledwie jednak pociągnął krótki, zakazany łyk, a już został przyłapany przez żonę i zmuszony do złożenia obietnicy, że aż do otwarcia wystawy zachowa absolutną wstrzeźliwość. W zamian za to Ellen zobowiązała się butelkę przechować, a teraz, ulegając mężowi niby natarczywemu dziecku, ustąpiła.

- No, niech ci będzie. Ale tylko szklaneczkę! James! Czy mogę ci nalać?

- Bardzo proszę. - James zgodził się chętnie, byleby tylko uszczuplić zapasy artysty.

Choć czy to nie właśnie podczas dni zamroczonych alkoholem wylegały się w głowie Jacka wspaniałe pomysły? Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że kiedy zaczynała się prawdziwa praca, w głowie rozkojarzonego malarza nagle zaskakiwały wszystkie trybiki, a obrazy schodziły ze sztalug jeden za drugim, niczym śrubki z taśmy produkcyjnej?

Korzystając z tego, że Ellen wyszła do kuchni, Jack powiedział:

- Ale to jeszcze nie wszystko!

- Nie? - zdziwił się James.

- Nie. Spójrz na to. Moje *pièce de résistance*!

Wyciągnął z kąta płótno z aktem Ellen i ustawił je na sztalugach. James cofnął się o krok, i już, przypomniawszy sobie portret Tessy, miał wygłosić jakiś komentarz, lecz usłyszawszy powracającą Ellen, poprzestał na ironicznym uniesieniu brwi.

- Powiem krótko - odezwał się po chwili, kiedy ochłonął z pierwszego wrażenia. - Jest to jeden z najlepszych obrazów, jakie kiedykolwiek namalowałeś. Mam nadzieję, że pokażesz go na wystawie.

Oczywiście, Tessa nie będzie tym uszczęśliwiona. Dzwoniła niedawno dwa razy, aby wybadać, gdzie jest Ellen, a on, choć gardził kłamstwem i kłamcami, sam musiał minąć się z prawdą.

- No jasne.

- Nie jesteś temu przeciwna, Ellen? - spytał James, kiedy wręczała mu szklanę z bursztynowym płynem.

- Nie, ja nie, chociaż moja matka pewnie wpadnie w szal.

- Czy masz jakieś szkice do tego portretu? - zwrócił się do Jacka, pamiętając, jakie wrażenie wywarły na nim wspaniałe rysunki do aktu Tessy. - Doskonale uzupełniałyby sam obraz, który z konieczności musimy zaprezentować w bocznej salce. Co ty na to?

- Zgadzam się. - Pijąc swoją whisky Jack poczuł, że świat należy do niego. Przynajmniej raz ktoś go pochwalił. - Ale pamiętaj, on nie jest na sprzedaż. Możesz handlować innymi, tylko nie tym.

James przystał na to z rezygnacją. Cóż, nie można mieć wszystkiego naraz. Wzniósł szklanę.

- Moje gratulacje, Jack. Za wystawę.

15

Zmężem poszło Tessie łatwo, natomiast przejście do drugiego aktu, którym miało być zdobycie Jacka, zaczęło nę>stręczać poważne trudności. Otóż okazało się, że Jack jest nieosiągalny. Zdążyła już nawet wypytać Jamesa na temat obecnego miejsca pobytu Ellen, lecz jej gardzący zwykle kłamstwem brat tym razem chyba nie powiedział prawdy. W końcu napisała do Jacka, prosząc go o telefon. Gdy i to zawiodło, nie pozostało jej nic innego jak uzbroić się w cierpliwość i liczyć na jakąś wyrwę w okopach wroga, na przykład na wyjazd Ellen na wieś. Jakże jednak miała się o takim wyjeździe dowiedzieć, skoro oboje Hartingowie zdecydowanie wykręcali się od jakiegokolwiek rozmowy o Careyach, Jacka natomiast nie można było spotkać w żadnej knajpie, a jego dawni kumple odpowiadali mrukliwie i niechętnie, tonem, jakim mówi się o tego rodzaju dezerterach, że Carey podobno pracuje. Zaczynało wyglądać na to, iż spotkają się dopiero na jego wystawie, i to w obecności żony.

Do diabła z tym! I do diabła z układnością, jaką zaprezentowała na użytek męża podczas ostatniego lunchu- Pora być sobą.

Dwudziestego drugiego sierpnia Ellen zabrała obu chłopców od matki i przywiozła do Susseksu, aby poczynić odpowiednie przygotowania przed rozpoczynającym się rokiem szkolnym. Jej nieobecność w pracowni była ściśle strzeżonym przez nią i Hartinga sekretem, który oboje mieli nadzieję zachować aż do dwudziestego siódmego, czyli do kolejnego powrotu Ellen do Londynu.

Ze strony Jacka James nie obawiał się już żadnych ekscesów. Carey potrafił się w końcu zmobilizować do pracy, a co więcej, pozostawał w zgodzie zarówno z samym sobą, jak i z żoną. Jeśli miałyby nadciągnąć jakieś zagrożenie, to tylko z zewnątrz, a w ogromnisz zniszczeń, jakich zdolna byłaby dokonać Tessa, gdyby tylko znalazła po temu najmniejszą okazję, James nie wątpił ani przez chwilę. Najlepiej byłoby, gdyby jego siostra wróciła do męża.

Tego samego życzyła sobie również Cecilia, toteż kartkę pocztową informującą, że jej matka zamierza spędzić następne cztery tygodnie u drugiej córki, która mieszka w Australii, jest w ciąży i lada chwila urodzi pani Storrington pierwszego wnuka, przyjęła jak katastrofę. Przeczytała ją podczas śniadania, przed wyjściem do biura, i chciała bez komentarza odłożyć na bok, kiedy Tessa, nigdy zbyt dyskretna, jeśli idzie o czytanie cudzej korespondencji, zauważyła:

- Chyba ci jednak ulżyło, że nie będziesz miała mamuski na głowie.

Cecilia poczuła się zdruzgotana.

- Och, widzę, że przeczytałaś kartkę - stwierdziła beznamiętnym tonem, zadając sobie w duchu pytanie, dlaczego matka, zwyczajem innych ludzi, nie może napisać listu. Teraz trzeba się pożegnać z myślą o rychłej wyprowadzce Tessy. Tak łatwo się jej nie pozbędzie.

- Jaki jest wynik rozgrywki z Alexandrem?

- Przestałam z nim cokolwiek rozgrywać. Widzę inne możliwości - odparła wymijająco Tessa.

- A jak udało ci się go wykołować?

- W elementarny sposób, mój drogi Watsonie. Po prostu poinformowałam kochanego męża, że nim do niego wrócę, muszę dokonać analizy własnej psychiki.

A to dopiero, nie wiedziałam, że Tessa posiada coś jeszcze poza ciałem, pomyślała Ceci, podobnie jak przedtem Alexander.

- I on dał się na to nabrać? Nie uwierzę!

- Żebyś wiedziała. - Tessa rzeczywiście robiła dobrą minę do złej gry. Podczas ostatniego spotkania Alexander dał jej do zrozumienia, że ostateczny termin powrotu do domu minie z upływem czterech tygodni, a ona straciła ten czas na bezowocne próby skontaktowania się z Jackiem.

Cecilia spojrzała na zegarek i dopiła kawę.

- Muszę iść. Do zobaczenia wieczorem.

Po wyjściu przyjaciółki Tessa zadzwoniła do Jacka, lecz telefon odpowiedział spokojnym i uprzejmym głosem Ellen, zachęcającej do nagrania informacji tuż po usłyszeniu sygnału.

- A niech to cholera! - zakląła Tessa, rzucając słuchawkę.

Victoria, która założyła, że cały okres ciąży znieśnie śpiewająco, niestety nie potrafiła sprostać tak, zdawałoby się, łatwemu zadaniu. Czuła się źle. Nurtowało ją dziwne uczucie niepewności i zagrożenia. Być może winę za taki stan ponosiły ciągle napięcia związane z przygotowaniami do wystawy. Znornalniej po wernisażu, obiecywała sobie i Jamesowi. Jeszcze nie zdążyła się zaokrąglić i nadal prowadziła czynne życie towarzyskie, wobec czego nikomu ze znajomych nawet nie przychodziło do głowy, że w najbliższym czasie rodzina Hartingów się powiększy.

Kiedy wspomniała o swym nie najlepszym samopoczuciu wziętemu ginekologowi, ten, zamiast się przejąć, potraktował ją protekcyjnie, jak gdyby chciał dać pacjentce do zrozumienia, że teraz, gdy jest zajęta długotrwałym i, jak już sama zaczynała myśleć, po prostu nudnym procesem rozmnażania, jej mózg kurczy się proporcjonalnie do tego, jak grubieje talia.

- Zmęczona, mówi pani? Spodziewałem się tego. - Pogroził jej palcem. - Pani prawdopodobnie przestawia meble w całym domu. Wszystkie kobiety w ciąży przewracają dom do góry nogami. Nie powinny tego robić, oczywiście. A jednak robią.

Chyba nie zamierza wygłosić przemówienia na temat instynktu budowania gniazda, pomyślała Victoria.

- No cóż, nie trafił pan. - Jej głos zabrzmiał cierpko.

Jak zwykle, zaczyna się od sceptycyzmu, zauważył w duchu lekarz. Potem przychodzi lekceważenie zaleceń, a jeszcze później przyszła matka staje się jedną z tych trudnych pacjentek, które myślą samodzielnie, a nawet zaglądną do książek, aby tylko przyłapać lekarza na pomyłce. Na głos rzekł mentorskim tonem:

- Pozytywne nastawienie jest w ciąży sprawą najważniejszą. Victoria odparła z irytacją:

- Naprawdę nie chodzi o moje nastawienie. Po prostu dziwnie się czuję, to wszystko. Jak gdybym nie była ta sama.

- No właśnie! Nie jest pani sama. Teraz jest was dwoje.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Ten mężczyzna musi być idiotą.

- Wiem o tym. Ale mam wrażenie, że to drugie powoduje szkody niewspółmierne do jego obecnych rozmiarów.

- Odzywają się hormony, droga pani Harting, odzywają się hormony. Nie ma się czym martwić, zapewniam panią.

Ależ on chce mnie po prostu zagadać, pomyślała Victoria.

Sławny konsultant wpisał do karty pacjentki słowo „nerwica”, a widząc, że nie ma co liczyć ze strony tej osoby na szacunek dla jego wiedzy, postanowił przywołać ją do porządku w inny sposób.

- Pani Harting, proszę się położyć, zostanie pani zbadana. To konieczne.

W pozycji, jaką wymuszał fotel ginekologiczny, trudno na ogół zachować wojownicze nastawienie. Poddawana uwłaczającym oględzinom przy wtórze pracowitych posapywań lekarza, Victoria zdawała sobie sprawę, że przedstawia równie interesujący widok jak ochłap mięsa na rzeźnickiej ladzie. Nie była pewna, czy znieśie dalsze siedem miesięcy podobnych poniżeń.

Zaprzestając badania, które najwyraźniej nie przyniosło żadnych konkretnych wyników, lekarz powiedział łaskawie:

- To wszystko. Może się pani ubrać.

Ubrała się i usiadła po drugiej stronie biurka, starając się odczytać odwrócone do góry nogami linijki zapisu w karcie.

- Czy mogłabym rzucić okiem na to, co pan napisał?
- Nie ma mowy - odparł urażony lekarz. - To karta pacjenta. Niestety, karty są osobiste i objęte tajemnicą.

Też mi tajemnice! O czym, u licha, on mówi? Zdumiona, wcale nie zamierzała ustąpić.

- No właśnie, przecież te informacje dotyczą mnie.

Lekarz z protekcyjną miną dobrego wujaszka, choć zapewne był nie więcej niż dziesięć lat starszy od Victorii, przyznał jej rację.

- Oczywiście, moja droga pani Harting, ma pani słuszość, ale tylko ja mogę z nich korzystać. Wszystko, o czym pani, moim zdaniem, powinna wiedzieć, to to, że musi pani każdego popołudnia długo odpoczywać. /

Długo odpoczywać? Każdego popołudnia? On prawdopodobnie zajmuje się kobietami, które nie mają nic do roboty.

Lekarz, choć oburzony zadziwiającą niezdolnością Victorii do zrozumienia, kto tu rządzi, posłał jej olśniewający uśmiech, zaspokajając w ten sposób własną próżność, po czym wstał na znak, że wizyta jest skończona.

Patrząc na różową, pełną samozadowolenia twarz, i życząc w duchu doktorowi jak najwcześniejszych zmarszczek, Victoria uściśnęła wyciągniętą na pożegnanie dłoń. Lekarz, spełniając do końca swój obowiązek, odprowadził ją aż do rejestratorki, aby uzgodnić termin kolejnej wizyty. Pacjentka, absolutnie przekonana, że i tak już odbyła o jedną za dużo, wymówiła się brakiem terminarza i obiecała wkrótce zadzwonić.

Oczywiście, najpierw poradzę się Jamesa, myślała jadąc do domu. Ale intuicja mi podpowiada, żebym trzymała się z dala od tego typu. Jest niesympatyczny. Może Ellen poleci mi kogoś odpowiedniego.

Komisja kwalifikacyjna składała się z obojga Hartingów, Careya oraz niezastąpionego pana Pecka. Boczna salka, w której miały być prezentowane szkice i portret Ellen, nie stanowiła

odrębnego pomieszczenia; wydzielono ją z głównej sali wystawowej za pomocą ruchomego ekranu, sięgającego od podłogi do sufitu. Dominującym kolorem wnętrza była biel, uważana za najkorzystniejsze tło dla wielkich, nasyconych barwami płócien Jacka. Przy mniej wyrazistych obrazach innych artystów trzeba było czasami przemaalowywać ściany. Galeria, choć stanowiła część ogromnego wiktoriańskiego budynku o imponująco wysokich pomieszczeniach, z nieodłącznymi dla ich wystroju akantami, gzymsami, rozetami, miała bardzo nowoczesne wyposażenie wnętrza, któremu szczególnej elegancji dodawało punktowe oświetlenie, błyszczący parkiet w kolorze tytoniu i biegnąca przez środek sali długa niklowana ława, wyściełana białymi tapicerskimi poduchami. Odstępstwem od bieli były dwie olbrzymie zielone palmy, jedna w niebieskiej, druga w białej chińskiej żardynierze, ustawione naprzeciw siebie w końcu sali. Poza tym w skład Galerii wchodziły jeszcze dwa inne pomieszczenia: mała recepcja i niewielka antresola, do której wiodły żeliwne kręcone schody, a której zwykle używano do prezentacji drobniejszych obiektów sztuki, jak litografie czy akwaforty.

Obrazy na razie stały, oparte o ścianę pod miejscami, w których miały zawisnąć. Wszyscy członkowie komisji zgodnie uważali, że nadchodzący wieczór przerodzi się w olśniewające widowisko, a także, że jego główną atrakcją będzie portret Ellen. Co do tej drugiej kwestii, milcząco opozycję stanowił pan Peck, którego pani Carey do głębi rozczarowała, choć nie uważał, by było stosowne głośno się na ten temat wypowiadać. Pan Peck przyznawał jednak w duchu, że pani Carey, nawet pozbawiona znacznej części garderoby, nadal pozostaje damą, czego nie mógłby powiedzieć o pani Lucas. Pan Peck dotychczas zachował w tajemnicy przed żoną wizytę w pracowni, nie wiedząc, jak ubrać w słowa to, co wówczas zobaczył. Wolał nie szokować żony i samemu nie przeżyć po raz drugi podobnego wstrząsu.

- Czy katalogi są gotowe? - zwrócił się z pytaniem do Victorii James.

- Odbieram je jutro z drukarni.
- A co z potwierdzeniami zaproszeń?
- Jak dotąd, osiemdziesiąt procent osób potwierdziło przybycie. A poza tym należy się spodziewać dużego zainteresowania prasy.

- Świetnie!

Jack, którego konto w banku dawno zostało przekroczone, ożywił się nagle na myśl o wielce prawdopodobnym przyplywie gotówki.

- Czy Maybrickowie są już w mieście?

- Będą jutro - odpowiedziała Victoria, tłumiąc westchnienie. Dzięki temu, że na kilka dni przed otwarciem wystawy amerykańska para zdecydowała się pojechać do Szkocji i tam powzdychać za Ameryką, Victorie ominął kolejny ogłupiający wieczór wspomnień Harolda. Ale i tak miała jeszcze mnóstwo roboty. Po przejrzeniu spisu spraw do załatwienia postanowiła najpierw przypomnieć się firmie zarządzającej przyjęcie, a potem zająć kwiatami. Oczywiście miały to być białe lilie, takie same jak na portrecie Ellen. Żadne inne.

- Kiedy wraca Ellen? - spytała Jacka.

- Już wróciła. Przyjechaliśmy razem przedwczoraj.

No to świetnie, pomyśleli jednocześnie Hartingowie. Jest Ellen, są obrazy, więc można się spodziewać, że nie grozi im już żadna katastrofa.

Niespodziewanie Victoria poczuła, że opuszczają ją siły i pod pretekstem przejrzenia notatek usiadła na ławie. Powtórzyło się niepokojące uczucie słabości i niepewności. Pokonując jednak lęki, szybko się zmobilizowała i wstała energicznie. Ginekolog ostatecznie mógł się jej nie podobać, ale nie miała powodu wątpić w jego fachowość, a przecież twierdził z całą stanowczością, że nic jej nie dolega.

- W porządku - rzekł James, który właśnie skończył wydać polecenia panu Peckowi. - Uwinęliśmy się prawie ze wszystkim. Jeśli idzie o ciebie, Jack, to możesz wracać do domu. Nic tu po tobie. Tylko nie zapomnij w czwartek o własnym wer-

nisazu. Victoria, ja, no i oczywiście pan Peck będziemy trwać na posterunku przez cały dzień, na wypadek gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego.

Dostrzegłszy zmęczenie na twarzy Victorii, z żalem pomyślał o stracie dziewczyny do wszystkiego, która przepracowała w Galerii pięć ostatnich lat. Jej następczyni była osobą zbyt nie-doświadczoną, by poradzić sobie z licznymi obowiązkami poprzedniczki, i Victoria z racji wernisażu postanowiła sama wkroczyć do akcji. Objął żonę za ramiona i spytał z krzepiącym uśmiechem:

- Wszystko w porządku, kochanie?
- Absolutnie - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

16

Tak się niefortunnie złożyło, że James musiał oddać swój samochód do naprawy właśnie w dniu wernisazu, wobec czego, rad nierad, jadąc do Galerii, zmuszony był zająć w volvette miejsce przeznaczone dla pasażera. Victoria, wymijając pozostałe samochody dosłownie o milimetry, była całkowicie obojętna na kakofonię klaksonów, która towarzyszyła jej przez całe miasto. Zlanemu potem Jamesowi zdawało się, że bierze udział w Królewskim Rajdzie Samochodowym. Wreszcie, kiedy żona przejechała przez trzy pasy ruchu, uchodząc o włos spod wypucowanej maski czarnej taksówki, zaprotestował nieśmiało:

- Nie tak ostro, kochanie.
- Ależ James, jesteście bardzo spóźnieni.
- Wolę się spóźnić za życia niż po śmierci.

Victoria nieco zwolniła, ale po chwili przyzwyczajenie wzięło górę i z Piccadilly wyjechała na dwóch kołach, z prędkością odnotowywaną jedynie podczas Grand Prix.

- Punkt dla mnie - powiedziała, a ponieważ samochód zdążył już przemknąć obok Królewskiej Akademii, James nie rozumiał, o jakim punkcie żona mówi. Był natomiast pewien, że w roli pasażera własnej żony występuje ostatni raz.

Gdy dojechali do Galerii, przejął inicjatywę we własne ręce.

- Nie ma sensu zawracać sobie głowy parkometrem, skoro mamy zostać tu do nocy. Wejdz do środka, a ja sam odprowadzę volvette na parking.

Victoria, którą nagle ogarnęła dziwna niemoc, chętnie przystała na propozycję męża. James natomiast, wciąż pod wrażeniem dopiero co odbytego rajdu, postanowił solennie, że przy pierwszej nadarzającej się okazji wyśle żonę na jakiś przyspieszony kurs jazdy.

Pan Peck, który z jutową torbą u stóp cierpliwie oczekiwał w recepcji na ich przyjście, widząc wchodzącą Victorie, wstał z krzesła.

Wygląda jak zmokła kura, pomyślał. Ani trochę do siebie niepodobna. Zupełnie jak Marjorie w pierwszych tygodniach. Ciekawe, czy pani Harting jest przy nadziei.

- Bardzo mi przykro, że kazaliśmy panu czekać, panie Peck. Jazda przez miasto to coś potwornego. Nie powiedziałabym, żeby wśród kierowców było wielu dżentelmenów.

Pan Peck, który miał stały uraz na punkcie jazdy pani Harting, wykręcił się od odpowiedzi wymijającym mruknięciem. Oboje usiedli, aby w zgodnym milczeniu oczekiwać nadejścia Jamesa.

James zaparkował samochód i ruszył w stronę Galerii różnym krokiem. Choć kalendarzowe lato trwało jeszcze w najlepsze, poczuł w powietrzu zapowiedź miłego jesienno smutku. Zawsze uważał, że jesień przywraca wiarę w sens istnienia i ze wszystkich pór roku chyba tę właśnie lubił najbardziej. Pomyślał z czułością o żonie. Kiedy skończy się dzisiejsza impreza, musi przypilnować, żeby mniej się wszystkim przejmowała. Już wkrótce, pomyślał, liście zaczną zmieniać barwy, a najpiękniej i najbardziej kolorowo będzie wówczas na wsi. Chętnie zabrałby Victorie na kilka tygodni do Szkocji. Z głową nabitą planami wyjazdowymi stanął w drzwiach Galerii.

Po chwili przygotowania do otwarcia szły pełną parą: Hilary, nowa recepcjonistka, została wysłana do kwaciarni po zamówione wcześniej lilie, Victoria rozmawiała przez telefon z firmą dostawczą, a pan Peck grzebał w swoich narzędziach. Jamesa

ogarnęło zwykle w takich razach podniecenie. Choć sam niczego nie tworzył, radował go fakt, że dzięki pośrednictwu Galerii przysparza światu nowych talentów.

Pod ścianami stały jeszcze tylko dwie abstrakcje oraz portret Ellen i szkice. I właśnie kiedy James z panem Peckiem uzgadniali miejsce i właściwą wysokość, na której obrazy miały zawisnąć, Victoria zemdląła. Pan Peck spojrzął w jej stronę właśnie w momencie, gdy bezgłośnie osuwała się na podłogę, i obaj z Jamesem pośpieszyli na ratunek. Wystarczyło jednak, że Victoria znalazła się na sofie w recepcji, a już otworzyła oczy.

- Tak mi przykro, kochanie - wyszeptala dzielnie. - Za chwilę wszystko będzie w porządku.

Pan Peck, widząc przerażającą bledość jej twarzy, zwrócił się do wystraszonego Jamesa:

- Za przeproszeniem, panie Harting, mogę się mylić, ale jeśli jest w takim stanie, na jaki mi wygląda, powinien pan zabrać ją do szpitala, i to natychmiast!

No jasne, pomyślał James. Cóż ze mnie za osioł, że sam na to nie wpadłem.

- Pędzę po samochód!

Obrzucany zdziwionymi spojrzeniami potrącanych bez pardonu przechodniów, James nieoczekiwanie pojął, ile znaczy dla niego to nie zaplanowane dziecko. Jego dziecko. Gdyby coś mu się stało, nigdy by sobie tego nie wybaczył. W jednej chwili był z powrotem i przy pomocy pana Pecka ulokował żonę w volvette.

f- A o Galerię proszę się nie martwić - zapewnił go pan Peck. - Wszystko będzie tak, jak pan sobie życzył.

Przypominając sobie w ostatniej chwili, że w samochodzie nie ma telefonu, James poprosił:

- Czy mógłby pan zadzwonić do szpitala St Mary's i zawiadomić, że przywożę żonę?

Samochód poderwał się z miejsca, tak jakby to Victoria siedziała za kierownicą. Ostatnim spojrzeniem rzuconym we

wsteczne lusterko James zarejestrował malejącą figurkę pana Pecka, który dla podtrzymania go na duchu energicznie wymachiwał młotkiem.

Po półtorej godzinie, kiedy żonę, umieszczoną w separacie, poddawano koniecznym badaniom, James stanął do pojedynku z przedpotopowym szpitalnym automatem telefonicznym, który był bardzo wybredny, jeśli chodzi o dziesięciopensówki, i zaspokojenie jego gustu zajęło Jamesowi niezmiernie dużo czasu. Czekałym w kolejce do telefonu coraz bardziej wydłużały się miny. Najpierw zadzwonił do Jacka. Nikt nie odpowiadał. „Pieprzyć to!” - rzucił w słuchawkę. Wykręcił numer Alexandra. To samo. No jasne, pora lunchu. Bóg raczy wiedzieć, kiedy on sam się stąd wyrwie, a przecież nie może dopuścić, aby Bill Peck, ubrany w swój skórzany fartuch, witał wernisażowych gości. Bliski rozpaczy, zadzwonił do Tessy. Była w domu. Wyjaśniając pokrótce sytuację, powiedział:

- Wiem, że ostatnio trochę się poróżniliśmy, ale byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś poszła do Galerii wcześniej i broniła okopów. No i proszę cię, nie wspominaj nikomu o ciąży Victorii. Nie chcemy jeszcze tego rozgłaszać. - Oby się nie okazało, pomyślał, że nie będzie nic do rozgłaszania.

Tessa, która nie bardzo wiedziała, co zrobić z wolnym popołudniem, przystała ochoczo.

- Zabieram suknię wieczorową i pędzę po taksówkę.

Chyba był zbyt surowy dla siostry podczas ostatniego spotkania. Tessa może nie potrafi tego okazać, ale serce ma na właściwym miejscu.

- Tam już nie ma nic do roboty, Tess, poza ułożeniem kwiatów w wazonach. Obsługuje nas jak zwykle ekipa z „Cordon Bleu”, której nie musisz pilnować. Ich ludzie znają się na rzeczy. Bill Peck też dokładnie wie, co ma robić, tylko w niczym mu nie przeszkadzaj. Za to weź na siebie obowiązek powitania gości, gdybym ja nie zdążył na czas.

- Załatwione.

Już był bliski wygłoszenia mowy dziękczynnej, gdy usłyszał miarowe stukanie w szybę kabiny. „Szybcieeeej!” - ponagliła wykrzywiona twarz po drugiej stronie szkła. James odstukał, sygnalizując, że już wychodzi, co i tak zostało skwitowane piorunującym spojrzeniem.

- Muszę kończyć! Dzięki, Tesso, jesteś cudowna.

Unikając wrogich spojrzeń, opuściłabinę i skierował kroki do separatki. Może nie wybrał najkorzystniejszego rozwiązania, jeśli chodzi o wernisaż, ale lepsze takie niż żadne.

Tessa sprawdziła zawartość małej torby podróżnej. Czerwona sukienka mini, rajstopy, srebrne pantofle, kolczyki, naszyjnik, srebrna torebka, kosmetyki i perfumy. No, wreszcie dopnie swego. Wreszcie zostanie królową. Będzie ją podziwiał cały elegancki świat, który zwykle bywa na wernisażach. Przede wszystkim musi zrobić odpowiednie wrażenie na Jacku, bo czas dany jej przez Alexandra ucieka w zatrważającym tempie i jeszcze trochę, a ona zostanie naprawdę na lodzie.

W Galerii okazało się, że nowej pracownicy nie zabrakło inicjatywy. Nie czekając na polecenie, sama ułożyła kwiaty, i to całkiem gustownie. Nie mając wobec tego nic do roboty, Tessa postanowiła odszukać pana Pecka i pozawracać trochę staruszkowi głowę. Znalazła go w małej salce. Właśnie skończył zawieszac portret Ellen Carey. Tessa stanęła jak wryta. Jak on śmiał! Jak śmiał namalować własną żonę! Furia, która w niej wzbierała, zdawała się zagęszczać powietrze, i tak już ciężkie od zapachu stojących pod portretem bukietów białych lilii.

Wzburzenie nie uszło uwagi pana Pecka. Uśmiechnął się pod nosem i przez trzymaną w zębach śrubkę powiedział:

- Dzień dobry, pani Lucas.

- Proszę to zdjąć. \

Pan Peck przestał się uśmiechać. Wyjął śrubkę z ust i zaprotestował:

- Ale przecież dopiero co go powiesiłem.

- Aż do powrotu pana Hartinga ze szpitala ja tu decyduję o wszystkim. To mnie pan Harting powierzył pieczę nad Galerią. Sądzę, że ta wiadomość już do pana dotarła. - Pan Peck, który został poinformowany o tym nieprzyjemnym fakcie przez telefon tuż przed przyjazdem pani Lucas, mógł jedynie przytaknąć.

- A zatem jeśli panu powiem, że pan Harting rozmyślił się co do wystawienia tego obrazu i polecił mi, abym pana poprosiła o powieszenie na tym miejscu innego, to mam nadzieję, że nie spotkam się z pana sprzeciwem.

Skoro sprawa tak wyglądała, nie mogło być mowy o żadnym sprzeciwie, chociaż przez głowę pana Pecka przemknął cień wątpliwości, czy aby pani Lucas mówi prawdę. Ale ponieważ nie było sposobu, by to sprawdzić, nie było też sposobu, by wymigać się od wykonania polecenia. Pan Peck zapytał więc z obrażoną miną:

- No to gdzie on jest? Ten drugi. Gdzie go pani ma?

- W Chelsea. Muszę po niego pojechać.

Tessa zamawiała telefonicznie taksówkę, a pan Peck myślał tymczasem: Bezczelna, nic dodać, nic ująć. A przy tym nic dobrego. I takie coś myśli, że jest damą. Łajdaczka, nie dama!

Nie skończyło się na obrazie. Wychodząc znalazła czas, aby zbesztać Hilary za jakieś drobne zaniedbanie, czym już ostatecznie pogrzyżyła się w jego oczach. Kto to widział, żeby tak odzywać się do personelu! Ani pan, ani pani Harting nigdy by sobie na to nie pozwolili. No cóż, oni mają klasę. Tym stwierdzeniem pan Peck podsumował ostatecznie panią Lucas.

Głupia gęś, uzupełniła w myślach Hilary.

Zanim Tessa dotarła do mieszkania Ceci, zrobiła się czwar-ta, więc wskazany był pośpiech.

- Chciałabym wiedzieć, czy mógłby mi pan pomóc coś prze-

nieść? - spytała kierowcę taksówki. Kierowca, wzięty na lep wypielegnowanej urody i kusej spódniczki, odpowiedział, że czemu nie, tak więc oboje przenieśli płótno tajemniczo spowite jednym z prześcieradeł Ceci do samochodu.

- Och, zapomniałam o czymś. Zaraz wracam. - Po chwili wróciła biegiem ze szkicami pod pachą. Jeśli tylko James nie przyjedzie na tyle wcześniej, by pokrzyżować moje plany, myślała, to przy odrobinie szczęścia pod koniec wieczoru Ellen odejdzie od Jacka.

- Dokąd, psze pani?

- Z powrotem do Galerii - poleciła, zabierając się do czytania wrześnieowego numeru „Vogue'a”, który nadszedł tego ranka już po wyjściu Ceci do pracy.

Taksówkarz po otrzymaniu zapłaty za przejazd z własnej inicjatywy zaniósł obraz do recepcji.

- Dziękuję! - rzuciła mu Tessa przez ramię. Mężczyzna obrzucił ją jeszcze jednym pożądliwym spojrzeniem i widząc, że nic tu po nim, wyszedł.

- Hilary, czy byłabyś tak uprzejma i razem z panem Peckiem zechciała zanieść obraz do bocznej salki?

Ledwo zdążyli to zrobić, a już zjawiała się dostawa z „Cordon Bleu”, Hilary została więc odesłana do nowego zajęcia, a Tessa zasunęła ekran i odsłoniła swój akt, aby pan Peck mógł go podziwiać.

Pan Peck był przygotowany na to, co zobaczy, nie skrywana wulgarność aktu wstrząsnęła nim jednakże po raz kolejny. A czekało go coś jeszcze gorszego. Tessa miała ze sobą serię szkiców, których poprzednio nie widział; należało je powiesić w miejsce szkiców do portretu Ellen. Tak więc spadło na niego i zawieszenie obrazu, i wymiana rysunków. Tessa zadowalała się rolą nadzorcy.

- Dobrze, tak może zostać - oceniła ostateczny rezultat. Następnie popatrzyła z niesmakiem na lilie.

- Chyba jest już za późno, aby je wymienić na inne kwiaty.

Pan Peck zerknął na zegarek, który wskazywał piątą, ale powstrzymał się od wszelkich komentarzy.

- Mam nadzieję, że nie będzie pan naburmuszony przez cały czas, panie Peck - rzuciła Tessa na odchodnym i wyniosła się wreszcie.

Przez lojalność wobec Hartingów i Galerii, dla której nadeszły ciężkie chwile, pan Peck udał, że nie słyszy, i dokładnie zasunął ekran.

17

O szóstej zaczęli napływać pierwsi goście. Po niespełna kwadransie sala wystawowa pełna była po brzegi. Brać artystyczna mieszała się tu z krytykami i potencjalnymi klientami. James zadzwonił z wiadomością, by oczekiwać go dopiero o siódmej. Wciąż jeszcze, choć nie przekraczało to granic przyzwoitości, nie pojawił się Jack, a dopóki nie było jego i Ellen, Tessa nie zamierzała otwierać bocznej sali. Przy drzwiach, gdzie witała gości, natknęła się na Marcusa i Jane Marchantów. Całując ją w oba policzki, już z kieliszkiem szampana w ręku, Marcus spytał:

- Co się dzieje z Jamesem i Victoria? Nigdzie ich nie widzę.

- Victoria jest chora, ale to nic poważnego. A James wkrótce tutaj będzie. - Miała nadzieję, że wcale nie tak wkrótce. - Tymczasem ja jestem szefową.

- Ty? Akurat ty? - Spojrzał na nią podejrzliwie, jakby wyuczując, że coś tu się nie zgadza. Dotknięta wyraźnym brakiem wiary w swoje słowa, Tessa osadziła go krótko:

- Tak, akurat ja. Och, oto i Maybrickowie. Muszę iść. Wybaczcie. - Marchantowie również odeszli i wmieszali się w główny nurt gości. Po chwili spotkali Alexandra Lucasa, który też dopiero co się zjawił. \ . J

- Wygląda na to, że twoja żona zarządza całym tym kołowrotem - oznajmił Marcus, pociągając łyk z kieliszka. - Czyj to pomysł?

- Żebyś mnie zabił, nie wiem. Ona jest tak zajęta, że trud-

no znaleźć okazję do rozmowy. Ale powiem ci: chyba się znów zejdziemy.

- Cieszę się za was oboje - rzekła serdecznie Jane. Jej mąż natomiast przyjął tę żalospną, jak na jego gust, wiadomość w milczeniu, zdecydowany nie wychylać się z dobrymi radami. Zmieniając temat, powiedział:

- Główny bohater wieczoru, jak widać, jeszcze nie zdążył się pokazać. Chyba że go przeoczyłem.

Powiódł wzrokiem po sali. Zebrany tłum był mieszaniną paplających z ożywieniem supereleganckich i superpretensjonalnych postaci i typów, z których znakomita większość najwyraźniej czuła potrzebę określenia swego statusu poprzez ubranie; co do reszty gości, to nasuwało się podejrzenie, że wylądowali tutaj, myląc wernisaż z castingiem.

Po drugiej stronie sali Tessa nie mogła się pozbyć Maybricków. Irma niczym pijawka przyssała się do Harolda, a ten z kolei do Tessy. Oboje nie wyglądali na osoby, które potrafią sobie radzić w towarzystwie. Zintegrowanie ich z pozostałym towarzystwem należało zwykle do obowiązków Victorii. Minuty mijają. Zdesperowana Tessa, zobaczywszy Ginevre stojącą samotnie i nieruchomo niczym kamienny posąg z Wyspy Wielkanocnej, powiedziała:

- Pora, żebym przedstawiła was innym gościom. Podejźmy do Ginevry Haye.

Harold już z daleka dostrzegł surową minę Ginevry i był przekonany, że nie jest to najlepszy pomysł. Ta majestatyczna w swojej czerni i srebrnym naszyjniku, z którego zwisał bursztynowy wisior wielkości gołębiego jaja, kobieta zrobiła na nim wrażenie intelektualistki, dobrze zorientowanej, być może, jeśli idzie o jakieś idee abstrakcyjne, ale na Boga, cóż taka osoba może wiedzieć o samochodach! Zaczął nieśmiało protestować, lecz Tessa nie pozwoliła mu dojść do głosu. Z rozbawieniem obserwując z daleka tę scenkę, Marcus doszedł do wniosku, że cekinowa, narcyzowo-żółta Irma gaśnie, mimo swego blasku, przy poważnej i kulturalnej pani Haye, która, jak już zdążył się dowie-

dzieć, była starą przyjaciółką Victorii z Oksfordu. Po dokonaniu prezentacji Tessa zostawiła całą trójkę własnemu losowi.

Siedząc jej dalsze kroki, Marcus zobaczył w pewnej chwili, jak na widok Jacka Careya wchodzącego do Galerii pod rękę z Ellen Tessa nagle nieruchomieje, po czym niecierpliwie wydaje jakieś polecenie dziewczynie zwanej Hilary, która, jak przypuszczał, była nową asystentką Jamesa. Aha! Siostra Jamesa z pewnością zamierza wykręcić jakiś numer. Ujął żonę za łokieć, mówiąc:

- Popatrzmy na obrazy Jacka, zanim zrobi się jeszcze bardziej tłoczno.

Stojąca u boku męża, ubranego w swój ulubiony „pościelowy” garnitur, wystylizowana na pełną dramatyzmu Cygankę, Ellen miała na sobie efektowną w swej prostocie, długą do ziemi, czarną, prostą suknię, ozdobioną srebrnym naszyjnikiem i harmonizującymi z nią srebrnymi kolczykami, oraz purpurową narzutkę, tę samą co na usuniętym teraz do magazynku portrecie. Podkreślone czarnym ołówkiem oczy na moment obojętnie zatrzymały się na Tessie, po czym powędrowały dalej. Wejście Careyów przywitane zostało spontaniczną burzą oklasków, za którymi poszły w ruch kamery i flesze. Teraz, kiedy do *coup de théâtre* pozostały sekundy, Tessa nagle zwątpiła w sens swoich poczynań. Widząc jednak, jak Ellen i Jack rozmawiają ze sprawozdawcą kroniki towarzyskiej „Tarlerà”, pomyślała z zawiścią: To ja powinnam tu być w centrum uwagi. I będę.

Odgłos przesuwanego przez Hilary ekranu był dla niej sygnałem do cichego zniknięcia z Galerii. Nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, wymknęła się przez pustą recepcję na ulicę i, przyciągając spojrzenia przechodniów wieczorowym strojem, ruszyła na spacer wokół najbliższego kwartału domów.

Tymczasem Ginevra pozbyła się już Maybricków i rozmawiała z Marchantami, a ponieważ stała przodem do ekranu, była jedną z pierwszych, którzy zobaczyli odsłonięcie portretu Tessy. Marcus podążył za jej osłupiałym wzrokiem. A więc o to chodziło! Świadom, że afera za chwilę musi wybuchnąć, rozej-

rzał się za Alexandrem, a także, aby zapobiec ewentualnemu morderstwu, za Tessą. Tessa jednak zniknęła.

Tymczasem w stronę małej sali kierowało się coraz więcej spojrzeń. Podniesione głosy powoli przycichały. Było za późno, aby powstrzymać bieg wydarzeń.

Przez środek tłumu przedarł się do przodu Alexander. Z posiniałą z wściekłości twarzą przyjrzał się po kolei portretowi i wszystkim szkicom. Następnie grzecznym tonem zwrócił się do kelnerki, która stała obok niego z tacą pełną napojów.

- Czy mógłbym pomóc?

Dziewczyna, zaskoczona dziwną propozycją, bez słowa oddała mu tacę.

- Dziwka! Zepsuta, cholerna dziwka! - krzyknął Alexander i cisnął tacą o płótno. Nie kryjąc łez bólu i upokorzenia, odwrócił się twarzą do oniemiałej z wrażenia publiczności i obwieścił na cały głos: - Ta kurwa to moja żona!

Akt Tessy spłynął szampanem zmieszany z odłamkami szkła. Teraz akcja potoczyła się błyskawicznie. W rękach czytających tylko na takie okazje dziennikarzy błysnęły flesze. Alexander, przedzierając się do wyjścia, wpadł na Careyów, którzy po udzieleniu wywiadu dla prasy, nieświadomi niczego, znajdowali się dopiero w połowie drogi do centrum wydarzeń, w biegu wymierzył Jackowi potężny cios i nie dbając o to, że bohater wieczoru zamroczony osuwa się na podłogę, jednym susem dopadł drzwi.

Tessa, ukryta w budce telefonicznej po przeciwnej stronie ulicy, miała dobry widok na Galerię. Nie była zaskoczona, kiedy w gwałtownie otwartych drzwiach pojawił się najpierw Alexander, a w chwilę potem Marcus i Jane, para jego przyjaciół. Cała trójka zrównała się ze sobą i zaczęła gorąco o czymś dyskutować. Widząc, że Jane przywołuje taksówkę, Tessa odczekała jeszcze chwilę, po czym, nie zauważona, wróciła do Galerii.

W Galerii tymczasem Ellen, zostawiając męża tam, gdzie runął na podłogę, przecisnęła się do przodu, aby odkryć powód całej awantury. I podobnie jak kilka godzin wcześniej Tessa, tak

teraz ona, stając przed wiszącym na ścianie obrazem, zamarła. Jak on mógł? Jak mógł malować i ją, i kochankę? Czy możliwe, żeby był aż tak niegodziwy? Jak widać, tak. Powoli uczucie niedowierzania zaczęło przeradzać się w smutek. Losy jej małżeństwa zostały przypieczętowane. Już nigdy nie mogłabym mu uwierzyć. Nigdy. A to publiczne upokorzenie jest kroplą, która przelewa czarę goryczy.

W milczeniu, z dumnie uniesioną głową, przeszła przez rozstępujący się przed nią z szacunkiem tłum, przystanęła nad wciąż leżącym Jackiem, wysliznęła się z purpurowej szaty i ze wzgardą upuściła ją na podłogę. W drzwiach stanęła twarzą w twarz z Tessą.

Przez kilka sekund mierzyła rywalkę pełnym pogardy spojrzeniem.

- Możesz go sobie wziąć - powiedziała na koniec. - Dostało mi się z Jacka to, co w nim było najlepsze. Ale to najlepsze jest już poza nim. Od dziś, jak sądzę, czeka go stacanie się po równi pochyłej.

- Och nie, Ellen, nie! - zawołał słabym głosem Jack, który zaczynał pojmować sens wydarzeń. Pokonując ból, usiłował się podnieść i błagać żonę o litość. Ale oddalający się stukot jej obcasów był ostatnim odgłosem, jaki usłyszał przed ponownym zapadnięciem w nicość.

Przedstawienie dobiegało końca i zaproszeni goście tłumnie zmierzali ku wyjściu. Ginevra, z sercem krwawiącym nad upokorzeniem Ellen, nie czekając powrotu Jamesa, wymknęła się jako jedna z pierwszych, aby dogonić przyjaciółkę i dopilnować jej bezpiecznego powrotu do domu.

Również Maybrickowie zbierali się do wyjścia. Harold ściągnął brwi. Był wyraźnie zgorzony. /

- No wiesz - powiedział - nie miałem pojęcia, że Jack Carey maluje tego rodzaju rzeczy! Co o tym myślisz, Irma?

Irma nie musiała wcale myśleć. Miała gotową odpowiedź: „Ohyda”. Pomna jednak, że Harold po przykrych doświadczeniach z pierwszą, bardzo apodyktyczną żoną atakował jak czołg

każdego członka rodziny, usiłującego kultywować niebezpieczny zwyczaj samodzielnego myślenia, odpowiedziała ostrożnie:

- Nie jestem pewna, kochanie. Chyba wolałabym najpierw usłyszeć twoją opinię.

- Irmo, jestem tobą rozczarowany - padła niewdzięczna odpowiedź. - Ty, moja ukochana żona, matka dzieci! Amerykańskich dzieci! Moich dzieci! Jaka jest twoja opinia, Irmo?

Wzburzona, bo wyglądało na to, że może się znaleźć w opałach większych niż Jack Carey, Irma była już bliska podjęcia wyzwania, kiedy pojawił się przed nimi zdyszany James Harting.

- Harold! Irma! Chyba jeszcze nie wychodzicie? Gdzie cała reszta? Co się tu dzieje? - I tknięty złym przeczuciem, zadał jeszcze jedno pytanie: - Gdzie Tessa?

Ellen nie chciała wrócić do pracowni, gdyż tam groziło jej spotkanie z Jackiem. „Moja noga nigdy już tam nie postanie” - powtarzała raz po raz. „Jedź wobec tego do mnie” - odpowiadała Ginevra. Ale Ellen nie słyszała albo nie rozumiała jej słów. Wsłuchana we własne myśli, wsiadła do pociągu w czarnej wieczorowej sukni, z biletem, który kupiła jej Ginevra, marząc tylko o tym, by jak najprędzej znaleźć się w domu. To, co się stało, to wyłącznie moja wina, wyrzucała sobie przez całą podróż. Piastowałam wciąż złudną nadzieję, że uda nam się zacząć wszystko od nowa. Z Jackiem nigdy i nic się nie uda. Jack się nie zmienia.

I co z chłopcami? Harry i David będą zdruzgotani. Zwłaszcza Harry. Nic jednak na to nie poradzę. Staralam się, jak mogłam, ale dłużej takiego życia nie zniosę.

Gdzie przekazać synom tę przykrą wiadomość? Może powinna ich odwiedzić w szkole i wyjawić całą prawdę? Chyba nie. Lepiej zaczekać na ich przyjazd do domu. Może obecność matki i swojskie, znajome otoczenie złagodzi ból zadany dzieciom przez własnych rodziców.

Kiedy znalazła się w Butterfly Cottage, rozdzwonił się telefon. No cóż, prawdopodobnie Jack wszczyna pogon. Nie pod-

niosła słuchawki. Zadzwoiła natomiast do Ginevry, aby zgodnie z obietnicą zawiadomić ją, że szczęśliwie dotarła do domu, i od razu poszła się położyć.

Następnego ranka, obłożony plikiem prasy, James zasiadł do samotnego śniadania. Zgodnie z przewidywaniami, większość spośród liczących się krytyków nie zdążyła jeszcze przesłać materiałów do druku, więc na ich werdykt należało trochę poczekać. Dzienniki, łase na sensację, były szybsze, a skąpe informacje wynagradzały czytelnikom obfitym serwisem fotograficznym. James jęknął na sam widok nagłówek: *Burda w starym dobrym stylu i W galerii sztuki poeta robi z siebie matkę*. „Daily Telegraph” okazał się bardziej powściągliwy, dając tytuł *Przerwany wernisaż*. Dalej następowała relacja z wydarzeń, które rozegrały się w Galerii, podczas kiedy on był w szpitalu. Trudno powiedzieć, na ile wiarygodna.

James wrócił myślą do kosmicznej wprost awantury, jaką urządził Tessie. Nie zdziwiłby się, gdyby siostra nie odezwała się do niego do końca życia. Dobrze chociaż, że podczas ciągnącego się w nieskończoność obiadu udało mu się uratować znajomość z Maybrickiem. Wstał, odszukał aspirynę i, podczas gdy tabletki z sykiem rozpuszczały się w wodzie, on chłodził obolałą głowę o zimne szkło kabiny z prysznicem. Za jego zamkniętymi powiekami przemknął rzucający się w pościg za Ellen Jack. Bóg jeden wie, co dalej stało się z Tessą. No i z Alexandrem...

Zadzwoił telefon.

- Panie Harting, czy mógłby pan skomentować wczorajszy...

- Bez komentarza - odparł James, przerywając dziennikarzowi w pół zdania. (

Następny dzwonek.)

- Panie Harting, czy mógłby pan... - Tym razem James położył słuchawkę obok telefonu i wszedł pod prysznic. Szczególne zadanie, jakie miał teraz przed sobą, określiłby mianem „ograniczenia szkód”. Im szybciej się do niego weźmie, tym lepiej.

18

Ellen, zdruzgotana przeżyciami ostatniego wieczoru, pogrążona w czarnej depresji, z ciężkim sercem wkraczała w kolejny dzień. Jeszcze usiłowała sobie wmówić, że to wszystko nieprawda, że w ogóle nie wyjeżdżała do Londynu, że wczorajszy wernisaż tylko jej się przyśnił. Ale w takim razie dlaczego jej serce nagle stwardniało na kamień, a wszystkie członki ciężą jak ołów? Dlaczego nie opuszcza łóżka, choć zwykle wstaje o świcie? Dlaczego wbija oczy w pustą przestrzeń? Nie, to nie jest senny koszmar, to samo życie. Do tego życie z Jackiem.

Zawsze, gdy tylko zaczynała myśleć o swoim małżeństwie, dochodziła do gorzkich konkluzji. I tym razem nie było inaczej.

Mamiłam sama siebie uważając, że decyzja o opuszczeniu Jacka spoczywa w moich rękach, myślała. Łudziłam się całe życie. Byłam ślepa. A zaślepienie w miłości zawsze kończy się złamanym sercem. Uciekałam w świat fantazji i założyłam się, że stary Edward Montague doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Wierząc, że w głębi serca Jack kocha tylko mnie, przymykałam oczy na jego romanse, choć pewnie nie powinnam była tego robić. Nigdy jednak nie przypuszczałam, że stać go będzie na tak okrutną, niczym nie uzasadnioną zniewagę. Takich zniewag się nie wybacza.

Stojący na nocnej szafce telefon dzwonił od dłuższej chwili. W końcu Ellen podniosła słuchawkę i nim zdążyła powiedzieć

„halo”, usłyszała głos Jacka. Jej mąż najwyraźniej wpadł w panikę.

- Ellen, kochana, dzięki Bogu, że wreszcie się do ciebie dozwoniłem. Ellen, to wszystko jest potworną pomyłką. To ta dziwka, Tessa Lucas, zmontowała całą aferę. Wierzysz mi, Ellen? Ellen? Ellen?!

Ellen z wysokości dziesięciu centymetrów upuściła z trzaskiem słuchawkę na widełki. Oby mu popękały bębunki w uszach! Nie obchodziło jej ani trochę, kto i co zmontował. Jack cały czas zapewniał ją o swojej wierności, a tymczasem nie dość że sypiał z Tessą, to jeszcze ją malował. Wybaczyła mu wiele zdrad, ale tej - nigdy. Portretem rywalki unicestwił jej własny. Unicestwił również ją, żywą Ellen. Ale gdyby się tak zastanowić, pomyślała, Jack nie wpadł wcale na oryginalny pomysł. Przecież niszczy mnie od dawna, przecież istnieję jedynie jako wygodny, gotujący i wychowujący dzieci dodatek do osobowości mego męża.

Aby ćwiczyć silną wolę, wstała z łóżka. Na osłabłych, drżących nogach, jak po grypie, podeszła do okna i rozsunęła zasłony równie bezsilnymi dłońmi. Wyprana z wszelkich uczuć, z ciałem niczym pusta skorupa, popatrzyła ponuro na ogród. Żadnych więcej łąz. Podczas kilkunastu lat małżeństwa z Jackiem przelała ich tyle, że wystarczy na całe życie. Żadnych więcej łąz.

Telefon znów się odezwał. Wyciągając wtyczkę z gniazdka, jeszcze słyszała echo dzwonek we wszystkich zakątkach domu. Zdecydowałyby się na rozmowę z Jackiem chyba tylko po to, aby powstrzymać go przed przyjazdem do Susseksu. Obecnie nie czuła się na siłach stanąć do tak wyczerpującej emocjonalnie konfrontacji, w jaką musiałyby się przерodzić spotkanie z mężem. Sięgnęła po gazetę i z niedowierzaniem stwierdziła, że mimo nieodwracalnych zmian, jakie zaszły w jej życiu, świat toczy się dalej swoim torem. Najważniejszą rzeczą, czuła to podskórnie, na przekór swemu nieszczęściu i rozpacz, jest niepoddawanie się zubożeniu i zapaści duchowej. Usiadła więc przed sosnową toaletką i z wysiłkiem się uczesała, następnie zaś

sięgnęła po kosmetyczkę, wyjęła czarny ołówek i, przeglądając się w małym owalnym lusterku, zaczęła bardzo wolno malować oczy.

- To zabrzmi czułościowo, ale wierz mi, naprawdę zakochałem się na nowo w swojej żonie.

Rzeczywiście, dosyć mdłe wyznanie, pomyślał James, zwłaszcza w świetle tego, jak Jack od lat traktuje Ellen.

- No a ona właśnie w takim momencie żąda ode mnie rozwodu i nie chce mnie widzieć na oczy. Nie dopuszcza do siebie ani na krok. Błagałem ją, by spokojnie rozważyć wszystkie za i przeciw, wierz mi, błagałem. Nic z tego. - Nalał sobie whisky i wypił ją jednym haustem. James, który przyszedł się upewnić, czy Jack dobrze się czuje, i jednocześnie podzielić się z nim dobrymi wieściami, iż wbrew niechętniej prasie, a może dzięki niej, wystawa okazała się sukcesem handlowym, widząc łzy w oczach przyjaciela, przestraszył się nie na żarty.

- Czy Tessa się odzywała?

- Bez przerwy dzwoni. Nie mogę się od niej odczepić. - Ujął twarz w dłonie. - Nie mógłbyś z nią pomówić? W końcu jest twoją siostrą.

- Nie. Nie mógłbym. Jest moją siostrą, ale twoją kochanką, i ty musisz znaleźć jakieś rozwiązanie. - James nie miał zamiaru ulec prośbie Jacka. - A poza tym przestaliśmy się do siebie odzywać. I prawdopodobnie nieprędko zaczniemy.

- To może - ciągnął Jack, choć bez większego przekonania - mógłbym porozmawiać z jej mężem?

Jeśli chcesz zarobić następną cios w szczękę, to proszę bardzo, pomyślał James, dodając głośno:

- Ale on jej również nie chce.

- Mój Boże, gdybyż tak ona mnie nie chciała!

- Niestety, odniosłem wrażenie, że Tessie ani w głowie zrezygnować z ciebie. - Jamesowi znudziła się rola pocieszyciela. - Przykro mi, ale muszę już iść. Zawiadom mnie o ślubie i nie

pij więcej whisky. Sprawy rozwodowe przeprowadza się na trzeźwo. - Zrobiło mu się jednak żal Jacka i dodał łagodniej: - Słuchaj, przecież mógłbyś nie słuchać Ellen i pojechać do niej. Tylko nie zapomnij o dywaniku.

Po wyjściu Jamesa Jack znów sięgnął po list od żony, usiłując, mimo ostrych słów, jakich mu nie szczędziła, odtworzyć w myśli obraz jej milej, pełnej ciepła twarzy.

Jack,

wreszcie nadszedł czas, abyś się dowiedział, że już od miesiący rozmyślałam nad rozstaniem z Tobą. Miałam wrażenie, że nie po mnie w naszym małżeństwie, chociaż oczywiście Tobie odpowiadał taki układ, w którym prowadzenie domu i wychowanie dzieci składałeś na moje barki. Co więcej, obciążałeś mnie ciągłą troską o Twoje sprawy, choć nie wątpiłam nigdy, że równie dobrze zadowolilibyś się pierwszą lepszą gospożą. A jednak kiedy tylko wyczułam w Tobie pragnienie przywrócenia naszemu związkowi dawnej namiętności, byłam gotowa zacząć wszystko od początku. Muszę wyznać, że nawet w tamtych latach, kiedy byłam w Tobie zakochana i kiedy schlebiało mi (będę szczerą) małżeństwo z kimś tak utalentowanym jak Ty, zdawałam sobie sprawę z Twoich wad. Tylko że ja też je wtedy miałam. Widzisz, Jack, kłopot polega na tym, że choć zbliżasz się do czterdziestki, nadal nie wydorostałeś i zachowujesz się tak, jakbyś był dwudziestoletnim początkującym artystą, któremu wszystko wolno. Niestety, Twój sposób bycia kjarzy się z jednym określeniem: podstarzały dandys. Mogłabym patrzeć przez palce na twój romans z Tessą Lucas - wszak tolerowałam do tej pory wszystkie tego rodzaju przygody - gdyby nie cynizm, z jakim łągałeś, że musimy zacząć wszystko od początku. Niemal od dnia ślubu wiedziałam, że poślubiłam pobażającego siebie hipokrytę (w porządku, wiem, nikt nie jest doskonały), ale teraz dopiero wyszedł z Ciebie krętacz, kłamca i nikczemny sukinsyn. Tego już za wiele.

No cóż, gwoli uczciwości i zgodnie z regułami gry, powinnam wspomnieć tu o jeszcze jednej sprawie. Mając przed oczami wszyst-

kie Twoje grzechy i grzeszki, wyznam Ci (bo założę się, że niczego się nie domyślałeś), iż w trakcie naszego małżeństwa ja również miałam kochanków (i to kilku). A teraz proszę, nie czyni starań, aby się ze mną skontaktować, przynajmniej przez najbliższy tydzień. Wiem, że w końcu będziemy musieli odbyć spotkanie, ale zanim chłopcy przyjadą do domu i zanim im powiem, że zamierzam się z Tobą rozwieść, wolalabym w spokoju przyjść do siebie po tym wszystkim, co się zdarzyło. Jeśli chodzi o nas, jestem przekonana, że postępuję słusznie. Jeśli chodzi o chłopców - czuję się potwornie winna i nieszczęśliwa, bo wiem dobrze, że obaj, a zwłaszcza Harry, będą cierpieć. Tak z grubsza sprawy wyglądają. Mam nadzieję, że doprowadzimy nasze małżeństwo do końca, nie raniąc się i nie niszcząc nawzajem.

Ellen

Analiza własnej osobowości nigdy nie była ulubionym zajęciem Jacka, ale wyglądało na to, że tym razem od niej nie ucieknie. „Podstarzały dandys”? On? Nic podobnego. Na wszelki wypadek wciągnął brzuch. Kochankowie żony? Cudzołóstwo? Burżuazyjny przesąd. Tak, burżuazyjny.

Choć z drugiej strony, wiadomość, iż żona była mu niewierna, i to niejednym raz, nasuwała drażliwą kwestię porównań i męskiego współzawodnictwa. A jak ocenić fakt, że spędził szmat życia obok Ellen, tak mało o niej wiedząc? Potrzebował jej na co dzień, ale do łóżka - tylko między jednym a drugim romansem. Teraz role się odwróciły. Teraz jej pragnie. A jeśli tak, to musi dopiąć swego i zmusić ją do powrotu. Aby dodać sobie ducha niezbędnego do walki, jaka go czekała, nalał następną szklankę whisky, wypił i, patrząc przez pracownię na portret żony, który po pobycie w piwnicy Galerii wrócił na sztalugi, wyznał: „Kocham cię, Ellen!” Zagadkowa piękność odpowiedziała mu tylko obojętnym spojrzeniem.

Tymczasem na wsi Ellen powoli wchodziła w koleiny codziennych zajęć. Dzisiaj na przykład wspólnie z panem Phippsem zaczęła porządkować ogród warzywny.

- Coś mi się widzi, że załęgły się myszy - mówił ogrodnik.
- Jak nic trzeba zastawić ze dwie pułapki.

- No a co z kotami, które też tu chodzą? - zaprotestowała Ellen. - Nie zniosłabym, gdyby starszek Merlin przyciął sobie łapę.

- Łapę? A co to on ślepy, żeby się pchać z łapami, gdzie nie trzeba? - odparł pan Phipps lekceważąco i dorzucił bezlitośnie:
- Chyba że oberwie sprężyną po uchu.

Ellen uśmiechnęła się mimo woli.

- Nie sądzę, żeby mu się to miało spodobać, panie Phipps.

- No pewnie, nikomu by się to nie spodobało - zgodził się ogrodnik. - Ho, ho, ale nam cukinie wyrosły. - Palce pana Phippsa zastukały w grubą łupinę. - I fasola też, nie powiem. Jak już pani oberwie strąki, to ja w mig uwinę się z badylem.

- Dobrze, panie Phipps - odpowiedziała Ellen posłusznie, wiedząc, że jeśli chodzi o jego ukochane warzywa, nie należy mu się w niczym sprzeciwiać. - Zrobię to po lunchu.

Balsamicznym wrześnieowym popołudniem Ellen, zgodnie z przyrzeczeniem, wzięła kosze i ruszyła między szpalery fasoli. Zrywanie zielonych strąków było czynnością mechaniczną, toteż jej myśli natychmiast wróciły do Jacka. Od czasu kiedy wysłała list, mąż przestał w ogóle dzwonić. I choć, prawdę mówiąc, sama mu tego zabroniła, to jednak czuła się dotknięta jego milczeniem. Gdzie rozpacz, którą okazywał parę dni wcześniej?

Ellen zapełniła już jeden kosz i właśnie przechodziła na drugą grządkę, kiedy usłyszała samochód na podjeździe.

Alexander odczekał, aż Ellen zerwie ostatnie garście fasoli, i teraz patrzył, jak idzie przez grządki, aby się z nim przywitać. Jej twarz, ocieniona szerokim rondem słomkowego kapelusza

i pocętkowana słonecznymi plamami, falująca wokół kostek leka, kremowa suknia z głębokim dekoltem i podniesioną talią, i kosz, który Ellen niosła przed sobą, przywodziły na myśl wieśniaczki ze starych sztychów.

- Alexander! Co za niespodzianka! - powitała go Ellen, uśmiechając się promiennie.

Ależ ona jest czarująca, pomyślał zaskoczony. Jak to możliwe, że tyle razy przedtem widywałem Ellen Carey, a nigdy tego nie zauważyłem?

- Przyjechałem, aby cię przeprosić.

- Ty chcesz mnie przeproszać? Za co?

- Pozwól, że cię wyręczone. - Wziął kosz z rąk Ellen i ruszył za nią w stronę domu.

W kuchni pachniało liśćmi, trawą i jesiennymi kwiatami. Ellen wysypała strąki na blat kuchennego stołu i powiesiła kosz na haku.

- Czym mogę cię poczęstować? Herbatą? Kawą? A może zgrzeszysz kieliszkiem wina?

- Zgrzeszę, jakżeby inaczej.

Ellen nalała wina do kieliszków, odsuwając stopą przymawiające się o jedzenie koty.

- No a teraz, powiedz, proszę, o co chodzi. Ale najpierw usiądź.

- Obawiam się, że moja żona zniszczyła twoje małżeństwo.

- Mogę cię zapewnić, że moje małżeństwo niszczyło się samo całymi latami, i to bez pomocy twojej żony. A co z twoim?

- No właśnie!

- Być może Jack i Tessa zasługują na siebie nawzajem.

Nawet Jack Carey nie zasłużył sobie na kogoś takiego jak Tessa, pomyślał Alexander, a na głos powiedział:

- Podobno on jej nie chce.

- Coś takiego! Zresztą to, czego on chce, już mnie nie obchodzi. - Ellen zdjęła kapelusz i powiesiła go za drzwiami. - Wiesz, jakkolwiek na to patrzeć, trzeba pamiętać, że i Tessa, i Jack wciąż są bardzo infantylni. Każde z nich może funkcjono-

wać w małżeństwie jedynie pod warunkiem, że partner jest dojrzały. A co to znaczy dla takiego partnera, sam chyba wiesz najlepiej.

- Wiem, to ciężki krzyż.
- Kochasz ją nadal?
- Nadal nie potrafię jej wybaczyć.
- Miłość i wybaczenie nie zawsze chodzą w parze.
- Gdyby chodziły, o ileż łatwiej by się żyło.
- Przypuszczam, że tak. Ja również nie mogę wybaczyć Jackowi.

kowi.

- Byłaś zamężna bardzo długo. Jak sobie poradzisz sama?
- Jeszcze nie wiem - westchnęła. - Najbardziej martwię się o Harry'ego i Davida. No i pozostaje problem, z czego się utrzymam. Przyznam, że liczę na dochody z książki.

Alexander, nie chcąc jej odbierać nadziei, postanowił nie wspominać choćby jednym słowem o tym, jak nikłe są szanse na wydanie czegokolwiek przy obecnym zastoju na rynku księgarskim.

- Czy napisałaś do któregoś z agentów?
- Tak, ale jeszcze od żadnego nie dostałam odpowiedzi.

Alexander podszedł do otwartego okna i popatrzył na ogród. Jak łatwo będzie rozstać się z Tessą. Podzieliła się domem i samochodem, i każde pójdzie w swoją stronę. Ona ma własny majątek. On ma pracę. Musiał natomiast przyznać, że w wypadku Ellen to nie jest takie proste. Ale i tak może być szczęśliwsza, kiedy uwolni się od Jacka.

Przeszedł przez kuchnię i zbliżył się do Ellen z zamiarem podzielenia się z nią swoimi myślami. Odstawił kieliszek i spojrział w uniesioną ku niemu twarz. Nie potrafił zapanować nad gwałtownym pragnieniem pocałowania z niej wszelkich trosk.

Nieco później, w pachnącej świeżości wiejskiej sypialni, przypadkowi kochankowie, starając się nie zranić nawzajem, z wielką czułością zdążali ku wspólnemu spełnieniu. A kiedy

podwójny jęk rozkoszy zmieszany z echem odległego bólu rozłączył wreszcie zmęczone ciała, ramiona splotły się i oboje zapadli w sen. Ellen obudziła się pierwsza. Wsparta na łokciu, przypatrywała się Alexandrowi w ten sam sposób, w jaki patrzyła na innych mężczyzn, z którymi kochała się przez wszystkie minione lata. Alexander, czując zapewne jej spojrzenie, ściągnął lekko swoje wspaniałe brwi, otworzył celtyckie niebieskie oczy o niespodziewanej głębi i przygarnął ją do siebie.

- Czarownica! Jak długo na mnie patrzysz?

Przeciągając palcem, którym lśniła obrączka, po grzbiecie orlego nosa Alexandra, odparła:

- Patrzę na ciebie, ale nie o tobie myślę.

- Wierz mi, Ellen, chyba się w tobie zakochałem.

Miłość.

- Nie, Alexandrze, nie zakochałeś się, chociaż twoje słowa bardzo mi pochlebiają. - Stwierdzenie Ellen, grzeczne, choć stanowcze, ustawiało sprawę na właściwym miejscu. Uśmiechnęła się do niego łagodnym, promiennym uśmiechem, którego wspomnienie miało zapaść mu w pamięć, wraz z zapachem jej perfum, na całe lata. - Och, nie chcę powiedzieć, że nie było cudownie. Było. Ale to nie miłość. To chwilowa ulga. Krótkie, uśmierzające ból połączenie serc dwóch ofiar towarzyskiego *qui pro quo*, jeśli wolisz. Myślę, że oboje powinniśmy się teraz skoncentrować na istotniejszych sprawach.

Mówiąc jednak te słowa, Ellen pomyślała: W innym wcieleniu mogłabym się w nim zakochać. W tym już za późno, zwłaszcza że moje małżeństwo okazało się dla mnie katastrofą. Och, Alexandrze, jesteś wrażliwy, miły i pociągający. Prawdziwy romantyk! Niewielu takich w dzisiejszych czasach. A najlepsze, co mogłeś zrobić - to nokaut Jacka! Inaczej ja sama musiałabym mu przyłożyć.

I po raz pierwszy od ubiegłego piątku Ellen roześmiała się głośno.

- Cieszę się, że aż tak cię bawi moje namiętne wyznanie - powiedział z lekkim przekąsem.

Pocałowała go.

- Nie, nie myśl w ten sposób. Śmieję się na wspomnienie Jacka leżącego na podłodze w Galerii. Skompromitowanego! A przy okazji, co się stało z portretem Tessy?

- Kiedy wreszcie zjawił się James i zobaczył, co się dzieje, oczywiście zrobił Tessie koszmarną awanturę i kazał jej się zabrać razem z portretem. A co do Jacka, to istotnie nie miał pojęcia o zamianie obrazów. To był wyłącznie jej pomysł.

- Co robiłeś potem?

- Musisz zapytać o to Marcusa i Jane Marchantów. Zabrali mnie ze sobą na kolację do jakiejś restauracji, z której nie byłem w stanie wyjść o własnych siłach. Jak przez mgłę przypominam sobie portiera, który pomagając im załadować zalanego faceta, czyli mnie, do taksówki, spytał: „Często się tak upija?” Na co Jane odparła z dystygowaną powściągliwością angielskiej damy: „Nie, bardzo rzadko, ale właśnie otrzymał złe wieści”. Obudziłem się w ich pokoju gościnnym z potwornym bólem głowy, nie mając zielonego pojęcia, jak się tam znalazłem. I to wszystko, co ci mogę powiedzieć.

- A dlaczego na otwarciu nie było Victorii?

- Tego nie wie nikt. Jakaś tajemnicza sprawa.

- Czy nie powinniśmy już wstać?

- Pod warunkiem, że przedtem jeszcze raz będziemy się kochali.

Gdzieś w domu rozdzwonił się telefon.

- To może być Jack. Niech sobie dzwoni.

Kiedy wreszcie nadeszła pora odjazdu, powiedział:

- Nie wypędzaj mnie, Ellen, proszę!

- Muszę - odrzekła stanowczo. - Jeszcze kiedyś mi za to dziękujesz.

- Może. - Ucałował jej dłoń, powtarzając bez przekonania:

- Może. - A potem, wciąż ściskając ręce Ellen, powodowany chęcią, by jej jakoś pomóc, dodał: - Mogłabyś dać mi jeden egzemplarz streszczenia twojej książki, a także wszystko, co do tej pory napisałaś. Mam niemało znajomych w branży wydawni-

czej i sędzę, że przynajmniej jeden z nich podjąłby się opublikowania powieści.

Kiedy Alexander wracał do Londynu, popołudniowy epizod wydał mu się ulotny jak sen, lecz jednocześnie z wolna zaczęło w nim narastać przekonanie, że oto uczynił pierwszy krok na drodze wyzwolenia się spod wpływu Tessy. Przełączając światła na krótkie przed nadjeżdżającym z przeciwka samochodem, pomyślał jeszcze: Być może prawdziwym podarunkiem Ellen okaże się to, że zacznę życie na nowo.

19

Ginevra wróciła do Little Haddow głęboko poruszona przeżyciami Ellen, a także zawiedziona nieobecnością Jamesa, gdyż na spotkanie z nim bardzo liczyła. Niemniej życie musiało toczyć się dalej.

W związku z nastaniem pierwszych jesiennych dni i wyraźnym ochłodzeniem jej rozkład dnia ponownie uległ zmianie i poranne spacerowanie mogła już tylko wspominać. Teraz na ogół ranki spędzała nad książkami, a wieczory przy komputerze. Właściwie w ogóle nie wychodziła z domu, chyba że po zakupy, a i to rzadko. Wyjazd na wernisaż stanowił jednocześnie jej ostatnią wyprawę do Londynu, podczas której najpierw spędziła kilka godzin w bibliotece, a potem odwiedziła Covent Garden w poszukiwaniu następnego zeszytu w ukochanych marmurkowych okładkach. Informacja ekspedienta, że chwilowo nie ma takich zeszytów w sprzedaży, była jak uderzenie obuchem w głowę, gdyż z przyczyn zupełnie niepojętych Ginevra nie potrafiła wyobrazić sobie opisywania dziejów romansu z Jamesem Hartingiem w innym brulionie. Stało się na tym, że sklep przyjął od niej zamówienie i obiecał wysłać zeszyty natychmiast, gdy tylko znów się pojawią.

Z Arabii Saudyjskiej przyszła tylko jedna kartka pocztowa z postrzępionymi brzegami; Kevin pewnie tygodniami nosił ją w tylnej kieszeni spodni, nim przypomniał sobie o jej wysłaniu. W kilku suchych słowach informował, że niedługo wraca do domu. Mając nadzieję, że to nigdy nie nastąpi, Ginevra po-

darła kartkę na drobne strzępy i wrzuciła do kubła na śmieci. Pieniądze natomiast przychodziły do banku regularnie; wydała ich zaledwie trochę na suknię i inne drobiazgi, więc na koncie pozostawała pokaźna sumka.

W psychice Ginevry nie zaszły żadne zmiany na lepsze. Nadal miewała nocne koszmary, najczęściej o podłożu erotycznym, które niewątpliwie były jednym z czynników wprawiających jej umysł w stan ciągłego napięcia. Nie zarzuciła też zwyczaju mówienia do swojego kota i do siebie samej, co więcej, traciła nad tym kontrolę, bo pewnego dnia, stojąc w kolejce do kasy w małym oddziale banku w Little Haddow, z przerażeniem odkryła, że jej nieustanne mamrotanie przyciąga ludzkie spojrzenia.

Jedyną na świecie przyjaciółką, zwłaszcza od kiedy Ginevra przestała mieć złudzenia co do Victorii, stała się dla niej Ellen, do której dzwoniła kilka razy w tygodniu i której lęk o niepewną przyszłość znany jej był doskonale. To za jej radą Ellen zaplanowała spotkanie z mężem dopiero na wieczór poprzedzający przyjazd chłopców ze szkoły. Ginevra bowiem uważała, sądząc po typowych objawach, że Ellen znajduje się w stanie depresji i że nie jest to najlepsza pora na podejmowanie ostatecznych decyzji dotyczących przyszłości jej i synów. Powoli ciągle wspieranie Ellen stało się dla Ginevry jedynym wartym zachodu działaniem, a poza tym jedynym kontaktem z rzeczywistością.

Telefon Victorii spadł na nią jak grom z jasnego nieba.

- Ginevra? Tu Victoria. Co u ciebie?

- W porządku. A u ciebie?

- Wspaniale! Lepiej być nie może! Wiesz, zastanawiam się, czy nie wpaść do ciebie pod koniec tygodnia. Już tak dawno się nie widziałyśmy.

Wcale nie tak dawno, to po pierwsze, a po drugie, coś się pewnie za tym kryje, pomyślała Ginevra. Przyglądając się pobieliałym kostkom zaciśniętej na słuchawce dłoni, gorączkowo szukała wiarygodnego pretekstu, by wykręcić się od zapowiadanej wizyty. Ponieważ jednak raz po raz przyjmowała zaproszenia do domu Victorii, postanowiła stawić czoło wyzwaniu. Jesz-

cze tylko uprzytomniła sobie, co jest w lodówce, i już pośpieszyła z odpowiedzią:

- Ależ oczywiście, czekam. Kiedy przyjedziesz?

- Kiedy ci wygodnie, choć prawdę mówiąc, z mojego kalendarza wynika - tu zaszeleściły kartki - że najlepszy byłby czwartek, bo każdego innego dnia jestem zajęta.

Mogę wybierać, ale pod warunkiem, że to będzie najbliższy czwartek, pomyślała zirytowana Ginevra i nawet nie wysiliła się na zbyt uprzejmą odpowiedź:

- Może być czwartek. O której?

Pomna tego, że jej przyjaciółka gotuje okropnie, Viktoria odpowiedziała:

- Może po lunchu?

No, to już w każdym razie coś.

- Świetnie. Zatem do zobaczenia.

- Do zobaczenia. - Victoria rozłączyła się, pozostawiając Ginevre w niepewności, co, u diabła, za tym wszystkim się kryje.

Perspektywa goszczenia w Little Haddow Victorii Harting chyba każdego wyprowadziłaby z równowagi, nie tylko mnie, stwierdziła Ginevra, aby podnieść się na duchu, i poszła do kuchni po filiżankę herbaty. Niestety, w lodówce nie było mleka.

- Cóż to za rozmowa! Same monosylaby. Gdybym nie znała Ginevry tak dobrze, jak znam, mogłabym pomyśleć, że nie cieszy jej mój przyjazd! - powiedziała Viktoria, odkładając słuchawkę.

- Chyba wiesz, że Ginevra nigdy nie była rozmowna. W znaczeniu towarzyskim, oczywiście - odparł James.

Właśnie oboje wrócili z Galerii. Rzucając na jeden stos poduszki, które pani Pond pracownicy ułożyła na kanapie w równym rzędku i w równych odstępach, Viktoria przyznała mu rację.

- Wiesz, Victorio, nie uważam tego wyjazdu za najszcześniejszy pomysł. Co będzie, jeśli znów się źle poczujesz? Dlaczego nie zaprosisz Ginevry na lunch do siebie?

Niepomna faktu, że Jamesa martwi nie odległość, lecz sposób, w jaki ona prowadzi samochód, Victoria odpowiedziała:

- Och, nic mi nie będzie, kochanie, za bardzo się przejmujesz. To naprawdę nie tak daleko. A poza tym Ginevra jest jedną z moich najdawniejszych przyjaciółek. Wyobraź sobie, że nigdy dotąd nie widziałam jej domu. I wiesz, chyba wolę to zrobić w czasie nieobecności Kevina.

Przyznając w duchu, że łatwiej prowadzić samochód na wsi niż w zatłoczonym mieście, James skapitulował.

- W porządku, ale nie przesadzaj z tempem jazdy. A tak naprawdę, to po co się tam wybierasz?

- Liczę na to, że uda mi się wyciągnąć od Ginevry trochę wiadomości o Careyach. Ostatnio Ginevra i Ellen bardzo się przyjaźnią. Warto wiedzieć, co się dzieje. Dobrze wiesz, że bez Ellen Jack niczego nie stworzy.

Victoria ma rację, pomyślał. Chyba że Jack, jeżeli się rzeczywiście rozwiedzie, znajdzie jakieś kolejne wydanie Ellen.

- Dlaczego w takim razie nie zadzwonisz do Jacka? Albo, jeszcze lepiej, do Ellen, zamiast podejmować tak okrężne działania?

- Do Ellen próbowałam, ale ona w ogóle nie odbiera telefonów. A poza tym jest bardzo skryta i przypuszczam, że łatwiej mi pójdzie z Ginevra.

James nie był tego pewien.

- Spróbuj jednak powstrzymać się przed pokusą poróżnienia przyjaciółek - poradził tylko.

- Jakże bym mogła! - padła niejasna odpowiedź.

James, stojąc przy oknie, kolejny raz pogrążył się w rozmyśleniach na temat konieczności poprawienia zaszarganej reputacji malarza, z którego twórczości ciągnął niezłe zyski, kiedy nagle wpadł mu do głowy wspaniały pomysł.

- Czy pamiętasz te dwie krytyczne recenzje, które Ginevra napisała trzy czy cztery lata temu?

- Tak, oczywiście. Przecież głośno było z ich powodu. Usadziła wtedy całe opiniotwórcze środowisko artystyczne. Jesz-

cze dziś niektórzy krytycy powołują się na nie. Powinna pisywać więcej tego rodzaju artykułów.

- Może nikt jej o to nie prosi.

- I owszem, czasami, ale jest zbyt zajęta książką. Siedzi nad nią już dość długo, ale mam nadzieję, że w końcu ją wyda i wyrobi sobie nazwisko. Jeszcze nam się Ginevra przyda w Galerii, zobaczysz.

- No właśnie! - wykrzyknął triumfalnie.

- Co właśnie?

- Posłuchaj, prasa przypuszcza na Jacka od czasu wystawy nieustanne ataki, więc musimy zacząć go bronić. Może poprosiłabyś Ginevre, by napisała krótki, ale życzliwy artykuł o nim? O tym, jak to nieustanne napięcie i niepewność twórcza mogą czasami ujemnie wpływać na zachowanie artysty i powodować drobne konflikty towarzyskie. No wiesz, coś w tym stylu. I dalej, że takie sprawy są niczym w porównaniu z jego talentem. A na koniec konkluzja, że fantastyczne dzieła, jakie tworzy artysta, są triumfem geniuszu nad ludzką niedoskonałością.

- Ależ taka laurka w ogóle nie pasuje do tego starego rozpustnika! Nie rozumiem, dlaczego sam tego nie napiszesz!

- Z moją opinią nikt nie będzie się liczył. A z Ginevry - tak.

- Masz rację. Zadzwoń wobec tego do Roberta Wilmota i spytaj, czy nie zamieściłby recenzji Ginevry w „Modern Art”, a jeśli powie, że tak, co jest prawie pewne, to jutro przypuszczę szturm na starą przyjaciółkę.

Victoria wybrała się do Little Haddow razem ze swoim pekińczykiem, który uciął drzemkę na przednim siedzeniu, podczas gdy jego pani słuchała piosenki „The World at One”. O wpół do drugiej zatrzymała się w przydrożnym pubie na krótki lunch, po czym o drugiej ruszyła w dalszą podróż. Im bardziej Londyn pozostawał w tyle, tym bardziej widać było, jak lato ustępuje kolejnej porze roku, znaczącej każdy swój krok płomiennymi barwami złota i głębokiej czerwieni.

Victoria opuściła pas szybkiego ruchu i zjechała na pobocze, aby spojrzeć na mapę. Ho otworzył lekko jedno oko i znieruchomiał, lecz jego pani zajęta była wyłącznie rozkładaniem i składaniem wielkiej płachty papieru i ani w głowie jej było skazywanie go na katorgę kolejnego spaceru. Zgodnie ze wskazaniami mapy, Victoria skręciła w pierwszą boczną drogę, która po kilkunastu kilometrach zamieniła się w zwykły wiejski gościniec z licznymi rozwidleniami. Już zaczynała żałować, że nie wybrała się do przyjaciółki pociągiem, kiedy przypadkowo wybrany trakt doprowadził ją do drogowskazu na Great Haddow. Logiczne, że obok Great Haddow powinno leżeć Little Haddow. A zatem cel podróży jest bliski. Dodała gazu.

Bezwiednie postępując śladami Ellen, weszła do pubu. Wystrój w dystyngowane tweedy i perły, zgodnie ze swymi wyobrażeniami, jak należy się nosić na angielskiej wsi, szybko złośliła spojrzenie Fredy, która dzisiaj stała za barem; rozpoznając na pierwszy rzut oka pieniądze i klasę przybyłej, zapytała uprzejmie:

- Czym mogę służyć?

- Dziękuję, niczym. - Victoria ledwo powstrzymała się od dodania „moja dobra kobieto”. - Próbuję znaleźć Pear Tree Cottage. Chodzi o panią Haye.

Po dokładnym zlustrowaniu rozmówczyni Freda doszła do wniosku, że dzisiejszy wytworny gość w niczym nie przypomina dziwadła sprzed miesiąca, ubranego w jakieś fruujące draperie. Grzecznie wskazała kierunek.

- Wielkie dzięki. - Elegancka dama zawróciła i wymaszerowała. Niewiele brakowało, by kosztowna skórzana torba na ramię, zatoczywszy łuk, strąciła na podłogę cztery szklanki jabłeczniaka.

Miniaturowe Little Haddow kłóciło się z wyobrażeniami Victorii o wsi. W jej pojęciu wieś służyła wyłącznie do wyjazdów na weekendy, i to do czyjegoś obszernego domu. Stale zamieszkiwanie w takiej dziurze jak ta nie mieściło się w granicach zdrowego rozsądku. Pear Tree Cottage zatem jawił jej się

jako następne przygnębiające odkrycie. Był... no cóż, był ob- skurny. Victoria nie potrafiła *znaleźć* innego określenia. I po- padał w ruinę. Ściślej mówiąc, po prostu się walił.

Zabrała z przedniego siedzenia opierającego się Ho oraz je- go miskę na wodę, zatrzasnęła drzwi samochodu i, torując so- bie drogę pośród chwastów, ruszyła ku odrapanym drzwiom frontowym. Widząc, w jakich warunkach mieszka jej przyja- ciółka, Victoria poczuła się zażenowana swoją wizytą, a jeszcze bardziej faktem, że wprosiła się sama. James miał rację, a jej za- brakło rozważli, by go posłuchać. Trudno, stało się. Naciśnęła dzwonek.

Głośne stukanie butami dochodzące z wewnątrz było wska- zówką dla Victorii, że schody nawet nie są wyłożone chodni- kiem. Drzwi się otworzyły, lecz przyjaciółki nie padły sobie w objęcia ani się nie pocałowały. No cóż, pomyślała Victoria, moja stara przyjaźń z Ginevra z lekka zardzewiała.

- Wchodź. Och. Wzięłaś ze sobą psa.

Niebioso, następny błąd. Jak większość właścicieli psów, Vic- toria Harting skłonna była uważać, że do kogokolwiek by się wybrała, wizyta jej psa będzie prawdziwą przyjemnością dla gospodarza.

- Bo widzisz, ja mam kota.

- Naprawdę? Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Wobec tego bardzo przepraszam. Może bym uwiązała Ho w kuchni, obok miski z wodą?

Ginevra wzruszyła ramionami.

- Proszę bardzo, to tutaj.

Następna niespodzianka. Kuchnia była po prostu brudna. Na szczęście przez otwarte okno wpadało świeże powietrze, lecz nawet ono nie mogło zabić zapachu zgnilizny wydobywającego się albo z wiadra na odpadki, albo spod drewnianej podłogi. Starając się jak najmniej oddychać, z mocnym postanowieniem wykąpania Ho w szamponie zaraz po powrocie do domu, Vic- toria posadziła go na podłodze, po czym zamknąwszy za sobą dokładnie drzwi, pośpieszyła za przyjaciółką.

Ho, zostawiony samemu sobie, najpierw długo i z ostentacyjnym parsaniem pił wodę, a potem spokojnie rozsiadł się na podłodze z zamiarem rozejrzenia się w sytuacji. Niewoła nie dawała mu okazji do zwiedzenia choćby najbliższego otoczenia, a przecież nawet taki jak on czysty, wypielęgnowany i dobrze ułożony piesek mógł czuć pokusę, by badać zawartość wiadra, które roztaczało wielce obiecujący zjełczały aromat. Niestety - sprawdził to - smycz nie sięgała tak daleko. Obrażony znieważeniem swojej psiej godności, postanowił przypomnieć pani o sobie skowytami. Kiedy jednak ta niezawodna metoda tym razem nie odniosła skutku i pani z niewiadomych przyczyn postanowiła nie odpowiadać na żalosne wezwanie, Ho ułożył się na podłodze i zapadł w psią drzemkę.

W kwadrans potem przez otwarte okno, niby koci komandos pokonujący tor przeszkód, wskoczył do kuchni Kapitan Morgan. Wypuścił z pyska na parapet martwą mysz, kolejny prezent dla Ginevry, i miękko wylądował na podłodze, tuż przed czymś, co wyglądało jak wielka nadmuchiwana zabawka. Ho wyczuł przez sen drżenie podłogi, otworzył jedno zaspane oko - i w tej samej chwili opadły z niego resztki snu. Kapitan Morgan fuknął. Nie zamierzał dezerterować przed intruzem we własnym domu. Wygiął grzbiet w łuk i zjeżył sierść od głowy po koniuszek ogona. Jedyne żółte oko łypnęło groźnie. Attyła. Nieustraszony wojownik. Ho, który dotychczas spotykał jedynie rozleniwione, rodowodowe koty z Chelsea, noszące na szyjach aksamitne obróżki, zaskomlił ze strachu i, zapominając, że jest przywiązany do drzwi kredensu, szarpnął się, by uciec, omal przy tym nie powodując własnej śmierci przez uduszenie. Był unieruchomiony. Żadnego ratunku. Tymczasem jego złowrogi dręczyciel odskoczył do tyłu, zwarł się w sobie i z gniewnym prychnieniem i fukaniem, ziejąc pustką oczodołu, przypuścił na swą ofiarę atak z flanki.

Do pracowni Ginevry, gdzie tylko dzięki odsunięciu na bok wielkiej sterty książek znalazło się dla gościa siedzące miejsce, nie docierały odgłosy kuchennych awantur, dlatego też Victoria była nieświadoma udręk, jakie przeżywał Ho. Jeśli jej ostatnie spotkanie z Ginevra można było nazwać sztywnym, to w dzisiejszym czała się wyraźna wrogość.

Czekając, kiedy wreszcie Victoria przejdzie od bezładnej i błahej paplaniny do zasadniczego celu wizyty, Ginevra myślała: Victoria Harting nie wygląda zbyt dobrze. Straciła zdrowy, kwitnący wygląd. I chyba tyje. Przecież widać, że nie może dopiąć guzika przy spódnicy.

- Dlaczego nie byłaś na wernisażu Careya?

- Źle się poczułam. - Odpowiedź była dość enigmatyczna.

- Ja mes zabrał mnie do szpitala, - Tyle Ginevra już wiedziała.

- Pewnie byłaś świadkiem żenującej sceny, jaka się tam rozegrała. Z tego, co wiem, zaplanowała ją i wyreżyserowała wyłącznie Tessa.

- „Żenująca scena” - stwierdziła Ginevra - to za słabo powiedziane. Ja bym to określiła jako trzęsienie ziemi.

Victoria zaryzykowała, by zadać nurtujące ją pytanie:

- Zastanawiam się, jak to znosi Ellen.

A więc o to chodzi.

- Czyżbyś nie wiedziała?

v - Dzwoniłam do niej kilka razy. Chyba nie odbiera telefonów. Jestem o nią niespokojna, to wszystko.

Guzik prawda! Jesteś ciekawa wszystkich plotek. Co więcej, wiesz dobrze, że jeśli ona odejdzie od Jacka, wyschnie źródło waszych dochodów.

- Uważam, że gdyby miała ci coś do powiedzenia, to sama by zadzwoniła.

Po chwili kłopotliwego milczenia Victoria postanowiła wybrać okrężną drogę, byleby tylko czegoś się dowiedzieć.

- No cóż, dobrze że jesteście ze sobą blisko. Przynajmniej ma się komu zwierzyć.

- Tak, to prawda.
- A zatem wszystko w porządku.

Ginevra miała dość.

- Obawiam się, Victorio, że jeśli przyjechałaś tylko po to, żeby wyciągnąć ze mnie informacje na temat Ellen, to tracisz na próżno czas.

Victoria poczerwieniała. Zaprzeczyła niepewnie:

- Och nie, nie, nic podobnego. Od kiedy tu mieszkasz, ani razu cię nie odwiedziłam, więc pomyślałam sobie, że powinienam to kiedyś zrobić, naprawdę.

Ginevra zlekceważyła wykryty, jakby ich nie słyszała.

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś przyjęła do wiadomości, że Ellen jest moją najlepszą przyjaciółką, a skoro tak, nigdy i nikomu nie zdradzę jej tajemnic. - Jeżeli Victoria spodziewała się słów „nawet tobie”, to się zawiodła. - A teraz: wypijemy po filiżance herbaty czy musisz już wracać?

Oczywiście na takie dictum należało się podnieść i wyjść, Victoria jednak miała jeszcze jedną misję do spełnienia.

- Widzisz, chciałabym cię wy badać w pewnej sprawie. - Victoria uświadomiła sobie, że dość niefortunnie sformułowała myśl, lecz nie mogła już cofnąć wypowiedzianych słów.

- Tak? A w jakiej mianowicie?

- Zastanawiałam się, to znaczy zastanawialiśmy się oboje z Jamesem, czy zgodziłabyś się nakreślić w paru słowach sylwetkę Jacka Careya. Problem polega na tym, że chociaż wystawa odniosła sukces komercyjny, nie ominęły Jacka niewybredne ataki prasy brukowej. Zaniepokoiło to niektórych spośród ostrożniej szych klientów, choćby Maybricka, i to dość poważnie. James uważa, że byłaby potrzebna rzeczowa ocena dorobku Careya. Robert Wilmot byłby skłonny coś takiego opublikować, ale pod warunkiem, że ty będziesz autorką. Liczy się z twoją opinią.

Ginevra, ze względu na Jamesa, gotowa była do większych poświęceń niż recenzja obrazów Careya. Postanowiła jednak potrzymać Victorie w niepewności.

- Pomyślę o tym. Właściwie nie zajmuję się dziennikarską pisaniną. I jeśli chcesz wiedzieć, pogardzam nią. Możesz powiedzieć Robertowi Wilmotowi, że zadzwonię do niego, kiedy podejmę jakąś decyzję.

W obliczu afrontów, jakie ją tu spotkały, Victorii nie pozostało nic innego, jak ratować resztki dumy przez możliwie szybki odwrót.

- Dziękuję ci, Ginevro - rzekła potulnie, zbierając się do wyjścia.

Zgnębiony niewolą Ho zaczął wycić już na sam odgłos kroków swojej pani. Jakież było przerażenie Victorii na widok mrocznego pupila, który, jak słusznie przypuszczała, broniąc się dzielnie przed terrorystycznym atakiem równie szkaradnego, co agresywnego kocura, wpadł do własnej miski z wodą. Oprócz zniewagi moralnej, pies na pierwszy rzut oka, pomijając głębokie zadrapanie na nosie, na którym krew zdążyła przyschnąć, nie odniósł żadnych innych obrażeń. Jak widać, kot Ginevry był zwolennikiem znęcania się psychicznego.

Już przy samochodzie, z ociekającym wodą psem pod pachą, Victoria podjęła ostatnią desperacką próbę ujęcia dawnej przyjaciółki szczerym wyznaniem.

- Wiesz, nie mówiłam jeszcze o tym nikomu, ale znamy się tak dawno, że powinnaś wiedzieć. Jestem w ciąży! James strasznie się cieszy. - Zemsta była nie zamierzona, za to skuteczna. Ginevra, zawieszona w polowie drogi między snem a jawą, poczuła, jak serce jej zamiera i kurczy się niby suszona śliwka.

James strasznie się cieszy. Ostateczna zdrada. Jak on mógł?

Z największym wysiłkiem zmusiła się do wypowiedzenia gładkiej okolicznościowej formułki:

- To wspaniała wiadomość. Moje gratulacje.

Victoria zobaczyła, że twarz jej przyjaciółki staje się mroczna. Po raz kolejny tknęło ją dziwne przeczucie, że z Ginevra dzieje się coś niedobrego. Potraktowała to jednak jako grę wyobraźni i zaczęła się żegnać. Tym razem nie obeszło się bez pocałunku.

Kiedy samochód Victorii zniknął w oddali, Ginevra wróciła do salonu, wtuliła twarz w dłoń i po raz pierwszy od śmierci ojca zapłakała.

- Chryste, nienawidzę jej! - wykrzykiwała pośród strumieni łez. - Nienawidzę! Och, już ja im nakreślę tę sylwetkę, nie ma co, a przy okazji załatwię tego sukinsyna Careya.

Po kilku dniach nietypowej jak na wrzesień, deszczowej pogody na dobre utrwaliło się ciepłe babie lato. Ellen z rzadka jednak korzystała z jego uroków i całymi dniami krążyła po domu niczym widmo. Aby ustrzec się przed życzliwą ciekawością przyjaciół, sprawiła sobie automatyczną sekretarkę i odpowiadała jedynie na telefony Jacka, i to tylko dlatego, aby odwieść go od przyjazdu, oraz od Ginevry, na której dyskrecji absolutnie polegała.

Za półtora tygodnia czekają przeprawa z Jackiem i rozmowa z synami, podczas której Harry i David dowiedzą się o planowanym rozwodzie rodziców. A poza tym należą się wyjaśnienia matce. Na szczęście pod koniec sierpnia Olivia Braithwaite wypłynęła w daleki rejs, dzięki czemu ominęły Ellen jej wygłaszane na gorąco komentarze na temat spektaklu, jaki się rozegrał w Galerii. Z kalendarza, do którego Ellen zajrzała, wynikało, że matka już od dwóch dni powinna być w domu. Uznając, że lepiej mieć rozmowę za sobą, podeszła do telefonu.

Oliwia wyczuła natychmiast, że coś jest nie w porządku.

- Czy o czymś mi nie powiedziałaś, Ellen?
- Nie, mamu, nie. Albo może tak. Tak, jest coś takiego, ale...
- No więc jest czy nie ma?
- Pozwól mi skończyć zdanie, to się dowiesz.

Na drugim końcu linii zaległa wymowna cisza, po czym Ellen usłyszała urażony głos:

- Jak sobie życzysz.
- W porządku, zamierzałam ci powiedzieć, że rzeczywiście

coś się dzieje, ale wolałabym porozmawiać z tobą w cztery oczy, a nie przez telefon.

- Czy nie mogłabyś przynajmniej ogólnie dać do zrozumienia, o co chodzi? Chyba nie jesteś chora?

- Może mogłabym przyjechać do ciebie jutro? - spytała Ellen, ignorując docieklivość matki.

- Oczywiście. Chociaż przyznam, że wolałabym cię widzieć pojutrze.

- W porządku, może być pojutrze.

W dziesięć minut po skończonej rozmowie rozległ się dzwonek telefonu. Ellen odruchowo podniosła słuchawkę, będąc przekonana, że jej kapryśna matka chce zmienić termin ustalonego przed chwilą spotkania. Kiedy zorientowała się, że płaczliwy, lekko bełkoczący głos należy do Jacka, było już za późno, by udawać, że jej nie ma w domu.

- Bez względu na to, co mówisz, postanowiłem przyjechać, żeby się z tobą zobaczyć. Chcę od nowa się o ciebie starać, Ellen.

Odgłos nalewanej do szklanki whisky był jej dobrze znany. Po tylu latach życia z Jackiem nie mogła się mylić. Starać się o mnie! O nieba, wszystko, tylko nie to!

- Jack, proszę, nie. Jeszcze nie jestem na to przygotowana. Proszę, błagam, nie!

- Cokolwiek powiesz czy zrobisz, i tak mnie nie powstrzymasz. Kocham cię i chcę ci to udowodnić.

- Upiłeś się!

- Och, szklanka czy dwie, to wszystko. Co mi zostało, skoro ty mnie nie chcesz? Jestem samotny, Ellen. Wiem, że chcesz mnie ukarać, i masz do tego prawo, ale karzesz mnie zbyt okrutnie - rozczulał się nad sobą.

- Przyjazd do Butterfly Cottage nic ci nie da, ponieważ właśnie wyjeżdżam. /

Pił w dużym tempie, bo kolejna struga alkoholu zabębniła o dno szklanki.

- Mów, co chcesz, i tak przyjadę, a wtedy...

Ellen nacisnęła widelki, a usłyszawszy sygnał, wykręciła numer matki.

- To jeszcze raz ja. Słuchaj, wiem, że sprawiam ci kłopot, ale czy mimo wszystko nie mogłabym przyjechać jutro? I zostać u ciebie kilka dni? Naprawdę muszę stąd wyjechać.

Trawiona ciekawością Olivia wielkodusznie odstąpiła od obowiązkowego zrzędzenia i łaskawie przystała na prośbę córki.

- Jesteś bardzo tajemnicza, Ellen, ale niech ci będzie. To co, umawiamy się w porze lunchu? Tak? Świetnie, czekam na ciebie o dwunastej.

Na koniec Ellen zadzwoniła do pani Phipps. Po rozmowie z chlebodawczynią pani Phipps poinformowała męża:

- Pani Carey. Wynosi się gdzieś, a ja mam doglądać kotów. Szykuje się tam niezła zabawa, jeśli chcesz wiedzieć. Ostatnio coś źle się między nimi układa.

Pan Phipps, który wcale nie chciał o tym wiedzieć, nie odrywając oczu od „Match of the Day”, chrząknął z lekka. Nadarza się niezła okazja, żeby nastawić wreszcie te pułapki.

20

Poczta nadeszła rano, przed wyjazdem Ellen. Był w niej tylko jeden list, w którym agent od spraw wydawniczych uprzejmie donosił, iż nie sądzi, by mógł zająć się sprawą jej książki, niemniej jednak życzy powodzenia na przyszłość. Ellen wrzuciła list do kosza i pocieszyła się myślą, że to jeszcze nic nie znaczy. Ale i tak poczuła się przygnębiona, Przydałyby się teraz dobre wiadomości, a nie takie jak ta.

Zapakowała do torby kilka niezbędnych w podróży rzeczy. Koty, przeczuwając, co się święci, snuły się wokół niej smętnie. Wiedziały z doświadczenia, że kiedy ich pani wyjeżdża, mogą liczyć jedynie najedzenie. Koniec z pobłażaniem i karesami.

W chwili kiedy podjechała taksówka, odezwał się telefon. Dzwonił prawdopodobnie Jack, choć jak na niego, pora była zbyt wczesna, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę wczorajsze pijaństwo. Ellen zawahała się w progu. Dzwoniący w pustym domu telefon kojarzył się jej z płaczącym dzieckiem. Nie, pora skończyć z przesadną wrażliwością. Szybko sięgnęła do torebki po klucze i zamknęła drzwi.

Do, a potem od stacji jechała taksówką, bo tak życzyła sobie jej matka. Ale jeśli mam spędzić życie na wsi, pomyślała przydałby mi się jakiś samochód, choćby stary gruchot. Nie stać mnie będzie na taksówkę.

Widoki na przyszłość są marne, a jeśliby Jack umył ręce, odmawiając wszelkiej pomocy finansowej, to mogą być jeszcze

marniejsze. Ellen zastanawiała się nawet, czyby nie poprosić matki o pożyczkę, która pomogłaby jej na nowo wystartować, lecz wobec hojności, jaką okazała babcia, zapewniając obu wnukom kosztowne wykształcenie, nie wypadało prosić o nic więcej. A poza tym w jaki sposób zwróciłaby zaciągnięty dług?

Matka mieszkała w nowoczesnym domku-bliźniaku, który zapewne był wystarczająco duży dla jednej, nawet żywej wdowy, lecz w Ellen wywoływał uczucie klaustrofobii. Być może zresztą ta klaustrofobia miała związek z przytłaczającą obecnością matki. Pani Braithwaite otworzyła drzwi frontowe ubrana w fartuch, który dostała kiedyś od Harry'ego czy Davida na gwiazdkę. Napis na fartuchu głosił: „Możesz pocałować kucharkę”.

Ellen skorzystała z pozwolenia.

Popatrzywszy najpierw na zegarek, by się upewnić, czy to aby odpowiednia pora, pani Braithwaite spytała:

- Napijesz się sherry, Ellen?

- Dziękuję, mamu, muszę zanieść torbę do sypialni.

Smakowity zapach pieczonej jagnięciny, choć raz przyrządzanej przez kogoś innego, popłynął za nią w górę schodów.

Ellen położyła się na łóżku.

To straszne, że wciąż jestem zmęczona. Potrzebuję kogoś, kto by się o mnie troszczył. Chcę się czuć bezpieczna, wypręgnąć się z nieszczęsnego domowego kieratu, w którym chodziłam latami. Opuszczają mnie siły witalne. Nie pociągnę dalej. Jeśli Jack nie zostawi mnie w spokoju, będę musiała zniknąć gdzieś na dłużej. Może wreszcie się zniechęci.

- Ellen!

Z trudem zwlokła się po schodach.

- Nie czas na aperitif, siadamy do stołu. Jeśli zajrzysz do lodówki, znajdziesz butelkę białego wina. - W tym domu nie pijało się innego niż białe, od kiedy pani Braithwaite nabrała dziwnego przekonania, że jest ono bardziej dietetyczne. Butelka leżała obok talerza z owiniętym w folię kawałkiem głowizny wieprzowej. Tak zapewne miał wyglądać obiad matki, zanim

ona swoim telefonem nie naruszyła jej prywatności. Dość przygnębiający obraz samotnego życia.

Jeśli wytrwam przy swoich planach, pomyślała ze smutkiem, głowizna i ja staniemy się nieodłącznymi kompanami przy stole, chyba że zechce mnie odwiedzić David albo Harry, co w miarę ich dorastania będzie się zdarzało coraz rzadziej.

Nalała wina do dwóch szklanek, postawiła je na stole i usiadła. Albo raczej, jak zauważyła w duchu jej matka, klapnęła. Pani Braithwaite, obserwując badawczo córkę, podczas gdy ta krajała mięso, doszła do wniosku, że Ellen, niczym balansujący linoskoczek, może w każdej chwili stracić równowagę. Choć sama na co dzień była twardą i wymagającą matką, w głębi serca bolała nad córką i już zawczasu przygotowywała się do zamortyzowania jej upadku.

- Gdzie jest Reginald?

- W Londynie. Jesteśmy w separacji. Zamierzam poprosić go o rozwód.

No, ma to już za sobą. Samotna łąza upadła na leżącą na talerzu gałązkę rozmarynu i rozbłysła na krótko, nim wsiąkla w jego listki.

- Muszę powiedzieć, że to wcale nie najlepszy pomysł, nawet zważywszy to, co jak przypuszczam, zrobił.

Ellen spojrzała na matkę zdumiona.

- Ależ mamo, przecież ty nigdy nie lubiłaś Jacka!

- Nie, nie lubiłam.

- No więc?

Pani Braithwaite, chociaż była ateistką, zawsze uważała Biblię za pożyteczne źródło przypowieści. Powiało więc biblijną aurą.

- To nie ma nic do rzeczy, Ellen. Przetrwałaś w tym małżeństwie przez wszystkie lata chude, a teraz, gdy nadeszły tłuste, chcesz je opuścić. Dlaczego? Nie mogę uwierzyć, żeby w Reginaldzie zaszły jakieś istotne zmiany. On zresztą nigdy nie próbował kryć się ze swymi wadami.

- To nie on się zmienił, tylko ja.

- Proszę, przestań wymachiwać widelcem, Ellen. Możesz przecież po prostu, że posłużę się nowoczesnym wyrażeniem, „robić swoje”, czyż nie? O ile znam Reginalda, zdziwiłabym się, gdyby to w ogóle zauważył.

- Dziękuję za radę, mamó. Postawmy sprawę jasno: chcesz mi powiedzieć, że powinnam z nim zostać dla jego pieniędzy?

- Tak, to chcę ci powiedzieć.

- A jeśli ci wyznam, że tym razem poniżył mnie wcale nie w zaciszu domowym, jak to zwykł robić od lat, ale publicznie, na oczach wszystkich naszych przyjaciół?

- Nie chciałabym być wścibska, ale czy mówimy o niewierności? Na pewno? Jeśli tak, to za bardzo się nad sobą rozczulasz, Ellen. Jakie znaczenie mają krótkotrwałe zdrady, dopóki mąż do ciebie wraca? Chyba nie chce poślubić nikogo innego, prawda? To ty jesteś jego żoną. Ty masz wszelkie prawa, Ellen! I powinnaś w pełni je wykorzystać.

Zupełnie jakby przemawiała królowa Anglii. Ellen przypomniała sobie Edwarda Montague. To musi być kwestia pokolenia, jeśli i on, i matka uważają cudzołóstwo za sprawę mało istotną. Postawy życiowe obojga były tak zbliżone, że zaczęła się zastanawiać, czy Edward i jej matka przypadkiem... Och nie, z pewnością nie!

Ujmując nóż i widelec w dłonie, które z biegiem lat coraz bardziej przypominały szpony pancernika, Olivia Braithwaite wytwornie ściągnęła łokcie.

- A czy pomyślałaś o dzieciach? Może jeszcze kawałek jagnięcia, Ellen?

Po lunchu przeszły na kawę do niewielkiego saloniku, który nigdy na Ellen nie robił wrażenia przytulnego, mimo że zdołały go meble i obrazy z domu jej dzieciństwa. Przeprowadzka zmusiła matkę do pozbycia się wielu przedmiotów osobistego użytku, ale sepiowe fotografie z czasów, kiedy była młodą kobietą, podobnie jak w starym domu, tak i tutaj zaj-

mowały honorowe miejsce na kominku, a Ellen nigdy nie mogła im się dość napatrzeć. Szeroka w ramionach, postawna, jej matka już wtedy miała w spojrzeniu ową władczość i bezkompromisowość, którymi terroryzowała w późniejszych latach wszystkich bez wyjątku. Nogi Olivii. Osobny rozdział. Duma jej młodości. Ciekawe, że pozostały smukłe aż do dziś, choć z latami przyszło im dźwigać znacznie większy ciężar. Olivia ze ślubnej fotografii. Olivia triumfująca. I świeżo poślubiony, zdominowany jej wyniosłością, a także wzrostem, na domiar złego wyraźnie onieśmielony tłumem pozujących do fotografii krewnych, wbity w smoking mąż. Jack nie omieszkał wykipić młodej pary i bezlitosnym okiem dojrzał w niej pająka i muchę.

Pani Braithwaite wyrwała córkę z zadumy.

- Niestety, Ellen, po południu muszę wyjść na parę godzin.

Nic nie mogło sprawić Ellen większej ulgi.

- W porządku, mamó. Uwinę się szybko *e zmywaniem, a potem chyba trochę poleżę. Czuję, że muszę odpocząć.

- Widać to po tobie! - Pani Braithwaite bez skrzępowania wyjęła szminkę i, nie przerywając rozmowy, umalowała usta wampirzą czerwienią. To ciekawe, pomyślała Ellen, przyglądając się, jak szczerze jej matka obsypuje się pudrem, że puder prasowany tak całkowicie wyszedł z mody. Szminka, puder, no tak, jeszcze róż. Pracowite nakładanie i wcieranie w policzki małych wysepek czerwieni. Codzienny rytuał matki. Konserwowanie twarzy. Chyba maski, poprawiłby Jack. Olivia Braithwaite uśmiechnęła się do własnego odbicia w lusterku i, najwyraźniej usatysfakcjonowana tym, co zobaczyła, zatrzasnęła puderniczkę i wrzuciła ją razem z innymi kosmetykami w przepastną głębię wielkiej skórzanej torby. Po wyjściu kipiącej energią matki Ellen zmieniła postanowienie i, zamiast odpoczywać, wzięła się do pisania wysyłanych co tydzień listów do chłopców.

)

Od popołudnia spędzonego w Butterfly Cottage Alexander pozostawał w stanie nie znanej mu dotychczas euforii, a świat jego myśli całkowicie wypełniła Ellen. Nie sądził, by chwila, którą dane im było wspólnie przeżyć, powtórzyła się kiedykolwiek w przyszłości, nie spodziewał się aż tak wiele od życia, ale, zgodnie ze słowami poety:

*Dwie dusze jedną są istotą,
Więc w czas rozłąki się nie zmieniają:
Jak wyklepane w drucik złoto,
Nie przerwą się, lecz rozprzestrzenia... **

Duchowej miłości, jaką obdarzył Ellen, nic nie zdoła odmienić ani zniszczyć, i jeśliby nawet związał się kiedyś z inną kobietą, tę miłość będzie nosił w sercu zawsze.

Ogarnęło go uczucie cudownej i całkowicie niespodziewanej beztroski. Jestem wolny, pomyślał, wolny dzięki Ellen. To ona odmieniła moje spojrzenie na świat i uwolniła mnie od obsesji, której było na imię Tessa.

Jedynie poezja nadawała się do uczczenia tak doniosłego odkrycia. Alexander wziął brulion, odkręcił wieczne pióro i w twórczym natchnieniu, jakiego nie doświadczał od lat, zaczął przelewać swe uczucia na białe kartki papieru.

###

Podczas gdy Alexandrowi Lucasowi złożyły wizytę muzy, na drugim końcu Londynu Jack Carey walczył ze skutkami wczorajszego pijaństwa. Bezradny wobec łomoczącego w skroniach bólu głowy, na który nie pomagał nawet paracetamol, był już bliski odłożenia na następny dzień tak uporczywie zapowiadanego w rozmowie telefonicznej szturm na pozycje Ellen, kiedy zadzwoniła Tessa. Jak dotychczas, dzięki niereagowaniu

• Fragment wiersza J. Donne'a w przekładzie Stanisława Barańczaka.

na dzwonki do drzwi, a także automatycznej sekretarce, udawało mu się szczęśliwie unikać kontaktu z narzucającą się kochanką. Ostatniego wieczoru jednak, po rozmowie z żoną, Jack zapomniał o włączeniu automatu i teraz, słysząc dzwonek telefonu, odruchowo podniósł słuchawkę.

- Jack! Nareszcie! - usłyszał rozradowany głos Tessy. - Gdybym cię dobrze nie znała, mogłabym pomyśleć, że starasz się mnie unikać.

Na dźwięk głosu polującej na niego Artemidy stanęło Jackowi przed oczyma nagie ciało o jędrnych, krągłych jak jabłka piersiach, podane do przodu, napięte niczym cięciwa łuku gotowego do strzału. Próbował jednak się bronić, zwłaszcza że przyszły mu w sukurs jej własne słowa.

- To prawda, starałem się.

- Ale dlaczego? Od kiedy żona cię opuściła, możesz robić to, na co masz ochotę. Chętnie przyjdę i przypomnę ci, jak nam było dobrze razem. - Była przymilna. Była podstępna. Pomyślał z żalem: Każdej innej wystarczała pozycja kochanki. Dlaczego właśnie ta sprawia mi tyle kłopotu? 1

- To nie ma sensu. Właśnie jadę do Susseksu.

- Nie jedź.

- Posłuchaj, Tesso, to, o czym myślisz, jest nie dla nas. Bo myślisz o małżeństwie, prawda? Moje życie nie jest pasmem przyjęć i wernisaży. Przede wszystkim muszę pracować. Szybko byś się mną znudziła. - Na drugim końcu linii zapadła głęboka cisza. Jack dorzucił pośpiesznie: - Co innego romans, co innego małżeństwo. Oboje dobrze o tym wiemy.

- Czy chcesz powiedzieć, że można się mną wyłącznie bawić?

- Nie! Tak. Do pewnego stopnia. - Pole minowe. Dlaczego, u licha, nie napisał pożegnalnego listu, jak zwykł był robić w podobnych sytuacjach?

- Ależ z ciebie kawał sukinsyna! Nie wiesz, dla kogo porzuciłam męża? - Wiedział; nie tylko dla niego, lecz z głosu Tessy przebijała zbyt wielka furia, by miał się z nią spierać. Należało

skończyć tę niefortunną rozmowę. Liczył, że Tessa da się nabrać na przyjacielski ton.

- Posłuchaj, muszę już jechać. Mamy za sobą wspaniałe chwile. Chciałbym, żebyś zatrzymała obraz...

Przeliczył się.

- Pieprzę i obraz, i ciebie! - Oznajmiła to tak stanowczym tonem, że Jack odruchowo odsunął słuchawkę od ucha.

-Tesso, przepraszam...

- Nie przepraszaj, jeszcze dostaniesz za swoje! - Łoskot rzuconej słuchawki wzmógł z wolna przycichający ból głowy. Nic to, byleby zdążyć wymknąć się z pracowni, nim Tessa załomocze do drzwi.

Po trzech kwadransach poszukiwań kluczyków do samochodu, z którymi, jak się okazało, spędził noc w łóżku, Jack opuścił pracownię, ostrożnie rozejrzał się na lewo i na prawo, czy aby w zakamarkach korytarza nie czai się blond niebezpieczeństwo, po czym zatrzasnął drzwi i ruszył na nowo zdobywać żonę.

Już z daleka po zaciągniętych w oknach zasłonach widać było, że dom świeci pustkami. A więc Ellen zrobiła tak, jak zapowiedziała, i oprócz kotów, które na widok zajeżdżającego samochodu wyskoczyły z garażu przez kocią klapkę, nikt inny Jacka nie przywitał. Nie wykazując żadnego zainteresowania podopiecznymi swojej żony, co było zresztą najzupełniej normalne w stosunkach między nim a Casimirem i Merlinem, Jack wyłączył alarm i wszedł do domu z nadzieją na znalezienie jakichś śladów, które doprowadziłyby go do Ellen. Niestety. Poza kartką dla Edny Phipps i kopertą z pieniędzmi dla niej, nic nie rzuciło mu się w oczy. Zadzwoił do Phippsów. Zajęte. Zajęte. Zajęte. Prędzej dojdę, niż się dodzwonię, uznał i bez zwłoki wprowadził zamiar w czyn.

Phippsowie mieszkali w środku wsi, w niewielkim domu, którego mały frontowy ogródek zdołały rabatki z kwiatami. Tyły pan Phipps zagospodarował, zakładając tam ogród warzyw -

ny i ustawiając tunel foliowy. Rower pani Phipps stał oparty o ścianę. Jack nacisnął dzwonek z pozytywką.

- Ciekawam, kto to - powiedziała pani Phipps, odkładając na bok robótkę.

Mąż ani drgnął.

- Wstań i otwórz drzwi, to się dowiesz.

Widok pana Careya, nie ogolonego, w koszuli, która wyglądała, jakby się w niej przespał, tylko potwierdziła domysły pani Phipps, że w rodzinie Careyów nie wszystko toczy się właściwym torem.

- Pan Carey! Mam nadzieję, że nie stało się nic złego?

- Z kim rozmawiasz? - dobiegł z salonu głos jej męża.

- Jakbyś wstał i wyszedł, tobyś zobaczył! - odrzyknęła żona w drodze rewanżu.

- Nie, nie, nic się nie stało - odparł Jack. Chodzi o to, że moja żona wyjechała na kilka dni, zapominając zostawić numeru telefonu, pod którym mógłbym ją znaleźć. Przyszło mi do głowy, że może zapisała go i karteczkę dała pani.

Pan Carey kręcił, to oczywiście. Ale co mu miała odpowiedzieć wobec faktu, że pani Carey prosiła o zachowanie w tajemnicy miejsca swojego pobytu? Co prawda, należało się liczyć z panem Careym, bo właściwie to on był jej pracodawcą, ale nie powinna też zapominać, że więcej korzyści ma z pani Carey. Nadmiar ostrożności nie zawadzi.

- Co to, to nie - odpowiedziała zgodnie z prawdą, gdyż to ona sama zapisywała numer.

- A może powiedziała, na jak długo się wybiera? - Jack zaczął grać w otwarte karty.

- Ja tam nic nie wiem. Mam karmić koty i dbać o dom, dopóki pani nie wróci.

- No tak. - Przynajmniej dowiedział się, że kiedyś wróci. - Dziękuję bardzo, pani Phipps, przepraszam, że niepotrzebnie zwracałem pani głowę.

Pani Phipps popatrzyła za nim, po czym wróciła do kuchni i bez jednego słowa zajęła się swoją robótką.

- Kto to był? - spytał pan Phipps.
- Nikt do ciebie.

Jack nakarmił Merlina i Casimira, żeby wreszcie dały mu spokój, i przysiadł na chwilę w kuchni, choć bez pani domu nie było to przytulne miejsce. Co dalej? Jego banicja trwała już zbyt długo i wiele by dał, żeby naprawić małżeństwo. Najpierw jednak musi uzyskać przebaczenie Ellen. Nie, najpierw musi ją odnaleźć. Odruchowo wykręcił numer telefonu teściowej.

- Halo? - odezwała się Olivia Braithwaite.

Jack dla dobra sprawy postanowił złożyć broń i raz odstąpić od nazywania teściowej babcią, choć nie wątpił, że nie zostanie mu oszczędzony „Reginald”.

- Olivio, tu Jack.
- Ach, Reginald! Jak się masz?
- Jak zwykle świetnie. A ty?
- Znakomicie!
- No to cieszę się.

Rytualny taniec został odtąńczony. Teraz można było przejść do sprawy zasadniczej, wobec czego Jack, z drobnymi zmianami dla większej wiarygodności, powtórzył to, co powiedział pani Phipps. Olivia wysłuchała go bez słowa, i dopiero kiedy doszedł do końca, odkryła karty.

- Ellen jest tutaj. To znaczy, że odeszła od ciebie. Wiem wszystko i dlatego muszę ci wyznać, że nie całkiem zgadzam się z twoją interpretacją wydarzeń.

Czuając, że wyszedł na idiotę, Jack pomyślał: Dlaczego nie powiedziałaś tego od razu, ty głupia stara flądrowo? Ale czekały go dalsze niespodzianki.

- Muszę też powiedzieć, że nie pochwalam tego, co robi Ellen.

Cóż za nieoczekiwany sprzymierzeniec.

- Naprawdę? - wykrzyknął zdumiony.
- Tak, nie pochwalam. Myślę, że jej miejsce jest przy tobie,

przy własnym mężu, a ona tymczasem siedzi tutaj niby jakaś królowa na wygnaniu.

- Gdzie jest Ellen? - Jack był ciekaw, czy żona słyszy tę okrutnie szczerą opinię swojej matki.

- Na górze. Śpi. Wygląda na skonaną.

- Jak myślisz, chciałaby porozmawiać ze mną?

- Obawiam się, że nie. To ja jestem oddelegowana do rozmów z tobą. - Układając wygodniej poduszkę pod plecami, Olivia sposobiała się do dobrej zabawy.

- A więc co, według ciebie, powinienem teraz zrobić?

- Ellen potrzebuje czasu, aby wszystko przemyśleć i, moim zdaniem, nie powinieneś jej ponaglać. Myślę oczywiście o jakimś określonym czasie, inaczej wszystko będzie się ślimaczyć latami. Podobno prosiła cię o to, a ty miałaś odpowiedzieć, że nie zostawisz jej w spokoju. Wierzę, że będziesz na tyle mądry, by ustąpić. Nie płacz się jej pod nogami jak salonowy piesek, a jestem pewna, że wróci do ciebie. No bo co innego jej zostaje? Nawiasem mówiąc, dopóki jesteście w separacji, mógłbyś spokojnie rozważyć, dlaczego sprawy między wami zaszły aż tak daleko, a co za tym idzie, zmienić to i owo w swoim postępowaniu. Kiedy burza minie, radziłabym ci zabrać Ellen na wakacje.

Jack po raz pierwszy odkrył, co to znaczy mieć **Olivia** Braithwaite po swojej stronie. Ze słów teściowej wynikało jednak, że chwilowa separacja, wbrew jego pragnieniu, przerodzi się w dłuższe rozstanie i że wiele czasu musi upłynąć, nim wszystko wróci do normy.

- Wobec tego może powinienem pojechać do Londynu?

- Może. Na jakiś czas. Przepraszam cię, ale w telewizji zaczyna się mój program. Musimy kończyć.

Jack odłożył słuchawkę i ciekaw, co ogląda teściowa, sięgnął po przywiezioną z Londynu gazetę.

„Zostań jajogłowym”.

Aby dać wyraz własnej konstruktywnej przemianie, Jack, w rzadkim przyplywie troski o żonę, zostawił samochód i poje-

chał do Londynu pociągiem. Pamiętał nawet o kluczykach. I o poinformowaniu jej o tym listownie. Dwa dni później, z uczuciem wielkiej ulgi, Ellen wróciła do domu.

Odprawdzając córkę do pociągu, Olivia także poczuła ulgę. Chociaż kochała ją matczyną miłością, obie kobiety niewiele miały ze sobą wspólnego.

Witana przez koty głośnym mruczeniem i ocieraniem się o jej nogi, Ellen otwierała pocztę, w której pośród zwykłej sterty rachunków i ulotek reklamowych znalazł się list od kolejnego agenta z równie uprzejmym, co stanowczym „nie”.

21

Jeśli Ginevrze brakowało dyscypliny, to na pewno nie w sferze intelektu, stąd też bez względu na rozmiary zniszczeń, jakich wiadomość o ciąży Victorii dokonała w jej psychice, Jaca nad książką posuwała się systematycznie, zabierając właścicielce Pear Tree Cottage całe dni. Ale pozostawały jeszcze wieczory, nie mówiąc o nocach. Żyjąca w całkowitym odosobnieniu -jeśli nie brać pod uwagę telefonów Ellen - Ginevra witała każdy zmierzch z ciężkim sercem, więc aby zagłuszyć lęk przed samotnością, wciąż od nowa wertowała kartki rejestrujące kolejne etapy zrodzonego w jej wyobraźni, nasyconego erotyką romansu z Jamesem Hartingiem. Nieodłączną towarzyszką tej lektury stała się brandy, która z jednej strony podsycala żar zapisanych słów i bardzo szybko wynosiła Ginevre na wyżyny rozkoszy, z drugiej zaś łagodziła ból nie odwzajemnionego uczucia, rodzący się w krótkich przeblyskach świadomości, kiedy to Ginevra uświadamiała sobie iluzoryczność swojego romansu. No i wreszcie brandy była doskonałym środkiem nasennym, aczkolwiek sny, które przychodziły natychmiast po zaśnięciu i trwały prawie przez całą noc, nie niosły ze sobą odpoczynku. Wręcz przeciwnie: atakowały śpiącą niby średnio-wieczna horda barbarzyńskich wojowników, torturując ją okrutnymi scenami bezpardonowej, toczonej o zmysły Jamesa walki z Victoria.

W tych dniach Ginevra nie potrafiła myśleć o byłej przyjaciółce inaczej, jak tylko z dreszczem obrzydzenia. Bezsporny

fakt ciąży Victorii i leżącej u jej podstaw zdrady, która jawiła się przed oczyma Ginevry w na poły fantastycznych, na poły rzeczywistych kształtach, przesądzał o wszystkim. Nadal nie odzywała się księgarnia w sprawie zamówionych czerwono-granatowych marmurkowych zeszytów. Być może gdyby nadeszły i gdyby Ginevra wróciła do zapisków, dalsze ubarwienie fabuły stanowiłoby swoisty zawór bezpieczeństwa dla kłębiącej się w niej burzy zmysłów. Ale bruliony nie nadchodziły. I Ginevra, zatracając się w sobie, rozluźniała i tak już słabe więzi ze światem rzeczywistym.

Aż nadszedł dzień, kiedy przypadkiem znalazła w szufladzie szal Victorii Harting, parę miesięcy temu ukradkiem wyniesiony z jej domu. Jedwabny, w kolorach tęczy, wykończony delikatnym obrąbkim, wcale nie przypominał rzeczy noszonych przez Victorie, która na ogół hołdowała innemu stylowi, obwieszając się skórzanymi ozdobami niby końską uprzężą. Szal, mimo upływu czasu, wciąż był przesiąknięty delikatną wonią perfum. Prawdopodobnie stanowił uzupełnienie wieczorowego stroju. I kiedy Ginevra ważyła w myślach, czy ma go niepostrzeżenie odłożyć na miejsce, jeśli kiedykolwiek jeszcze przekroczy progi tamtego domu, czy po prostu wyrzucić, przyszedł jej do głowy pomysł symbolicznego unieszkodliwienia rywalki poprzez egzorcyzmy.

Sięgnęła po płytę Wagnera. Po początkowych trzaskach, jakich nie szczędził stary gramofon, salonik wypełnił się muzyką. Ginevra, nie namyślając się długo, wzięła do ręki figurkę ze słomy stojącą na kominku chyba od zawsze, strzepnęła z niej kurz i zaczęła ją owijać szalem, dla większej pewności mocując tkaninę wbijanymi w słomę krawieckimi szpilkami. Kolorowy jedwab był cienki jak bibułka, a mimo to zwojom nie było końca. Ginevra wzięła do ręki nożyczki, i choć nie była pewna, czy nie osłabi tym skuteczności swego działania, przecięła szal, upuszczając niepotrzebny kawałek tkaniny na podłogę. Następnie, przy wtórze „Jeźdźca Walkirii” przyniosła z kuchni pudełko zapalek, uklękła przed kominkiem, umieściła przemyślnie

wystrojoną figurkę w pustym palenisku, potarła zapałkę i podpaliła lalkę.

- Oczyszczenie przez ogień - wyszeptła.

Jedwab nie płonął, lecz kurczył się z ledwo słyszalnym sykiem, a kiedy jego efemeryczne piękno obróciło się już w garstkę popiołu, ogień, wybuchając nagłym płomieniem, oświetlił twarz Ginevry i pożarł suchą jak pieprz słomianą laleczkę.

Oczyszczenie przez ogień.

Ginevra wyprostowała się, odwróciła od kominka i spojrzała w okno, za którym czaił się zmrok. Zima była już blisko, wieczory wydłużały się w nieskończoność, a wraz z nimi po wszystkich zakątkach domu rozpełzał się lęk. Przełożyła płytę na drugą stronę i świadoma, że symbolika dokonanego przez nią czynu jest przerażająca, usiadła w ciemniejącym salonie i poddała się kojącemu działaniu muzyki.

Tej nocy nie miała żadnych snów.

22

Harry był zdruzgotany listem, jaki przysłał mu David. Noc mijała, a on, ukryty pod kołdrą, w potokach łez, odczytywał go po raz kolejny, przyświecając sobie kieszonkową latarką. Potem spojrzął na wycinek z kroniki towarzyskiej, opatrzony starą fotografią rodziców, na której jego matka wyglądała na dwadzieścia lat. *Jack Carey w separacji z żoną* głosił nagłówek, a dalej następował opis przerwane go wernisażu, przetykany dość wyraźnymi aluzjami do barwnego życia ojca. Na końcu, wkomponowana w tekst, znajdowała się fotografia Tessy, którą Harry niejasno pamiętał z lunchu w Butterfly Cottage. *Zapytana, czy zamierzają się ostatecznie pobrać, pani Tessa Lucas, stała towarzyszką Jacka Careya a, nie udzieliła odpowiedzi.* Jednakże pełen satysfakcji uśmiech, jaki zdobił twarz pani Lucas, dawał do zrozumienia nawet dziesięcioletniemu Harry'emu, że owszem, zamierzają. Przypomniał sobie, co powiedział David, kiedy siedzieli w domku na drzewie: „Myślę, że on się pieprzy z tamtą blondaską”. Powtarzając w myślach: „nienawidzę jej”, Harry nie potrafił stłumić głośnego szlochu.

Śpiący na sąsiednim łóżku Charlie Penrose odwrócił się.

- Nic ci nie jest, Harry?

Szlochanie nieco przycichło. Harry zdawał sobie sprawę, że najgorszą rzeczą, jaka może mu się przytrafić w internacie, jest przyłapanie na płaczu.

Charlie wstał z łóżka i cichutko jak mysz, z niemym współczuciem, przysiadł w nogach Harry'ego.

- To przez moich rodziców, przez to, że się rozchodzą.

Jego przyjaciel, udręczony długotrwałym rozwodem własnych rodziców, w wyniku którego przedwcześnie dojrzał, a nawet, jak czasami mu się zdawało, stał się doroślejszy od nich, doskonale rozumiał ból Harry'ego.

- Skąd wiesz?

- Mój brat przysłał mi to. - Podsunął Charlie'emu wycinek razem z latarką.

- G-gazety nie zawsze piszą prawdę - powiedział niepewnie Charlie po przeczytaniu notatki. - Dlaczego nie zadzwonisz do swojej mamy?

- Próbowałem, ale chyba nie ma jej w domu. A u taty w pracowni wciąż odpowiada automat. Mama pisała do mnie w tym tygodniu, ale wcale nie o tym. Ja tak strasznie chcę ją zobaczyć. - No tak, gdyby tylko spotkał się z mamą, to na pewno potrafiłby ją przekonać, żeby tego nie robiła. Zbliżała się pora wyjazdu do domu, ale czy to nie będzie za późno? - Pojadę jutro!

- Nie dostaniesz p-p-przepustki.

- No to co, mamy przecież wycieczkę do skansenu. Kto z nami jedzie?

Charlie pomyślał chwilę.

- Chyba s-s-stary Petherbridge.

- E, temu to na pewno zwieję. To fujara. Kłopot w tym, że nie mam pieniędzy.

- Właśnie dostałem dychę, mogę ci pożyczyć.

- O rety, Charlie, dziękuję! - wyszeptał Harry. Choć nie był pewien, czy dziesięć funtów, co w jego pojęciu było kupą forsy, wystarczy, by dojechać do domu, to jednak perspektywa czynu i wyrwania się z niepewności natychmiast poprawiła mu humor.

Teraz należało przedyskutować działania logistyczne, a mianowicie, jak być nieobecny w taki sposób, żeby nieobecność była przez starego Petherbridge'a wzięta za obecność. Konspiracja szła pełną parą, w głosach chłopców narastało podniecenie. Z drugiego końca sypialni ktoś cisnął kapciem, który przeleciał tuż obok głowy Harry'ego i uderzył w ścianę.

- Ej, przymknijcie się! Bo jak nie, to wstanę i przyłożę jednemu i drugiemu! Nie wiem, jak wy, aleja muszę się wyspać!
- Przyłóż sobie, Oliphant - mruknął Charlie i przesłał kolidze obraźliwy gest. Wracając do łóżka, rzucił Harry'emu na pożeganie: - Porozmawiamy o tym rano.
- Fajnie. Dobranoc, Charlie - odpowiedział Harry i natychmiast zasnął.

Skansen The Weald and Downland znajdował się w parku i składał z zabytków architektury drewnianej, które to zabytki, zagrożone zniszczeniem na swoim rodzimym terenie, zostały starannie rozebrane, przetransportowane, złożone i usytuowane w jednym miejscu, aby dawać świadectwo kolejnym fazom rozwoju wiejskiego budownictwa.

- Oto przykład zastosowania gliny i wikliny do wypełniania drewnianego szkieletu budynku - oświadczył pan Petherbridge po skonsultowaniu własnej wiedzy z przewodnikiem książkowym. Stali w Winkhurst House.

Gliny i czego? Podobnie jak reszta chłopców, Harry był obecny bardziej ciałem niż duchem, chociaż trzeba przyznać, że w przeciwieństwie do większości z nich miał na głowie sporo zmartwień. Skansen nadawał się idealnie do jego planów, a co więcej, Harry wierzył - nieświadom wielkości hrabstwa Sussex - że jest położony niedaleko od domu.

Rozsypująca się wciąż na wszystkie strony grupa trzydziestu pięciu chłopców z panem Petherbridge'em na czele wlokła się noga za nogą od obiektu do obiektu. Dzień był duszny i pochmurny, za gorący jak na sportowe marynarki z tweedu, które były obowiązkowym strojem na tego typu wycieczkach. Wreszcie nauczyciel rozdał karty z pytaniami.

- Chcę, byście się teraz rozdzielili i by każdy z was samodzielnie odpowiedział na tyle pytań podanych na kartce, na ile zdąży. O czwartej spotkamy się w tym samym miejscu. Czy jest między wami ktoś, kto nie ma zegarka? Nie? A zatem odma-

szerować. I pamiętajcie, że reprezentujecie swoją szkołę. Grzeczność przede wszystkim. Żadnego złego zachowania. I żadnych hałasów.

Co za koszmary dzień, pomyślał pan Petherbridge, spoglądając za rozchodzącymi się na wszystkie strony chłopcami, aż w końcu sam pomaszerował na orzeźwiająca filiżankę herbaty. Nie wierzył, by którykolwiek z nich zapamiętał choć jedno słowo z jego wykładu, może z wyjątkiem tego kujona Oliphanta. Jednakże test pomoże oddzielić ziarno od plew.

- O to chodziło - powiedział Harry do Charlie'ego, kiedy zostali sami. - Teraz albo nigdy.

- Masz tu dychę. - Banknot został złożony tak wiele razy, że był teraz nie większy od jednej z maczanych w atramencie papierowych kulek, którymi za pomocą sprężynującej linijki mieli zwyczaj strzelać po klasie za plecami nauczyciela.

- Powodzenia!

- Dzięki, Charlie!

Harry włożył banknot do kieszeni marynarki i, nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę ekspozycji miejsca wypalania węgla drzewnego. Zamierzał ukrywać się na terenie muzeum aż do odjazdu autobusu, na wypadek gdyby wszczęto natychmiastowy alarm. Na razie, tak jak inni, sumiennie wypełniał odbite na powielaczu rubryki.

O godzinie czwartej chłopcy zaczęli ściągać z powrotem na wyznaczone miejsce spotkania. Pan Petherbridge, który skracał sobie czas rozmową z kierowcą szkolnego autobusu, nie zwlekając przystąpił do odczytywania listy.

- Andrews?

- Obecny, proszę pana.

- Atherton?

- Obecny, proszę pana.

- Bennet?

- Obecny, proszę pana.

Charlie nie spodziewał się sprawdzania obecności. Liczył, że po skończonej wycieczce po prostu wsiądą do autobusu i od-

jadą. Nie namyślając się długo, obiegł grupę dokoła i stanął za plecami nauczyciela.

Krótkowzroczny pan Petherbridge brnął z mozołem przez listy.

- Canford?

- Obecny, proszę pana.

- Carey?

- Obecny, proszę pana - powiedział Charlie, zdecydowany za wszelką cenę pokonać zdradliwe jąkanie. Co też mu się powiodło.

-Cummings... Mulholland... Oliphant... Penrose...

Petherbridge dobrnął do końca.

Przyglądając się z ukrycia opuszczającemu parking autobusowi, Harry zastanawiał się, kiedy wyjdzie na jaw jego dezercja. Nagle poczuł się bardzo samotny i wystraszony. Nie miał pojęcia, dokąd pójść. Wyglądało na to, że skansen znajduje się na odludziu i w pobliżu nie ma ani dworca kolejowego, ani przystanku autobusów. To, że nie zabrał ze sobą mapy, sprawiało, iż sam o sobie myślał jako o zwykłym głupcu. Nie chcąc pytać o drogę, aby nie zwracać na siebie uwagi, przelaźł przez płot, przedarł się przez jakiś lasek i nie zatrzymując się szedł tak długo, aż zaczęło zmierzchać.

Z tonu, jakim dyrektor szkoły rozpoczął rozmowę telefoniczną, jasno wynikało, że spodziewał się zastać jej syna w domu. Ellen była oszołomiona. Kiedy wreszcie wykrztusiła pierwsze słowa, sama nie poznała własnego głosu.

- Od jak dawna go nie ma?

- Po raz pierwszy zauważono jego nieobecność, gdy nie przyszedł na odrabianie lekcji. Teraz sądzimy, że nie wrócił z południowej wycieczki.

- Jakiej wycieczki? - Ellen jak przez mgłę przypominała sobie list ze szkoły, w którym zapytywano, czy pozwala Harry'emu na jakiś wyjazd i czy pokryje jego koszty.

- Do skansenu The Weald and Downland. W Susseksie. Dokładnie w Singleton.

Czuając, że za chwilę zemdleje, Ellen zapytała przerażona:

- Czy zawiadomił pan policję?

- Zaraz to zrobię. Najpierw chciałem porozmawiać z panią. Pani Carey, czy widzi pani jakiś powód tego, że syn uciekł, chcąc się z panią zobaczyć?

O ile Ellen wiedziała, Harry nie miał pojęcia o ich małżeńskich perypetiach, więc poza tym, że była jego matką, do której mógł zatęsknić, innych powodów nie widziała. Zaalarmowana jednak pytaniem dyrektora, odparła niepewnie:

- Raczej nie, ale dlaczego pan pyta?

- Jego przyjaciel, Charles Penrose, mówi, że w noc przed wycieczką Harry był bardzo przygnębiony. Podobno otrzymał list od brata. Był w nim wycinek z gazety. - Czekał, nie zważając na przeciągającą się ciszę na drugim końcu linii, chcąc usłyszeć, czy jego rozmówczyni ma w tej sprawie coś do powiedzenia.

Ellen dobrze pamiętała Charlie'ego, który spędził u nich jedne z wakacji, kiedy to postępowanie jego rodziców przekroczyło wszelkie granice dobrego smaku. Państwo Penrose wdali się w tak obrzydliwą sprawę rozwodową, że nawet gazety rozpisywały się o tym. Biedny malec, myślała wówczas, patrząc na jąkającego się, za poważnego jak na swój wiek chłopca.

Z trudem dobierając słowa, wyznała ze wstydem:

- Mój mąż i ja jesteśmy obecnie w separacji. Mam zamiar poprosić go o rozwód. Zdecydowana byłam powiedzieć o tym chłopcom w czasie ich najbliższego pobytu w domu.

- Mam wrażenie, że ubiegła panią kronika towarzyska. - Dyrektor powiedział to za ledwie oschle, choć w rzeczywistości rozsadzała go złość. Złość na starego cymbała Petherbridge'a, który najwidoczniej nie potrafił policzyć do trzydziestu pięciu, i złość na panią Carey, która nie uprzedziła go o tym, co się dzieje w jej domu.

- Czy mam przyjechać do szkoły? - spytała oszołomiona Ellen.

- Chyba lepiej będzie, jeśli zostanie pani na miejscu. Należy przypuszczać, że Harry zmierza do domu. Jeśli pani pozwoli, zadzwonię teraz na policję. Czy chciałaby pani, żebym skontaktował się z jej mężem?

- Nie, zrobię to sama.

Dyrektor rozłączył się.

Mimo że zapadła noc, zasłony w oknach nadal były rozsunięte. Ellen popatrzyła na bezgwiazdne niebo. Gdzieś pod jego kopułą, w ciemnościach, błąkał się niedoświadczony dziesięcioletek, sam, bez opieki, prawdopodobnie śmiertelnie wystraszony. Bezczylnie czekanie w domu było nie do pomyślenia. Zadzwoniła do Jacka. Odpowiedział jej tylko sygnał.

- Chryste! - krzyknęła na głos. - To doprawdy typowe dla mego cholernego męża! Kiedy go nie chcę, atakuje jak taran, ale kiedy jest potrzebny, nigdy go nie ma.

Wzięła się w garść i zadzwoniła do Edny Phipps.

- Pani Phipps, mówi Ellen Carey. Proszę posłuchać, mamy tu pewien kłopot. Zgubił się Harry, bodaj w Singleton, i właśnie wybieram się na jego poszukiwanie. Czy mogłaby pani przyjechać i zostać u nas aż do mojego powrotu? Na wszelki wypadek, gdyby chłopiec się pojawił w Butterfly Cottage.

Tego typu usługi absolutnie wykraczały poza obowiązki pani Phipps, ale słysząc drżenie w głosie Ellen, Edna zapakowała robótkę do woreczka i wyszła do przedpokoju.

Widok przygotowującej się do wyjścia żony poruszył pana Phippsa.

- A dokąd to? Co z moją kolacją?

- Nagły wypadek - odpowiedziała Edna, nie wdając się w szczegóły. - Nic ci się nie stanie, jak raz sam się obsłużysz.

- Słuchaj no...

- To ty słuchaj. Wychodzę i tyle. - Zdejmując płaszcz z wieszaka, przypadkowo strąciła na podłogę jego ulubioną wytartą czapkę w pomarańczowo-brązową jodełkę. Zamiast się po nią schylić, z pewną satysfakcją przydepnęła ją, a potem kopnęła w kąt. Czapka po drodze podskoczyła do góry, przekreśliła się

w powietrzu jak podrzucony naleśnik i ostatecznie klapnęła miękko na zakurzoną podłogę.

- Do zobaczenia! - Edna zatrzasnęła drzwi, włożyła woreczek z robótką do koszyka, i wsiadając na rower, rzuciła półgłosem: - Stary zrzęda!

****#**

Jazda do Singleton trwała pełną godzinę. Dla dodania sobie odwagi i zagłuszenia złych myśli Ellen puściła Bacha prawie na cały regulator. Przezornie zabrała ze sobą silną latarkę, niezbędną w takich okolicznościach, zwłaszcza przy pochmurnej i bezksiężycowej nocy. Skręciła na drogę do skansenu, podjechała pod zamkniętą o tej porze bramę i tam zaparkowała samochód. Bezwietrzną wieczorną ciszę zagłuszało jedynie pohukiwanie sów i niepokojące szelesty w przydrożnych krzakach. Ellen ruszyła, przyświecając sobie latarką, pokonała płot, rozdzierając przy okazji spódnicę, i wkroczyła na teren skansenu. Nikt nie odpowiadał na jej nawoływania. Tymczasem zaczął padać drobny, ciepły deszcz. Nie dbając, że zmoknie, Ellen brnęła uparcie dalej. W pewnej chwili reflektor latarki wydobył z krzaków oczy dzikiego zwierzęcia. To tylko lis, pomyślała Ellen, oceniwszy odległość dwóch gorejących ogników od ziemi, ale na wszelki wypadek zamarła w bezruchu. Za chwilę nikły cień przesunął się przed nią i zniknął po drugiej stronie ścieżki. Nie myliła się. To był lis.

Teraz już deszcz rozpadał się na dobre. Wszędzie wokół słyszała bębniące o liście krople. Opuściła teren skansenu i, nieświadomie podążając śladami Harry'ego, weszła do niewielkiego lasu.

Po jakimś czasie przystanęła i oparła się o mokre drzewo.

- Harry! - krzyknęła z rozpaczą - Harry! HARRY!

Nic, tylko dudnienie deszczu. Żadnej odpowiedzi. To chyba beznadziejne. Przemoknięta do suchej nitki, wstrząsana dreszczami, starła ociekające z twarzy zimne strużki i zaczęła wycofywać się w stronę, z której przyszła. Kilkakrotnie gubiła drogę (a cóż dopiero Harry!), lecz w końcu wydostała się spod ocieka-

jących wodą drzew i ruszyła do samochodu. Nic tu po niej. Postanowiła wrócić do domu i o świcie podjąć poszukiwania.

Zabłąkany w nieznannej okolicy Harry docenił wreszcie dwie rzeczy. Pierwszą z nich było jedzenie, które w zwykłych warunkach pojawiała się z cudowną regularnością, jak gdyby za przyczyną różdżki czarodziejskiej, i przy którym potrafił nieźle grymasić, zwłaszcza w szkole. Nigdy więcej, przyrzekał sobie teraz, kiedy mu się zdawało, że jeszcze chwila, a umrze z głodu. Drugą - bezpieczna przystań ciepłego łóżka. Ssanie w żołądku dawało się jako tako uciszyć zerwanymi z przydrożnej jabłoni owocami, choć nawet najtwardsze i najbardziej zielone jabłka nie były w stanie zastąpić steku z frytkami. Na łóżko natomiast nie miał żadnych widoków i na razie musiał się zadowolić nędznym ciepłem tweedowej marynarki, która wcześniej zdawała się tak nieznośnie grzać i którą przynajmniej teraz zapiął, co prawda, tylko na ostatni nie urwany guzik.

Na widok stodoły, którą ujrzał wychodząc z zarośli na pole, aż podskoczył z radości. Okrążając ją w poszukiwaniu wejścia, nagle zatrzymał się gwałtownie, wystraszony jakimis̄ głuchymi odgłosami. Ktoś musiał być w środku. Albo coś. Harry postanowił jednak nie tchórzyc z byle powodu, i wysuwając się cichutko zza rogu odkrył, że rzekoma stodoła to stajnia, w której stoi samotny siwek.

- Chyba mnie nie kopniesz? - spytał Harry, zbliżając się do konia. Pogrzebał w kieszeniach, znalazł ogryzek jabłka i podsunął go nowemu znajomemu. Myśl o spędzeniu nocy u boku żywego i przyjaznego stworzenia była nad wyraz kojąca. Harry ostrożnie zajrzał w głąb stajni, gdzie za zamkniętymi drzwiami, prowadzącymi pewnie do składu uprzęży, odkrył ku swojej radości bełę suchego i pachnącego siana. Ledwo żywy ze zmęczenia, klepnął siwka na dobranoc, umościł się wygodnie między dwiema belami i nim zdążył pomyśleć o kolacji, która go ominęła, już spał.

Ellen wróciła tuż przed północą. Poszła wprost do kuchni, gdzie wyjeżdżając zostawiła Ednę Phipps. Edna nadal siedziała koło pieca i spokojnie przerabiała na drutach kolejne rzędy jakiejś wielkiej turkusowej płachty.

- Żadnych wiadomości?...

Edna pokręciła głową.

- Chociaż było kilka telefonów, jeśli chce pani wiedzieć. Najpierw dzwonił pan Carey. Powiedział, że przejedzie jutro drogę ze szkoły do domu i że przez całą noc czeka na pani telefon. A potem dzwoniła policja, ale - widząc błysk nadziei w oczach pani Carey, dodała szybko - tylko po to, żeby powiedzieć, że nie ma żadnych wiadomości. No i dyrektor szkoły. Zadzwoń rano.

- Och, dziękuję, pani Phipps. Doprawdy nie wiem, co bym zrobiła bez pani.

- Poradziłaby sobie pani, na pewno - odpowiedziała uprzejmie pani Phipps, myśląc przy tym, że pani Carey wygląda, jakby miała zaraz zwymiotować. - Tylko zrobię pani kakao i już wsiałam na rower.

- O nie, nie, dziękuję za kakao - powstrzymała ją Ellen, która czuła, że przydałby jej się jakiś mocniejszy trunek. - Za to ją odwiozę panią do domu, a jutro zajmiemy się rowerem.

- Panie Boże broń, nie ma mowy - odmówiła pani Phipps stanowczo. - Będę rano, pani Carey, dobranoc.

Kiedy Edna wyszła, Ellen wzmocniła ogrzewanie, przyniosła z sypialni koc i zajęła wygrzany przez Casimira fotel, przekładając sobie śpiącego kota na podółek. Tak usadowiona miała zamiar czuwać aż do rana, na wypadek gdyby syn zjawił się w domu.

Cisza i ciemność potęgowały nastrój grozy. Ellen popatrzyła na amerykański zegar ścienny, który od lat swoim nierównym tykaniem posuwał w Butterfly Cottage czas do przodu. Pół godziny po północy, korzystając z bezprzewodowego telefonu, -ulubionej zabawki Jacka, zadzwoniła do pracowni męża.

23

Alexander, do którego nie dotarły wieści o rozgrywającym się w Susseksie dramacie, umówił się na lunch z Marcusem. Tego samego dnia miał wyznaczone spotkanie z Tessą na Mimosa Street w celu podjęcia kroków zmierzających do rozwiązania ich małżeństwa. Od skandalicznych wydarzeń w Galerii nie utrzymywał z żoną żadnych kontaktów, zresztą ku własnemu zadowoleniu. Poza sferą duchową istnieją jednak jeszcze kwestie natury formalnej, wymagające podjęcia wspólnej decyzji. Na przykład podział domu. Alexander, który czuł się w nim dobrze, zwłaszcza kiedy już odprawił egzorcyzmy nad swoimi uczuciami, wcale nie miał ochoty go opuszczać i żywił nadzieję, że Tessa pozwoli mu wykupić swoją część.

Marcus triumfował: Jane urodziła syna i po dwóch uwielbianych córkach ojciec doczekał się wreszcie dziedzica. Alexander zamówił szampana.

- Bądź co bądź, to podwójna uroczystość - narodziny twojego syna i śmierć mojego małżeństwa.

Przyglądając się przyjacielowi podczas toastu, Marcus pomyślał: Uwagę o małżeństwie można by uznać za cyniczną, ale nie w ustach Alexandra. Alexander się zmienił. Wygląda jak nowo narodzony. Chyba łańcuchy, w jakie zakuła go Tessa, narreszcie pękły.

- A więc zdecydowałeś się ostatecznie z tym skończyć? - zwrócił się do przyjaciela.

- Tak - potwierdził Alexander pogodnie. - Spotykam się

z nią dziś po południu, aby omówić sprawy formalne. Niestety, chyba zostanie sama, bo jak widać, Carey nie zamierza zrobić z niej uczciwej kobiety.

Nie zdradzając się z przekonaniem, że nikt nie potrafiłby zrobić z Tessy kobiety uczciwej, Marcus zauważył:

- Bo i po co mu to? Przecież ma absolutnie zachwycającą żonę.

- Właśnie, zostawmy Jacka na boku. Co myślisz o Ellen?

- Prawdziwa muza. To tylko dzięki niej inni, choćby ten leń, jej mąż, tworzą swoje najlepsze dzieła. Nie sądzę, żeby ją to satysfakcjonowało, przecież sama jest obdarzona talentem twórczym.

Alexander pomyślał o sobie i swoich ostatnich wierszach. One też powstały dzięki Ellen.

- Ja myślę, że to bogini - wyznał.

- Coś w tym jest, zgadzam się z tobą. Ellen to sama gracia i promienność, no i ta kobieta ma w sobie ciepło, które, niestety, dzisiaj nie jest w cenie. - Ciepło stanowiło jedną z zalet drugiej pani Marchant i Marcus, rozczarowany pierwszym, bardzo konwencjonalnym i chłodnym małżeństwem, potrafił docenić jego znaczenie. Przyjrzał się z zaciekawionym swoim towarzyszowi. Wyraźnie coś zaszło między nim i Ellen, choć Bóg jeden wie co. Czekał chwilę na dalsze wynurzenia, ale na próżno. Zmienił więc temat.

- J a k myślisz, co Tessa zamierza teraz robić?

- Nie mam pojęcia. Trochę mnie martwi to, że zostaje sama.

Marcus, wzdychając w duchu: „Broń mnie panie Boże od takiej romantycznej rycerskości”, zapewnił przyjaciela:

- Nie przejmuj się, na pewno długo nie wytrwa w samotności. Wróżę jej, że wyjdzie za księcia, i to całkiem prędko.

- Coś takiego! Czyżbyś wiedział o czymś, o czym ja nie wiem?

- Ach nie, po prostu wnioskuje to z jej metod działania, całkiem logicznego, powiedziałbym. Zamówimy coś?

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy Harry otworzył oczy i rozejrzał się półprzytomnie po nie znanym sobie otoczeniu. Gdzie jest Charlie Penrose i reszta chłopców? Dopiero łaskoczące go w nos siano i przyjazne parsknięcia, dobiegające od drzwi stajni, przypomniały mu o wydarzeniach poprzedniego dnia.

Ktoś tu już musiał być i zadać koniowi paszy, bo siwek raz po raz zanurzał łeb w torbie z obrokiem, lecz jak widać, ten, kto tu przyszedł, nie spostrzegł wciśniętego między dwie bele siano małego wędrowca.

- Tobie to dobrze - powiedział Harry siwkowi na dzień dobry. Patrząc na dobrze utrzymanego konia, po raz pierwszy w życiu zamarzył o umyciu twarzy, a nawet o wyczyszczeniu zębów. Okazało się zresztą szybko, że nie tylko twarzy przydałaby się poranna toaleta: Harry był ubłocony od stóp do głów, a w wyniku ciągłego przechodzenia to pod, to nad płotami po nocy, miał podarte spodnie i marynarkę, nie mówiąc już o tym, że z włosów i z ubrania sterczały mu na wszystkie strony źdźbła siana. Niestety, próba pozbycia się ich nie dała wielkich rezultatów. Zrezygnowany, postanowił dać spokój z toaletą i sięgnął odruchowo do kieszeni. Mały papierowy zwitek, wciśnięty w róg podszewki, trudno było znaleźć. Harry przeżył moment grozy. No cóż, chyba to nie najlepszy sposób przechowywania pieniędzy. Rozprostował zatem banknot, złożył go tylko na pół i wsunął do górnej kieszeni marynarki.

Co dalej? Harry przystanął przy łagodnym siwku, swoim towarzyszu noclegu i, głaszcząc go po chrapach, dokonał podsumowania dotychczasowej odysei. W wilgotnym od wczorajszego deszczu ubraniu, z pustym żołądkiem, nie wiedząc, gdzie się znajduje, był bliski przyznania przed samym sobą, że ma wszystkiego dość. Wrodzony optymizm wziął jednak górę. Przecież świat nie kończy się na tej łące. Nie zwlekając dłużej, pożegnał się z siwkami i ruszył przed siebie. Jego myśli zaprzętały teraz jeden problem: czy jeśli kupi coś do jedzenia, to wystar-

czy mu pieniędzy na dojazd do domu. Na wszelki wypadek, mając słabe pojęcie o cenach, wołał udzielić sobie odpowiedzi przeczącej.

Szybko trafił na szeroki wiejski gościniec i spytał idącego z labradorem mężczyznę o drogę do najbliższej wsi. Marzył mu się pączek. Okazało się jednak, że aby go kupić - jeśli już zdecyduje się na trwonienie pieniędzy - musi przejść kilka następnych kilometrów. Toteż jaka była jego radość, kiedy ni stąd, ni zowąd wyrósł przy drodze automat telefoniczny. Zadzwoeni do mamusi na jej rachunek i mamusia po niego przyjedzie. Pomysł nie był głupi, niestety, nie doszło do jego wykonania, telefon bowiem nie działał; zniszczyli go jacyś wandalę. Harry'emu nie pozostawało nic innego jak kontynuować marsz.

Długo wypatrywana wieś okazała się malusieńka, lecz był w niej sklep, a w sklepie pączki. W przyplýwie rozrzutności Harry kupił aż dwa. Płacąc za nie, spytał kobietę zza kontuaru, czy wie, jak mógłby się dostać do Hocking. Kobieta popatrzyła na rozczochrane straszycło w wymiętoszonym ubraniu i przyszło jej do głowy, że taki chłopczyk jest chyba za mały na samodzielną podróż; mimo to nie poskąpiła wyczerpującej informacji, zgodnie z którą Harry powinien wsiąść w miejscowy autobus i dojechać nim do najbliższej stacji kolejowej.

Harry przysiadł na dziedzińcu kościelnym i zajądając pączki wymyślił, że dla zaoszczędzenia pieniędzy nie pojedzie autobusem, tylko autostopem. W związku z tym, gdy już zjadł pączki i wrzucił zatłuszczony papier do kosza na śmieci, wyszedł na drogę i, przypomniawszy sobie sceny z oglądanych filmów, na widok pierwszego nadjeżdżającego samochodu podniósł kciuk.

Po kilku nieudanych próbach udało mu się zatrzymać jakiegoś zdezelowanego forda, ale ku jego głębokiemu rozczarowaniu samochód prowadził samotny mężczyzna.

- Wskakuj! Dokąd cię podrzucić?

Harry, wystawiony na próbę, zawahał się. Pamiętał przecież surowe zakazy mamusi, dotyczące wsiadania do samochodów

prowadzonych przez obcych. A, jak rozumiał, obcyymi byli wyłącznie mężczyźni, bo kiedy raz w życiu zdarzyło mu się samotnie podróżować pociągiem, to mamusia nie bała się powierzyć go opiece jakiejś starszej pani w tweedowym kostiumie, z wielkim tobołkiem robótek ręcznych.

- No co jest, wsiadaj wreszcie!

- Bardzo pana przepraszam. Rozmyśliłem się. - Harry, obalany rumieńcem, ruszył szybko skrajem drogi, lecz samochód jechał za nim.

- Coś nie tak? Mogę cię zawieźć, dokąd tylko zechcesz.

To jedynie pogarszało sprawę. Harry wiedział, że normalni ludzie, chyba z wyjątkiem prawdziwych świętych, nie zmieniają celu podróży dla potrzeb autostopowiczów. Uznawszy więc, że nakazem chwili jest pozbycie się natarczywego kierowcy, zrobił błyskawiczny skręt w lewo, przesadził jednym susem płytki rów, wdrapał się na nasyp, i, nie oglądając za siebie, popędził na przelaj przez pole.

Kierowca forda, a był nim miejscowy pastor w cywilnym ubraniu, pomyślał ze smutkiem: Jak bezbożnych czasów dożyliśmy, ja i moja trzódka, skoro nawet tak niewinne jagnię jak ten chłopiec zatraciło wiarę w szlachetność ludzkich uczynków. I przejęty wizją niedzielnego kazania, w którym dzisiejsze zdarzenie wykorzysta dla poruszenia umysłów parafian, dodał gazu.

Harry tymczasem, nieświadom najszlachetniejszych intencji natrętnego kierowcy, pogratulował sobie udanej ucieczki. Odczekał dziesięć minut, po czym wrócił do roli autostopowicza, gotów w każdej chwili do kolejnego skoku przez rów. Następna osoba, która zareagowała na podniesiony kciuk, spodobała by się zapewne każdej mamusi każdego samotnie podróżującego chłopca. Była nią pani Heathcote, jadąca ze swoim seterem do najbliższego dużego miasta po zakupy.

- Wyglądasz, jakbyś wracał z wojny - powiedziała do Harry'ego, przesadzając psa z przedniego siedzenia na tylne. - Dokąd się wybierasz?

- Do Hocking.

- A więc chcesz, bym cię podwiozła na stację. Masz szczęście. Wybieramy się do sklepu myśliwskiego i będziemy przejeżdżać właśnie tamtędy. Wskakuj. - Pani Heathcote, puszcżając sprzęgło, nacisnęła stopą obutą w płócienny pantofel pedał gazu i spojrzała surowo na pasażera.

- Jak masz na imię?

- Harry.

- Czy nie jesteś trochę za młody na samodzielne podróżowanie po okolicy, Harry?

- Jadę spotkać się mamą. - Czując, że jeśli w porę nie zmieni tematu, to posypią się dalsze kłopotliwe pytania, Harry szybko spojrzał do tyłu. - Ale pies! - powiedział, udając zachwyty, i choć dobrze znał odpowiedź, zapytał o rasę.

Pani Heathcote, która była wdową i której jedyny syn mieszkał w Ameryce, dokąd jeździła raz w roku, wreszcie znalazła wdzięcznego słuchacza.

- To nie pies, to suka. Czerwona seterka. A w ogóle, to hoduję setery. To bardzo inteligentne psy. I takie miłe... - I tak dalej, i tak dalej. Sympatyczny pasażer zasługiwał na wyczerpujące informacje.

Kiedy dojechali do stacji kolejowej, panią Heathcote opadły wątpliwości.

- Jesteś pewien, że sobie poradzisz? Nie chciałbyś, żebym zadzwoniła do twojej mamusi i powiedziała, że jedziesz do niej?

Harry rozważał przez chwilę jej propozycję, lecz wobec bliźkiego, jak mu się zdawało, celu podróży, grzecznie odmówił.

- Nie, to niepotrzebne. Wszystko ustaliłem z mamusią listownie. Dziękuję bardzo, pani Heathcote. - Harry wyciągnął dłoń na pożegnanie i odszedł w kierunku kasy biletowej. Patrząc na jego ubłoconą na plecach marynarkę, pani Heathcote westchnęła w duchu: O mój Boże! Na tej marynarce można by zasiać gorczycę i rzeżuchę. Nie spodoba się to pewnie jego matce.

Budynek stacyjny świecił pustkami. Za szybą zamkniętego okienka kasowego wisiała kartka, na której ktoś niewprawnym pismem podawał do wiadomości, że z powodu choroby kasjera

biletów się nie sprzedaje i że trzeba je wykupić na stacji docelowej. Harry zajrzał do rozkładu jazdy, zadziwiając nowocześnie-
go jak na całą staromodną resztę. Jeśli nadal miał trwać w postano-
wieniu dojechania do Hocking koleją, to jego pociąg figurował
na przedostatniej pozycji. Wyruszał stąd pod koniec dnia.

Czas upływał, a poszukiwania Harry'ego, prowadzone przez policję na terenie skansenu i w otaczających go lasach, wciąż nie przynosiły żadnego rezultatu. Jutrzejsze gazety miały za-
apelować do społeczeństwa o pomoc. Jack, starając się nie oka-
zywać własnego przygnębienia, robił, co mógł, aby podtrzy-
mać na duchu zrozpaczoną żonę. To on kontaktował się
z policją, on nie dopuszczał do domu dziennikarzy, on prowa-
dził telefoniczne konferencje z dyrektorem szkoły Harry'ego,
on wreszcie wziął na siebie przykry obowiązek zawiadomienia
drugiego syna o całej sprawie.

David był bardzo przejęty.

- Tatusiu, to wszystko moja wina. Przeczytałem o tym w ga-
zecie, a potem wysłałem wycinek Harry'emu.

Jack, któremu pojęcie winy było obce, bo inaczej dawno już
pokutowałby za grzechy jako mnich w jakimś klasztorze, na-
wet nie zastanowił się nad sensem słów wypowiedzianych przez
syna.

- Daj sobie spokój z winą. Pomyślmy raczej, co należy robić
dalej.

- A jeśli Harry'emu przydarzyło się coś złego? - David był
bliski płaczu. Młodszy brat często go złościł, zwłaszcza jako
pupilek mamy, lecz przecież nie wyobrażał sobie życia bez nie-
go. - Tatusiu, to naprawdę moja wina. Popatrz na to. - Podał oj-
cu kopię nieszczęsnego wycinka.

Jackowi wystarczył jeden rzut oka na tytuł i zdjęcia. Tessa.
Więc jednak się zemściła. Przeklinał dzień, w którym ją spo-
tkał. Choć co prawda w samym spotkaniu nie byłoby nic złego,
gdyby na nim poprzestał.

- Jeśli ktokolwiek tu zawinił, to tylko ja. Pozbądź się wyrzutów sumienia. - Objął Davida za ramiona i, mając nadzieję, że jego przewidywania się spełnią, dodał: - Nic mu się nie stanie, zobaczysz. Głowa do góry, Davidzie. Idziemy na lunch.

Harry grzecznie spytał siedzącego naprzeciwko mężczyznę:

- Przepraszam pana, czy mógłby mi pan powiedzieć, o której godzinie ten pociąg przyjeżdża do Hocking?

- Obawiam się, że o żadnej - padła niezrozumiała odpowiedź. - Do Hocking zwykle jadą cztery pierwsze wagony. Tylko na część pociągu, ta, w której my się znajdujemy, została odcepiona i jedzie w zupełnie innym kierunku.

Serce Harry'ego zamarło. Po raz pierwszy od początku wyprawy zwątpił, czy kiedykolwiek znajdzie się w domu. Przygodkowy towarzysz podróży, widząc zmartwienie na twarzy chłopca, oderwał się na chwilę od gazety.

- Czy nie powiedziano ci tego, kiedy kupowałeś bilet?

- Kasa była zamknięta. Jadę bez biletu, mam go kupić na stacji docelowej. W każdym razie dziękuję panu.

Harry zaczynał odnosić wrażenie, że oto doszedł do kresu własnego męstwa. To, co na początku obiecywało ekscytującą przygodę, zamieniało się powoli w koszmar. Wyszedł z przedziału i stanął w korytarzu, patrząc na przepływający za oknem obcy krajobraz. Łzy zakręciły mu się w oczach. Jeśli na końcu tej podróży Lędzie musiał zapłacić za przejazd, nie starczy mu pieniędzy na bilet we właściwym kierunku. Ogarnęła go szalona tęsknota za mamusią i za domem. Z przerażeniem pomyślał, że może ich już nigdy nie zobaczyć.

Jakiś kwadrans później pociąg, prawie opustoszały, zatrzymał się na wiejskiej stacji bez peronów. Po pięciu minutach nadal stał bez ruchu. Pod wpływem nagłego impulsu, chwilę wcześniej, nim lokomotywa wprawiała w ruch koła wagonów, Harry otworzył drzwi i dał nura w ciemność. Spadał długo, a potem, po zetknięciu z ziemią, jeszcze dłużej koziółkował

w dół nasypu kolejowego, urywając po drodze ostatni guzik tweedowej marynarki. Zanosiło się na następną głodną noc, i to bez dachu nad głową.

Ellen, wbrew protestom Jacka, postanowiła drugą noc również spędzić w bujanym fotelu. Zmęczony organizm upomniał się jednak o swoje prawa i, łamiąc jej wolę, zawiódł ją w krainę snu. Ku wielkiej radości i jeszcze większemu - potem - rozczarowaniu przyśnił jej się powrót Harry'ego.

Wstał szary i dżdżysty dzień. Na pierwszych stronach gazet, i tych poważnych, i tych sensacyjnych, znalazło się wielkie zdjęcie Harry'ego. Zaginiony. Senny koszmar każdej matki. Jack i Ellen, oboje zrozpaczeni, oboje zamknięci w świecie własnych myśli, pełni wyrzutów sumienia, unikali wchodzenia sobie w drogę. Telefon dzwonił bezustannie. To naprzykrzali się dziennikarze; policja miała mniej do powiedzenia. Poza tym groził Careym przyjazd pani Braithwaite.

- Proszę, nie dopuść do tego, Jack. Wiem, że ona także się martwi i że chce pomóc, ale ja nie zniosę jej obecności. Zapewnij matkę, że jeśli tylko będziemy mieli jakąś wiadomość, natychmiast zadzwonimy.

- Zostaw to mnie! - Jack wyraźnie delektował się tym, że może wziąć sprawy w swoje ręce.

Jego żona sięgnęła po koszyk.

- Idę ściąć parę główek kapusty. To nie potrwa długo. - Co za bzdura, pomyślała przy tym, i tak nic niejem, więc po co mi kapusta? Chyba tylko po to, żeby mieć jakieś zajęcie, no i może znajdę w ogrodzie chwilę pocieszenia. Po ścięciu kilku główek Ellen wyprostowała się i bezwiednie skierowała wzrok ponad ogrodzenie. Wiejską drogą, ledwo powłócząc nogami, szła drobna, szara postać. Tak wyglądał Harry w jej śnie.

Ellen rzuciła na ziemię koszyk wraz z zawartością i, potrącając w biegu furtkę, rzuciła się biegiem na spotkanie małego wędrowca. Śmiejąc się i płacząc na przemian, padła na kolana,

wprost w błoto, jakie zostało po deszczu padającym ostatniej, wieki trwającej nocy, i porwała syna w ramiona.

Przytłoczony jednolicie szarą barwą deszczowego nieba, Alexander zmierzał przez Fulham Road do domu. Był chwilowo zupełnie zubożniały i po oczekującym go spotkaniu spodziewał się jedynie rychłego zakończenia małżeństwa. Więzy emocjonalne stanowiły inny problem i Alexander nie oszukiwał się, że można je traktować na równi z podziałem majątku. Uczucia wygasają z czasem, nie podczas jednej rozmowy.

Tessa, o dziwo, przysła pierwsza i już siedziała na kanapie pod oknem, także tym razem w czerni. Włosy miała splecione we francuski warkocz.

- Dzień dobry, Tesso. Mam nadzieję, że się nie spóźniłem. - Stosownie do wewnętrznej przemiany, jaka w nim zaszła, starał się nadać słowom oficjalne brzmienie.

- Jak się masz, kochanie - odparła Tessa. - Nie dostanę całusa?

Alexander musnął wargami policzek żony i przezornie usadowił się po drugiej stronie salonu, przy regale z książkami. Popatrzyli na siebie tak, jakby dzieliła ich znacznie większa odległość niż w rzeczywistości. Pierwsza odezwała się Tessa.

- Obawiam się, że to była jedna wielka pomyłka.

- Nieważne. Nie mamy dzieci, więc szybko uwiniemy się z rozwodem.

- Alexandrze, nie o to mi chodzi.

- Słucham?

- Chcę powiedzieć, że niepotrzebnie doprowadziliśmy do separacji. Jestem gotowa wrócić do ciebie i przychodzę, aby cię prosić o przebaczenie.

Słowa, na które kiedyś tak wyczekiwał, teraz nic dla niego nie znaczyły. Obojętnie spojrział na ślubny szmaragd, rzucający błyski przy każdym poruszeniu białej dłoni. Nie ma sensu ulegać złudnej nadziei.

- Ależ tak, przebaczam ci, Tesso. Nasz dalszy związek jednak w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Tessa odwróciła twarz i popatrzyła przez okno, prezentując mężowi nieskazitelny profil. Kamea. Jeszcze rok, jeszcze dziesięć lat. A potem? Uroda, choćby najsubtelniejsza, przemija, rozsypuje się w proch. Starość dokona w Tessie spustoszeń większych niż te, jakie mogłoby spowodować jego namiętne uczucie.

- Przykro mi.

- A więc już po wszystkim.

- Po wszystkim.

Zaległo milczenie.

- Co teraz zamierzasz robić? - spytał po chwili.

- Robić? Jeszcze nie wiem. Ale powiem ci, że chyba masz rację. Trzeba się rozstać. Choć żal wspólnie spędzonych lat.

- No cóż. Przetrywają we wspomnieniach. Po prostu jako para znaleźliśmy się w punkcie bez wyjścia.

- Co chcesz zrobić z domem? I z samochodem?

Bezceremonialnie zadane pytanie, świadczące o praktycznym zmyśle żony, ostatecznie przekonało Alexandra, że jedynym celem pojednania, jaki jej przyświecał, była chęć uczynienia z ich małżeństwa wygodnej stacji przesiadkowej.

-Zrzeknę się samochodu. Ale pozwól mi wykupić twoją część domu.

- W porządku. - Wstała. - W takim razie zajmij się niezbędnymi formalnościami. Och, jestem ci jeszcze coś winna. - Zdjęła z palca ślubną obrączkę, lecz zielony kamień miał już na zawsze pozostać dla Alexandra symbolem zdrady. Całując żonę w policzek, po raz ostatni wciągnął w nozdrza zapach jej ostrych, kuszących perfum.

- Zatrzymaj ją, Tesso. Jest twoja.

Harry był głodny jak wilk, lecz mimo to zasypiał nad sadzonym jajkiem z frytkami. Zmęczenie brało górę. I choć Ellen

plonąła ciekawością, by poznać każdy szczegół jego wyprawy, i zadawała całe mnóstwo pytań, odpowiedzi, jakie padały, były najzupełniej zdawkowe. Spędziłem noc w jakiejś szopie. Jechałem autostopem. Wsiadłem w niewłaściwy pociąg. Przyszedłem z Hocking piechotą, bo zabrakło mi pieniędzy na autobus. Było oczywiste, że z dalszym śledztwem należy poczekać do jutra. Najważniejsze, że syn wreszcie dotarł do domu. I jest bezpieczny.

Tę noc Ellen spędziła wreszcie w swoim łóżku, już o szóstej rano jednak wymknęła się po cichu z sypialni, przeszła przez pokój gościnny, w którym spał mąż, i na palcach wśliznęła się do sypialni syna. Harry, z ciemnymi półksiężycami rzeź na zaróżowionych policzkach, w aureoli ciemnoblonde włosów rozspanych wokół ufnej twarzy dziesięciolatka, spał na wznak, z jedną ręką odrzuconą za głowę. Ellen usiadła obok, nie spuszczając z syna przepętnionego miłością wzroku.

- Cześć, mamusiu - wyrwał ją z zadumy na pół rozbudzony głos.

- Harry, ty niegrzeczny chłopcze, myślałam, że śpisz!

- Spałem, ale się obudziłem. - Uśmiechnął się sennie. - Mamusiu?

- Co, synku?

- Prawda, że nie zostawisz taty?

- Czy to dlatego uciekłeś ze szkoły?

- No. Pomyślałem sobie, że jeśli się tylko z tobą zobaczę, to tego nie zrobisz. Wiesz, Charlie Penrose uważa, że gazety nie zawsze piszą prawdę.

- Tak mi przykro, że widziałeś ten artykuł. Ja sama nie miałam o nim pojęcia.

- David mi go przysłał.

Och, aleś się pośpieszył, Davidzie, pomyślała.

- Ale ty tego nie chcesz, prawda? Powiedz, powiedz, że nie chcesz!

Targnął nią niepokój. Czyżby nadal miała tkwić w klatce, jaką było jej małżeństwo? Syn czekał na odpowiedź.

- Nie, nie chcę.

- Na pewno?

- Na pewno. - Pocałowała go. - A teraz śpij dalej.

Parę godzin później poczta przyniosła trzeci list, w nim zaś tylko trzy linijki. A więc tak to wyglądało.

24

Robert Wilmot siedział w swoim biurze w Soho i przeglądał plany wydawnicze.

- Czy pani Haye nadal milczy w sprawie artykułu na temat Careya? - spytał sekretarki.

- Niestety, proszę pana. Czy mam do niej zadzwonić?

- Nie, lepiej sam to zrobić. Chodzi o to, że numer lada dzień pójdzie do druku, więc mogę nie zdążyć z ewentualnymi poprawkami.

Ginevra temperowała ołówek, kiedy zadzwonił telefon.

- Jest gotowy. Właśnie wprowadzam ostatnie drobne zmiany. Proszę oczekiwać przesyłki nie dalej jak pojutrze.

- Świetnie - odparł ucieszony. - Czekam z niecierpliwością, aby zapoznać się z pani tekstem.

Maszynopis dotarł jednak na miejsce dopiero za trzy dni, w chwili kiedy Wilmot sięgał po słuchawkę telefonu, aby ponownie ponaglić panią Haye. Zasiadł więc czym prędzej do lektury i poprosił sekretarkę, żeby przez najbliższe pół godziny z nikim go nie łączyła.

Kiedy skończył czytanie, był bliski szoku. No to koniec z Careyem. Świetnie napisana, fachowa recenzja, przesiąknięta była prawdziwym jadem. Co, u diabła, ta Haye sobie myśli? Czy to możliwe, by coś takiego mogła spłodzić bliska przyjaciółka Hartingów? Jeśli chodzi o meritum sprawy, Wilmot musiał przyznać, że zgadza się z panią Haye niemal co do joty. Równie zgodny był z nią w opinii, że cel, zwłaszcza w tym konkretnym

wypadku, nie uświęca środków. A poza tym sam także uważał, że Jack Carey to tandeciarz, a jego sława jest sztucznie rozdmuchana. Jako wydawca „Modern Art” nie mógł jednak zapominać, że periodyk cieszy się dobrą opinią między innymi dzięki całkowitej bezstronności, a pani Hays, jak widać, daleka była od niej. I choć, bez wątplenia, numer sprzedałby się wyjątkowo dobrze właśnie ze względu na obrazoburczą napastliwość recenzji, to jednak Robert Wilmot zdawał sobie sprawę, że nie może sobie pozwolić na jej opublikowanie. I to nie tylko ze względu na swoją przyjaźń z Jamesem Hartingiem. Również dlatego, że pismo czekałby proces o zniesławienie.

Po krótkiej przerwie, podczas której starał się uporządkować wzburzone myśli, znów zadzwonił do Little Haddow.

- Pani Hays?

- Słucham.

- Mówi Robert Wilmot.

- Tak, poznaję. Czy dostał pan mój artykuł?

- Tak, dostałem. Dziękuję pani bardzo. - Cisza. I po chwili:

- Muszę wyznać, że spodziewałem się czegoś zupełnie innego.

- Przemysślałam głęboko swoją opinię. Nie jestem zainteresowana kleczeniem landrynkowych esejów w celu podniesienia samopoczucia przereklamowanych sław.

Kusiło go, by powiedzieć: „Wiele z tego, co pani napisała, pokrywa się także z moją od dawna ugruntowaną opinią”, lecz reprezentował wydawnictwo i jego prywatne przekonania nie miały tu nic do rzeczy.

- Oczywiście, rozumiem, ale ta recenzja jest niezwykle zjadliwa. Chciałbym, żeby pani nieco złagodziła ton. A gdyby tak nieco uwypuklić pozytywne aspekty twórczości Careya?

- W porządku. Kiedy mogę się spodziewać zwrotu tekstu?

Oczekując krótkiej i zdecydowanej odmowy, Robert Wilmot jeszcze raz doznał szoku. Postanowił jednak kuć żelazo, póki gorące.

- Prześle artykuł najbliższym pociągiem. Proszę go odebrać

u konduktora. I umówmy się, że w ten sam sposób prześle go pani do Londynu.

- Jak i jest ostateczny termin? - Usłyszawszy odpowiedź, skwitowała krótko: - Załatwione.

Wilmot odłożył słuchawkę z westchnieniem ulgi i poprosił sekretarkę o wyekspediowanie przesyłki.

Parę godzin później Ginevra, zgodnie z obietnicą, popedałowała rowerem na stację. Wróciwszy do domu, wrzuciła kopertę z recenzją do szuflady w salonie. Nie zamierzała uwypuklać żadnych pozytywnych aspektów. W dwa dni później, w przeddzień podpisania numeru do druku, kiedy już była zupełnie pewna, że Robert Wilmot nie zdąży z żadnymi poprawkami, znów pojechała na stację.

Ginevra postanowiła usunąć z pamięci cały ten epizod i powrócić do pisania książki. Tymczasem w przyrodzie zachodziły kolejne zmiany. Drzewa traciły liście, wędły ostatnie trawy, a jesień zaczynała powoli wzdychać do zimy, której pierwsze, choć jeszcze zbyt wczesne zapowiedzi jawiły się niekiedy rankami w postaci okrywającego ziemię białego szronu. Ginevra przyzwyczała się do spacerów przy każdej pogodzie, i aby nie dać się zaskoczyć deszczom i błotom, kupiła nawet wellingtony.

Od wizyty Victorii w Pear Tree Cottage między dawnymi przyjaciółkami zapanowało milczenie, co obydwu wydawało się zresztą zupełnie naturalne, Ellen natomiast, która nie zaniedbywała kontaktów z Ginevra, przynajmniej telefonicznych, zadzwoniła pewnego dnia z wiadomością, że po dramacie, jaki przeżyła w związku z zaginięciem Harry'ego, znów jest z Jackiem i że niedługo wyjeżdżają razem do Włoch. Odwiedzę cię po powrocie, powiedziała na pożegnanie. W głosie przyjaciółki Ginevra nie słyszała bynajmniej radości, w jaką zwykle wpadają ci, którzy szczęśliwie przeprowadzili swe małżeństwo przez uczuciowe mielizny. Wręcz przeciwnie, w głosie Ellen pobrzmiwała nuta rezygnacji.

Obawiając się, że recenzja wymierzona w Careya może w tej sytuacji zranić Ellen, Ginevra zadzwoniła do Roberta Wilmota.

Nie najlepiej trafiła. Wilmot, z którego jeszcze nie opadła wściekłość po jej wyczynie, złorzeczając jej w duchu i wymyślając od wariatek, rzucił zirytowanym tonem:

- Ma pani rację, jest o wiele za późno, aby dało się sprawę odkręcić. Pani artykuł, cokolwiek o nim myślę, poszedł do druku. Trzeba było go zmienić, kiedy była po temu okazja. Obawiam się, że w takiej sytuacji dostanie pani za swoje. - I nie mogąc odmówić sobie satysfakcji, dodał: - Ale, ale. Podobno była to pani głęboko przemyślana opinia, więc o co właściwie chodzi? - Do diabła, oberwie nie tylko Ginevra Haye. On również. Robert Wilmot dobrze o tym wiedział.

Po bardzo długiej przerwie nadszedł jeszcze jeden list od Kevina. Chyba ostatni, jako że wyczuwało się nawet na odległość, iż Kevin ma wszystkiego po dziurki w nosie. Nie bawiąc się w szczegółowe wyjaśnienia, zapowiadał powrót do domu w możliwie najbliższym czasie. To znaczy, pomyślała Ginevra wrzucając list do kubła, że mogą spodziewać się go lada chwila.

Wraz ze spalaniem słomianej figurki w jej psychice zaszły nieoczekiwane zmiany. Dosłownie z dnia na dzień straciła zainteresowanie treścią marmurkowych zeszytów. Nie obchodziło jej także, czy i kiedy księgarnia wywiąże się ze swego zobowiązania. A jakby tego było mało, zaczęła źle się czuć we własnym domu. Uciekając od samotności, która nagle stała się nie do zniesienia, coraz częściej i na coraz więcej godzin zaszywała się pomiędzy regałami londyńskiej biblioteki. I choć, pochylona nad grubymi tomami, nie odzywała się do nikogo ani nikt nie odzywał się do niej, to już samo przebywanie wśród ludzi w jakiś sposób wypełniało pustkę jej duszy.

Zycie rodzinne Hartingów, po chwilowych zawirowaniach, zaczynało powoli wracać do normy. Victoria, namówiona przez Alexandra Lucasa, nawiązała kontakt z Jane Marchant, aby omówić wciąż nie rozwiązany problem wyboru właściwego ginekologa. Jane miała gotową odpowiedź:

- Ach, ten! Owszem, dobry specjalista, ale poza tym to na-dęty głupiec. Lubi, jak pacjentki traktują go z nabożnym sza-cunkiem. Jeśli chcesz, to polecę ci innego. Świetny No i można z nim normalnie rozmawiać. Masz długopis?

Victoria zapisała nazwisko lekarza.

- Czy widzisz ostatnio Alexandra i Tessę?

- Od kiedy się rozstali, spotykam ją, dość rzadko, tylko przy większych okazjach, Alexandra natomiast dość często, bo to nasz stary przyjaciel. Z Tessą pewnie ty masz więcej kontaktów.

- Niezupełnie. Wiesz, ona i James nie rozmawiają ze sobą od czasu wystawy Jacka.

- No tak, można powiedzieć, że trochę przesadziła. Mogła przecież rozbić małżeństwo Careyów.

- O to jej właśnie chodziło. I jeszcze ta okropna historia z ucieczką Harry'ego ze szkoły. James nie potrafi tego Tessie wybaczyć. Pośrednio była to jej wina.

- Ellen pewnie szalała z rozpaczy. Miejmy nadzieję, że przy-najmniej Jack dostał nauczkę.

- Chwilowo, bo jak na mój rozum, jest za stary, żeby się zmienić. Obawiam się, że Ellen jeszcze nieraz dostanie po głowie. Na nic się nie zda przymykanie oczu na cudze wady.

- To brzmi tak, jakby on miał wyłącznie wady!

- Bo tak jest. Ale zostawmy go w spokoju. Dziękuję ci za le-karza, Jane. Dam ci znać, jak się sprawy potoczą.

Skończył się wrześnieowy pobyt chłopców w domu i po ko-lejnym listownym ponagleniu teściowej Jack zarezerwował w Wenecji posezonowy pobyt. Jest tak samo jak wtedy, kiedy

byliśmy tu jeszcze jako para studentów, myślała Ellen, spacerując wraz z mężem starymi uliczkami i odnajdując znajome zakątki. Tak samo, z jednym tylko wyjątkiem: wtedy, choć nie stać nas było na pobyt w „Cipriani”, byłam szczęśliwa; teraz moje serce łka. Zresztą doskwierało Ellen wiele spraw. Ostatnio także fizyczna strona małżeństwa nie dostarczała jej wiele satysfakcji i tak się na ogół zdarzało, że mimo zgody na wspólną sypialnię, podczas aktu miłosnego pozostawała bierna i chłodna. Odczuwała żal, iż dzieje się tak w jednym z najbardziej romantycznych miast świata. No cóż, Olivia Braithwaite nazbyt się pośpieszyła z wysłaniem córki na wakacje. Rany, jakie zadał Ellen jej mąż, należało wyleczyć raczej w domowym zaciszu.

Większość czasu pochłaniały im spacer. Któregoś dnia odwiedzili hotel studencki, gdzie mieszkali podczas swej poprzedniej bytności w Wenecji, a potem doszli aż do Ca' Rezzonico, dawnego miejsca zamieszkania Browningów. Stary dom był wielki, mroczny i szczylił się dwoma wspaniałymi obrazami: „Judytą z głową Ffolofernesa” oraz „Orfeuszem rozszarpywanym przez kobiety trackie”. Ellen na chwilę wczuła się w postać Judyty. Może dlatego jestem w ciągłej depresji, że nie potrafię uzewnętrznić swego gniewu, pomyślała. Żeby rozwiązać własne problemy, pewnie należałoby najpierw ściąć Jackowi głowę.

Następnego popołudnia, zabierając ciepłe okrycia na wypadek chłodu, wynajęły gondolę. Gondola niby węgorz prześlizgiwała się pod prąd przez kanały *senso unico*, lekceważąc wszelkie zakazy, i podczas gdy Jack rozmawiał z gondolierem, przed oczyma Ellen, zmęczonej całodniowym zwiedzaniem, przesuwały się wyblakłe fasady kamienic, rzędy zawieszonych nad wodą ażurowych żeliwnych balkonów, progi porośnięte zielonymi wodorostami. Z różnych dziur w ścianach podrywały się zaniepokojone ptaki, a trzepot ich skrzydeł niósł się długo po wąskich, wysokich uliczkach. Woda pod Ellen była zielona. Zielona jak sny i głęboka jak śmierć. Nie, nie aż tak głęboka, żeby myśleć o śmierci, tylko dwa metry, usłyszała głos gondo-

liera, rzeczowo informującego Jacka, który właśnie musiał o to zapytać.

Dlaczego Jack nie przestanie gadać, choćby na pięć minut, pomyślała zirytowana. Dlaczego nie możemy dać się ponieść falom i ciszy?

Kiedy gondola wpłynęła na Canale Grande, Ellen zauważyła z rozczarowaniem, że piękna fasada Ca' d'Oro pokryta jest rusztowaniami. Jaka szkoda. Następna, po domu Browninga, ofiara nie kończących się włoskich remontów. Po powrocie do hotelu Ellen położyła się na łóżku w ubraniu i natychmiast zasnęła. Ona przesypia nieprawdopodobną ilość czasu, zauważył w duchu Jack. I choć nieodmiennie demonstrował czułą wyrozumiałość, to w istocie miał dość humorów żony.

Cztery dalsze dni para posezonowych gości spędziła podobnie; ostatniego dnia wieczorem Jack zabrał Ellen na kolację do jednej z maleńkich knajpek w okolicach placu Świętego Marka. Zasiedzieli się w niej do późna. Tymczasem nad miastem przeszła intensywna ulewa i w wąskich uliczkach, którymi wracali do hotelu, skapywały im z balkonów na głowy drżące krople niby sznureczki łez. Kiedy znaleźli się pośrodku okazałego placu, naprzeciw Pałacu Dożów, okazało się, że są prawie jedynymi przechodniami. Błyszczące lustro wody odbijało staroświeckie uliczne latarnie i złote mozaiki Świętego Marka, a choć drzwi kawiarenek nadal były otwarte, to opustoszałe, smętne stoliki pod markizami przywodziły na myśl ubogich krewnych z wiejskich dworków. Gdzieś grał samotny pianista. Wsłuchując się w płynącą przez noc natrętną melodię, Ellen rozpoznała „Jeux interdits”. O Boże, jak mi smutno! Jak smutno! Oto doszła do kresu wytrzymałości. Dłużej nie była w stanie dźwigać swego bólu. Stojąc na placu Świętego Marka, rozplakała się.

Minęło sporo czasu i deszcz ponownie się rozpadał, nim Jack, który zaglądając do „Blue Guide'a”, zidentyfikował zabytki architektury, zauważył, że nie ma przy nim żony Rozejrzawszy się wokół, spostrzegł Ellen stojącą samotnie pośrodku placu w oblepionej wokół smukłego ciała srebrzystej sukni, ze

skrzyżowanymi na piersiach rękoma. Przed czym się broniła? A może przed kim? Ze skrucą i nagłą świadomością ogromu zniszczenia, jakie się dokonało w tym kruchym, drżącym ciele, Jack wziął żonę w ramiona i zastygł razem z nią w strugach deszczu.

- Za późno, Jack. O wiele za późno. - Nie potrafiła powstrzymać szlochu. Jack wziął ją za rękę jak dziecko i poprowadził do łódki. Dwa dni później, za radą lekarza hotelowego, zabrał żonę z powrotem do Anglii.

25

Komputer wysiadł bez żadnego ostrzeżenia, niezrozumiale anonsując *Write section buffer failed*. Ginevra zarzła do podręcznika, lecz ten poinformował ją jedynie, że powinna udać się do swojego dealera. Łatwiej powiedzieć niż zrobić, jeśli się mieszka w Little Haddow, na głuchej wsi.

- Psiakrew! - zakłęła pod nosem. Perspektywa ręcznego pisanania wcale nie była nęcąca. Odruchowo wykręciła numer do Ellen. Jeśli dobrze pamiętała, Careyowie mieli wrócić dopiero za jakieś dziesięć dni, ale przynajmniej zostawi Ellen wiadomość. Ku jej zaskoczeniu telefon odebrała przyjaciółka.

- Ginevra! - Głos był ciepły, choć ledwo słyszalny. - Co u ciebie słychać?

- A u ciebie? Miało was przecież nie być.

- Masz rację, ale niestety znalazłam się w tarapatach zdrowotnych. Dlatego skróciliśmy pobyt.

Ginevra, która nigdy nie była w Wenecji, i zresztą nie tylko tam, nie mogła sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek chciał wcześniej wracać do domu z takiej wycieczki.

- Tak mi przykro! Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Zależy, jak się sprawę potraktuje. Powiedziano mi, że przesłałam małe załamanie nerwowe. W tej chwili pielęgnuje mnie Jack, ale robi przy tym tyle zamieszania, że niedługo chyba grozi mi następne. No, może trochę przesadzam. Czuję się o wiele lepiej. To znaczy, że już nie płaczę cały dzień, tylko pół. Ale dajmy temu spokój. A co u ciebie?

- Klops. Wysiadł mi Amstrad. I dopóki nie znajdę kogoś, kto się zna na naprawie komputerów, muszę pisać ręcznie, a potem z kolei przenieść to wszystko na twardy dysk, co prowadzi do tego, że tracę dwa razy tyle czasu. Powinnam chyba zrobić sobie urlop.

- To na co czekasz? Przyjeżdżaj do mnie. Jack właśnie wybiera się na kilka dni do Londynu, żeby omówić parę spraw z Jamesem Hartingiem, i bardzo się boi zostawić mnie bez opieki. Tak dalece, że chce tu sprowadzić moją matkę. Jeszcze jej nie poznałaś, prawda? Powiem ci tylko tyle: Olivia ma mnóstwo talentów, ale na pewno nie nadaje się do roli Florence Nightingale.

Ginevra, tęskniąca za ludźmi, poza tym pozbawiona warsztatu pracy, skwapliwie przystała na zaproszenie przyjaciółki.

- Świetnie, bardzo się cieszę. Powiedz tylko, kiedy mam przyjechać.

- Jack chce być w Londynie od poniedziałku do czwartku, a więc czekam cię w poniedziałek. Oczywiście jeśli ci to odpowiada.

- Najzupełniej. - Serce Ginevry zabiło radośnie.

- No to świetnie. Jesteśmy umówione. Sprawdź w rozkładzie godzinę przyjazdu, to powitam cię na stacji.

Ginevra odłożyła słuchawkę i zapatrzyła się w widok za oknem. Mój Boże, pomyślała, większość ludzi odwiedza na ogół swoich przyjaciół, nie przeżywając z tego powodu euforii. A dla mnie to takie święto. I podobnie jak dziecko, które potrafi cieszyć się samą myślą o czekającej je przyjemności, natychmiast się rozpogodziła.

- Pewnie dopominasz się o coś na ząb, no nie? - zapytała Kapitana Morgana, ocierającego się pyskiem o jej rękę. Kocur, któremu wreszcie udało się zwrócić na siebie uwagę, miauknął gardłowo, co zabrzmiało jak okrzyk wojenny, a nie przymilne miauknięcie domowego pieszczołka.

Przygotowując kocie jedzenie, Ginevra głowiła się, jak poradzi sobie Kapitan Morgan, kiedy zostanie sam na gospodarstwie.

- Napełniłabym ci kilka misek na zapas, ale jak cię znam, wyliziesz je do dna, zanim zdążę wsiąść do pociągu. I co potem? A jakbyś tak zapolował na szczury? Oto zadanie godne prawdziwego kocura. - Kapitan Morgan, obojętny na monolog swojej pani, tańczył przy niej na tylnych łapach, nie spuszczać z oczu miski. Kiedy wreszcie Ginevra podsunęła mu ją pod zgłodniały pysk, rzucił się na jedzenie z taką łapczywością i pośpiechem, jakby na co dzień był morzony głodem.

Jack siedział w salonie Hartingów, naprzeciw Jamesa, i trzymał w dłoni wielką szklankę whisky. Po raz pierwszy od dłuższego czasu był w świetnym nastroju.

- Jak się czuje Ellen? - spytał James zastanawiając się, jakiego wina sobie nalać.

- Nie za dobrze, choć lepiej niż przedtem. Zostawiłem ją z Ginevrą Haye.

Ginevra. To imię wciąż wraca niespokojnym echem przeszłości. Tamte oczy. Głęboki szafir, z jakimś purpurowym odcieniem. Oczy, w których niejeden mężczyzna mógłby zatonać. W Jamesie zrodziło się dziwne przeczucie, że jakieś koło nie zatoczyło jeszcze pełnego obrotu, ale właśnie się to dokonuje. Absurd. Odsunął od siebie głupie myśli.

- Czy widziałeś ostatnio Tessę?

- Chyba żartujesz! - Jack, dla dodania sobie odwagi przy tak śliskim temacie, pociągnął solidniejszy łyk. - Za nic na świecie nie chcę jej widzieć. To diablica w ludzkim ciele. Wybacz, że ci to mówię.

Przez krótką, szarpiącą zmysły aż do bólu chwilę wyobraził sobie Tessę, która unosi się nad nim w miłosnym akcie, a falująca kurtyna włosów zasłania jej piersi, dzięki czemu ta dziewczyna choć raz wygląda niemal skromnie. On i Ellen nie kochali się od powrotu z Wenecji. Pozbawiony obroku, jak powiadał jego ojciec, Jack ubolewał nad faktem, że Tessa żądała zalegalizowania ich związku. Gdyby zadowolili się roman-

sem, wówczas cała późniejsza katastrofa prawdopodobnie w ogóle by się nie wydarzyła, a on mógłby nadal delektować się jej wspaniałym ciałem. Ellen nie stałaby się żadna krzywda, zgodnie z porzekadłem, że czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

- A ty?

- Ja też nie. Choć to moja siostra, nie potrafię jej wybaczyć tego, co wyprawia. Nawet całkowicie przez nią zniewolony mąż zdołał w końcu przejrzeć. Tessa zdecydowanie woli towarzystwo młodych ludzi, których stać na kosztowne podróże odrzutowcami, na przesypianie całych dni i ciągle rauty. Zresztą nie wątpię, że po jakimś czasie stosunki między nami wrócą do normy, ale na razie nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

Co za cholerny purytanin, pomyślał Jack, przyglądając się smakującemu wino Jamesowi.

- No cóż, dobrze, że chociaż Ellen ci przebaczyła - powiedział James.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to nie wierzę w jej przebaczenie. I całkiem możliwe, że nigdy się go nie doczekam.

Przemknęła mu przez głowę myśl, czyby nie wrócić do ostatniej kochanki. Jak jej było na imię? Zoe? Chyba Zoe. Tak, Zoe. Ale czy warto? Czy jakkolwiek Zoe wytrzyma porównanie z mistrzostwem Tessy, jeśli chodzi o sztukę kochania? Z urodą Tessy? Biorąc pod uwagę przemijalność wszystkiego, co piękne, miał przynajmniej satysfakcję, że uwiecznił urodę Tessy dla potomności, malując jej akt, mimo wszystkich komplikacji, jakie z tego wynikły.

- Czy Tessa ma już kogoś?

- Tessa zawsze kogoś ma.

- A gdzie mieszka?

- Wciąż u Ceci, ale chyba już niedługo, bo Cecilia, podobnie jak Alexander, też ma jej dość.

Widać było, że Jack rozważa w duchu jakieś za i przeciw. James obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

- Jeśli chcesz mojej rady, to powinieneś na przyszłość trzy-

mać się od Tessy z daleka. Może to i dynamit, jeśli idzie o łóżko, ale zważ, że ten dynamit rozsadza małżeństwa. Jesteś cholernie niecierpliwy, Jack. Powinieneś dać szansę swojemu małżeństwu.

- Masz rację, starszku, wiem o tym.

A gdyby tak, pomyślał, ten jeden jedyny raz? Ostatni? Nim stanę się wzorowym mężem? Dlaczego by nie?

Brzęknęły szklanki. To frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły z hukiem, powodując nagły przeciąg, który zrzucił z kominka zaproszenia. James zebrał je z podłogi i odłożył na miejsce.

- A któż to był na takim miłym długim spacerku? - usłyszeli głos Victorii czującej się do Ho, który po kilku minutach wkroczył na niepewnych nogach do salonu i czym prędzej zaszył się w swoim koszyku.

- I kogóż to wykończył taki miły długi spacer? - dodał James, przyglądając się pekińczykowi.

Victoria zawołała z dołu:

- Cześć, kochanie. Obawiam się, że... - Głos zniknął gdzieś w kuchennych otchłaniach. W końcu do salonu dotarło ostatnie słowo: - ...samochód.

James spytał spokojnie.

- Co poszło tym razem?

- Tylny zderzak, niestety. Całkiem spore wgięcie. No i trzeba będzie wyklepać błotnik. Akurat nastawiam wodę. Wypijesz filiżankę herbaty?

- Jest u mnie Jack.

- Och, Jacka nie warto o to pytać. Jeszcze nigdy nie udało mi się namówić go na herbatę! - odkrzyknęła Victoria złośliwie.

- Czasami mi się wydaje, że nie jestem ulubieńcem twojej żony - stwierdził Jack, choć nie widać było, żeby się tym martwił.

- Victoria jest bardzo czuła na punkcie Ellen - odparł wymijająco James.

- Tak jak wszyscy. - Jack zapragnął gorąco, aby jego żona wreszcie wyzdrowiała i żeby wszystko wróciło do poprzedniego stanu. I żeby mógł wreszcie dopaść Zoe czy Tessy, czy jakiegokolwiek innej kochanki. Oby jak najprędzej.

Ellen, co było widać na pierwszy rzut oka, poddawała się rytmowi dni w Butterfly Cottage z nieco wymuszoną pogodą ducha, lecz według oceny Ginevry, jej stan nie był najgorszy. Ginevra natomiast, która nigdy nie miała własnego przyzwyczajenia urządzonego domu, nieustannie rozkoszowała się kojącym działaniem ładnych przedmiotów i sprzętów, i nie mogła wyjść z podziwu nad łatwością, z jaką Ellen panuje nad całym swoim królestwem, nie wyłączając rozleniwionych, łagodnych kotów, w niczym nie przypominających odwiecznego poszukiwacza przygód, Kapitana Morgana.

Ellen, myślała Ginevra, świetnie zna warunki, w jakich mieszkam, a także mój brak poczucia wszelkiej estetyki, więc utrzymuje przez grzeczność, że można doskonale obchodzić się bez komfortu i ładu. Ale niechby tak spróbowała sama. Choć trzeba przyznać, że przy swojej pomysłowości i dobrym guście nawet lepiankę potrafiłaby przerobić na elegancki buduar. Niemniej opinię Ginevry, że trud, który Ellen sobie zadaje w trosce o swoje gospodarstwo, to czyste szaleństwo, podzielała Olivia Braithwaite.

Po obiedzie przyjaciółki zasiadły wspólnie, popijając czerwone wino.

- Czy nie uważasz, że gdy rozstaniecie się z Jackiem, będzie ci brak tego domu?

- Och, Ginevro, nie zdążyłam ci powiedzieć, że sprawa odejścia od Jacka przestała być aktualna. - Ellen popatrzyła w ogień.

- To prawda, myślałam latami, że powinnam się wyzwoić z małżeńskich więzów, ale przyszła chwila, kiedy musiałam dokonać wyboru: poświęcić albo siebie, albo Harry'ego. I, jak się zapewne domyślasz, wybrałam to pierwsze.

Z głosu Ellen przebijał smutek.

- A co z Davidem? - spytała Ginevra, zaintrygowana wyraźnym pominięciem starszego syna.

- Moi synowie są całkiem różni. Po części wynika to z różnicy wieku, po części z różnicy charakterów. Jestem przekonana, że nasz rozwód nie zaszkodziłby psychice Davida i że David jakoś ułożyłby sobie stosunki z macochą. Dlaczego mówię o macosze? Gdybyś знаła Jacka, tak jak ja go znam, wiedziałabyś, że pozostawiony sam sobie, zginąłby pod stertą brudnych naczyń i równie brudnych koszul, więc wcześniej czy później musiałyby się ożenić. Wracając natomiast do chłopców, nie sądzę, żeby Harry mógł kiedykolwiek podzielić swoją lojalność między mnie i drugą żonę ojca. A zresztą stało się. Obiecałam Harry'emu, że nie będzie żadnego rozwodu.

Skoro Harry, pomyślała Ginevra, jest taki wrażliwy, powinien przede wszystkim być świadom, jak tyranizuje matkę.

- A co z książką? - spytała.

- Falstart. Nie wzbudziła niczyjego zainteresowania. - Ellen siła się na obojętny ton, aby zatuszować rozczarowanie. - Dobrze jest, jak jest. Sukces, jeśli by nawet przyszedł, zburzyłby zapewne mój porządek świata. Nie mogę uciec od odpowiedzialności za dom; musiałam być szalona, piastując w duchu takie rojenia. Krótko mówiąc, sprawa jest Zamknięta.

Ginevra w milczeniu rozmyślała o własnej książce, którą ani żaden agent, ani żaden wydawca nigdy się nie zainteresował. W dodatku ją także czeka przeprawa z mężem, niech no tylko Kevin wróci do domu.

Widząc zmarszczone czoło przyjaciółki, Ellen skarciła się w duchu, że użala się nad sobą, miast poświęcić więcej uwagi kłopotom gościa.

- A co u ciebie?

- Muszę odejść od Kevina - padło szczere wyznanie. - Łątwo mi to przyjdzie, bo nie mamy dzieci. Cóż, przyznam ci się, że gdyby nie ten jego wyjazd, pewnie wszystko toczyłoby się po staremu. Nie czułabym się osamotniona. Widzisz, właśnie

samotność pchnęła mnie ku czemuś, co nie pozwala mi dłużej żyć u jego boku.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że kochasz kogoś innego.

- Ten ktoś jest nieosiągalny. A poza tym cała sprawa to czyste urojenie.

Ginevra zdziwiła się, z jaką łatwością używa słów, które do niedawna nigdy nie przyszłyby jej na myśl. A zatem, pomyślała, pora spalić zapisane zeszyty oraz odwołać zamówienie na nowe. Z drugiej strony, myślała, powrót do życia z Kevinem nie wchodzi w grę, gdyż zawisłabym w próżni, podobnie jak Ellen. Być może powinnam się wyprowadzić jeszcze przed jego powrotem.

Nieosiągalny? To chyba znaczy, że jest żonaty, uznała w duchu Ellen. Głaszcząc lśniąca sierść Casimira i popijając wino, powiedziała nagle:

- Wiesz, mam wspaniały pomysł. Pożyczę ci mój komputer. Nie jest mi teraz potrzebny i na pewno nie będę za nim tęsknić. Mogę was oboje zawieźć do Little Haddow. - Uśmiechnęła się do Ginevry promiennie. - Co ty na to?

26

Kevin przyleciał do Londynu pewnej nocy, na długo przed świtem. Świeżość jego czerwono-brunatnej, saudyjskiej opalenizny podkreślały przyprószone siwizną włosy. Z rozkoszą odetchnął lodowatym powietrzem. Był przekonany, że upałów i zagranicy starczy mu do końca życia, choć chyba dałby się namówić na dziesięć dni pobytu na Majorce, gdzie - jeśli wierzyć kumplom - można zjeść rybę z frytkami. No, pomyślał prężąc pierś, nie będę tłukł się do domu rannym pociągiem. Stać mnie na taksówkę. Po coś się w końcu w tej pieprzonej Arabii siedziało.

Kiedy po niecałej godzinie jazdy znalazł się w Little Haddow, wieś była pogrążona w głębokim śnie, a na niebie wciąż jeszcze widniała blada tarcza księżycy. Buty Kevina zadudniły głośno o wyboistą, pełną grud ścieżkę, prowadzącą od furtki do drzwi frontowych. Zadrżało kilkapotrąconych nieostrożnym ramieniem, ubielonych szronem gałązek. Kevin otworzył drzwi, lecz nie zdążył nawet przekroczyć progu, gdy powitało go przerażliwe miauczenie wygłodzonego Kapitaną Morgana.

W domu panowała temperatura chyba poniżej zera, a w każdym razie było zimniej niż na dworze. Kevin skierował kroki do kuchni, i pierwsze, co zrobił, to zamknął uchylone okno. Ogarnął wzrokiem sześć pustych misek na podłodze i kolekcję martwych myszy w różnych stadiach rozkładu. Nigdy nie uważał Gin za gospodynię z prawdziwego zdarzenia, ale nie pamiętał też, by zaniedbywała się w takich obowiązkach jak wyrzuca -

nie do śmieci mysich kadłubków. Widząc tak oczywiste odstępstwo od panujących w domu zwyczajów, Kevin zaczął podejrzewać, że Ginevra spędza noc na jakiejś zabawie. Byłaby to rzecz niezwykła, ponieważ jego żona, jak dobrze wiedział, miała bardzo niewielu przyjaciół, a jeśli już, to nie takich, którzy by gustowali w całonocnych rozrywkach. Prawdopodobnie musiał wyprzedzić własny list, choć to również nie tłumaczyło jej nieobecności. Kapitan Morgan tymczasem, nie odstępując dawno nie widzianego pana ani na krok, sposobił się do zastąpienia mu drogi, gdyby ten próbował opuścić kuchnię bez zaspokojenia kocich potrzeb. Pochwyciwszy chciwe spojrzenie bursztynowego oka, Kevin otworzył kredens, w którym przechowywali pokarm dla kotów, i sięgnął po napoczętą konserwę.

- Auu, na litość boską, Gin! To jest spleśniałe! - powiedział na głos z wyrzutem, przypominając sobie swoją matkę, prawdziwy wzór kuchennych cnót, która na taki widok niewątpliwie padłaby zemdlna. Otworzył inną dużą puszkę, podsunął kotu pod nos, a sam poszedł na górę. Łóżko, choć jeszcze się ludził, że zastanie w nim Ginevre, było przykryte narzutą. Zaciągając zasłony, postanowił dłużej nie dociekać, co się dzieje z jego żoną. Tak czy inaczej, Gin wróci. Teraz należało mu się trochę snu.

Jak każdego ranka, tak i dzisiaj pani Trigg pracownicie pokonywała na rowerze drogę na wiejską pocztę. Po odstawieniu swego pojazdu na miejsce, w którym miał czekać aż do zamknięcia urzędu, podniosła klapę w ladzie i przeszła na zaplecze, aby nastawić wodę na herbatę.

Teraz miała czas na przejrzenie paczek, które powinny dzisiaj dotrzeć do adresatów. Przyszły trzy: jedna dla Fredy z pubu, jedna dla pani Monk, żony rzeźnika, i jedna dla pani Hays. Pani Trigg potrząsnęła pierwszą paczką. To, co było w środku, zagrzechotało z cicha, a przy tym dawało się ścisnąć jak gąbka.

Samozwańcza kontrolerka przyjrzała się wnikliwie znaczkom, aby po stemplach poznać miejsce nadania. Dla pani Trigg każdy dzień był dniem Bożego Narodzenia, przy zabawie „w paczki” zaś czuła się jak sześćioletnia dziewczynka, zaglądnąca do pończochy z prezentami. Przesyłka dla żony rzeźnika nie była tak tajemnicza, ponieważ widniał na niej adres firmy produkującej pończochy elastyczne. No jasne, przecież ona ma okropne żylaki, biedactwo, pomyślała pani Trigg, zadowolona z własnych kształtnych nóg, choć już jeśli chodzi o talię, to powodów do dumy miała niewiele.

Została tylko paczka pani Hays, wielka, płaska i nadspodziewanie ciężka. Szacując ją bystrym okiem Sherlocka Holmesa, pani Trigg przejechała kciukiem wzdłuż boków. Trzy miały wgłębienia, ostatni nie. Książki, zapadł werdykt.

Tymczasem woda już się zagotowała. Pani Trigg odłożyła paczki na bok, aby rozwieźć je po domach pod koniec dnia, kiedy nie będzie już nadziei, że któryś z adresatów akurat pojawi się na pocście, zestawiła czajnik z gazu i zaczęła przyrządzać to, co nazywała swoją poranną filiżaneczką herbaty. Teraz nadchodziła pora na dokładną analizę zaklejonnych listów.

Kiedy koło południa Kevin obudził się z głębokiego snu, w pierwszej chwili nie bardzo mógł zrozumieć, co się z nim dzieje ani gdzie się znajduje. Powoli rozpoznając otoczenie i odtwarżając w pamięci wydarzenia ostatniej nocy, wyciągnął rękę w poprzek łóżka, aby sprawdzić, czy żona tymczasem nie wróciła. Dlaczego spotkał go taki straszny zawód? Przecież jedynie, co go podtrzymywało na duchu podczas pobytu w Arabii Saudyjskiej, to pamięć dzielonych z Gin zmysłowych przyjemności i nadzieja na rychłe odrobienie strat po powrocie. Niechby się wreszcie zjawiała. Teraz gotów był jej nawet wybaczyć uporczywe milczenie, choć na tym duchowym wygnaniu głęboko przeżywał brak listów od żony. Dopiero kiedyś, po długich rozmyślaniach, dojdzie do wniosku, że kiedy kończy się

obcowanie fizyczne, kończy się również obcowanie dusz, i że, jak widać, reguła ta obejmuje również korespondencję.

Wstał z małżeńskiego łóża, przeszedł do lodowatej łazienki i przyjrzał się z przyjemnością swemu odbiciu w popękającym lustrze. Nie ma co mówić. Kawał chłopa. I to jakiego. Niech no tylko pokaże się w mieście. Niejedna będzie się na niego napalać. No, ale na razie to on sam jest napalony. Tylko co z tego, kiedy ta pieprzona Ginevra gdzieś przepadła. Zrobiło mu się żal samego siebie. Zaczynał popadać w lekką depresję, nastrój typowy dla ludzi przekraczających w podróży strefy czasowe. Z obawy przed zziębnięciem ubrał się i czując, że chętnie by wypił filiżankę herbaty, zszedł na dół. Kocur już się gdzieś ulotnił, ale mysie zwłoki wciąż zaśmiecały podłogę. Kevin, nie namyślając się długo, otworzył drzwi i wyrzucił wszystkie myszy za próg. Nastawił czajnik i zajrzał do lodówki. Mleka nie było. Długo grzebał w kredensie, nim między przeróżnymi puszkami znalazł pogniecione pudełko z przedpotopową herbatą w torebkach i pół słoika śmietanki w proszku. Następnie z filiżanką nieapetycznego naparu wrócił do sypialni z zamiarem odszukania jakiejś wskazówki co do miejsca pobytu żony.

Ellen i Ginevra ładowały komputer do samochodu.

- Jak widzę, pamiętasz o parkowaniu przodem.

Przodem czy tyłem. Odwieczny problem kierowców, który zwykle śmieszył Ellen. Zaśmiała się i teraz. Ostatnio sama oceniała swój stan jako lepszy, a to, że udało jej się pokonać próg depresji, zawdzięczała i własnym usilnym staraniom, i taktownej opiece Ginevry. Teraz tylko należało się bronić przed nawrotem choroby.

- No tak, pamiętam, choć przyznam ci się, że nie wiem, o co w tym właściwie chodzi.

- Ani ja, ale widocznie ma to jakiś sens.

- J a k myślisz, o której godzinie będziemy na miejscu?

- No, chyba późnym popołudniem albo wczesnym wieczorem. To zależy, kiedy wyruszymy. Ja właściwie jestem gotowa.

- Ja też, tyle że jeszcze muszę poprosić Ednę Phipps, aby nakarmiła koty. Możemy do niej wstąpić po drodze.

Szafa ubraniowa zgotowała Kevinowi niespodziankę, albowiem znalazł tam części garderoby, jakich przedtem nigdy w domu nie widywał. Na dnie stały wydłużone czarne pantofle na słupkowych obcasach, absolutnie nie pasujące do znanego mu wizerunku Ginevry, a nad nimi wisiała na wieszaku czarna wieczorowa suknia i haftowany szal. Szal był mięsisty, ciężki, miał grube frędzle i nawet na nie znającym się na tych sprawach Kevinie robił wrażenie drogiego.

- O rany! - zawołał i pomacał go, zastanawiając się, do kogo mógłby należeć. Chyba nie do Ginevry, z całą pewnością nie. Ginevra nigdy nie interesowała się tym, co ma na sobie; w Oksfordzie wystarczały jej łachy z magazynów opieki społecznej. Szukając dalej, w jednej z dwóch górnych szuflad komody odkrył srebrny naszyjnik z ogromnym bursztynowym wisiorem. Psiakrew! Przecież coś takiego musi kosztować majątek! Co tu się dzieje? Ale z równowagi wyprowadziła go dopiero zawartość następnej szuflady: kilka par cieniutkich czarnych rajstop. Jak u dziwki, zaopiniował. Mamusi też by się to nie spodobało.

Dalsze przeszukiwanie sypialni nie przyniosło nic interesującego, lecz Kevin był wystarczająco zaniepokojony tym, co już znalazł. Ale gdzie ona jest? Znikąd odpowiedzi. Cały dom spowiadała martwa cisza. Aby nie stać beczynnym w miejscu, ponownie zszedł do kuchni, gdzie Kapitan Morgan znów zaczął miauczeć przeraźliwie, jakby nie pamiętał, że zjadł niedawno całą puszkę konserwy. Ignorując jego wrzaski, zwłaszcza że nie było nic więcej do jedzenia ani dla kota, ani dla niego, Kevin przeszedł do salonu.

Komputer stał na tym samym miejscu co zawsze, pod oknem. Jedna z leżących obok niego broszur była otwarta na

rozdziale „Wykrywanie usterek”. Kevin rozejrzał się po pokoju, który zdawał się tak samo zakurzony jak zawsze. Na kominu stał wazon z zasuszonymi, zbrązowiałymi różami, a przy nim jakaś sepiowa fotografia. Kevin wziął ją do ręki i podszedł do okna. Ten stary pryk z otwartą książką na kolanach to pewnie ojciec Ginevry, pomyślał, no a starą i tak bym poznał, podobna do córeczki. Wreszcie mieszkam w domu, gdzie stoją rodzinne fotografie. Tylko gdzie się podziała słomiana figurka, którą wygrałem w strzałki?

Czas mijał. Zaczynało zmierzchać. Chcąc zrobić sobie miejsce na kanapie, Kevin podniósł kilka grubych, elegancko oprawionych zeszytów i położył je na kolanach. Przewrócił od niechcienia kilka kartek, a ponieważ były zapisane równym, wyrobionym pismem Ginevry, uznał je za część jej pracy. Na ogół z trudem przychodziło mu zrozumienie paru napisanych na papierze słów, toteż książkę żony od dawna omijał z daleka. I już był bliski odłożenia zeszytów, zwłaszcza wobec zamierzonego spaceru do sklepu po gotową zapiekankę, kiedy jego wzrok przyciągnęło napisane w połowie strony czteroliterowe słowo, oznaczające coś, o czym nigdy by nie pomyślał jako o przedmiocie badań naukowych. Czyichkolwiek. Brnąc dalej, znalazł następne, a po nim jeszcze jedno, i jeszcze jedno, tak że pracowicie przesuwając palcem wzdłuż linijek, powoli zaczął pojmować, iż wczytuje się w dosadny opis łóżkowego romansu własnej żony. Ni to z jękiem, ni ze szlochem Kevin cofnął się do pierwszej strony, która zaczynała się od słów *James, mój ukochany*.

Dwie godziny później odłożył na bok trzeci zeszyt. Zapis urywał się w połowie słowa. Kevin nie miał ochoty sprawdzać, czy są jeszcze jakieś inne zeszyty. Przeczytał dosyć. Parę kartek więcej, parę mniej niczego nie zmieni. Podczas gdy on, ociekając potem, harował w tej pieprzonej Arabii, ona i ten tutaj!... Boże, co za koszmar! Kevin, choć natura poskąpiła mu zmysłu analitycznego, potrafił zrozumieć, że zdrada żony raz na zawsze strąciła go z piedestału mężowskiej władzy. Ale to nie wszyst-

ko. W całej kronice nie było żadnej, nawet najmniejszej wzmianki o nim. Jak gdyby w ogóle nie istniał. Potraktowano go jak osobę bez żadnego znaczenia, a to było stokroć gorsze od fizycznej zdrady, ponieważ godziło w jego najczulszy punkt. Kevin był dobry w łóżku. Powtarzały mu to wszystkie po kolei przyjaciółki, jakie miał przed Ginevra, a także i ona sama. Ale na tym kończyły się jego talenty. Poza łóżkiem był zwykłym głupkiem. Już w zerówce nie nadążał za innymi w czytaniu i pisaniu. Jediną pozytywną opinię, jaką mu wystawiono, gdy wreszcie z trudem pokonał nędzną podstawówkę, była uwaga: „Kevin ma zdolności manualne”. Uwaga ta sprawiła, że w wieku szesnastu lat opuścił szkołę i zajął się rzemiosłem budowlanym. Poślubienie Ginevry w dużej mierze dopomogło mu w pozbyciu się kompleksu niższości, choć jego mamusia wróżyła temu małżeństwu zły koniec. „Ona nie jest dla ciebie, Kevin. Lepiej wzięłbyś sobie jakąś ślicznotkę, która wie, jak zadbać o dom i o męża”. Kevin, który chodził już w jarzmie zmysłów Ginevry, zlekceważył tę radę.

Rozpacz i wściekłość. Wściekłość i rozpacz. Kevin wstał, odruchowo zgasił światło i wyszedł na korytarz. Na podłodze leżały jakieś kolorowe strzępy jedwabiu. Pewnie coś pocięła, stwierdził obojętnie. Podeszedł do stojącej pod schodami szafki na narzędzia, wziął z niej młotek z pazurkami do wyciągania gwoździ i w ciemnym salonie postanowił czekać na powrót żony.

Z powodu robót drogowych w pełnym toku Ellen i Ginevra musiały skorzystać z objazdu i nadłożyć drogi, w związku z czym zjawiły się we wsi już po zamknięciu sklepu.

- Może sprzedadzą mi trochę mleka w pubie - powiedziała Ginevra, przygnębiona perspektywą zimnego ranka bez herbaty.

- Wobec tego ja jadę wprost do ciebie, zostawiam Amstrada i pędzę z powrotem do domu - zaproponowała Ellen, która bała się jazdy po ciemku.

- Nie, to za duży ciężar, przydałyby się taczki. Już dość zrobiłaś, przyjeżdżając tutaj, reszta należy do mnie.

- Daj spokój, będąc żoną Jacka, zdążyłam się zaprawić do ciągnięcia taczek. A poza tym wiem, jak popodłączać te wszystkie kable.

- Przecież ja też wiem!

Ellen popatrzyła na zegarek, myśląc, że niepotrzebnie tracą czas na takie przekomarzania.

- Rzucę monetę. Orzeł czy reszka?

27

Pani Trigg oparła rower o płot przy ogrodzie należącym do Pear Tree Cottage, wyjęła z koszyka paczkę, i, widząc światło w oknach, ruszyła ścieżką w stronę drzwi frontowych. Robiło się coraz zimniej. Pewnie nadciągała nowa fala ostrego mrozu.

Ku jej zaskoczeniu drzwi były uchylone.

- Hej, jest tam kto? - zawołała, a nie otrzymawszy odpowiedzi, pchnęła je i weszła do środka.

Już w hallu powitał ją osobliwy zapach i równie osobliwy, monotony odgłos, bardziej przypominający skowyt niż szloch. Zrobiła krok w stronę szeroko otwartych drzwi do salonu i na widok tego, co tam zobaczyła, zamarła. Na podłodze, w kałuży krwi, leżała na wznak kobieta z potwornie roztrzaskaną czaszką. Jedną z jej martwych dłoni ścisnęła skrawek kolorowego jedwabiu.

Lamentował mężczyzna siedzący przy komputerze pani Haye. Z głową w dłoniach, zgarbiony, nie był chyba świadom obecności poczciarki. Uciekać, pomyślała pani Trigg. Uciekać, zanim mnie zobaczy i rzuci się w pościg. Zanim stanę się kolejną ofiarą. I na palcach, tyłem, krok za krokiem, zaczęła się wycofywać w stronę wyjścia.

Nagle usłyszała skrzypnięcie ogrodowej furtki. Przystanąła w oczekiwaniu jakiejś reakcji w salonie. Ale do Kevina Haye nie docierały chyba żadne dźwięki, gdyż jego przerażający lament nie ustawał. Nic z tego nie rozumiejąc, pani Trigg ruszy-

ła dalej i wpadła na kogoś w drzwiach. Drżąc cała, wyciągnęła ramię i zagroziła przejście.

- Nie radziłabym wchodzić do środka - powiedziała szeptem. - Obawiam się, że miał tam miejsce okropny wypadek.

28

Malusieńki kościółek w Chelsea był przepelniony i sprawiał wrażenie, że przenieśli się doń goście z wernisazu Careya w tych samych ekscentrycznych ubraniach, tyle że przefarbowanych na czarno. Uroczystości pogrzebowe zorganizowała Victoria uważając, że w tych okolicznościach tyle przynajmniej powinna zrobić. Siedziała teraz w pierwszej ławce, obok miejsca zarezerwowanego dla męża, i zastanawiała się, co się z nim dzieje. Nikomu nie wypada się dzisiaj spóźnić, a już na pewno nie Jamesowi. Odwróciła głowę i przebiegła wzrokiem wszystkich zgromadzonych. Nie było go nigdzie. Przy samych drzwiach natomiast, jakby chciał w ten sposób podkreślić niestosowność zajęcia miejsca w pierwszych rzędach, siedział samotny Jack. Można by uznać, że choć raz zrobił odstępstwo od swych nie najlepszych obyczajów i włożył przyzwoity garnitur, gdyby nie to, że był on w kolorze oberżyny. Jack, pochylony do przodu, z głową wspartą na dłoni, wpatrywał się smętnie w podłogę. Wygląda na zdruzgotanego, pomyślała. Po raz pierwszy, choć pewnie i ostatni, wzbudził w niej odrobinę sympatii. Kończąc pobieżną lustrację, odszukała jeszcze wzrokiem Tessę i Alexandra. Oboje siedzieli tuż za nią, na przeciwnych końcach drugiej ławy, bezpiecznie rozdzieleni szeregiem bardziej speszonych niżli smutnych żałobników.

Victoria spojrzała na zegarek. Pięć minut do rozpoczęcia nabożeństwa. Jakby na dany przez nią znak, odezwały się organy i przez powietrze, ciężkie od zapachu lilii, popłynęła, zgodnie

z ustalonym programem, kantata Bacha. Victoria opuściła rondo olbrzymiego kapelusza, włosy opadły jej na policzki. Następnie sięgnęła do torebki po jedną z przygotowanych na tę okazję chusteczek do nosa i jąła dyskretnie ocierać łzy.

Do organów dołączyły się łagodne głosy chórzystów. Podczas uzgadniania programu nabożeństwa Victoria szczególnie wnikliwie przeegzaminowała duchownego na temat chóru. Czy reprezentuje on naprawdę wysoki poziom? Czy potrafi sprostać stawianym przez nią wymaganiom? Bądź co bądź, nieszczęsna ofiara szczyciła się za życia wykształceniem muzycznym, a ona, Victoria Harting, nie czułaby się najlepiej, zmuszając arystokratycznych żałobników do wysłuchiwania jednostajnego brzęku tamburynów. Rozdrażniony duchowny przebiegł wzrokiem muzyczny program nabożeństwa i zirytował się jeszcze bardziej, nie widząc możliwości zaprezentowania własnej gry na gitarze. Odparł oziębłe, że chór jest na wystarczającym poziomie.

- Och, tylko na wystarczającym?

- Chciałem powiedzieć, na wysokim poziomie - poprawił się pośpiesznie.

- No cóż, mam nadzieję, że to kompetentna opinia - odparła Victoria z powątpiewaniem w głosie. Próba zasugerowania, że nieco lżejszy repertuar mógłby złagodzić smutek uroczystości żałobnej, została skwitowana krótkim: „to absolutnie wykluczone”.

Duchowny, wciąż jeszcze kipiąc całkiem niechrześcijańską złością, przeszedł przez nawę i stanął przy pulpicie. Musiał jednak przyznać obiektywnie, że jego świątynia przynajmniej raz jest wypełniona wiernymi po brzegi.

Zaledwie zdążył wypowiedzieć słowa: „Zebraliśmy się...”, gdy otworzyły się drzwi i poprzedzony nagłym powiewem lodowatego powietrza, jak również wyciem policyjnej syreny, wpadł do środka James Harting z ilustrowanym magazynem pod pachą, a napotkawszy długie, pełne świątobliwej dezaprobaty spojrzenie pastora, ze skruchą wcisnął się w jakiś wolny kącik z tyłu.

Duchowny dla skupienia na sobie uwagi odczekał kolejne dziesięć sekund.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj, aby pogrążeni w żałobie oplakiwać śmierć i oddać hołd życiu i pracy...

Nie do wiary! Drzwi znów się otworzyły, wpuszczając następne mroźne tchnienie, choć - Bogu niech będą dzięki - tym razem bez jęklowego skowytu wozu policyjnego, i weszła do świątyni kobieca postać, spowita od stóp do głów w czarną pelerynę, nad którą górował szeroki czarny kapelusz z czarną gęstą woalką. Ten zmaterializowany symbol straszliwego dramatu spotkał się z głośnym szmerem uznania. Duchowny, świadom tego, iż chwilowo musiał ustąpić roli komu innemu, w znaczącym milczeniu czekał, aż nowo przybyła zajmie miejsce. Ku jego zaskoczeniu, spóźnialska nie zadowolila się, tak jak pan Harting, skromnym kątem, lecz wytrwale torowała sobie drogę ku przodowi, i ledwo kiwnąwszy duchownemu głową, zasiadła w pierwszej ławce obok pani Harting. Patrząc na niezwykle bladą twarz, która wychynęła spod uniesionej, migoczącej dżetami woalki, duchowny wystartował w rekordowym tempie, chcąc dokończyć rozpoczęte po raz trzeci zdanie:

- Zebraliśmy się tu dzisiaj, aby pogrążeni w żałobie oplakiwać śmierć i oddać hołd życiu i pracy Ginevry Haye.

Po skończonym nabożeństwie Hartingowie, Careyowie, Marchantowie, a nawet Lucasowie, którzy, choć bliscy rozwodu, potrafili zachować się w sposób cywilizowany, zważywszy na okoliczności, razem opuścili kościół. Wszyscy poza Tessą, która uważała, że dobrze będzie pokazać, iż odjedzie z Samem Jessopem, zamierzali udać się do domu Hartingów w Chelsea, gdzie czekała na nich herbata, kawa i kanapki.

Czekając na stopniach kościoła, aż żona pożegna się z pastorem, a przy okazji skrytykuje występ kościelnego chóru, James pochwycił spojrzenie Roberta Wilmota.

- Robert!

- Och, James - odparł Wilmot niepewnie. Chętnie by się wykręcił od rozmowy.

- Okropna historia.

- Okropna. Widzę, że masz nowy numer „Modern Art”.

- Zostawiam go sobie na wieczór. Mam nadzieję, że zawiera ostatni artykuł Ginevry.

- Owszem, zawiera.

- Nie chciałbyś wpaść do nas? Victoria zorganizowała mały poczęstunek. Jestem pewien, że jedna osoba więcej nie zrobi różnicy.

- Nie, niestety, nie mogę. Mam spotkanie. - To był łatwy wykręt. Wilmot zawrócił z połowy schodów. - Posłuchaj, jest mi przykro, naprawdę przykro. Usiłowałem namówić ją, by zastosowała nieco inne kryteria oceny, ale mnie zwiódła. Postawiła na swoim. W końcu było za późno, bym mógł coś odkręcić. Ale to jeszcze nie wszystko. Potem nagle, ni stąd, ni zowąd - nie wiem, nie pytaj mnie dlaczego - zmieniła zdanie. Tym razem to ona chciała sprawę odkręcić. Niestety. Za późno. Same komplikacje. Jak w dramacie antycznym. - Spojrzał w stronę nadjeżdżającej taksówki. - No cóż, naprawdę muszę iść. Ucałowania dla Victorii.

„Za późno, bym mógł coś odkręcić”. Ale co?

- Ach, nie przejmuj się byle czym. Nie zatrzymuję cię dłużej.

- Wobec tego pędzę. Do zobaczenia przy mniej smutnej okazji.

Częstując gości kanapkami, Victoria rozmyślała o tym, że trudno wprost uwierzyć w tragiczną śmierć Ginevry. Jaki los czeka teraz Kevina? Należało się spodziewać, że jego proces będzie kolejnym koszmarnym przeżyciem dla Ellen. Choć pewnie nie tylko dla niej. W związku z ujawnieniem treści zapisków Ginevry składanie wyjaśnień może nie ominąć także ich obojga, a przynajmniej Jamesa. Jakże tu pogodzić się z faktem, myślała,

że ktoś o tak wysokim współczynniku inteligencji jak Ginevra, którą przecież znałam od lat i uważałam za bliską przyjaciółkę, mógł tak niezauważenie dla nas wszystkich popaść w obłąd? Teraz już za późno, by cokolwiek dla niej zrobić. Niestety.

- Trochę mleka?

Nalewając mleko zauważyła, że James, pogrążony w rozmowie z Alexandrem, trzyma pod pachą egzemplarz „Modern Art”. Przypuszczalnie najnowszy numer, ten, w którym miała się ukazać pochwalna recenzja z wystawy Jacka, napisana przez Ginevre. W następnym numerze można się spodziewać notki pośmiertnej o autorce. Victoria płonęła z niecierpliwości, żeby już teraz przejrzeć pismo, i nawet rozglądała się za kimś, kto by wyręczył ją w usługiwaniu gościom, lecz poczucie obowiązku zwyciężyło, i jako troskliwa pani domu podeszła do panów z tacą pełną kanapek.

- Wędzonego łososia?

Alexander odmówił, a widząc, że Ellen pozostawiono wreszcie w spokoju, dodał:

- Pozwolicie, że odejdę na chwilę? Mam Ellen coś do powiedzenia.

- Ależ oczywiście! - Victoria spojrzała za nim, ciekawa, jakąż to rewelację Alexander kryje w zanadrzu, jeśli czekał z rozmową aż do wyjścia Jacka z pokoju. A tak na marginesie, pomyślała, gdzie on się podziewa? Nagle przypomniała sobie o „Modern Art”.

- Jest recenzja Ginevry? - spytała Jamesa.

- Tak, jest, wiem to od Wilmota, ale w tym całym zamieszaniu nie miałem okazji, by rzucić na nią okiem.

- Może pozwolisz, że ja spojrzę?

- Proszę bardzo, ale pod warunkiem, że podzielisz się ze mną wrażeniami.

- Victorio, co słyszę? Właśnie Jane mi zdradziła, że jesteś w ciąży. Śpieszę z gratulacjami - rozległ się za plecami Victorii głos Marcusa Marchanta. Odłożyła czasopismo. Chyba James ma rację. To nie jest najwłaściwszy moment na lekturę.

Alexander i Ellen stali w rogu pokoju, na tle rajskich błękitów malowidła Careya. Ellen odrzuciła woalkę, która wdzięcznie udrapowała się wokół główki matadorskiego kapelusza, rzucającego cień na ściągnięte bólem rysy twarzy.

Alexander stłumił w sobie pragnienie, aby ująć w dwa palce delikatny podbródek, przechylić do tyłu piękną głowę i wycisnąć pocałunek na wargach wygiętych w łuk Kupidyna i umalowanych intensywnie czerwoną szminką. Do diabła z tym, co kto sobie pomyśli.

- Twoja powieść, Ellen. Spodobała się pewnemu wydawcy. Spróbuj ją wydać. Jeśli pozwolisz, dam mu twój telefon. Umówi się z tobą bez mego pośrednictwa.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Ale przecież aż trzech agenci nie wróżyli jej sukcesu.

- I co z tego? Rynek wydawniczy rządzi się swoimi prawami. Zresztą to tak jak z domem: żeby go sprzedać, wystarczy mieć jednego nabywcę. Jeśli już raz dotarłaś do wydawnictwa, ręczę ci, nie potrzebujesz żadnych agentów. Wychodzisz na prostą, Ellen.

Ellen uśmiechnęła się przez łzy.

- Wiesz, to jest najcudowniejsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła. Jestem ci niezmiernie wdzięczna, Alexandrze.
- I, aby ukryć zmieszanie, opuściła nieco woalkę.

Alexander szarmancko wręczył jej swoją chusteczkę.

- Dziękuję ci. Jestem okropnie głupia. Beczę zamiast krzyczeć z radości. A możesz mi wierzyć, naprawdę rozpiera mnie radość.

Wzruszony, żałując, że nie jemu dane jest troszczyć się o tę kobietę, powiedział łagodnie:

- Zasługujesz na dobre nowiny, Ellen. To były dla ciebie ciężkie dni. Niestety, czeka cię jeszcze koszmar procesu. Dopiero potem wszystko odmieni się na lepsze.

- Wiadomość, jaką mi przyniosłeś, będzie dla mnie nie lada wsparciem. Coś wreszcie drgnęło. Zacznę w końcu żyć wła-

snym życiem. Alexandrze, dałeś mi więcej, niż sobie wyobrażasz. Nigdy nie potrafię ci się odwdzięczyć, nigdy.

To, że byli pochłonięci sobą przez dłuższą chwilę, nie uszło uwagi otoczenie, a przede wszystkim Jacka, który z zaczerwienioną twarzą zdążył w tym czasie wrócić do salonu. Alexander zlekceważył i jego, i resztę zebranych. Podnosząc do ust rękę Ellen, na której widniała obrączka, pocałował ją i wyrecytował:

*Stałość twa obieg mój uściśli
I każe skończyć, gdzie zacząłem. **

- Nic mi nie jesteś winna, Ellen.

Wreszcie Hartingowie zostali sami. Victoria, zadowolona, że będzie mogła w końcu pozwolić odpocząć nogom, zmęczonym dźwiganiem coraz większego ciężaru, usadowiła się w głębokim fotelu w pobliżu kominka i, kartkując magazyn, znalazła artykuł Ginevry. Zaczęła czytać.

* Fragment wiersza J.Donne'a w przekładzie Stanisława Barańczaka.